

Biblioteka
Publiczna

capote

**HARFA TRAW, DRZEWO NOCY
I INNE OPOWIADANIA**

truman
capote

HARFA TRAW, DRZEWO NOCY
I INNE OPOWIADANIA

Z angielskiego przełożył
KRZYSZTOF ZARZECKI



Wydawnictwo
A. Kuryłowicz

HARFA TRAW

*Pannie Sook Faulk
na pamiątkę głębokiego
i szczerego przywiązania*

DRZEWO NOCY I INNE OPOWIADANIA

Moim Rodzicom

Spis treści

Harfa traw (<i>The Grass Harp</i>)	9
Pan Bida (<i>Master Misery</i>)	141
Dzieci w dniu urodzin (<i>Children on Their Birthdays</i>)	171
Zatrzaśnij ostatnie drzwi (<i>Shut a Final Door</i>)	201
Gąsiorek bilonu (<i>Jug of Silver</i>)	225
Miriam (<i>Miriam</i>)	247
Jastrząb bez głowy (<i>The Headless Hawk</i>)	265
Moja strona medalu (<i>My Side of the Matter</i>)	301
Drzewo nocy (<i>A Tree of Night</i>)	317

Harfa traw

1

Kiedy to pierwszy raz słyszałem o harfie traw? Długo przed tą jesienią, gdy mieszkaliśmy na drzewie, cedraku, którejs wczesniejszej jesieni; i oczywiście słyszałem od Dolly, nikt inny tak by tego nie nazwał: harfa traw.

Wyjeżdżając z miasta ulicą Kościelną, mija się jasne wzgórze kościanej bieli płyt nagrobnych, znaczonych brązem zwarzonych bukietów; to cmentarz baptystów. Pochowani tu są nasi bliscy, Talbowie, Fenwickowie; moja mama leży koło taty, otaczają ich groby dalszych krewnych, dwadzieścia, jeśli nie więcej, rozchodzące się promieniście jak korzenie kamiennego drzewa. U stóp wzgórza jest pole wysokiej indiańskiej trawy, zmieniające barwę zależnie od pory roku; trzeba je zobaczyć jesienią, pod koniec września, kiedy robi się czerwone niczym słońce o zachodzie, kiedy przesuwiają się po nim jak ogień szkarłatne cienie, a jesienne wiatry wygrywają na zeschniętych liściach jękliwą muzykę człowieczą: harfa głosów.

Za polem zaczyna się mroczny Las Nadrzeczny. Było to pewnie któregoś z owych wrześniowych dni zbierania korzonków w lesie, gdy Dolly powiedziała:

— Słyszycie, to harfa traw, opowiada zawsze jakąś historię.

Zna losy wszystkich osób leżących na wzgórzu, wszystkich ludzi, którzy kiedykolwiek żyli, a gdy my pomrzemy, będzie opowiadała także o nas.

Kiedy umarła moja mama, tato, komiwojażer, umieścił mnie u swoich kuzynek, Vereny i Dolly Talbo, niezamężnych sióstr. Nigdy przedtem nie chodziłem do ich domu. Z niewyjaśnionych przyczyn Verena i tato nie rozmawiali ze sobą. Być może tato poprosił ją kiedyś o pożyczkę, a ona odmówiła; albo też pożyczyła mu pieniądze, których nigdy nie oddał. Możecie być jednak pewni, że powód stanowiły pieniądze, bo nic innego nie miało dla nich podobnego znaczenia, szczególnie dla Vereny, najbogatszej osoby w mieście. Drogeria, sklep odzieżowy, sklep spożywczy, stacja benzynowa, gmach biurowy, wszystko to stanowiło jej własność, co nie czyniło z niej osoby łatwej.

Tak czy inaczej, tato zaklinał się, że jego noga nigdy nie postanie w ich domu. Opowiadał najokropniejsze rzeczy o pannach Talbo. Stale krążyła jedna z plotek, które rozsiewał: że Verena jest morfodytką czy czymś tam; a sposób, w jaki ośmieszał pannę Dolly Talbo, przekraczał nawet cierpliwość mamy; powiedziała mu, że nie ma wstydu, strojąc kpiny z osoby tak dobrodusznej i bezbronnej.

Myślę, że oni się bardzo kochali, mama i tato. Płakała, ilekroć wyjeżdżał sprzedawać te swoje lodówki. Poślubił ją, kiedy miała szesnaście lat; nie dożyła trzydziestki. Owego popołudnia, którego umarła, tato, wykrzykując jej imię, zerwał z siebie całe ubranie i wyleciał goły na dziedziniec.

Verena przyszła do naszego domu dzień po pogrzebie. Pamiętam strach, jaki mnie ogarnął, kiedy zobaczyłem, jak zbliża się dróżką, chuda jak patyk, przystojna kobieta o krótko ostrzyżonych, przyprószonych siwizną, czarnych włosach, jakby męskich brwiach i delikatnym pieprzyku na policzku. Otworzyła drzwi i wkroczyła bezceremonialnie do domu. Od czasu po-

grzebu tato tukał wszystko, co mu wpadło w ręce, bez gniewu, spokojnie, metodycznie; wchodził do salonu, brał porcelanową figurkę, zastygał nad nią chwilę, po czym rzucał nią o ścianę. Podłogi i schody zasłane były skorupami i srebrami stołowymi, na poręczy wisiała podarta nocna koszula mamy.

Verena omiotła wzrokiem pobojuwisko.

— Eugene, pozwól na słówko — powiedziała tym swoim dźwięcznym, chłodnym i egzaltowanym głosem, a tato odrzekł:

— Tak, usiądź, Vereno. Spodziewałem się ciebie.

Po południu przyszła przyjaciółka Dolly, Catherine Creek, i spakowała moje rzeczy, po czym tato odwiózł mnie do imponującego, cienistego domu na Talbo Lane. Kiedy wysiadałem z auta, chciał mnie uściskać, ale bałem go się i wywinąłem z jego ramion. Żałuję teraz, żeśmy się nie uściskali na pożegnanie, bo kiedy jechał kilka dni potem do Mobile, jego samochód wpadł w poślizg i zleciał z wysokości pięćdziesięciu stóp do Zatoki Meksykańskiej. Zobaczyłem go jeszcze tylko raz, leżącego ze srebrnymi dolarówkami na powiekach.

Oprócz częstych uwag, że jestem bardzo mały jak na swój wiek, istny kurdupel, nikt nigdy nie zwracał na mnie uwagi; teraz ludzie pokazywali mnie sobie, mówili, jakie to smutne, biedny ten mały Collin Fenwick! Robiłem żalospną minę, bo ludziom się to podobało, wszyscy raczyli mnie łakociami, a w szkole zacząłem po raz pierwszy zbierać dobre stopnie. Tak więc minęło sporo czasu, nim otrząsnąłem się na tyle, by dostrzec Dolly Talbo.

I od razu się w niej zakochałem.

Wyobrażacie sobie, jaki to musiał być dla niej wstrząs, gdy się pojawiłem w ich domu, hałaśliwy, wścibiński jedenastolatek. Umykała na odgłos moich kroków, a jeśli nie mogła się przede mną ukryć, kuliła się jak paproć zwijająca listki na noc. Należała do osób, które potrafią się upodobnić do martwego przedmiotu

czy cienia w kącie pokoju, których obecność może stanowić kłopotliwą okoliczność. Nosiła najcichsze pantofle, proste dziewczęce sukienki sięgające kostek. Chociaż starsza od siostry, sprawiała wrażenie istoty tak jak ja przez nią adoptowanej. Przyciągani i sterowani siłą ciężenia planety Verena, krążyliśmy każde z osobna po zewnętrznej orbicie domu.

W podłodze strychu, muzeum gratów, zaludnionego upiornymi starymi manekinami ze sklepu odzieżowego Vereny, było mnóstwo luźnych desek; przesunąwszy je lekko, można było zajrzeć z góry do prawie każdego pokoju. W pokoju Dolly, w przeciwieństwie do reszty domu, który pękał w szwach od zwalistych surowych mebli, stało jedynie łóżko, a przy nim biurczko i krzesło; mógłby stanowić przybytek mniszki, gdyby nie fakt, że ściany i wszystko, nawet podłogi, było pomalowane na nieziemski różowy kolor. Ilekroć podglądałem Dolly, robiła ona zazwyczaj jedną z dwu rzeczy: stała przed lustrem, przystrzygając ogrodowymi nożycami swoje żółtawosiwe włosy, już i tak nader krótkie; albo pisała ołówkiem na bloku taniego papieru. Śliniła ołówek koniuszkiem języka i czasami wypowiadała na głos zdanie, które pisała: „Proszę nie jeść potraw słodkich ani soli, gdyż niosą niechybną śmierć”. Teraz mogę wam powiedzieć, że pisała listy, z początku jednak korespondencja ta stanowiła dla mnie zagadkę. Jediną jej przyjaciółką była w końcu Catherine Creek, nie widywała nikogo innego, nigdy też nie wychodziła z domu, chyba że na cotygodniowe wyprawy z Catherine do Lasu Nadrzecznego, gdzie zbierały składniki leku na puchlinę, które Dolly warzyła i butelkowała. Później odkryłem, że Dolly ma w całym naszym stanie klientów na swoją miksturę i do nich kieruje wszystkie te listy.

Pokój Vereny, połączony korytarzykiem z pokojem Dolly, był umeblowany jak biuro. Było tu zasuwane biurko i półki pełne ksiąg rachunkowych. Po kolacji Verena siadywała przy

biurku w zielonej umbrelce na czole, podliczając sumy i przewracając karty swoich ksiąg dłużej, niż paliły się latarnie na ulicy. Chociaż pozostawała w dyplomatycznych grzecznościowych stosunkach z wieloma osobami, Verena nie miała żadnych bliskich znajomych. Mężczyźni jej się bali, ona sama zdawała się bać kobiet. Ileś lat temu przyjaźniła się z wesołą blondyneczką nazwiskiem Maudie Laura Murphy, która pracowała dorywczo na poczcie i która nieoczekiwanie wyszła za sprzedawcę spirytualiów z St. Louis. Rozgoryczona zdradą przyjaciółki Verena opowiadała dokoła, że facet jest zerem. Zaskoczyło więc wszystkich, kiedy w prezencie ślubnym zafundowała nowożeńcom podróż do Wielkiego Kanionu. Maudie ani jej mąż nigdy do nas nie wrócili; otworzyli w pobliżu kanionu stację benzynową i od czasu do czasu przysyłali Verenie swoje kodakowskie fotki, które przynosiły jej zarazem radość i ból. Zdarzały się wieczory, gdy nie otwierała w ogóle swoich ksiąg, tylko siedziała z głową w dłoniach przed rozłożonymi na biurku zdjęciami. Zebrawszy je, gasiła światło i krążyła długo po pokoju, aż nagle rozległ się tłumiony bolesny szloch, jakby się potknęła i upadła w ciemności.

Ta część strychu, z której mogłem obserwować kuchnię, była zabarykadowana przede mną kuframi ciężkimi jak bele bawełny. W owych czasach kuchnia stanowiła dla mnie najciekawsze miejsce do podglądania; tutaj skupiało się prawdziwe życie domu, Dolly spędzała tu większą część dnia, plotkując ze swoją przyjaciółką Catherine Creek. Jako dziewczynka, sierotona, Catherine została najęta do pomocy przez pana Uriaha Talbo i dorastały wszystkie trzy razem, ona i siostry Talbo, na dawnej farmie, na której terenie znajduje się obecnie stacja kolejowa. Do Dolly zwracała się ona per Dolciu, o Verenie natomiast mówiła: ta tam. Mieszkała w małym, pokrytym blachą, srebrnym domku z tyłu, obrośniętym słonecznikami

i pnącą fasolą. Twierdziła, że jest Indianką, na co ludzie mrugali do siebie porozumiewawczo, bo była czarna jak anioły Afryki. Ale na mój rozum mogło w tym być ziarno prawdy; w każdym razie ubierała się jak Indianka. To znaczy, nosiła naszyjnik z turkusowych paciorków i pacykowała twarz różem tak, że oczy bolały od patrzenia; jej policzki błyszcząły jak światła stopowe samochodu. Nie miała większości zębów i dziąsła okładała tamponami z waty.

— U diabła, Catherine — powtarzała Verena — nie jesteś w stanie wydać jednego zrozumiałego dźwięku, więc czemu nie pójdziesz do doktora Crockera i nie każesz sobie wstawić zębów?

Bo faktycznie trudno ją było zrozumieć; Dolly była jedyną osobą, która potrafiła biegle przełożyć na język ludzki zduszony bełkot przyjaciółki. Catherine wystarczało, że rozumie ją Dolly; były nierozłączne i jeśli miały cokolwiek do powiedzenia, to tylko jedna drugiej; przytykając ucho do belki strychu, słyszałem intrygujące wibrowanie ich głosów, sączące się jak syrop z pnia starego klonu.

Na strych wchodziło się po drabinie z alkowy z bielizną pościelową, w której suficie znajdowała się podnoszona kłapa. Wspinając się któregoś dnia, stwierdziłem, że kłapa jest podniesiona, a nadstawivszy ucha, posłyszałem beztroskie słodkie nucenie przypominające ciche dźwięki wydawane przez małe dziewczynki, które się bawią same. Chciałem zawrócić, ale nucenie ucichło i z góry dobiegł głos pytający:

— Catherine?

— Collin — odparłem, wynurzając się.

Ukazał się śnieżny zarys twarzy Dolly; nie rozplynał się tym razem.

— Więc to tutaj się ukrywasz, zachodziłyśmy w głowę — powiedziała głosem kruchym i szeleszczącym jak bibułka. Miała

oczy osoby natchnionej, roziskrzone, przejrzyste oczy fosforyzujące zielono jak galaretka miętowa; lustrując mnie w półmroku strychu, utwierdzały się lękliwie w przekonaniu, że nie mam złych zamiarów. — Urządzasz tu sobie zabawy na strychu? Mówiłam Verenie, że musisz się czuć samotny.

Pochyliwszy się, przystąpiła do grzebania w czeluściach jakiejś beczki.

— Mógłbyś mi pomóc — powiedziała — poszukać w tej drugiej beczce. Szukam zamku z koralami i woreczka kolorowych kamyków jak perełki. Sprawia Catherine przyjemność, nie sądzisz? Przygotujemy jej na urodziny akwarium ze złotymi rybkami. Miałyśmy kiedyś akwarium rybek tropikalnych, to były istne diabły, pożerały się nawzajem. Pamiętam, jak je kupiłyśmy; pojechałyśmy aż do Brewton, sześćdziesiąt mil. Nigdy przedtem nie jeździłam sześćdziesiąt mil i pewnie już nigdy nie pojadę. O, jest tutaj ten zamek!

Chwilę potem ja znalazłem woreczek kamyków; były jak ziarna kukurydzy albo okrągłe cukiereczki.

— Masz, poczęstuj się — powiedziałem, podając jej woreczek.

— Dziękuję — odparła. — Lubię cukierki, nawet kiedy smakują jak kamyki.

* * *

Byliśmy przyjaciółmi, Dolly, Catherine i ja. Miałem jedenaście lat, potem szesnaście. Były to cudowne lata, chociaż nie spotykało mnie nic nadzwyczajnego.

Nigdy nie zapraszałem nikogo do domu, nie chciałem. Raz dziewczyna, którą zabrałem do kina, spytała w drodze powrotnej, czy może wejść na chwilę napić się wody. Gdybym sądził, że jest naprawdę spragniona, powiedziałbym: dobrze; ale wiedziałem, że to fortel, żeby wejść do nas, bo ludzie zawsze

chcieli zachodzić do naszego domu, więc powiedziałem, że się napije, jak wróci do siebie.

— Wszyscy wiedzą, że Dolly Talbo jest stuknięta, a ty też — rzuciła.

Lubiłem tę dziewczynę, ale mimo to ją popchnąłem, na co oświadczyła, że już jej brat mnie urządzi — i urządził: do dziś mam bliznę w kąciku ust, gdzie mnie rąbnął butelką po coca-coli.

Wiem: ludzie mówią, że Verena ma z Dolly krzyż pański; mówią też, że w domu na Talbo Lane dzieją się rzeczy, o których lepiej nie wspominać. Może i tak. Mimo wszystko były to cudowne lata.

Zimowymi popołudniami, gdy tylko wróciłem ze szkoły, Catherine otwierała słoik konfitur, a Dolly stawiała na kuchni dzban kawy i wsuwała do piecyka brytfankę słodkich bułeczek; kiedy otwierała piecyk, buchał z niego gorący zapach wanilii, gdyż Dolly, która żyła słodkościami, zawsze piekła jakiś placek, chleb z rodzynkami, takie czy inne ciasteczka, warzyła karmel na krówki: nie tknęła w życiu żadnej jarzyny, a jedynym mięsem, jakie lubiła, były kurze mózdzki, specjały wielkości ziarnka grochu, które się rozplywały w ustach, nim się poczuło ich smak. W kuchni opalanej drewnem i z otwartym kominkiem było ciepło jak w uchu. Nadejście zimy zasnuwało szyby niebieskim tchnieniem mroźnych temperatur. Gdyby jakiś czarodziej chciał mi zrobić prezent, to niechby mi ofiarował butlę z zaklętym w niej życiem tej kuchni, głośnymi cha, cha, cha i zapachami wypieków; chociaż skądinąd faktem jest, że Catherine cuchnęła jak świnia na wiosnę. Miejsce to wyglądało bardziej jak salon niż kuchnia; na podłodze leżał dywanik ręcznej roboty, stały bujane fotele; na ścianach wisiały rzędkiem obrazki kociąt, ulubieńców Dolly; na zasłanym ceratą stole stała pelargonia, która kwitła i kwitła wciąż na nowo przez cały

rok, i akwarium ze złotymi rybkami Catherine, które falując ogonkami, pływały pod sklepieniami koralowego zamku. Czasami układaliśmy łamigłówki, rozdzieliwszy między siebie części układanki, przy czym Catherine chowała zawsze jakieś nasze części, żebyśmy nie skończyli przypadkiem wcześniej od niej.

Moje przyjaciółki pomagały mi też w odrabianiu lekcji; to była katastrofa. Dolly odznaczała się szczególnym wyczuciem praw natury, miała niezmierną inteligencję pszczoły, która wie, gdzie szukać kwiatów największej słodyczy, potrafiła przewidzieć na dzień naprzód nadejście burzy, wiedziała, jak obrodzi w danym roku drzewko figowe, gdzie rosną grzyby i znajdują się barcie leśnego miodu, gdzie perliczki składają jajka. Lecz co do zadań szkolnych była równą ignorantką jak Catherine. „Ameryka musiała się nazywać Ameryką, zanim przyплыł do niej Kolumb. Bo na prosty rozum: skąd by inaczej wiedział, że się nazywa Ameryka?”. A Catherine dodawała: „Jasne, Ameryka to stare indiańskie słowo”. Catherine była gorsza z nich dwóch: obstawała przy swojej nieomyślności, a jeśli nie napisałem dokładnie tego, co mówi, denerwowała się i rozlewała kawę albo coś w tym rodzaju. Ale nigdy nie słuchałem jej już po tym, co powiedziała o Lincolnie: że był w części Murzynem, w części Indianinem, i miał jedynie kroplę białej krwi. Nawet ja wiedziałem, że to nieprawda.

Mam jednak specjalny dług wdzięczności wobec Catherine: gdyby nie ona, to kto wie, czybym kiedykolwiek osiągnął normalny ludzki wzrost. W wieku czternastu lat byłem niewiele wyższy niż Bidy Skinner, o którym mówiono, że ma propozycje występowania w cyrku. Ale Catherine pocieszała mnie: „Nic się nie martw, kochany, trzeba cię tylko trochę ponaciągać”. No i naciągała mi ręce, nogi, szarpała głowę, jakby to było oporne jabłko, które się nie chce oderwać od gałęzi.

I faktem jest, że w ciągu dwóch lat naciągnęła mnie z metra czterdzieści trzy do metra sześćdziesiąt sześć. Dowód tego stanowią nacięcia nożem kuchennym na drzwiach spiżarni, bo chociaż tyle się od tej pory zmieniło, w piecu hula wiatr, a w kuchni króluje mróz, te ślady mego wzrastania trwają i są niepodważalnym świadectwem.

Mimo że lekarstwo Dolly działało na ogół zbawiennie na ludzi, którzy je zamawiali, niekiedy przychodziły listy takiej treści: „Szanowna Panno Talbo! Nie będziemy więcej potrzebowali Pani środka przeciwko puchlinie, a to z tego względu, że nasza biedna kuzynka Belle (czy kto tam) odeszła od nas w zeszłym tygodniu, niech Bóg ma w opiece jej duszę”. Kuchnia zamieniała się w takich razach w miejsce żałoby; ze złożonymi dłońmi i pochylonymi głowami moje dwie przyjaciółki rozpamiętywały przypadek zmarłej osoby, a Catherine mówiła: „Cóż, robiłyśmy, co w naszej mocy, Dolciu, ale dobry Bóg miał najwidoczniej inny plan”.

Verena potrafiła również wprowadzać napięty nastrój w kuchni, gdyż wymyślała coraz to nowe reguły postępowania albo egzekwowała dotychczasowe: róbcie to, nie róbcie tamtego, skończcie z tym, zaczniście tamto; nie spuszczała nas z oka, jakby ustawicznie sprawdzała, czy czas na naszym zegarze pokrywa się z jej czasem, i biada, jeśli pośpieszyliśmy się z czymś o dziesięć minut albo spóźniliśmy o godzinę: natychmiast w jej zegarze odzywała się kukułka. „Ta tam!” — mówiła Catherine, a Dolly ją mitygowała: „Ci-i, ci-i”, jakby chciała uciszyć nie tyle przyjaciółkę, co własny buntowniczy głos wewnętrzny. W głębi duszy, sędzę, Verena pragnęła przebywać w kuchni i brać udział w naszym życiu, ale zbyt przypominała samotnego mężczyznę w domu pełnym kobiet i dzieci, i jedynym sposobem komunikowania się z nami były dla niej apodyktyczne wybuchy: „Dolly, wyrzuć tego kociaka, chyba nie chcesz,

żebym dostała ataku astmy?”. „Kto znowu nie zakręcił wody w łazience?”. „Które z was złamało moją parasolkę?”. Jej humory zasnuwały dom jak kwaśna żółta mgła. „Ta tam!”. „Ci-i, ci-i!”.

Raz w tygodniu, zwykle w soboty, wyprawialiśmy się do Lasu Nadrzecznego. Na te wyprawy, które zajmowały cały dzień, Catherine smażyła kurczaka, faszerowała tuzin jaj, a Dolly zabierała placek czekoladowy i zapas krówek. Tak uzbrojeni, niosąc trzy worki, szliśmy ulicą Kościelną koło cmentarza i przez pole indiańskiej trawy. Na skraju lasu rósł cedrak o dwóch pniach, właściwie dwa drzewa, których konary były tak splecione, że można było przechodzić z jednego na drugie; co więcej, łączył je nadrzewny domek, obszerny, solidny, wzorowy domek na drzewie, przypominający tratwę kołysaną na morzu listowia. Chłopcy, którzy go wybudowali, zakładając, że jeszcze żyją, muszą być teraz mocno starszymi panami; domek stał z pewnością piętnaście, dwadzieścia lat, kiedy Dolly go odkryła, a było to ćwierć wieku przedtem, nim mi go pokazała. Wchodziło się do niego równie łatwo jak po schodach; nawet Catherine, która była rozłożysta w biodrach i uskarżała się na reumatyzm, nie miała z tym kłopotu. Nie przepadała jednak za domkiem; nie przyjmowała do wiadomości tego, co rozumiała i czym się ze mną dzieliła Dolly: że jest to statek i znalazłszy się na jego pokładzie, człowiek żegluje po chmurnych wodach wszystkich snów.

— Wspomnicie moje słowa — ostrzegła Catherine — te deski są stare, gwoździe śliskie jak glizdy, zawali się to wszystko i spadniemy na złamanie karku, ja wam to mówię!

Złożywszy prowianty w domku na drzewie, rozchodziliśmy się po lesie, każde z workiem na zioła, liście, niezwykle korzonki. Nikt, nawet Catherine, nie wiedział dokładnie, co wchodzi w skład lekarstwa Dolly, bo utrzymywała to w tajem-

nicy i nigdy nie pozwalała zajrzeć, co zebrała do swego worka: pilnowała go, jakby kryła wewnątrz niebieskowłose dziecko albo zaczarowanego księcia. Oto, co nam opowiadała:

— Kiedyś, dawno temu, gdy byliśmy dziećmi (Verena miała jeszcze mleczne zęby, a Catherine była nie większa niż kołek w płocie), na jeżynowej polanie mrowili się jak ptactwo Cyganie, nie to co teraz, kiedy widzi się ich wóz ciągnący może raz w roku. Pojawiali się na wiosnę, z dnia na dzień jak różowe listki na dereniu, robiło się ich pełno na drodze i koło lasu. Nasi mężczyźni nie mogli na nich patrzeć, tatuś, to znaczy twój cioteczny dziadek Uriah, odgrażał się, że zastrzeli każdego, kto wejdzie na nasz teren. Toteż nie mówiłam mu nigdy, kiedy zobaczyłam Cyganów czerpiących wodę z rzeczki czy zbierających z ziemi zeszłoroczne orzechy pekanowe. Aż któregoś wieczoru, było to w kwietniu i padało, poszłam do obory, gdzie Fairybell miała nowo narodzonego cielaczka, i zastałam tam trzy Cyganki, dwie stare i jedną młodą; i ta młoda leżała goła, zwijając się na łuskach kukurydzianych. Kiedy zobaczyły, że się ich nie boję i nie polecę na skargę, jedna z tych starszych zapytała, czybym im nie przyniosła świecy. Poszłam więc do domu, a kiedy wróciłam, kobieta, która mnie posłała po światło, trzymała za nóżki główką do dołu lamentując niemowlę, a druga doiła Fairybell. Pomogłam im umyć dziecko ciepłym mlekiem i zawinąć w chustę. Wtedy ta stara kobieta powiedziała: „Nauczę cię w podarunku wierszyka”. Był to wierszyk o korze zimozielonego drzewa, o paprociach i wszystkim tym, czegośmy szukali w lesie: „Gotuj to wszystko godzinę, uwarzysz lek na puchlinę”. Rano Cyganek już nie było; szukałam ich po polach i na drodze; jedynym śladem po nich pozostał wierszyk w mojej głowie.

Nawołując się i pohukując jak sowy obudzone za dnia, zbieraliśmy przez cały ranek odłamaną z drzew korę i kruche

korzonki w rozmaitych stronach lasu, a wczesnym popołudniem, z pękatymi workami owych ingrediencji, wspinaliśmy się w zielone listowie cedraka i wypakowywaliśmy jedzenie. Mieliśmy w słoju dobrą źródlaną wodę, a jeśli dzień był zimny, gorącą kawę w termosie; po zjedzeniu wycieraliśmy zwiniętymi liśćmi palce tłuste od pieczonych kurcząt i lepkie od karmelu. Potem wróżyliśmy sobie z płatków kwiatów, opowiadaliśmy o sennych marach i popołudnie mijało, jakbyśmy płynęli na leśnej tratwie; byliśmy tu u siebie jak osrebrzane słońcem liście, jak gnieźdzące się lelki.

* * *

Jakoś raz w roku zachodzę do domu na Talbo Lane, kręcę się trochę po podwórku. Byłem tam parę dni temu i natknąłem się na starą żelazną wannę leżącą do góry dnem w chwastach. Dolly, Dolly, pochylona nad wanną, wrzuca z worków przyniesione przez nas płody do gotującej wody i miesza, miesza upiłowaną miotłą wywar brunatny jak ślina po tytoniu do żucia. Odmierzała sama składniki leku, a ja z Catherine staliśmy, przyglądając się jak uczniowie czarnoksiężnika. Oboje pomagaliśmy potem w butelkowaniu mikstury, a ponieważ wydzielala gaz, który wysadzał zwykłe korki, moim specjalnym zadaniem było zwijanie papieru toaletowego w zatyczki. Sprzedaż wynosiła około sześciu buteleczek tygodniowo, po dwa dolary za butelkę. Pieniądze te, twierdziła Dolly, stanowiły wspólną własność naszej trójki, a wydawaliśmy je, gdy tylko wpływały. Posyłałiśmy bez przerwy pieniądze na reklamowane w pismach cudeńka: „Zacznijcie rzeźbić w drewnie”, „Parcheesi: gra dla młodych i starszych”, „Każdy może grać na okarynie”. Raz zamówiliśmy samouczek francuskiego; to mnie przyszedł do głowy pomysł, że jak się nauczymy mówić po francusku, to będziemy mieli sekretny język, niezrozumiały dla Vereny ani

dla nikogo innego. Dolly zgodziła się spróbować, ale jedynym, czego się nauczyła, było „Passez-moi łyżkę”, a Catherine po nauczaniu się „Je suis fatiguée” nie otworzyła więcej samouczka; oświadczyła, że to wszystko, co potrzebuje wiedzieć.

Verena często nas ostrzegała, że będą kłopoty, jeśli ktoś się zatruje, ale poza tym nie interesowała się zbytnio lekarstwem Dolly. Aż któregoś roku podliczyliśmy dochody i okazało się, że zarobiliśmy tyle, że musimy zapłacić podatek dochodowy. Wówczas Verena rozpoczęła indagacje: pieniądź budził w niej instynkt rasowego myśliwego, który sunąc tropem rysia, nie przeoczy jednej złamanej gałązki. Dopytywała się, co wchodzi w skład lekarstwa. Dolly, choć mile połączona zainteresowaniem, machała ręką i odpowiadała z chichotem, że to i owo, nic nadzwyczajnego.

Mogło się wydawać, że Verena na tym poprzestanie. Często jednak, gdy siedzieliśmy przy kolacji, przypatrywała się bacznie Dolly, a raz, kiedy staliśmy na podwórku koło wanny z gotującym się wywarem, podniosłem wzrok i zobaczyłem Verenę przyglądającą nam się z napiętą uwagą. Myślę, że już wówczas jej plan nabrał kształtu, jednakże swój pierwszy ruch uczyniła dopiero w lecie.

Dwa razy do roku, w styczniu i w sierpniu, Verena wyprawiała się na zakupy do St. Louis lub Chicago. Tamtego lata, roku, w którym ukończyłem szesnaście lat, Verena pojechała do Chicago i wróciła w towarzystwie niejakiego doktora Morrisa Ritza. Wszyscy zachodzili oczywiście w głowę, kim jest doktor Morris Ritz. Nosił muszki i krzykliwe garnitury najnowszej mody; miał sine wargi i małe rozbiegane oczki; wyglądał w ogóle jak złośliwy szczurek. Chodziły słuchy, że zamieszkał w najlepszym pokoju w hotelu Lola i jada na obiad befsztyki w restauracji Phila. Paradował dumnie po mieście, kiwając grzecznie błyszczącą głową każdej mijanej osobie, ale nie

nawiązywał żadnych znajomości i nie widywano go w towarzystwie nikogo prócz Vereny; ta jednak nie zapraszała go nigdy do domu i nie wspominała o nim słowem, aż któregoś dnia Catherine miała czelność zapytać:

— Panno Vereno, kto to jest ten śmieszny mały doktor Morris Ritz?

Na co Verena pobladła i odparła:

— Nie jest w połowie tak śmieszny jak niektóre znane mi osoby.

To skandaliczne, mówili ludzie, jak Verena prowadzi się z tym Żydkiem z Chicago; jest przecież od niej dwadzieścia lat młodszy. Rozeszła się też plotka, że mają oni jakieś plany dotyczące starej fabryki konserw na drugim końcu miasta. Jak się okazało, mieli rzeczywiście, ale nie takie, jak przypuszczała banda wałkoni obijających się w bilardziarni. Prawie co dzień widziało się Verenę idącą po południu z doktorem Morrisem Ritzem w kierunku fabryki konserw, opuszczonej ceglanej ruiny ze sterczącymi ostrymi resztkami szyb w oknach i wiszącymi drzwiami. Od pokolenia nie zaglądał do niej nikt prócz nastolatków, którzy przychodzili palić tu papierosy i rozbierać się wspólnie do naga. Aż na początku września dowiedzieliśmy się z notatki w „Courierze”, że Verena kupiła dawną fabrykę konserw; nie było jednak żadnej wzmianki o tym, co zamierza z nią zrobić. Wkrótce potem Verena poleciła Catherine zabić dwa kurczaki, bo doktor Morris Ritz przyjdzie w niedzielę na obiad.

Przez wszystkie lata, odkąd mieszkałem na Talbo Lane, doktor Morris Ritz był pierwszą osobą zaproszoną na obiad. Była to więc co się zowie szczególna okazja. Catherine i Dolly urządziły coś na kształt wiosennych porządków: wytrzepały dywany, zniosły ze strychu porcelanę, wypucowały podłogi tak, że wszystkie pokoje pachniały pastą i cytrynowym lakierem.

Na obiad miały być pieczone kurczaki i szynka, zielony groszek, pataty, bułeczki, budyń bananowy, dwa gatunki ciasta i lody tutti frutti z drugstore'u. W niedzielę Verena dokonała w południe inspekcji stołu: z wielką dekoracją z herbacianych róż pośrodku i sutą zastawą sreber stołowych robił wrażenie nakrytego na dwadzieścia osób; w rzeczywistości były tylko dwa nakrycia. Verena dostawiła czym prędzej jeszcze dwa, co widząc, Dolly powiedziała słabo, że cóż, nie ma nic przeciwko temu, żeby Collin zjadł z nimi, ale ona pozostanie w kuchni z Catherine. Verena tupnęła nogą.

— Nie pajacuj ze mną, Dolly. To ważne. Morris przychodzi głównie po to, żeby poznać ciebie. I byłabym ci wdzięczna, gdybyś się pokazała z podniesionym czołem. Aż mi się niedobrze robi, jak chodzisz z taką zwieszoną głową.

Dolly wpadła w śmiertelny popłoch: ukryła się w swoim pokoju i było już dobrze po nadejściu gościa, gdy Verena zdecydowała się mnie posłać, żebym ją sprowadził. Leżała w swoim różowym łóżku, z mokrym ręcznikiem na czole, obok niej siedziała Catherine. Catherine była cała wysztafirowana, szczęki miała obłożone watą grubiej niż kiedykolwiek, a policzki wypacykowane różem tak, że przypominały lizaki.

— Kochanie, musisz wstać, bo zupełnie wygnieciesz tę śliczną sukienkę.

Była to perkalowa sukienka, którą Verena przywiozła z Chicago; Dolly wstała, wygładziła ją i położyła się natychmiast z powrotem.

— Gdyby Verena wiedziała, jak mi przykro — powiedziała bezradnie.

Wróciłem więc i poinformowałem, że Dolly leży chora. Verena odrzekła, że już ona zobaczy, i wymaszerowała, zostawiając mnie sam na sam z doktorem Morrisem Ritzem. Był to faktycznie obleśny typ.

— Masz szesnaście lat — powiedział, mrugając porozumiewawczo najpierw jednym, potem drugim beczelnym okiem. — Ruchasz na prawo i na lewo, co? Powiedz starej, żeby cię zabrała, jak będzie jechała następnym razem do Chicago. Jest tam od groma pierwszorzędnego towaru do ruchania.

Strzelił palcami i zastukał cudacznymi, ostrymi niczym sztylety bucikami, jakby wtórował jakiejś rewiowej melodyjce; można by myśleć, że jest stepującym tancerzem albo subiektem w sodowiarni, gdyby nie fakt, że przyszedł z teczką świadcząca, że para się jakimiś poważniejszymi sprawami. Ciekaw byłem, jakim to jest doktorem, i już miałem go o to zapytać, kiedy wkroczyła Verena, prowadząc za łokieć Dolly.

Nie mogąc się rozplątać w półmroku pokoju, wtopić w wyściełane meble, Dolly, ze spuszczonej oczami, uniosła dłoń, którą doktor Ritz pochwycił tak gwałtownie, potrząsnął tak silnie, że o mało nie straciła równowagi.

— O, panno Talbo, to prawdziwy zaszczyt poznać panią — oświadczył i szarpnął muszkę na szyi.

Gdy tylko zasiedliśmy do stołu, Catherine wniosła kurczaki. Podawała Verenie, potem Dolly, a kiedy przyszła kolej na doktora, ten powiedział:

— Prawdę mówiąc, z kurczaków jem jedynie mózdzki. Nie masz przypadkiem mózdzków w kuchni, mamciu?

Catherine spojrzała na niego z góry, tak że niemal wycięła zeza, i językiem płaczącym się w wacianych tamponach oznajmiła:

— Mózdzki ma na swoim talerzu Dolly.

— Jezuniu, ten południowy akcent — odparł, szczerze skonsternowany.

— Ona mówi, że ja mam mózdzki na swoim talerzu — wyjaśniła Dolly, z policzkami czerwonymi jak róż Catherine. — Ale chętnie je panu odstąpię.

— Na pewno nie będzie pani miała nic przeciwko temu?

— Na pewno — potwierdziła Verena. — Ona i tak jada tylko słodczy. Masz, Dolly, nałóż sobie budyniu bananowego.

W tym momencie doktor Ritz dostał napadu kichania.

— To te kwiaty, róże. Stara alergia...

— O, mój Boże! — wykrzyknęła Dolly i widząc okazję do ucieczki, złapała wazon; wazon wysunął jej się z rąk, kryształ się rozprysnął, róże wylądowały w sosie, a sos na nas wszystkich. — No tak — powiedziała jakby do siebie — no tak, to beznadziejne.

— Nic nie jest beznadziejne; siadaj i dokończ budyń, Dolly — zakomenderowała Verena nieznoszącym sprzeciwu głosem, z uniesioną brodą. — Zresztą mamy dla ciebie miłą niespodziankę. Pokaż Dolly te śliczne naklejki, Morris.

Mamrocząc, że nic takiego się nie stało, doktor Ritz przerwał czyszczenie płam na rękawie i ruszył do przedpokoju, skąd wrócił z teczką. Z szelestem szperał chwilę wśród papierów, po czym wyciągnął dużą kopertę, którą podał Dolly.

W kopercie były etykiety, podgumowane trójkątne etykiety z pomarańczowym napisem „Cygańskiej Królowej Lek na Puchlinę” i nieostrą podobizną kobiety w chuście i ze złotymi obręczami przy uszach.

— Klasa, co? — spytał doktor Ritz. — Drukowane w Chicago. Portrecik zrobił przyjaciel malarz, prawdziwy artysta.

Dolly z zakłopotaną, wylęknioną miną obracała etykiety w palcach, aż Verena zapytała:

— Nie cieszysz się?

Etykiety wysunęły się Dolly z rąk.

— Nie bardzo rozumiem.

— Rozumiesz doskonale — odrzekła Verena z bladym uśmiechem. — Toż to oczywista sprawa. Opowiedziałam Morrisowi tę twoją historyjkę i on wpadł na tę wspaniałą nazwę.

— „Cygańskiej Królowej Lek na Puchlinę” to bardzo chwytliwa nazwa — powiedział doktor. — Będzie świetnie wyglądała w ogłoszeniach.

— Mojego leku? — spytała Dolly, ze spuszczonego wzrokiem. — Ja nie potrzebuję żadnych naklejek, Vereno. Sama je sobie wypisuję.

Doktor Ritz strzelił palcami.

— Ależ to wspaniały pomysł, Vereno! Wydrukujemy etykiety z odręcznym napisem. Będzie to taki osobisty akcent, rozumiesz?

— Wydaliśmy już dosyć pieniędzy — osadziła go ostro Verena i obracając się do Dolly, oznajmiła: — My z Morrisem jedziemy w tym tygodniu do Waszyngtonu zarejestrować etykiety i uzyskać patent na ten twój lek, podając naturalnie cię jako wynalazczynię. Teraz rzecz w tym, Dolly, że musisz usiąść i spisać pełny skład specyfiku.

Twarz Dolly się rozmazała, etykiety zsunęły na podłogę i rozsypały. Dolly oparła dłonie na stole i wstała; jej twarz powoli tężała; w końcu Dolly podniosła wysoko głowę, zmierzyła doktora Ritza, potem Verenę.

— Nic z tego — powiedziała spokojnie. Ruszyła do drzwi, położyła dłoń na klamce. — Nie masz do tego prawa, Vereno. Ani pan, panie doktorze.

* * *

Pomogłem Catherine sprzątnąć ze stołu: zgniecione róże, niepokrajane ciasta, jarzyny, których nikt nie tknął. Verena wyszła razem z gościem; patrzyliśmy przez kuchenne okno, jak się oddalają w kierunku miasta, kręcąc i potrząsając głowami. Potem pokrajaliśmy placek z czekoladą i zabraliśmy go do pokoju Dolly.

„Ci-i, ci-i” — sykała ona, gdy tylko Catherine zaczynała mówić o tej tam. Ale jakby jej buntowniczy szept wewnętrzny

rósł do natarczywego krzyku, powtarzała w kółko: „Ci-i, już ci-i”, aż w końcu Catherine musiała wziąć ją w ramiona i uspokoić: „Ty sama ci-i!”.

Wyciągnęliśmy talię kart i rozłożyliśmy je na łóżku, ale naturalnie Catherine musiała sobie przypomnieć, że to niedziela. Moglibyśmy zaryzykować jeszcze jedną czarną kreskę w Księdze Żywota, ale i bez tego jest ich już o wiele za wiele przy jej imieniu, oświadczyła. Po namyśle postanowiliśmy zamiast kart powróżyc sobie. Jakoś o zmroku Verena wróciła do domu. Usłyszeliśmy jej kroki w przedpokoju, po czym nasze drzwi otworzyły się bez pukania i uścisk Dolly stęzał na mojej dłoni w połowie wróżby.

— Collin, Catherine, zostawcie nas same.

Catherine chciała wejść ze mną na strych, ale była w swoim odświętnym stroju, więc wdrapałem się po drabinie sam. W desce podłogi była poręczna dziura po sęku z widokiem na różowy pokój, ale Verena stanęła dokładnie pod nią, tak że widziałem tylko jej kapelusz, którego nie zdjęła, wróciwszy z miasta. Był to szerokoskrzydły słomiany talerz z pękiem celuloidowych owoców na czubku.

— To są fakty — perorowała, a owoce na jej głowie podskakiwały i przesuwwały się w błękitnawym mroku. — Dwa tysiące za starą fabrykę, Bill Tatum i czterech cieśli po osiemdziesiąt centów za godzinę, już zamówione maszyny za siedem tysięcy, nie wspominając o honorarium takiego specja jak Morris Ritz. A po co to wszystko? Dla ciebie!

— Wszystko dla mnie? — Głos Dolly zabrzmiał smutno i słabł jak światło zmierzchu. Widziałem jej cień, gdy przeszła z jednej strony pokoju w drugą. — Jesteśmy jednej krwi i kocham cię serdecznie, kocham z całej duszy. Mogłabym tego dowieść, oddając ci dziś jedyną rzecz, jaka kiedykolwiek była moja; miałabyś wówczas wszystko. Ale proszę cię, Vereno — powiedziała, a głos jej się załamał — pozostaw mi to jedno.

Verena zapaliła światło.

— Mówisz o dawaniu — powiedziała tonem ostrym jak nagły rozbłysk światła. — Przez lata urabiam sobie ręce i czy jest coś, czego ci nie zapewniłam? Ten dom...

— Wszystko mi zapewniasz — przerwała cicho Dolly. — Catherine i Collinowi też. Ale i my się przykładamy. Prowadzimy ci skrupulatnie dom, nie?

— Ładny mi dom! — odrzuciła Verena, zrywając z głowy kapelusz. — Ty i ta twoja bełkocząca idiotka. A nie zastanawia cię, dlaczego ja nigdy nie zapraszam nikogo do domu? Z bardzo prostego powodu: bo się wstydzę, Widziałas, co było dzisiaj!

Usłyszałem, jak dech uchodzi z piersi Dolly.

— Przykro mi — powiedziała słabo. — Naprawdę bardzo mi przykro. Myślałam, że jest tu dla nas miejsce, że jesteśmy ci jakoś potrzebne. Ale teraz się to zmieni, Vereno. Wynieśmy się.

Verena westchnęła.

— Biedna Dolly. Biedna, biedna Dolly. Gdzie byście się mogły wynieść?

Odpowiedź, która nadeszła po chwili, była cicha jak lot motyla.

— Jest takie miejsce.

* * *

Czekałem potem w łóżku, aż Dolly przyjdzie pocałować mnie na dobranoc. Mój pokój, za salonem, w odległym końcu domu, to pokój, w którym kiedyś mieszkał ich ojciec, pan Uriah Talbo. Verena przywiozła go tutaj z farmy na ostatnie lata jego niepoczytalności i tutaj umarł, nie wiedząc, gdzie jest. Chociaż nie żył już dziesięć, piętnaście lat, materac i szafa nadal były przesiąknięte starczym zapachem jego uryny i tytoniu. Na półce leżał jedyny przedmiot, jaki przywiózł z farmy,

mały żółty bębenek: jako wyrostek w moim wieku maszerował z regimentem armii Południa, pogrążając tym żółtym bębenkiem i śpiewając. Dolly opowiadała, że będąc małą dziewczynką, budziła się w zimowe ranki i słuchała śpiewu ojca, który się krzątał po domu, paląc w piecach; kiedy się zestarzał i potem po jego śmierci słyszała czasami ten śpiew na polu indiańskich traw.

— To wiatr — mówiła Catherine.

A Dolly jej tłumaczyła:

— Wiatr to my, zbiera i zapamiętuje głosy nas wszystkich, rozsyła je potem, żeby przemawiały i opowiadały pośród liści i traw. Słyszałam papę wyraźnie jak za życia.

W noc taką jak dziś, a zrobił się już wrzesień, jesienne wiatry przyginają sztywne czerwone trawy, wyzwalając głosy tych, co odeszli, i często zachodziłem w głowę, czy jest wśród nich jego śpiew, śpiew starego człowieka, w którego łóżku zasypiam.

Myślałem potem, że Dolly przyszła w końcu pocałować mnie na dobranoc, bo obudziłem się, czując jej obecność obok siebie w pokoju, ale był już prawie ranek, pierwsze światło wschodziło jak młode listki, a koguty wydzierały się gdzieś na podwórkach.

— Ci-i, Collin — szepnęła Dolly, pochylając się nade mną. Była w wełnianym zimowym kostiumie, na głowie miała kapelusz z podróżną woalką, która jej przesłaniała twarz. — Chciałam tylko, żebyś wiedział, gdzie jesteśmy.

— W domku na drzewie? — zapytałem, a zdawało mi się, że mówię przez sen.

Dolly kiwnęła głową.

— Przez jakiś czas. Dopóki nie zrobimy dalszych planów.

Widząc, że się przestraszyłem, położyła mi rękę na czole.

— Ty i Catherine beze mnie? — Wstrząsnął mną dreszcz. — Nie możecie odejść beze mnie.

Odezwał się miejski zegar; Dolly zdawała się czekać z decyzją, aż skończy bić. Wybił piątą godzinę, a nim przebrzmiały jego dźwięki, wyskoczyłem z łóżka i wciągałem ubranie. Pozostało jej tylko przypomnieć mi, żebym zabrał grzebień.

Catherine czekała na nas na podwórzu; ugiwała się pod ciężarem zwisającej jej z ramienia pękatej, ceratowej torby, oczy miała spuchnięte od płaczu. Dolly, dziwnie spokojna i pewna swego, pocieszała ją:

— Nic się nie martw, Catherine, pošlemy po twoje rybki, jak tylko się urządzimy.

Nad nami majaczyły zamknięte martwe okna w pokoju Vereny; przesunęliśmy się pod nimi ostrożnie i wyszliśmy cicho za bramę. Zaszczekał na nas jakiś foksterier, ale ulice były puste i jedynym człowiekiem, który widział, jak przemykamy przez miasto, był bezsenny aresztant wyglądający przez okno więzienia. Doszliśmy do pola indiańskich traw równo ze wschodem słońca. Woalka Dolly powiewała w porannym wietrzyku; spod nóg poderwała nam się para bażantów wylegających się na naszej drodze, ich metalowe skrzydła roztrąciły trawy czerwone jak koguci grzebień. Cedrak z domkiem był czarą wrześniowej złotawej zieleni.

— Zawali się, zlecimy na złamanie karku — powiedziała Catherine, kiedy liście strząsały na nas poranną rosę.

2

Gdyby nie Riley Henderson, wątpię, czy ktokolwiek by wiedział, a w każdym razie czy dowiedziałby się tak szybko, że mieszkamy na drzewie.

Zajadaliśmy się kurczakami i ciastem, resztkami niedzielного obiadu, którymi Catherine wyładowała swoją ceratową torbę, kiedy w lesie rozległy się strzały. Zamarliśmy, ciasto zastygło nam w ustach. Po chwili wybiegł z lasu krótkowłosy pies aportujący, a po nim ukazał się Riley Henderson; na ramieniu niósł dubeltówkę, na szyi miał wianuszek skrwawionych wiewiórek powiązanych ogonami. Dolly opuściła woalkę, jakby chciała się stać niewidoczna wśród listowia.

Riley zatrzymał się nieopodal, jego czujna, opalona młoda twarz stężała; przyłożył dubeltówkę do ramienia i jął wodzić lufą, szukając celu. Nie wytrzymując napięcia, Catherine zawołała:

— Riley Henderson! Nie waż się strzelać!

Dubeltówka przerwała poszukiwanie celu, a Riley obrócił się na pięcie; wiewiórki zatoczyły w powietrzu krąg jak za luźny łańcuch na jego szyi. Po chwili wypatrzył nas na drzewie.

— Cześć, Catherine Creek! Dzień dobry, panno Talbo! Co wy tam robicie na tym drzewie? Rysia tropicie?

— Tak sobie siedzimy — odrzuciła szybko Dolly, jakby w obawie, że któreś z nas wyrwie się z odpowiedzią. — Nieżyły masz wianuszek tych wiewiórek.

— Chętnie odstąpię parę — odparł i odczepił dwie. — Jedliśmy wczoraj wiewiórki na kolację, są naprawdę kruche. Chwileczkę, podam wam.

— Nie musisz podawać. Połóż na ziemi.

Odparł, że dobiorą się do nich mrówki, i jął się wspinać na drzewo. Niebieską koszulę miał poplamioną krwią wiewiórek, na jego kędzierzawych włosach koloru wyprawionej skóry błyszcząły krople krwi; pachniał prochem, jego swojska kształtna twarz była brązowa jak cynamon.

— Niech mnie diabli, macie domek na tym drzewie! — wykrzyknął i tupnął kilka razy nogą, jakby dla sprawdzenia wytrzymałości desek.

Catherine zaprotestowała, mówiąc, że może i jest to domek, ale długo się nie ostanie, jeśli on nie przestanie tupać.

— Ty to wybudowałeś, Collin? — zapytał.

Byłem mile zaskoczony, że się do mnie zwraca po imieniu: myślałem, że Riley Henderson nie odróżnia mnie od kołka w płocie. Ale ja go oczywiście znałem.

Nikt w naszym mieście nie dawał tylu powodów do plotkowania co Riley Henderson. Starsi tylko kiwali nad nim głowami, bliżsi jego wieku, tak jak ja, nie żalowali opowieści o tym, jaki jest nieprzystępny i nieżyczliwy, a to dlatego, że pozwalał jedynie zazdrościć sobie, nie pozwalał nikomu się polubić ani zbliżyć do siebie.

Każdy mógł wam o nim opowiedzieć.

Urodził się w Chinach, gdzie jego ojciec, misjonarz, został zamordowany podczas jednego z powstań. Matka pochodziła z naszego miasteczka, na imię miała Rose; sam jej nigdy nie widziałem, ale podobno była piękną kobietą, dopóki nie zaczęła

nosić okularów; była też bogata, odziedziczyła duży spadek po dziadku. Z Chin przywiozła troje dzieci: Rileyę, wówczas pięcioletka, i dwie młodsze dziewczynki; zamieszkali u jej nieżonatego brata, sędziego pokoju Horace'ego Holtona, zażywnego starego kawalera o cerze żółtej jak pigwa. W późniejszych latach Rose Henderson zaczęła robić różne dziwne rzeczy; odgrażała się, że wytoczy Verenie sprawę o sprzedanie jej sukienki, która się skurczyła w praniu; dla ukarania Rileyę kazała mu skakać na jednej nodze dokoła podwórka, recytując tabliczkę mnożenia. Na ogół jednak nie reagowała na żadne jego wybryki, a kiedy pastor prezbiteriański zwrócił jej uwagę, powiedziała, że nie cierpi swoich dzieci i chętnie by je widziała w grobie. I chyba rzeczywiście tak myślała, bo któregoś roku zamknęła się w łazience w Boże Narodzenie rano i chciała utopić swoje dwie córeczki; opowiadano, że to Riley wyłamał drzwi siekierą, co stanowiło nie lada wyczyn dla dziewięcioletniej dziewczynki, ile tam miał wtedy lat. Po tym wysłano Rose gdzieś nad Zatokę, do jakiegoś zakładu, w którym może przebywa do dzisiaj, bo nigdy nie słyszałem, żeby umarła.

Rileyę darł stale koty z wujem Horace'em Holtonem. Któregoś wieczoru zabrał jego stary oldsmobile i wyprawił się na tańce w towarzystwie niejkiej Mamie Curtis, dziewczyny znanej z łatwości i pewnie z pięć lat starszej od Rileyę, który nie miał wówczas więcej niż piętnaście. Sędzia dowiedział się jednak, gdzie są, i wezwał szeryfa, żeby go tam zawiózł; odgrażał się przy tym, że da Rileyowi nauczkę, każe go aresztować. Ale Riley oświadczył, że szeryf interesuje się niewłaściwą osobą, i publicznie oskarżył wuja o przywłaszczenie pieniędzy, które zostawiła Rose i które należą się teraz jemu i jego siostrom. Wyzwał wuja na pięści, a kiedy Horace się cofnął, podszedł i podbił mu oko. Szeryf zamknął Rileyę do ciupy. Jednakże sędzia Cool, stary przyjaciel Rose, zaczął drażnić sprawę i oka-

zało się, że Horace faktycznie podbiera pieniądze Rose i przelewa na własne konto. Horace w rezultacie spakował manatki i wsiadł do pociągu do Nowego Orleanu, a kilka miesięcy później doszły nas słuchy, że ogłosił się apostołem romansów i jako sędzia pokoju udziela ślubów na parowcu wycieczkowym odbywającym księżycowe rejsy w górę Missisipi.

Od tej pory Riley był panem siebie. Za pieniądze pożyczone akonto spadku, który mu przypadnie w udziale, kupił wystrzałowy czerwony samochód i rozbijał się po całej okolicy ze wszystkimi labiryntami miasteczka; jedynymi porządnymi dziewczętami, jakie się kiedykolwiek widziało w tym jego aucie, były jego siostry, które zabierał na przejażdżkę w niedzielne popołudnia, stateczną rundkę dokoła rynku. Ładne dziewczyny były z tych jego sióstr, ale nie miały zbyt słodkiego życia, bo trzymał je krótko i chłopcy bali się do nich zbliżyć. Dom prowadziła im solidna kolorowa kobieta, poza tym żyły samotnie. Jedna z sióstr, Elizabeth, chodziła do tej samej klasy co ja i miała najlepsze stopnie, same piątki. Co do Rileya, to rzucił on szkołę, nie należał jednak do wałkoni z bilardziarni, nie zadawał się z nimi w ogóle; za dnia łowił ryby albo polował; w starym domostwie Holtonów wprowadził wiele ulepszeń, był bowiem wprawnym cieślą; był również zręcznym mechanikiem: zmajstrował na przykład do auta trąbkę, która zawodziła jak gwizdek lokomotywy; wieczorami słyszało się jej lament, kiedy pędził na tańce do sąsiedniego miasteczka. Jakże marzyłem, żeby się z nim zaprzyjaźnić! A nie wydawało się to niemożliwe, był ode mnie wszystkiego o dwa lata starszy. Ale zdarzyło mi się z nim rozmawiać jeden jedyny raz. Wyelegantowany, w białych flanelowych spodniach, w drodze na tańce w klubie, wparował kiedyś do sklepu Vereny, gdzie czasami pomagałem w sobotnie popołudnia. Chciał paczkę gum, a ja nie bardzo wiedziałem, o co mu chodzi, więc musiał

wejść za kontuar i sam je wyszukać w szufladzie; śmiał się, niezłośliwie, ale to było jeszcze gorsze: wiedział po tym, że jestem głupi szczeniak, więc nigdy się ze mną nie zaprzyjaźni.

— Poczęstuj się ciastem, Riley — powiedziała Dolly, na co on zapytał, czy co dzień urządzamy sobie takie ranne pikniki na drzewie.

— To świetny pomysł — ciągnął — tak jak pływanie po ciemku. Ja przychodzę pływać w rzece, zanim się rozwidni. Jak następnym razem urządzicie sobie rano piknik, wołajcie, żebym wiedział, że tu jesteście.

— Zapraszamy co rano — odrzekła Dolly, podnosząc woalkę. — Będziemy tu pewnie przez jakiś czas.

Jej zaproszenie musiało się wydać Rileyowi dziwne, ale nic nie powiedział. Wyciągnął paczkę papierosów i zaczął wszystkich częstować, a kiedy Catherine wzięła papierosa, Dolly powiedziała:

— Catherine Creek, przecież ty w życiu nie tknęłaś tytoniu — na co ta zauważyła, że może właśnie tego jej brakuje.

— Widać poprawia to samopoczucie, skoro tylu ludzi chwali sobie papierosy, a jak się dobiega naszego wieku, Dolciu, to ważne, żeby się dobrze czuć.

Dolly zagryzła wargę.

— Może i nie ma w tym nic złego — przyznała i też wzięła papierosa.

Dwie są rzeczy, które doprowadzają chłopców do obłędu, jak twierdził pan Hand, kiedy mnie przyłapał w szkole na paleniu w ubikacji, i ja jedną z nich, papierosy, rzuciłem już dwa lata temu. Ale nie żeby nie oszaleć, tylko z obawy, że to może niekorzystnie wpływać na mój wzrost. Prawdę mówiąc, kiedy teraz podrosłem, Riley nie był wcale ode mnie wyższy, choć mogło się tak wydawać, gdyż chodził z wystudiowaną nonszalancją rasowego kowboja. Wziąłem więc i ja papierosa,

akurat gdy Dolly zauważyła, wypuszczając dym, którym się nie zaciągnęła, że jak się już pochorujemy, to przynajmniej wszyscy razem; ale nikomu nie zrobiło się niedobrze, a Catherine zapowiedziała, że przy następnej okazji spróbuje fajki, bo pachną one tak słodko. Na co Dolly wyrwała się z zaskakującą rewelacją, że Verena paliła przecież fajkę, fakt, o którym nie miałem pojęcia.

— Nie wiem, czy jeszcze pali, ale miała kiedyś fajkę i puszkę tytoniu Prince Albert, do której wkrawała połówkę jabłka. Nie powtarzajcie tego nikomu — zreflektowała się, przypominając sobie nagle o Rileyu, który skwitował to głośnym śmiechem.

Spotykany na ulicy lub widziany za kierownicą swego auta, Riley miał zwykle napiętą twarz osobnika na muszce rewolweru; teraz na naszym drzewie zdawał się jednak rozluźniony, jego twarz rozjaśniały często uśmiechy, jakby starał się być w stosunku do nas mało że uprzejmy, wręcz przyjacielski. Dolly ze swojej strony zachowywała się swobodnie, jakby sprawiało jej przyjemność jego towarzystwo. A już na pewno się go nie bała, może dlatego, że znajdowała się w domku na drzewie. W swoim królestwie.

— Dziękujemy za wiewiórki — powiedziała, kiedy się zbierał do odejścia. — I nie zapominaj o nas, przychodź.

Opuścił się na ziemię.

— Chcecie, żeby was gdzieś podwieźć? Samochód stoi koło cmentarza.

— To bardzo ładnie z twojej strony, ale nie mamy dokąd jechać — poinformowała Dolly.

Z przekornym uśmiechem podniósł dubeltówkę i wymierzył w nas.

— Trzeba by cię wychłostać, chłopcze — krzyknęła Catherine, ale się roześmiał, pomachał nam i puścił się biegiem, a pies szczekając, biegł w podskokach przed nim.

— No, to zapalmy jeszcze jednego — zaproponowała Dolly, bo zostawił swoje papierosy.

* * *

Kiedy Riley wrócił do miasta, ulice szumiały jak ul nowina, że wynieśliśmy się po nocy. Dolly bez naszej wiedzy zostawiła Verenie w kuchni kartkę, którą ta znalazła, gdy przyszła sobie zaparzyć poranną kawę. Z tego, co wiem, kartka informowała jedynie, że wyjeżdżamy i nie będziemy jej dłużej siedzieć na głowie. Verena zadzwoniła z miejsca do hotelu Lola do przyjaciela Morrisa Ritza i pomaszerowali we dwoje obudzić szeryfa. Został on wybrany na urząd dzięki poparciu Vereny; był to impertynencki, przebojowy młody mężczyzna ze szczęką brutalną i uciekającymi oczkami szulera; nazywał się Junius Candle (czy uwierzycie, że był to ten sam Junius Candle, który jest obecnie senatorem?). Szeryf zorganizował grupę mężczyzn do poszukiwania nas, rozesłano również telegramy do szeryfów w sąsiednich miejscowościach. Wiele lat później, przy porządkowaniu papierów pozostałych po siostrach Talbo, natrafiłem na pisany ręcznie oryginał tego telegramu, ułożonego, myślę, przez doktora Ritza.

„Poszukiwane są następujące osoby, podróżujące razem: Dolly Augusta Talbo, biała, około 60 lat, siwawe blond włosy, chuda, wzrost około 160 cm, oczy zielone, prawdopodobnie nieźrównoważona, ale nie wydaje się niebezpieczna; rozwiesić opis w cukierniach, bo przepada za słodyczami. Catherine Creek, Murzynka, ale podaje się za Indiankę, wiek około 60 lat, nie ma zębów, bełkocze niewyraźnie, niska, otyła, silna, może być niebezpieczna. Collin Talbo Fenwick, biały, wiek 16 lat, ale wygląda na młodszego, wzrost około 170 cm, blondyn, oczy szare, chudy, garbi się, blizna w kącie ust, opryskliwy. Wszyscy troje poszukiwani jako zbiegowie”.

— Na pewno daleko nie uciekli — oświadczył na poczcie Riley, a poczmistrzyni pani Peters popędziła do telefonu zawiadomić, że Riley Henderson widział nas w lesie koło cmentarza.

Kiedy to się działo, my spokojnie urządzaliśmy się w domku na drzewie. Wypakowaliśmy z ceratowej torby Catherine kołdrę z różowo-złotych łątek; była tam także talia kart, mydło, rolki papieru toaletowego, pomarańcze i cytryny, świece, patelnia, butelka wina jeżynowego i dwa pudełka po butach pełne wiktuałów; Catherine pochwaliła się, że splądrowała do cna spizarnię, nie zostawiając nawet suchara na śniadanie dla tej tam.

Poszliśmy potem nad strumyk umyć w zimnej wodzie nogi i twarze. W Lesie Nadrzecznym jest tyle strumyków co żyłek w liściu; czyste, skrzące się, spływają zygzakami do rzeczki, która pełźnie przez las jak zielony aligator. Dolly stanowiła dziwną postać, stojąc w wodzie w podwiniętej spódnicy od zimowego kostiumu i z woalką falującą przy twarzy jak chmara natrętnych komarów. Spytałem ją, po co jej ta woalka, na co odparła:

— Czyż kobiecie w podróży nie wypada być w woalce?

Powróciwszy na drzewo, zrobiliśmy sobie słój wyśmienitej oranżady i zaczęliśmy rozmawiać o przyszłości. Nasz majątek wynosił czterdzieści siedem dolarów gotówką i parę sztuk biżuterii, w tym złoty pierścionek bratniacki, który Catherine znalazła w jelitach świni, robiąc kielbasy. Według Catherine, za czterdzieści siedem dolarów moglibyśmy kupić bilety autobusowe, dokąd byśmy chcieli: znała kogoś, kto za piętnaście dolarów dojechał aż do Meksyku. Zarówno Dolly, jak ja byliśmy przeciwni Meksykowi: przede wszystkim nie znamy języka. Poza tym, dowodziła Dolly, nie powinniśmy się wypuszczać poza nasz stan i musimy się trzymać stale w bliskości lasu, bo jak inaczej będziemy robili lek przeciw puchlinie.

— Prawdę mówiąc, najlepiej byłoby się urządzić tutaj, w Lesie Nadrzecznym — zawyrokowała, rozglądając się z namysłem.

— Na tym drzewie? — zaprotestowała Catherine. — Wybij to sobie z głowy, Dolciu. — I po chwili: — Pamiętasz, czytałyśmy w gazecie o jegomościu, który kupił zamek za oceanem i przywiózł go do kraju cegła w cegłę. Pamiętasz? Więc może byśmy mogły załadować mój mały domek na wóz i przywieźć go tutaj?

Dolly napomknęła, że domek stanowi własność Vereny, więc nie mamy prawa go nigdzie zabierać.

— Mylisz się, złotko — odparła Catherine. — Jak kobieta karmi chłopca, opiera go, rodzi mu dzieci, to ty i on jesteście małżeństwem, on jest twoim mężem. Jak zamiatasz dom, doglądasz pieców, palisz pod kuchnią, to ty i ten dom jesteście sobie zaślubieni, on jest twój. Tak ja to widzę, oba tamte domy są naszą własnością: w oczach Boga mogłybyśmy wykwaterować tę tam.

Ja miałem inny pomysł: w dole rzeczki stała opuszczona, do połowy zatopiona barka mieszkalna, zielona od porostów; stanowiła ona własność starego rybaka, który żył z połowu sumów, dopóki nie został przepędzony z miasta po wystąpieniu o zgodę na poślubienie piętnastoletniej Murzyneczki. Moim pomysłem było odremontowanie starej barki i zamieszkanie na niej.

Catherine oświadczyła jednak, że ma nadzieję spędzić resztę życia, jak Bóg przykazał, na suchym lądzie, po czym przystąpiła do wyliczania innych bożych przykazań, jak to, że drzewa są dla małych i ptaków. Po chwili urwała jednak i szturchnąwszy nas, wskazała ze zdumieniem w stronę, gdzie las przechodził w pole traw.

Wynurzyła się tam sztywna, dostojna grupka: sędzia Cool,

wielebny Buster z żoną, pani Macy Wheeler i prowadzący ich szeryf Junius Candle w wysokich sznurowanych butach i z dyn-dającym u boku pistoletem. Dokoła nich jak żółte motyle falowały w słońcu pyłki, ciemnie krzewów czepiały się ich krochmalonych miejskich ubrań, a pani Macy Wheeler, prze-straszona przez elastyczne pnące, które ją uderzyło w nogę, podskoczyła z piskiem. Parsknąłem śmiechem.

Usłyszawszy mnie, spojrzeli w górę i na ich twarzach odmalował się wyraz niedowierzania i popłochu, jakby od-wiedzając zoo, zabłądzili przypadkiem do klatki z dzikimi bestiami. Szeryf Candle, z ręką na pistolecie, zrobił półprzysiad i z przymrużonymi oczami zaczął: „Coś podobnego...”, ale przerwała mu pani Buster:

— Szeryfie, umówiliśmy się, że pozwolimy mówić pas-torowi.

W jej przekonaniu pierwsze słowo należało zawsze do jej męża jako do reprezentanta Boga. Wielebny Buster odchrząknął i zatarł dłonie z suchym szelestem przywodzącym na myśl czułki owada.

— Dolly Talbo — zaczął głosem nieoczekiwanie donośnym jak na tak chudego, drobnego mężczyznę — apeluję do ciebie w imieniu twojej siostry, dobrej, zacnej osoby...

— Tak, zacnej osoby — zaintonowała jego żona, a pani Macy Wheeler jej zawtórowała.

— ...która doznała dzisiaj bolesnego wstrząsu.

— Tak, bolesnego wstrząsu — zawtórowały panie szkolo-nymi głosami członkiń chóru.

Dolly spojrzała na Catherine, a mnie uścisnęła rękę, jakby szukała u nas wyjaśnienia, czego chce ta grupka łypiąca na nas spod drzewa jak psy obszczekujące oposa na gałęzi. Machinalnie, może żeby mieć coś w dłoni, wyciągnęła papierosa z paczki zostawionej przez Rileya.

— Jak ci nie wstyd? — rozdarła się pastorowa Buster, potrząsając małą, łysiejącą głową; ludzie, którzy ją nazywali starym sępem, a było ich niemało, mieli na myśli nie tylko jej charakter, ale również małą drapieżną głowę, wysokie przygarbione ramiona i pękate ciało. — Jak ci nie wstyd, powtarzam. Jak mogłaś odejść tak daleko od Boga, żeby siedzieć na drzewie jak pijany Indianin i ssać papierochy jak zwykła...

— Dziwka — poddała pani Macy Wheeler.

— ...dziwka, kiedy twoja siostra leży przykuta w rozpaczy do łóżka?

Może było trochę racji w określeniu Catherine jako niebezpiecznej, gdyż zerwała się na równe nogi i zawołała:

— Pastorowo, nie waż się nazywać Dolly i mnie dziwkami, bo zejść na dół i nogi ci powyrywam.

Szczęśliwie nikt na dole nie zrozumiał jej bełkotu, bo gdyby zrozumieli, szeryf gotów by z miejsca strzelić jej w głowę: nie ma w tym przesady, co więcej, wielu białych w miasteczku uważałoby, że słusznie zrobił.

Dolly na moment się zacukała, odzyskała jednak szybko rezon. Wybraźcie sobie, że otrzepała spódnicę i powiedziała:

— Niech pani się chwilę zastanowi, pani pastorowo, a stwierdzi pani, że jesteśmy tu na drzewie bliżej Boga niż pani tam na ziemi.

— Brawo, panno Dolly, klasa odpowiedź! — Tym, kto przemówił, był sędzia Cool. Zakłaskał w dłonie i zachichotał z uznaniem. — Oczywiście, że są bliżej Boga — ciągnął, niespieszony pełnymi dezaprobaty spojrzeniami swego towarzystwa. — Są przecież na drzewie, a my na ziemi.

Naskoczyła na niego pastorowa Buster.

— Miałam cię za chrześcijanina, panie Charlie Cool. Na mój rozum nie godzi się chrześcijaninowi podbechtywać biednej szalonej kobiety i naśmiewać z niej.

— Uważaj, kogo nazywasz szalonym, Thelmo — odrzucił sędzia. — Nie wydaje mi się to także szczególnie chrześcijańskie.

Teraz otworzył ogień wielebny Buster.

— Niech pan mi odpowie, sędzio. Po co pan tu przyszedł z nami, jeśli nie po to, by spełnić wolę Pana naszego w duchu miłosierdzia?

— Wolę Pana naszego? — powtórzył sędzia z niedowierzaniem. — Wie pastor tyle co ja, jaka jest wola Pańska. Może Pan nakazał tym ludziom zamieszkać na drzewie? Przyzna pastor w każdym razie, że Pan nigdy nie nakazywał ściągać ich stąd, chyba że Panem jest Verena Talbo, przekonanie, które część osób tutaj zdaje się podzielać, co, szeryfie? Nie, pastorze, ja nie przyszedłem tutaj wypełniać woli niczyjej prócz mojej własnej; chciałem się po prostu przejść, las jest taki ładny o tej porze roku.

Zerwał garść fiołków, wsunął je w butonierkę.

— Do cholery z tym wszystkim — zaczął szeryf, ale przerwała mu znowu pani Buster, oświadczając, że pod żadnym pozorem nie będzie tolerowała przekleństw. — Prawda, wielebny? — co ten potwierdził, że ma się rozumieć, nie będą u diabła, tolerowali. — Ja tu jestem władzą — poinformował ich jednak szeryf, wysuwając swoją szczękę buldoga. — To sprawa dla wymiaru sprawiedliwości.

— Jakiej sprawiedliwości, Juniusie? — zapytał spokojnie sędzia Cool. — Nie zapominaj, że ja zasiadałem dwadzieścia siedem lat na ławie sędziowskiej, więcej, niż ty sobie liczysz. Więc lepiej uważaj. Nie mamy żadnych podstaw prawnych do interwencji wobec panny Dolly.

Niezrażony, szeryf zaczął wspinać się na drzewo.

— Nie róbcie więcej obstrukcji — powiedział przymilnie, pokazując zakrzywione psie zęby. — Złazcie stamtąd, cała banda.

Siedzieliśmy dalej jak trzy ptaki w gnieździe, więc wyszczerzył jeszcze bardziej zęby i jakby chciał nas zrzucić, potrząsnął gniewnie konarem.

— Panno Dolly, była pani zawsze spokojną osobą — odezwała się pani Macy Wheeler. — Proszę, niech pani wraca z nami do domu, bo przejdzie pani koło nosa obiad.

Dolly odparła rzeczowo, że nie jesteśmy głodni, prawda? I że mamy tu udko kurze dla każdego, kto by miał ochotę.

— Utrudnia mi pani sytuację — oświadczył szeryf Candle i podciągnął się wyżej.

Zatrzeszczała pod jego ciężarem gałąź, a drzewem wstrząsnął złowróżbny pomruk.

— Jeśli tknie którąś z was, to go kopnijcie w głowę — poradził sędzia Cool. — Jak nie, to ja go kopnę — dokończył z nagłą rycerską galanterią.

Podskoczył jak nawiedzona żaba i złapał za dyndający but szeryfa. Szeryf z kolei złapał mnie za kostki, tak że Catherine musiała mnie przytrzymać w pół. Zsuwałem się, upadek zdawał się nieuchronny, siła ciężenia była przemożna. Jednakże Dolly wylała szeryfowi za kołnierz resztkę oranżady, tak że nagle zaklął brzydko i mnie puścił. Zwalili się na ziemię, szeryf na sędziego, a ten na wielebnego Bustera. Doskoczyły do nich z boleściwym krakaniem pani Macy Wheeler i Buster, wzmagając jeszcze harmider.

Przerażona tym, co się stało, i rolą, jaką w tym odegrała, Dolly upuściła w ferworze słój po oranżadzie, który wylądował z soczystym łomotem prosto na głowie pani Buster.

— Przepraszam — zawołała Dolly, ale w zamieszaniu nikt jej nie słyszał.

Kiedy rozsuptała się płatanina pod drzewem, dotknięte osoby odsunęły się zakłopotane od siebie, obmacując ostrożnie swoje członki. Wielebny wydawał się jakby spłaszczony, ale nie

wykryto żadnych złamań; uskarżać się słusznie na doznany szwank mogła tylko pani Buster, na której rzadko owłosionej głowie piętrzył się jak piramida guz. Uczyniła to bez ogródek:

— Okaleczyłaś mnie, Dolly Talbo, nie wypieraj się, wszyscy są świadkami, widzieli, jak celujesz tym słojem w moją głowę. Aresztuj ją, Juniusie!

Szeryf był jednak pochłonięty wyrównywaniem własnych porachunków. Z rękami na biodrach ruszył wielkimi krokami ku sędziemu zajętemu umieszczaniem w butonierce nowego pęczka fiołków.

— Gdyby pan nie był taki stary, tobym panu rozkwaślił nos.

— Nie jestem znowu taki stary, Juniusie, ale dostatecznie dojrzały, by wiedzieć, że mężczyźni nie powinni się bić w obecności pań — odparł sędzia. Był słusznego wzrostu, o silnych ramionach i prostej posturze; chociaż dobiegał siedemdziesiątki, wyglądał na pięćdziesiąt parę lat. Zacisnął pięści, twarde i owłosione jak orzech kokosowy. — Z drugiej strony — zakończył grobowym głosem — jestem gotów, jeśli ty jesteś gotów.

Przez chwilę wyglądało to na względnie równą próbę. Nawet szeryf nie wydawał się już taki pewny; z malejącą brawurą splunął w dłonie i powiedział, że nie chce, żeby ktoś mu zarzucił, że uderzył starszego człowieka.

— Albo że nie dałeś mu rady — odrzucił sędzia. — Wsadź koszulę w gatki, Juniusie, i zmykaj do domu.

Szeryf obrócił się do drzewa.

— Złóżcie szybko i chodźcie ze mną, oszczędzicie sobie kupę kłopotów.

Nie ruszyliśmy się, tylko Dolly opuściła woalkę, jakby spuszczała raz na zawsze kurtynę na sprawę. Odezwała się natomiast pompatycznie pastorowa Buster, z guzem jak róg na głowie:

— Skończmy z tym, szeryfie, mieli swoją szansę. — Po czym, zmierzwszy Dolly i sędziego wzrokiem, dodała: — Nie wyobrażajcie sobie, że ujdzie wam to na sucho. Mówię wam, nadejdzie kara, i to wcale nie w niebie, tylko tu na ziemi.

— Tak, tu na ziemi — zawtórowała pani Macy Wheeler.

Ruszyli ścieżką, wyprostowani, wyniosli jak orszak ślubny; wkroczyli w wyspę słońca i pochłoneły ich falujące czerwone trawy. Sędzia, który pozostał pod drzewem, posłał nam uśmiech i z lekkim wytwornym ukłonem zapytał:

— Czy dobrze słyszałem, że proponują panie udko kurze każdemu, kto ma na nie ochotę?

* * *

Mogło się wydawać, że jest sklecony z kawałków drewna, bo nos miał jak kołek, nogi grube jak stare korzenie, a brwi gęste i sztywne jak płaty kory. Jego włosy z przedziałkiem pośrodku były barwy zwisających z górnych gałęzi kiści srebrzystego mchu, a policzki miały kolor mięsistych jak wołowa skóra liści górującego nad nami platana. Mimo bystrych kocich oczu jego twarz przywodziła na myśl nieśmiałego prowincjusza. Nie był na co dzień człowiekiem konfliktowym, ten sędzia Charlie Cool, i wiele osób wykorzystywało jego skromność, żeby się nad niego wywyższać. A przecież żadna z nich nie mogła się pochwalić ukończeniem Uniwersytetu Harvarda i dwukrotną podróżą do Europy. Ale patrzyli na niego krzywo, uważając, że zadziera nosa. Czyż nie opowiada, że przed śniadaniem czyta stronicę greki? I co to za mężczyzna, który zawsze nosi w butonierce kwiat? Gdyby nie był taki wybredny, to czemu, pytali niektórzy, wyprawił się aż do Kentucky, żeby znaleźć sobie żonę, zamiast poślubić którąś z miejscowych panien?

Nie pamiętam żony sędziego, umarła, nim podrosłem na

tyle, żeby zwrócić na nią uwagę, i wszystko, co mogę o niej powiedzieć, wiem ze słyszenia. W każdym razie nasze miasto nie przekonało się nigdy do Irene Cool, i to najwyraźniej nie bez jej winy. Kobiety z Kentucky są w ogóle trudne, napięte, nieczułego serca, a Irene Cool, urodzona w Bowling Green jako panna Todd (Mary Todd, która jak wiadomo, wyszła za Abrahama Lincolna, była jej daleką krewną), dawała wszystkim do zrozumienia, że uważa nas za prymitywny, pospolity tłumek. Nie przyjmowała wprawdzie żadnych miejscowych pań, ale panna Palmer, która jej szyła, opowiadała, z jakim smakiem i wyrafinowaniem Irene Cool urządziła sędziemu dom antykami i orientalnymi dywanami. Do kościoła jeździła pierce-arrowem z zasuniętymi szybami, a w samym kościele siedziała z perfumowaną chusteczką u nosa: „Wonie domu bożego są nie dla Irene Cool”. Co więcej, nie dopuszczała do członków rodziny żadnego z dwóch miejscowych lekarzy, i to pomimo że sama była pólinwalidką: jakieś niewielkie przemieszczenie w kręgosłupie zmuszało ją do sypiania na łóżku z desek. Dawało to powód do niewybrednych żarcików, że sędzia jest naszpikowany drzazgami. Nie przeszkodziło mu to jednak spłodzić dwóch synów, Todda i Charlesa juniora, obu urodzonych w Kentucky, żeby mogli się szczycić obywatelstwem stanu Sinej Wiechliny. Jednakże ci, którzy twierdzili, że sędzia cierpi z powodu charakteru swojej żony i jest człowiekiem nieszczęśliwym, nigdy nie mieli zbyt wielu argumentów, a kiedy umarła, nawet najuporczywsi krytycy musieli przyznać, że stary Charlie widać naprawdę kochał swoją Irene. W ostatnich dwóch latach jej życia bowiem, kiedy była ciężko chora i niezdolna, zrezygnował z pozycji sędziego sądu objazdowego i zabrał ją w podróż do miejsc, które odwiedzili podczas miesiąca miodowego. Z tej podróży już nie wróciła; pochowana jest w Szwajcarii. Nie tak dawno Carrie Wells, miejscowa nauczycielka, pojechała z wy-

cieczką do Europy; jedyną rzeczą łączącą nasze miasteczko z tamtym kontynentem są groby, groby młodocianych żołnierzy i Irene Cool, a Carrie, uzbrojona w aparat fotograficzny, postawiła sobie za cel odwiedzenie ich wszystkich. Mimo że przez całe popołudnie błądziła po spowitym w chmurach cmentarzyku, nie znalazła grobu żony sędziego; aż dziw pomyśleć, że Irene Cool, jeszcze teraz, spoczywając na tym górskim zboczu, nie przyjmuje żadnych odwiedzin.

Sędziemu niewiele pozostało, kiedy powrócił; do władzy doszli tymczasem politykierzy pokroju Meiselfa Tallsapa i jego kliki, a ci chłopcy nie mogli dopuścić, żeby w fotelu sędziowskim zasiadał Charlie Cool. Przykro było patrzeć, jak człowiek jego formatu, wytworny pan w dobrze skrojonym garniturze, z czarną jedwabną opaską na ramieniu i różą w butonierce, jak taki człowiek nie ma do roboty nic prócz przechadzki na pocztę czy wstąpienia do banku. W banku pracowali jego synowie, pedantyczni młodzi mężczyźni o wąskich wargach, których można było wziąć za bliźniaków, gdyż obaj mieli ślazowobiałą cerę, przygarbione ramiona i wodniste oczy. Charles junior, ten, który wyłysiał, nim ukończył college, był wiceprezesem banku, a Todd, młodszy z synów, naczelnym kasjerem. W niczym nie przypominali ojca prócz tego jednego, że obaj poślubili panny z Kentucky. Synowe przejęły dom sędziego, podzieliły go na dwa mieszkania z oddzielnymi wejściami i postanowiły, że starszy pan będzie mieszkał najpierw u rodziny jednego syna, potem drugiego. Nic dziwnego, że tak chętnie chodził na spacer do lasu.

— Dziękuję, panno Dolly — powiedział, wycierając usta wierzchem dłoni. — Było to najlepsze udko, jakie jadłem od dzieciństwa.

— Cieszę się, że chociaż tak mogliśmy się panu odwdzięczyć. Zachował się pan bardzo dzielnie. — Głos Dolly załamał

się emocjonalnym kobiecym drzeniem, które wydało mi się wysoce niestosowne, śmieszne; uderzyło widać podobnie Catherine, bo posłała Dolly karcące spojrzenie. — Może zjadłby pan jeszcze coś? Kawalek ciasta?

— Nie, dziękuję, zjadłem wystarczająco dużo. — Odpiął od kamizelki złoty zegarek z dewizką, którą zaczepił na gałązce nad głową; zawisała jak gwiazdkowa ozdoba na choince, a przytłumione, lekkie jak puch tykanie zegara można było wziąć za pulsowanie serca jakiegoś małego stworzenia, robaczka świętojańskiego czy żaby. — Jak się słucha upływającego czasu, dzień wydaje się dłuższy, a ja się nauczyłem cenić długie dni. — Poglaskał futerko wiewiórek, które leżały przytulone w kącie, jakby tylko spały. — Dobrze strzały, synu, prosto w głowę.

Oczywiście oddałem sprawiedliwość właściwej osobie.

— Riley Henderson, powiadasz? — odparł sędzia, po czym podzielił się wiadomością, że to Riley zdradził miejsce naszego pobytu. — Ale zanim do tego doszło, porozsyłano telegramy za co najmniej sto dolarów — ciągnął, rozbawiony. — Myślę, że to żałoba po tych pieniądzach zapakowała Verenę do łóżka.

— Nie trzyma się kupy niegodziwe zachowanie tych ludzi — zauważyła chmurnie Dolly. — Byli tacy napaleni, że o mało nas nie zabili, zupełnie nie rozumiem, z jakiego powodu. Ani co ma z tym wspólnego Verena; wiedziała przecież, że się wynosimy, żeby jej nie siedzieć na głowie, zostawiłam jej wiadomość. Ale jeśli się pochorowała... Pochorowała się, panie sędzio? Nigdy w życiu nie była chora.

— Ani jednego dnia — dorzuciła Catherine.

— Och, wytrąciło ją to z równowagi — odrzekł sędzia, nie bez satysfakcji. — Ale Verena nie jest kobietą, której by nie postawiła na nogi zwykła aspiryna. Pamiętam jej zakusy na cmentarz, kiedy chciała wybudować mauzoleum dla siebie i rodziny Talbo. Przyszła do mnie jedna kobieta i mówi: „Panie

sędzio, ta Verena Talbo to osoba o najbardziej chorobliwej wyobraźni w mieście, chce sobie budować wielki grobowiec”. A ja jej mówię: „Nie, chorobliwe w jej zachowaniu jest jedynie to, że chce wydać tyle pieniędzy, chociaż przez myśl jej nie przejdzie, że kiedyś umrze”.

— Nie chcę wysłuchiwać żadnych krytyk pod adresem mojej siostry — oświadczyła stanowczo Dolly. — Pracuje ciężko, ma prawo prowadzić swoje sprawy, jak uważa za stosowne. To nasza wina, zawiedliśmy ją, nie ma dla nas miejsca w jej domu.

Watowa wyściółka przesunęła się w szczęce Catherine jak tytoń do zucia.

— Czy jesteś jeszcze moją Dolcią, czy też zrobiłaś się wielką hipokrytką? Sędzia to przyjaciel, powiedz mu, jak ta kobieta z tym swoim Żydkiem próbowali ukraść nasze lekarstwo...

Sędzia poprosił o przetłumaczenie jej słów, ale Dolly odparła, że to wszystko nonsens, nie ma czego powtarzać, i dla odwrócenia uwagi zapytała go, czyby umiał oprawić wiewiórki. Potaknąwszy machinalnie głową, odwrócił od nas wzrok, po czym podniósł w górę oczy przypominające żołędzie i omiół głaskane wietrzykiem liście w obramowaniu nieba.

— Może nie ma tam miejsca dla nikogo z nas, chociaż czujemy, że gdzieś musi być takowe dla wszystkich. I gdybyśmy je znaleźli, choćbyśmy tam trafili tylko na chwilkę, moglibyśmy się uważać za wybranych. Mogłoby to być miejsce dla was — powiedział i wstrząsnął nim dreszcz, jakby rzuciły nań zimny cień skrzydła, które przesłoniły niebo. — I dla mnie też.

Niepostrzeżenie, w miarę jak złoty zegarek odmierzał tchnienia czasu, po niebie toczył się ku zmierzchowi przedwieczorny księżyc. Mgły znad rzeki, jesienne opary, zapuszczały wśród brązów księżycowe barwy, drzewa siniały, a blednące słońce otaczała aureola, zwiastunka zimy. Mimo to sędzia nie zbierał się do odejścia.

— Mam tu zostawić dwie kobiety i chłopca na łasce ciemności i Juniusa Candle'a z tą bandą głupców, którym Bóg wie, co może strzelić do głowy? Nie, nie zrobię tego.

Zaskakująco, z całej naszej czwórki to sędzia zadomowił się najszybciej na drzewie. Przyjemnie było na niego patrzeć, rozedrganego jak zajęczy nos; czuł się znowu mężczyzną, więcej, naszym obrońcą. Oprawił scyzorykiem wiewiórki, podczas gdy ja nazbierałem gałązek, rozpałem pod drzewem ognisko i rozgrzałem patelnię. Dolly odpieczętowała butelkę wina jeżynowego, tłumacząc jego potrzebę wieczornym chłodem. Wiewiórki udały się nadspodziewanie dobrze, były kruszki, co komentując, sędzia pochwalił się, że musimy kiedyś spróbować jego smażonych sumów. Popijaliśmy w milczeniu wino; zapach liści i dymu, który się wznosił ze stygnącego ogniska, przywodził wspomnienia innych jesieni; ze wzruszeniem nasłuchiwaaliśmy jak szumu morza śpiewu pola traw. W słoju po oranżadzie migotała świeca, a balansujące, ślizgające się wokół płomienia ćmy zdawały się ciągnąć za sobą żółtą wstęgę wśród czarnych gałęzi.

I wówczas dał się nie tyle słyszeć cichy krok, co wyczuć mglisty cień jakiejś obecności. Mogłoby to nie być nic więcej niż wschód księżyca, tyle że nie było księżyca; nie było też gwiazd. Wokół rozlewała się czerń, czerń jeżynowego wina.

— Zdaje się, że ktoś... coś tam jest — powiedziała Dolly, wyrażając odczucie nas wszystkich.

Sędzia uniósł świecę. Nocne stwory odskoczyły od chybottliwego światła, między drzewami przefrunęła śnieżnobiała sowa.

— Kto idzie? — rzucił sędzia żołnierskim tonem. — Odpowiadać, kto idzie!

— To ja, Riley Henderson. — Był to faktycznie on. Wysunął się z cienia i jego uniesiona twarz mimo uśmiechu zamajaczyła

złowrogo w świetle świecy. — Pomyślałem sobie, że zobaczą, jak się tu urządziliście. Mam nadzieję, że nie gniewacie się na mnie. Nigdy bym nie zdradził, gdzie jesteście, gdybym wiedział, o co ten cały krzyk.

— Nikt się na ciebie nie gniewa, synu — odrzekł sędzia, a mnie się przypomniało, że to on stanął w obronie Rileya w jego sporze z wujem Horace'em Holtonem; istniała między nimi nić porozumienia. — Mamy tu trochę wina. Panna Dolly na pewno nie będzie miała nic przeciwko temu, żebyś się napił z nami.

Catherine zaprotestowała, że nie ma już miejsca na drzewie; jeszcze kilogram, a te stare deski nie wytrzymają. Zsunęliśmy się jednak, żeby mu zrobić miejsce, ale ledwo się wcisnął, Catherine złapała go za czuprynę.

— Masz za to, coś dzisiaj nabroił, za to, żeś w nas celował z tej strzelby, choć ci mówiłam, żebyś tego nie robił. A to — szarpnąwszy go znów za włosy, podjęła na tyle wyraźnie, że się rozumiało, co mówi — za to, że napuściłeś na nas szeryfa.

Uważałem, że to nieładnie ze strony Catherine, ale Riley wyszczerzył dobrodusznie zęby i powiedział, że kto wie, czy nie będzie miała ważniejszych powodów do szarpania ludzi za włosy, nim minie noc. Bo w mieście się gotuje, kłębi się tłum ludzi jak to w sobotni wieczór; szczególnie podgrzewają nastroje pastorostwo Busterowie, pastorowa siedzi na werandzie i pokazuje wszystkim guz na głowie. Szeryf Candle, ciągnął Riley, namówił Verenę, żeby wystąpiła o aresztowanie nas pod zarzutem kradzieży jej własności.

— I, panie sędzio — relacjonował Riley, z poważną i z troskaną miną — mają zamiar aresztować nawet pana. Za zakłócenie porządku publicznego i sprzeciwianie się wymiarowi sprawiedliwości, tak słyszałem. Może nie powinienem tego mówić, ale wpadłem pod bankiem na pańskiego syna Todda.

Spytałem go, co w tej sytuacji zrobi, znaczy, jeśli pana aresztują, a on mówi, że nic, można się było spodziewać czegoś podobnego, sam pan będzie sobie winien.

Sędzia pochylił się i zgasił palcami świecę, może nie chciał, żebyśmy widzieli wyraz jego twarzy. W ciemności któreś z nas zakwiliło, po chwili się zorientowaliśmy, że to Dolly, a jej płacz wywołał milczące odruchy sympatii, które zatoczyły pełny krąg i związały nas ze sobą jak nigdy dotąd. Sędzia odezwał się cicho:

— Musimy być przygotowani, jak tu przyjdą. Posłuchajcie mnie teraz...

3

— Musimy być świadomi naszej sytuacji, żeby się bronić; to zasadnicza sprawa. A więc, co nas tu wszystkich sprowadziło? Kłopoty. Kłopoty, w jakie wpadła panna Dolly z przyjaciółmi. I my też, Riley, wpadliśmy obaj w kłopoty. Dlatego siedzimy na tym drzewie, inaczej by nas tu nie było.

Dolly milczała wobec zdecydowanego tonu sędziego, on zaś ciągnął:

— Idąc tutaj dzisiaj z grupką szeryfa, byłem przeświadczony, że moje życie niczym się nie wyróżni, nie pozostawi po sobie żadnego śladu. Teraz myślę, że nie będzie aż tak źle. Panno Dolly, jak to dawno, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat? Czy możliwe, że minęło tyle lat, odkąd panią pamiętam jako sztywną, rumieniącą się dziewczynkę, która przyjeżdżała z tatusiem wozem do miasta? Nigdy pani z tego wozu nie schodziła, bo nie chciała pani, żebyśmy my, miejskie dzieciaki, widziały, że nie ma pani bucików.

— One miały buciki, Dolly i ta tam — wymamrotała Catherine. — To ja nie miałam bucików.

— Przez wszystkie te lata, odkąd panią pamiętam, nie znałem pani, a przynajmniej nie doceniałem, dopiero dziś zrozumiałem, kim pani jest: wolnym duchem, pogańską duszą...

— Pogańską duszą? — spytała Dolly, zaskoczona, lecz zaciekawiona.

— W każdym razie wolnym duchem, osobą, której nie można oceniać na pierwszy rzut oka. Wolne duchy rozumieją życie, postrzegają je w całej jego złożoności, i w konsekwencji wpadają ciągle w kłopoty. Na przykład ja, nie powinienem być nigdy zostawać sędzią; jako sędzia zbyt często znajdowałem się po niewłaściwej stronie, bo prawo nie uwzględnia złożoności życia. Pamiętajcie Carpentera, tego starego rybaka, który miał barkę na rzece? Przepędzono go z miasta, bo chciał się żenić z tą śliczną Murzyneczką, która zdaje się pracuje teraz u pani Postum; a wieście państwo, ona go kochała. Widywałem ich, kiedy łowiłem ryby, wyglądali na bardzo szczęśliwych; była dla niego tą jedyną osobą w świecie, jaką nikt nigdy nie był dla mnie, osobą, przed którą niczego się nie tai. Jednakże gdyby mu się udało ją poślubić, obowiązkiem szeryfa byłoby go aresztować, a moim skazać. Czasami mam takie uczucie, jakby wszyscy, których uznałem za winnych, przenieśli swoją prawdziwą winę na moje barki; może po trosze dlatego chciałbym, zanim umrę, znaleźć się raz po właściwej stronie.

— Jest pan po właściwej stronie — wyrwała się Catherine. — Ta kobieta i ten Żyd...

— Ci-i — syknęła Dolly.

— Jedyną osobą w świecie?...

To Riley przywołał słowa sędziego; jego głos zawisł pytającą nutą.

— Mam na myśli osobę — wyjaśnił sędzia — której można wszystko powiedzieć. Czy jestem niemądry, że pragnę czegoś takiego? Ale, ba, ta ilość energii, jaką zużywamy, kryjąc się nawzajem przed sobą, żeby nie obnażyć swego prawdziwego ja. Otóż tutaj jesteśmy obnażeni: pięcioro idiotów na drzewie. To szczęśliwa okoliczność, jeśli tylko zrobimy z niej właściwy

użytek: nie musimy się dłużej martwić, jak jesteśmy postrzegani, możemy okazać, jacy jesteśmy naprawdę. A skoro mamy świadomość tego, nikt nas nie może stąd usunąć; to niepewność co do własnej tożsamości każe się naszym przyjaciołom zma-
wiać, żeby nas pozbawić prawa do bycia sobą. Ja w przeszłości drobnymi ustępstwami poddawałem się obcym ludziom, lu-
dziom, którzy schodzili po trapie na najbliższej przystani, wysiadali na najbliższej stacji. Może zebrani razem, złożyliby się w tę jedną jedyną osobę w świecie... Gdzieś ona jest, o tuzinie twarzy, przemierza setkę rozmaitych ulic. Pani nią jest, panno Dolly, i ty, Riley, i wszyscy.

— Ja tam nie jestem żadną osobą o tuzinie twarzy, też pomysł! — oświadczyła Catherine, na co Dolly skarciła ją z irytacją, że jak nie potrafi się odnosić do sędziego z respektem, to niech lepiej idzie spać.

— Ale panie sędzio — ciągnęła Dolly — ja nie bardzo rozumiem, co takiego by pan chciał, żebyśmy sobie powiedzieli. Sekrety? — zakończyła niepewnie.

— Sekrety, nie, nie! — Sędzia potarł zapałkę, zapalił z po-
wrotem świecę; z ciemności wykwitła raptem jego twarz, dziwnie zboląta, szukająca u nas zrozumienia. — Mówmy o nocy, o tym, że nie ma księżyca. Nieważne, co się mówi, ważna jest ufność, z jaką się mówi, aprobata, z jaką to jest przyjmowane. Irene, moja żona, była kobietą niezwykłą, mog-
libyśmy dzielić wszystko w życiu, a jednak nic, nic nas nie zbliżało, nie potrafiliśmy wyjść sobie naprzeciw. Umarła w mo-
ich ramionach, na koniec ją spytałem: „Byłaś szczęśliwa, Irene? Dałem ci szczęście?”. „Szczęśliwa, szczęśliwa, szczęśliwa” — to były jej ostatnie słowa, niejednoznaczne. Do dziś nie wiem, czy chciała potwierdzić, że była szczęśliwa, czy też powtarzała tylko jak echo moje słowa: wiedziałbym, gdybym ją naprawdę znał. Moi synowie! Nie cieszę się ich szacunkiem. Chciałem

zasłużyć na ich szacunek bardziej jako człowiek niż jako ojciec. Niestety uważają, że wiedzą o mnie coś wstydlwego. Powiem wam co.

Jego męskie oczy, zwielokrotnione w blasku świecy, zlustrowały nas po kolei, jakby badając naszą uwagę, naszą ufność.

— Pięć lat temu, prawie sześć, usiadłem w pociągu na miejscu, na którym jakieś dziecko zostawiło swoje pisemko. Zacząłem je przeglądać i na ostatniej stronie znalazłem adresy dzieci, które chciały korespondować z innymi dziećmi. Była wśród nich dziewczynka z Alaski. Jej nazwisko wpadło mi w ucho: Heather Falls. Posłałem jej widokówkę, mój Boże, wydawało się to miłą i niewinną rzeczą. Odpowiedziała natychmiast i zadziwiła mnie swoim listem; była to bardzo inteligentna opowieść o Alasce, z uroczym opisem życia na owczej farmie jej ojca i zorzy polarnej. Miała trzynaście lat, przysłała swoją fotografię, dziewczynki niespecjalnie ładnej, ale o myślącej, ujmującej twarzy. Przejrzałem stare albumy i znalazłem fotografię z wyprawy na ryby, kiedy miałem piętnaście lat, stałem w słońcu z pstrągiem w dłoni; fotka wyglądała względnie świeżo. Odpisałem jej tak, jakbym był nadal tym chłopcem, opowiedziałem o strzelbie, którą dostałem na Gwiazdkę, o suce, która się oszczeniła, o tym, jak nazwaliśmy szczeniaki, i o cyrku objazdowym, który odwiedził nasze miasteczko. Być znów dorastającym chłopcem i mieć sympatię na Alasce, no, to była cudowna rzecz dla starego człowieka przesiadującego w samotności i słuchającego tykania zegara. Po jakimś czasie napisała mi, że się zakochała w znajomym chłopcu, a ja doznałem prawdziwego ukłucia zazdrości, jakbym był faktycznie nastolatkiem. Pozostaliśmy jednak przyjaciółmi, a dwa lata temu, gdy jej zakomunikowałem, że się wybieram na prawo, przysłała mi złoty samorodek: przyniesie mi szczęście, napisała.

Wyjął go z kieszeni i pokazał wszystkim: samorodek przy-

bliżył nam tę Heather Falls, jakby lekko błyszcząca grudka na jego otwartej dłoni była okruczem jej serca.

— I oni to uważają za coś wstydliviego? — powiedziała Dolly, raczej ze zdziwieniem niż oburzeniem. — Fakt, że zaofiarował pan przyjaźń samotnej dziewczynce na Alasce? Tam takie straszne śniegi!

Sędzia ukrył samorodek w dłoni.

— Synowie nie mówią mi nic. Ale słyszałem, jak rozmawiali któregoś wieczoru z żonami. Zastanawiali się, co ze mną zrobić. Dobrali się oczywiście do tych listów. Nie mam zwyczaju zamykać szuflad; to przykre nie móc się obyć bez kluczy w domu, który stanowił kiedyś własność człowieka. Oni uważają tę sprawę za oznakę...

Tu sędzia popukał się w czoło.

— Ja też kiedyś dostałam taki list. Collin, złotko, nalej mi kropelkę — odezwała się Catherine, wskazując wino. — Tak, tak, dostałam taki list, mam go jeszcze gdzieś, od dwudziestu lat zachodzę w głowę, kto mi go mógł przysłać. Napisał: „Cześć, Catherine, przyjeżdżaj do Miami i wyjdź za mnie. Całuję, Bill”.

— Catherine, mężczyzna ci się oświadczył, a ty mi o tym słowem nie wspomniałaś?

Catherine wzruszyła ramionami.

— Cóż, Dolciu, słyszałaś, co powiedział pan sędzia. Nie mówi się nikomu wszystkiego. A zresztą, ja znałam kupę różnych Billów i za żadnego bym się nie wydała. Gnębi mnie tylko, że nie wiem, który z nich przysłał mi ten list. Chciałabym to wiedzieć, bo jest to jedyny list, jaki w życiu dostałam. Mógł to być Bill, który kładł dach na moim domku... Chociaż nie, nim ten dach został położony, ja już byłam starą kobietą, mój Boże, od dawna o tym nie myślałam. Był też Bill, który przyjechał zaorać ogród, to było na wiosnę tysiąc dziewięćset

trzynastego; ten to orał prościutkie skiby. I Bill, który budował kurnik, poszedł od nas do pracy u Pullmana na kolei; to on mógł napisać ten list. Albo Bill, a-a nie, ten to miał na imię Fred... Collin, złotko, naprawdę dobre to wino.

— Ja też bym się napiła jeszcze kropelkę — powiedziała Dolly. — Bo Catherine tak mnie...

— Co ty? — zaprotestowała Catherine.

— Gdyby pani mówiła trochę wolniej albo nie żuła cały czas... — odezwał się sędzia, przekonany, że Catherine obraca w ustach nie watę, a tytoń do żucia.

Riley odsunął się trochę od nas; pochylony, wpatrywał się w pulsujący życiem mrok. „Ji-ji-ji!” — zaskrzeczał jakiś ptak.

— Bo ja... ja myślę, że pan się myli, panie sędzio — powiedział Riley.

— Mylę się? W czym, synu?

Na twarzy Riley'a malował się wyraz niepewności, który nie pierwszy raz mnie uderzył.

— Bo ja nie jestem w żadnych kłopotach, panie sędzio. Tylko że jestem niczym. Chyba że to pan uważa za mój problem? Leżę po nocach i zastanawiam się, co ja właściwie umiem: polować, prowadzić auto, obijać się? I ogarnia mnie lęk, że może to wszystko, co mi się przydarzy w życiu. Ja nie mam żadnych uczuć, może tylko do sióstr, ale to co innego. Chodzę na przykład prawie rok z tą dziewczyną z Rock City, z żadną nigdy tak długo nie chodziłem. I jakiś tydzień temu ona wybucha płaczem i mówi, gdzie ja mam serce i że jak jej nie kocham, to ona woli umrzeć. A ja zatrzymałem auto na przejeździe kolejowym i mówię, że wobec tego zaczekajmy, za dwadzieścia minut będzie jechał ekspres. Więc siedzimy tak i patrzymy sobie w oczy, a ja przez cały czas myślę, czy to nie niktzemne, że tak na nią patrzę i nic nie czuję...

— Nic prócz miłości własnej — zauważył sędzia.

Riley nie zaprzeczył.

— I gdyby moje siostry były na tyle dorosłe, że potrafiłyby same zadbać o siebie, to byłbym gotów czekać, aż ten ekspres nas przejedzie.

Doznałem skurczu w dołku na te słowa; pragnąłem mu powiedzieć, że chciałbym być tym wszystkim, czym on jest.

— Mówił pan o tej jednej jedynej osobie w świecie. Czemu ja nie mogłem tak myśleć o tej dziewczynie? Tego pragnę, sam nic nie znaczę. Może gdybym czuł coś takiego, tobym porobił jakieś plany, realizował je: może bym kupił ten kawałek ziemi za Parson's Place i wybudował na nim domy. Potrafiłbym to zrobić, gdybym się wziął w garść.

Zaskoczył nas nagły wiatr, poderwał liście, rozproszył chmury. Rozjarzyła się gwiezdna jasność i, jakby zawstydzona przestworem świetlistego, nabijanego gwiazdami nieba, przewróciła się świeca; zobaczyliśmy nad głowami niewczesny zimowy księżyc: wyglądał jak płat śniegu, przekrzykiwały się do niego bliskie i dalekie stwory nocne, garbate, księżycookie żaby, szponogłosy ryś.

Catherine wyciągnęła różową kołdrę i kazała Dolly się nią owinać, po czym otuliła mnie ramionami i gładziła po głowie, aż się odprężyłem na jej piersi.

— Zmarzłeś — powiedziała, a ja się ciaśniej w nią wtuliłem; była ciepła i przytulna jak dawna kuchnia.

— Myślę, że podszedłeś do sprawy od niewłaściwej strony, synu — rzekł sędzia, podnosząc kołnierz marynarki. — Nie można lubić jednej dziewczyny. Czy dbałbyś o jeden listek?

Riley, nasłuchujący rysia z napiętą miną myśliwego, łapał liście fruujące koło nas jak nocne motyle, trzepotały się jak żywe, próbując ulecieć, jeden pozostał mu jednak w palcach. Sędzia także schwycił liść, cenniejszy w jego dłoni niż liść w dłoni Riley'a. Przyciskając go delikatnie do policzka, powiedział z namysłem:

— Mówimy tu o miłości. Jeden listek, garść nasion, zacznij od nich, ucz się po trochu, co to znaczy kochać. Najpierw listek, krople deszczu, potem ktoś, kto pojmie, czego cię nauczył listek, co dojrzało w deszczu. Nie jest to łatwy proces, musisz to zrozumieć, może zająć całe życie, mnie zajął i jeszcze wszystkiego nie pojąłem. Wiem tylko jaka to wielka prawda: że miłość to łańcuch wielu miłości, tak jak natura jest łańcuchem życia.

— Jeśli tak — zaczęła Dolly i zrobiła głęboki wdech — to ja kocham przez całe życie. — Wtuliła się ciaśniej w kołdrę. — Albo i nie... — Głos jej się załamał. — Chyba nie. Nigdy nie kochałam — wiatr zaigrał jej woalką, gdy szukała właściwego słowa — nigdy nie kochałam żadnego mężczyzny. Z wyjątkiem papy.

Urwała, jakby powiedziała za dużo. Mgielka gwiazdnej poświaty otulała ją jak kołdra. Po chwili podjęła, pobudzana, przynaglana czymś, recytatywem żab czy pasmem szmerów dobiegających z pola traw.

— Ale kocham wszystko inne. Na przykład kolor różowy; jako dziewczynka miałam jedną kolorową kredkę, różową; rysowałam różowe koty, różowe drzewa; i mieszkam przez trzydzieści cztery lata w różowym pokoju. Miałam takie pudełko, leży teraz gdzieś na strychu, muszę poprosić Verenę, żeby mi je oddała, cudownie byłoby jeszcze raz zobaczyć swoje pierwsze miłości. Co w nim jest? Zasuszony plaster po miodzie, gniazdo szerszeni; co jeszcze, pomarańcza nadziewana goździkami, jajko sójki; kiedy kochałam te rzeczy, wzbierała we mnie miłość, wzlatywała jak ptak nad pole słoneczników. Ale lepiej nie zdradzać ludziom takich spraw, one im ciążą, unieszczęśliwiają ich, nie wiedzieć czemu. Verena ma mi za złe krycie się po kątach, jak to nazywa, ale ja się boję odstraszyć ludzi, jeśli im okażę sympatię. Tak było z żoną Paula Jimsona:

kiedy się rozchorował i nie mógł dłużej roznosić gazet, to pamiętacie, ona przejęła jego rejon, biedna mała kobietka dźwigająca ciężką torbę. Któregoś mroźnego popołudnia przywlokła się na naszą werandę, z nosa jej kapało, z oczu ciekły łzy; położyła gazetę, a ja powiedziałam „Poczekaj” i wyciągnęłam chusteczkę, żeby jej otrzeć oczy; gdybym mogła, tobym jej powiedziała, że mi jej żal, że ją kocham, ale ledwo dotknęłam dłonią jej twarzy, odwróciła się i zbiegła z cichutkim okrzykiem po schodkach. Od tej pory rzuca gazety z chodnika, a mnie chłód przenika do kości za każdym razem, gdy usłyszę, jak padają na werandę.

— Żona Paula Jimsona! I ty sobie zawracasz głowę taką hołotą! — powiedziała Catherine, płucząc usta resztką wina. — Ja mam złote rybki, lubię je, ale to nie znaczy, że kocham cały świat. Miłość, też mi coś! Zawracanie głowy! Mówcie sobie, co chcecie, miłość sprowadza tylko nieszczęścia, wyciąga na światło dzienne sprawy, o których lepiej nie pamiętać. Ludzie powinni zachowywać więcej rzeczy dla siebie: dobra częśćka nas to ta głęboko skrywana. Co człowiekowi pozostanie, jak będzie bez przerwy latał i paplał o intymnych sprawach? Pan sędzia uważa, że tu jesteśmy, bo popadliśmy wszyscy w tarapaty. Guzik prawda! Jesteśmy z bardzo prostych przyczyn. Po pierwsze dlatego, że to nasz domek; po drugie, bo ta tam z tym swoim Żydem chcą nam ukraść naszą własność. I po trzecie, jesteśmy tutaj, każde z nas, bo tego chcemy: kieruje nami ta głęboko skrywana częśćka. To ostatnie nie odnosi się do mnie. Ja lubię mieć dach nad głową. Dolciu, złotko, ustąp panu sędziemu kawałek kołdry, człowiek trzęsie się jak w febrze.

Dolly uniosła nieśmiało rąbek kołdry i skinęła w stronę sędziego; ten, bynajmniej nieskrępowany, wsunął się pod nią. Konary drzewa kołysały się nad nami jak olbrzymie wiosła w odmętach falującego morza chłodzonego przez dalekie,

dalekie gwiazdy. Pozostawiony sobie, Riley siedział skulony jak biedny sierota.

— Przysuń się do nas bliżej, uparciuchu — zachęciła go Catherine, robiąc mu po prawej stronie miejsce, tak jak mnie po lewej.

Ale on jakoś nie bardzo się kwapił; może dlatego, że czuł przykry zapach Catherine, a może uważał, że to niemęskie; przynagliłem go jednak: chodź, Riley, Catherine jest przytulna i ciepła, lepsza niż kołdra. Po chwili przysunął się do nas. Zapadła na długo cisza, myślałem już, że wszyscy posnęli, gdy nagle poczułem, jak Catherine sztywnieje.

— Już wiem, kto mi przysłał ten list: nie żaden Bill. To ta tam, to ona! To pewne, jak się nazywam Catherine Creek. Zapłaciła jakiemuś czarnuchowi w Miami, żeby mi wysłał list; myślała, że spakuję manatki, zawinę się i więcej o mnie nie usłyszy.

— Ci-i, ci-i, zamknij oczy, śpij — odezwała się sennie Dolly. — Nic się nie bój, są z nami mężczyźni, będą nad nami czuwać.

Zakołysała się gałąź, drzewo rozbłysło światłem księżyca. Zobaczyłem, jak sędzia ujmuje dłoń Dolly. Była to ostatnia rzecz, jaką tego dnia widziałem.

4

Riley obudził się pierwszy i obudził mnie. W rozbłyskach wschodzącego słońca omdlewały na nieboskłonie trzy poranne gwiazdy, rosa srebrzyła się na liściach jak anielski włos; na powitanie narastającego dnia poderwał się jak odrzutowiec klucz kosów. Riley kiwnął na mnie i ześlizgnęliśmy się razem z drzewa. Nie zauważyła naszego odejścia chrapiąca zapamiętane Catherine, nie zauważyli Dolly i sędzia, którzy spali przytuleni policzkami jak para dzieci w nawiedzonym przez czarownice lesie.

Ruszyliśmy w stronę rzeki, Riley przodem. Nogawki jego płóciennych spodni szeleściły, ocierając się o siebie. Co kilka kroków przystawał i przeciągał się, jakby po długiej jeździe pociągiem. W którymś miejscu natrafiliśmy na kopiec już przebudzonych i uwijających się czerwonych mrówek. Riley rozpiął rozporek i jął je podlewać; nie było to specjalnie zabawne, ale roześmiałem się dla towarzystwa. Oczywiście obruszyłem się jednak, kiedy się obrócił i obsikał mi but. Uznałem to za brak szacunku; spytałem, co mu strzeliło do głowy.

— Nie znasz się na żartach? — odparł i zarzucił mi rękę na ramię.

Jeżeli można umiejscowić takie zdarzenia, tobym powiedział, że w tym momencie Riley Henderson i ja zostaliśmy przyjaciółmi, a w każdym razie zrodził się w nim serdeczny stosunek do mnie, cementujący mój stosunek do niego.

Po rudziejących wrzosach pod rudziejącymi drzewami zawędrowaliśmy głęboko w las, do rzeki. Na leniwej zielonej wodzie falowały liście jak czerwonawe dłonie. Wystający koniec zatopionego konara przypominał głowę jakiegoś wodnego potwora. Dobrnęliśmy do starej barki, koło której woda była bardziej przejrzysta. Barka stała nieco pochyło, na jej dachu i spadzistym pokładzie nawarstwiły się, jak gruba rdza, dryfujące wodorosty. Kabina wewnątrz wyglądała na zamieszkaną. Leżały tu rozrzucone numery przygodowego pisma, na stole stała lampa naftowa i rząderek puszek po piwie; na koi leżały koc i poduszka, a na poduszce widniały różowe ślady szminki do ust. W nagłym przypiływie zrozumienia pojąłem, że kabina służy komuś za chatę, a po uśmiezku, który wykwitł na swojskiej twarzy Rileya, odgadłem komu.

— Można tu przy okazji złowić parę ryb — poinformował. — Ale nie mów nikomu.

Pełen podziwu, zakląłem się na wszystkie świętości.

Kiedyśmy się rozbierali, naszło mnie jakby senne widzenie. Przywidziało mi się, że barka dryfuje z prądem z naszą piątką na pokładzie. Na linach trzepocze jak żagle nasza susząca się bielizna, w kambuzie piecze się tort kokosowy, na parapecie kwitnie pelargonia — i tak dryfujemy po różnych rzekach, mijając zmienne krajobrazy.

Wschodzące słońce grzało resztkami letniego ciepła, ale po pierwszym skoku lodowata woda zawróciła mnie na pokład, ze szczękającymi zębami i gęsią skórką przyglądałem się, jak Riley pływa jak gdyby nigdy nic od brzegu do brzegu. Pośrodku na płyciźnie sterczała z wody jak żurawie nogi palisada drżącej

trzciny bambusowej. Riley wszedł, brodząc między trzcunami, z utkwionymi w wodzie oczami myśliwego, i kiwnął na mnie. Chociaż cierpła mi z zimna skóra, zsunąłem się do wody i podpłynąłem do niego. Woda, przejrzysta tutaj, gięła trzciny i rozdzielała je, tworząc głębokie do kolan niecki, nad jedną z nich przyczał się Riley: drzemał w niej uwięziony czarny jak węgiel sum. Osaczyliśmy go ze sztywnymi, rozcapierzonymi jak zęby wideł palcami, a on rzucił się z młóceniem ogona prosto w moje ręce. Jego wirujące, ostre jak brzytwa wąsy rozcięły mi głęboko dłoń, nie straciłem jednak głowy i nie puściłem go; dzięki Bogu, bo była to jedyna ryba, jaką w życiu złowiłem. Większość ludzi mi nie wierzy, kiedy mówię, że złowiłem suma gołymi rękami, a ja im odpowiadam, żeby spytali Rileya Hendersona. Przeciągnęliśmy witkę bambusową przez skrzela suma i doholowaliśmy go do barki. Riley powiedział, że to jeden z najtłuściejszych sumów, jakie widział; sędzia się przechwala, że wspaniale przyrządza sumy, więc niech nam go usmaży na śniadanie.

Nie mieliśmy go jednak nigdy zjeść, gdyż tymczasem pod domkiem na drzewie wytworzyła się paskudna sytuacja. Pod naszą nieobecność zjawił się szeryf Candle ze swoimi pomagierami i nakazem aresztowania. Riley i ja, nieświadomi niczego, wlekliśmy się z powrotem, kopiać muchomory i zatrzymując się od czasu do czasu, żeby puszczać na wodzie kaczki. Byliśmy jeszcze w pewnej odległości, gdy doszły nas odgłosy awantury rozchodzące się echem jak uderzenia siekiery. Usłyszałem głos Catherine, właściwie wrzask. Nogi tak mi zmiękły, że nie mogłem dotrzymać kroku Rileyowi, który złapał jakiś kij i puścił się pędem. Zacząłem kluczyć wte i wewte, aż skręciwszy w niewłaściwą stronę, wyszedłem na skraj pola traw. I ujrzałem Catherine.

Suknię miała rozdartą z przodu, była prawie goła. Targali

i ciągnęli ją wśród traw trzej postawni mężczyźni, Ray Oliver, Jack Mill i Wielki Eddie Stover, kompani szeryfa. Mógłbym ich zakatrupić, a Catherine próbowała to zrobić, nie miała jednak żadnych szans, chociaż bodła ich głową, szturchała łokciami. Wielki Eddie urodził się oficjalnie jako bękart, tamci dwaj zasłużyli na to miano swoim zachowaniem. To Wielki Eddie poskoczył do mnie, a ja go rąbnąłem sumem prosto w twarz.

— Zostawcie chłopca, to sierota — zawołała Catherine, a widząc, że Eddie chwycił mnie wpół, krzyknęła: — w jaja go, Collin, kopnij go w jaja!

Co też uczyniłem. Twarz Wielkiego Eddiego ścięła się jak skisłe mleko. Wyciągnął po mnie łapy Jack Mill (to ten, którego rok później zatrzaśnięto w chłodni, gdzie zamarzył na śmierć, dobrze mu tak). Ale dałem susa w pole i ukryłem się wśród najwyższych traw. Nie szukali mnie, mieli pełne ręce roboty z Catherine, walczyła z nimi przez całą drogę, a ja się przyglądałem, zrozpaczony, że nic nie mogę pomóc, aż zniknęli za grzbietem cmentarnego wzgórza.

Nad głową, jak zły omen, krążyły dwie skrzeczące wrony. Jałem się czołgać w stronę lasu, gdy usłyszałem buty przedzierające się obok przez trawy. Był to szeryf z osobnikiem nazwiskiem Will Harris, wysokim jak szafa, z barkami bawołu. Harrisowi dobrał się kiedyś do gardła wściekły pies, zostawiając mu paskudne blizny, ale gorszy był jego głos: brzmiał piskliwie, dziecinnie, jak głos liliputa. Przeszli tak blisko, że mógłbym rozsznurować Willowi but. Jego głos, skrzeczący coś do szeryfa, potykał się o nazwiska Morrisa Ritza i Vereny: nie mogłem się połapać, o co chodzi, zrozumiałem tylko, że zaszło coś, co kazało Willowi ściągnąć szeryfa.

— Czego ta baba właściwie chce? — dopytywał się szeryf. — Całej armii?

Kiedy przeszli, poderwałem się i skoczyłem w kierunku lasu. Nie dochodząc do naszego drzewa, ukryłem się za wachlarzem paproci: obawiałem się, że któryś z pomagierów szeryfa może się jeszcze kręcić w pobliżu. Ale nic się nie działo, śpiewał jedynie samotny ptak. Nie widać było też nikogo na drzewie; jego pustka mieniła się serpentynami światła, niematerialnymi jak duchy. Wyszedłem sztywno z ukrycia, oparłem głowę o pień. Przywiodło mi to na powrót wizję barki: naszą bieliznę trzepoczącą na wietrze, kwitnącą pelargonię, prąd niosący nas ku morzu, w świat.

— Collin, to ty? — dobiegł mnie głos z nieba. — Ty płaczesz?

Była to Dolly, jej głos dochodził nie wiedziałem skąd, dopóki, wspiąwszy się między konary drzewa, nie ujrzałem wysoko w górze jej dyndającego dziecinnego pantofla.

— Ostrożnie, chłopcze — odezwał się sędzia, który krył się gdzieś koło niej — bo nas stąd strącisz.

Istotnie, jak mewy na maszcie statku, siedzieli na samym wierzchołku drzewa; Dolly stwierdziła później, że widok stamtąd jest urzekający, żałuje, że nigdy przedtem się tam nie wspięła. Sędzia, okazało się, zauważył szeryfa nadchodzącego z obstawą, tak że zdążyli się schronić na czubku drzewa.

— Poczekaj, schodzimy — oznajmiła Dolly i podtrzymywana za ramię przez sędziego, zeszła jak wytworna dama spływająca po schodach.

Ucałowaliśmy się, po czym ona nie puszczała mnie długo z objęć.

— Catherine poszła cię szukać, nie wiedzieliśmy, co się z tobą dzieje, i tak się bałam...

Jej strach łaskotał mi dłonie, drżała jak małe zwierzątko, królik wyjęty z pułapki. Sędzia przyglądał się z niepewną miną, dłonie mu się trzęsły, może uważał, że nas zawiódł, że

powinien był zapobiec temu, co spotkało Catherine. Ale cóż mógł być zrobić? Gdyby jej przyszedł z pomocą, sam by został schwytany: szeryf, Wielki Eddie Stover i ci inni nie żartowali. To ja powinienem poczuwać się do winy. Gdyby Catherine nie poszła mnie szukać, pewnie i jej by nie dopadli. Opowiedziałem im, co się wydarzyło na polu traw.

Dolly nie chciała tego słuchać. Jakby odpychając zły sen, odsunęła woalkę.

— Chcę wierzyć, że Catherine tylko gdzieś poszła; i nie mogę. Gdybym uwierzyła, tobym pobiegła jej szukać. Chcę wierzyć, że Verena za tym stoi; i nie mogę. Jak myślisz, Collin: czy świat jest bezwzględnie zły? Wczoraj wieczorem tak nie myślałam.

Sędzia wbił we mnie wzrok; chciał mnie, sędzę, ostrzec, czego nie powinienem mówić. Ale sam to wiedziałem. Jakikolwiek wstrząsałyby nimi namiętności, wszystkie nasze prywatne światy są dobre, nie są nigdy podejrzane; Dolly wychowała się w zbyt uładowym świecie, który dzieliła z Catherine i ze mną, by czuć złe wichry wstrząsające innymi światami.

— Nie, Dolly, świat nie jest zły.

Przesunęła dłoń po czole.

— Jeśli się nie mylisz, Catherine wynurzy się za chwilę spośród drzew, wróci bez ciebie i Rileya, ale wróci.

— Właśnie! Gdzie jest Riley? — zapytał sędzia.

Pobiegł przodem i tyle go widziałem; zdjęci niepokojem, poderwaliśmy się jednocześnie, sędzia i ja, i zaczęliśmy go nawoływać. Nasze głosy obiegały powoli las i wracały odbijane o ciszę. Wiedziałem, co się stało: wpadł do starej indiańskiej studni, słyszałem o wielu takich przypadkach. Już miałem to powiedzieć, gdy sędzia przyłożył nagle palec do ust. Musiał mieć słuch wyżła, bo ja nic nie słyszałem. Okazało się jednak, że się nie myli: ścieżką ktoś się zbliżał. Były to Maude Riordan

i starsza siostra Riley, ta bystra, Elizabeth. Były przyjaciółkami od serca, miały na sobie jednakowe swetry. Elizabeth niosła futerał ze skrzypcami.

— Cześć, Elizabeth — odezwał się sędzia, zaskakując dziewczęta, bo dotąd go nie zauważyły. — Posłuchaj, dziecko, nie widziałaś brata?

Pierwsza otrząsnęła się Maude i to ona odpowiedziała zdecydowanym głosem:

— Widziałyśmy, i owszem. Wracałyśmy z Elizabeth z lekcji i on o mało nas nie rozjechał; pędził z dziewięćdziesiąt mil na godzinę. Musisz się z nim rozmówić, Elizabeth. Powiedział, gdzie was szukać, i prosi, żebyście się nie martwili. On wszystko wyjaśni.

Obydwie, Maude i Elizabeth, chodziły ze mną do jednej klasy, ostatnio przeskoczyły jednak rok i ukończyły szkołę już w czerwcu. Szczególnie dobrze znałem Maude, bo przez jedno lato pobierałem od jej matki lekcje gry na fortepianie; jej ojciec uczył gry na skrzypcach, a Elizabeth Henderson była jego uczennicą. Sama Maude grała pięknie na skrzypcach i nie dalej niż tydzień temu przeczytałem w gazecie, że została zaproszona do zagrania w programie radiowym w Birmingham; serdecznie mnie to ucieszyło. Lekcje od pani Riordan pobierałem nie dlatego, żebym się chciał naprawdę nauczyć grać na fortepianie; pociągała mnie raczej jej jasnowłosa rozłożystość i ciepła kulturalna rozmowa z nią, gdyśmy siedzieli przed jej wspaniałym instrumentem, pachnącym świeżą politurą; a jeszcze bardziej cieszyło mnie to, co następowało po lekcji, kiedy Maude zapraszała mnie na lemoniadę na chłodnej werandzie od ogrodu. Z zadartym noskiem i uszkami elfa, była impulsywną chudą dziewczyną, która odziedziczyła czarne irlandzkie oczy po ojcu, a po matce platynowe włosy blade jak poranek; w niczym nie przypominała swojej przyjaciółki od serca, melancholijnej

i zamkniętej Elizabeth. Nie wiem, o czym te dziewczęta ze sobą rozmawiały, może o książkach i muzyce. Ale tematem moich rozmów z Maude byli chłopcy, randki, plotki z drogerii. Czy to nie okropne, za jakimi dziewczynami ugania się Riley Henderson? Tak jej żal Elizabeth i czy to nie cudowne, że mimo wszystko chodzi ona z podniesioną głową? Nie trzeba było geniusza, żeby widzieć, że serce Maude rwie się do Rileya, mimo to wydawało mi się przez jakiś czas, że się w niej kocham. W domu ciągle o niej mówiłem, aż w końcu Catherine zauważyła kiedyś:

— Och, ta Maude Riordan jest taka koścista, nie ma jej w co uszczypnąć, chłopak musiałby być ślepy, żeby dla niej stracić głowę.

Ja jednak zrobiłem jej kiedyś bukiet z groszku pachnącego, zaprosiłem ją do restauracji Phila, gdzieśmy zjedli steki, i na koniec zabrałem ją na tańce do hotelu Lola. A po tym wszystkim ona zachowała się tak, jakby nie wiedziała, że będę chciał pocałować ją na dobranoc.

— Bardzo ładnie, że mnie zaprosiłeś, Collin, ale myślę, że to zbędne — oświadczyła.

Byłem oczywiście zawiedziony, ale nie pozwoliłem sobie na rozpamiętywanie tego, więc nasza przyjaźń przetrwała bez większego uszczerbku. Aż któregoś dnia po zakończeniu lekcji pani Riordan nie zadała mi jak zwykle nowego kawałka do nauki; zamiast tego poinformowała mnie delikatnie, że nie widzi możliwości uczenia mnie dalej.

— Lubimy cię bardzo, Collin, i nie muszę ci mówić, że będziemy cię zawsze chętnie widziały w naszym domu. Ale, mój drogi, ty nie masz po prostu talentu do muzyki; cóż, zdarza się, byłoby jednak nieuczciwe udawać, że jest inaczej.

Miała rację, lecz mimo wszystko ugodziło to w moją dumę; poczułem się odepchnięty, czułem żal do Riordanów i stop-

niowo, w miarę jak wypadały mi z głowy wyuczone z trudem kawałki, zaciągałem kurtynę zapomnienia o nich. Z początku Maude zaczepiała mnie po lekcjach i zapraszała do domu, od czego tak czy inaczej zawsze się wymawiałem; zresztą była zima i najchętniej przesiadywałem z Dolly i Catherine w ciepłej kuchni. Catherine dopytywała się, czemu przestałem mówić o Maude, a ja odpowiadałem, że przestałem, bo przestałem i już. Ale chociaż przestałem mówić, nie przestałem najwyraźniej myśleć, bo na jej widok podskoczyło mi serce. I po raz pierwszy zastanowiłem się krytycznie nad naszym położeniem: czy my, Dolly, sędzia i ja, nie stanowimy komicznego widowiska dla Maude i Elizabeth? Mają prawo mnie sądzić, jestem ich rówieśnikiem. Zachowywały się jednak normalnie, tak jakbyśmy się spotkali na ulicy czy w drogerii.

— Jak się ma twój tato, Maude? — zapytał sędzia. — Słyszałem, że czuje się nie najlepiej.

— Nic mu nie jest. Ale wie pan, jacy są mężczyźni, wymyślają sobie zawsze choroby. A pan jak się czuje, panie sędzio?

— To przykre — powiedział sędzia, który nie słuchał. — Przekaż tatusiowi pozdrowienia, powiedz, że na pewno mu się polepszy.

— Dziękuję, przekażę — odparła potulnie Maude.

Rozpostarłszy spódniczkę, opadła na mchy, pociągając za sobą niechętną Elizabeth. Do Elizabeth nikt nie zwracał się zdrobnieniem; jeśli ktoś próbował czasem mówić do niej Betty, po tygodniu była znowu Elizabeth: tak ją ludzie odbierali. Powolna, o kośćcu miękkim jak banan, miała czarne włosy i apatyczną, chwilami niemal świątobliwą twarz; na szyi przypominającej łodygę lilii nosiła emaliowany medalion z miniaturą ojca misjonarza.

— Popatrz, Elizabeth, jaki twarzowy ten kapelusik panny Dolly. Atłasowy, z woalką.

Dolly wyprostowała się, przesunęła dłonią po głowie.

— Ja nie noszę na co dzień kapeluszy. Ale wybieramy się w drogę.

— Słyszałyśmy, że wynieśli się państwo z domu — powiedziała Maude, po czym przyznała otwarcie: — Szczerze mówiąc, całe miasto o tym rozprawia, prawda, Elizabeth?

Elizabeth kiwnęła beznamiętnie głową.

— Ludzie opowiadają dziwne rzeczy. Idąc tutaj, spotkałyśmy Gusa Hama i on mówi, że ta kolorowa Catherine Crook (czy tak się nazywa?) została aresztowana za zdzielenie pani Buster słojem w głowę.

— Catherine — odpowiedziała łamiącym się głosem Dolly — Catherine nie miała z tym nic wspólnego.

— Ktoś to jednak zrobił — nie ustępowała Maude. — Spotkałyśmy panią Buster rano na poczcie, pokazywała wszystkim wielki guz na głowie! Wyglądał groźnie, prawda, Elizabeth?

Elizabeth ziewnęła.

— Jeśli chodzi o moje zdanie — skwitowała sprawę Maude — to ten, kto ją zdzielił, zasłużył na medal.

— O, nie — westchnęła Dolly — to nieładnie! Nie powinno było nigdy się to zdarzyć. Wszyscy nad tym ubolewamy.

Teraz Maude zwróciła wreszcie na mnie uwagę.

— Chciałam właśnie z tobą pomówić, Collin — powiedziała śpiesznie, jakby dla pokrycia zakłopotania; mojego, nie jej. — Urządzamy z Elizabeth zabawę na Halloween, z prawdziwymi strachami, i pomyślałyśmy, że wspaniale by było ubrać cię w kostium kościotrupa i posadzić w ciemnym pokoju, żebyś ludziom wróżył; jesteś taki dobry...

— ...w bajerowaniu — dokończyła Elizabeth.

— A na tym polega przecież wróżenie — uzupełniła Maude. Nie wiem, skąd im przyszło do głowy, że jestem dobry w bajerowaniu; chyba że doceniły mój talent w wymyślaniu

wymówek szkolnych. Odparłem, że to świetny pomysł z tą zabawą.

— Ale lepiej na mnie nie liczcie. Prawdopodobnie będziemy w tym czasie siedzieli w kiciu.

— No, jeśli tak — skapitulowała Maude, przyjmując to jak jedną z moich zwykłych wymówek od wizyt w ich domu.

— Ale, ale, Maude — odezwał się sędzia, przerywając kłopotliwe milczenie, jakie zaległo — zrobiłaś się sławna. Czytałem w gazecie, że masz grać w radiu.

Jakby śniąc na jawie, Maude wyjaśniła, że to finał konkursu stanowego; jeśli wygra, otrzyma w nagrodę stypendium muzyczne na uniwersytecie; nawet drugie miejsce przyniesie jej pół stypendium.

— Będę grała kompozycję taty, serenadę, którą napisał w dniu, kiedy przyszedłem na świat. Ale to niespodzianka, nie chcę, żeby się przedwcześnie dowiedział.

— Poproście, żeby wam to zagrała — odezwała się Elizabeth, otwierając futerał skrzypiec.

Maude była wspaniałomyślna, nie kazała się prosić. Skrzypce koloru wina zaszczebiotały, kiedy je stroiła wtulone pod brodę. Nieopatrzny motyl, siedzący na smyczku, prysnął w górę, gdy smyczek jął sunąć po strunach, wyzwalając muzykę, która zdawała się burzą nadlatujących motyli, wiosennym rozbłyskiem dźwięków w sękatym jesiennym lesie. Powoli melodia robiła się wolniejsza, posmutniała, platynowe włosy Maude opadły na skrzypce. Jęliśmy bić brawo, a kiedy umilkliśmy, dało się słyszeć trwające wciąż klaskanie dodatkowej pary dłoni. Zza ściany paproci wysunął się Riley; na jego widok Maude oblała się pąsem. Nie sędzę, by tak pięknie grała, gdyby wiedziała, że jej słucha.

Riley odesłał dziewczęta do domu, odchodziły niechętnie, ale Elizabeth nienawykła była do nieposłuszeństwa bratu.

— Pozamykaj dobrze drzwi — nakazał jej — a tobie, Maude, byłbym wdzięczny, gdybyś zanocowała u nas. Jeśli ktoś będzie o mnie pytał, mówcie, że nie wiecie, gdzie jestem.

Musiałem mu pomóc wspiąć się na drzewo, bo przyniósł dubeltówkę i plecak ciężki od zapasów: butelki wina różanogronowego, pomarańczy, sardynek, parówek, bułek z piekarni Katydid, olbrzymiego pudła krakersów. Każdy wyjmowany artykuł podnosił nas bardziej na duchu, a Dolly, ujęta pudłem krakersów, oświadczyła, że Riley zasłużył na buziaka.

Z poważnymi minami słuchaliśmy jednak jego relacji.

Kiedy się rozdzieliliśmy w lesie, Riley pobiegł w kierunku krzyku Catherine. Zaprowadziło go to na pole traw i był świadkiem mojej przeprawy z Wielkim Eddiem Stoverem. Spytałem, dlaczego mi nie pomógł.

— Radziłeś sobie świetnie. Wielki Eddie nieprędko cię zapomni, kusztykał, biedak, zgięty wpół.

Licząc na to, że nikt nie wie, iż należy do naszej paczki i że był z nami na drzewie, Riley pozostał w ukryciu; pozwoliło mu to pojechać za Catherine i jej prześladowcami. Zapakowali ją na otwarte tylne siedzenie starego dwudrzwiowego grata Eddiego i powieźli prosto do więzienia, a Riley jechał za nimi swoim autem.

— Nim dojechali, Catherine jakby się trochę uspokoiła. Zebrał się spory tłumek, dzieciaki, kilku starszych farmerów. Dumni byście z niej byli, patrząc, jak kroczy między nimi, przytrzymując podartą suknię, z głową podniesioną, o, tak!

Tu Riley uniósł po królewsku głowę. Jakże często widywaliśmy Catherine z tak wyprostowaną głową, szczególnie gdy ktoś jej robił wyrzuty (za ukrycie jakiejś części układanki, rozpuszczanie plotek, niewstawianie zębów); Dolly, wspominając to wraz z nami, musiała wytrzeć nos.

Ale gdy tylko znalazła się w więzieniu, opowiadał dalej Riley, Catherine zaczęła się znowu awanturować. Bo w więzie-

niu są tylko cztery cele, dwie dla kolorowych i dwie dla białych. I Catherine protestowała przeciw wsadzeniu jej do celi dla kolorowych.

Sędzia pogładził się po brodzie, pokręcił głową.

— A nie udało ci się z nią porozmawiać? Podniosłaby ją na duchu świadomość, że ktoś o niej pamięta.

— Kręciłem się jakiś czas w nadziei, że się pokaże w oknie. Dopóki nie usłyszałem tej drugiej wiadomości.

Wracając do tego myślą, nie rozumiem, jak Riley mógł tak długo zwlekać ze swoją rewelacją. Bo okazało się, ni mniej, ni więcej, że nasz przyjaciel z Chicago, obleśny doktor Morris Ritz, zmył się z miasta, obrabowawszy sejf Vereny z obligacji wartości dwunastu tysięcy dolarów i przeszło siedmiu tysięcy dolarów w gotówce; a jak się później dowiedzieliśmy, nie była to nawet połowa jego łupu. I wiecie co? Połapałem się wówczas, że właśnie tę wiadomość podsłuchałem na polu traw, relacjonowaną szeryfowi przez Willa Harrisa. Nie dziw, że Verena podniosła taki krzyk, jej przeprawa z nami skurczyła się do wymiaru błahostki. Riley dorzucił parę dodatkowych szczegółów. Dowiedział się, że Verena po odkryciu otwartych drzwiczek sejfu (mieścił się on w kantorku, który miała nad swoją pasmanterią) popędziła za róg, do hotelu Lola, gdzie ją poinformowano, że Morris Ritz wyjechał poprzedniego wieczoru. Zemdlała, a gdy ją ocucono, zemdlała ponownie.

Łagodna twarz Dolly się zapadła; w jej piersi wzbierała z jednej strony chęć niesienia pociechy Verenie, z drugiej powstrzymywało ją poczucie godności własnej, siła, która wzięła górę. Posłała mi płaczliwe spojrzenie.

— Lepiej, żebyś się tego dowiedział już teraz, Collin — powiedziała — nie powinieneś czekać, aż zestarzejesz się tak jak ja. Świat jest jednak zły.

Przemiana raptowna jak zwrot wiatru dotknęła teraz sędziego: obawa, że Dolly, uznając niegodziwość świata, wyrzeka go się, przydała mu wieku, przypominał jesień. Ja jednak wiedziałem, że wcale go się nie wyrzeka: nazwał ją wolnym duchem, a jest ona kobietą.

Odkorkowawszy butelkę różano-gronowego wina, Riley nalał topazowego trunku do czterech szklaneczek; po chwili nappełnił piątą, dla Catherine. Podnosząc szklaneczkę do ust, sędzia wzniósł toast:

— Za Catherine, trwajmy przy niej.

Podnieśliśmy za jego przykładem szklaneczki, a Dolly, z oczami rozszerzonymi nagłą porażającą myślą, stwierdziła:

— Och, Collin, my dwoje jesteśmy jedynymi osobami, które rozumieją cokolwiek z tego, co ona mówi!

5

Następny dzień — a była to środa pierwszego października — to dzień, którego nigdy nie zapomnę.

Najpierw zostałem przebudzony nadeptaniem mi na palce przez Rileya. Dolly, która już nie spała, naskoczyła na mnie z miejsca, że mam go przeprosić za zwymyślanie. Uprzejmość, perorowała, jest ważniejsza rano niż o jakiegokolwiek innej porze dnia, szczególnie że się gnieździmy w takiej ciasnocie. Zegarek sędziego, wiszący na gałązce jak wielkie złote jabłko, wskazywał sześć po szóstej. Nie wiem, kto wymyślił taki jadłospis, ale na śniadanie mieliśmy pomarańcze, krakersy i zimne parówki. Sędzia zrzędził, że człowiek nie czuje się człowiekiem, dopóki nie wypije kubka gorącej kawy. Zgodziliśmy się wszyscy, że czego nam brak, to właśnie kawy. Riley ofiarował się, że pojedzie po nią; zasięgnie przy okazji języka, przewącha, jak się sprawy mają. zaproponował, żebym z nim pojechał. Nikt mnie nie zobaczy, uważał, jeśli się skulę na siedzeniu. Sędzia zaproponował, że to nieostrożność, wstawiła się jednak za mną Dolly, widząc, jak bardzo chcę jechać: tak się paliłem do przejażdżki samochodem Rileya, że nie zmroziła mego entuzjazmu nawet perspektywa, że miałby mnie nikt nie zobaczyć. Przesądziła sprawę Dolly.

— Nic się nie stanie, jak pojedziesz. Ale musisz włożyć czystą koszulę, bo na kołnierzyku tej, którą masz na sobie, można sadzić rzepę.

Na polu traw nie było słychać żadnego szmeru, nawet poruszenia bażanta, jego ukradkowego chodu; spiczaste liście sterczały ostre i krwistoczerwone jak strzały po indiańskiej masakrze; łamliwe łodyżki kruszyły się pod naszymi stopami, gdyśmy się wspinali ku cmentarzowi. Widok z góry zapierał dech w piersiach: niekończąca się, rozedrgana tafla Lasu Nadrzecznego, dziesiątki mil zaoranych farmerskich pól, przetykanych wiatrakami, w oddali iglica na wieży sądu, dymiące miejskie kominy. Przystanąłem przy grobie mamy i taty. Nieczęsto ich odwiedzam, przygnębia mnie chłód ich kamiennych nagrobków, który tak się kłóci ze wspomnieniem o nich, pulsujących życiem, z płaczem mamy, kiedy tato jechał sprzedawać swoje lodówki, z rozpaczą, w jakiej wybiegł w godzinę jej śmierci nago na ulicę. Żałowałem, że nie mam jakichś kwiatków do terakotowych wazoników, które straszyły pustką na posmężonym i zabłoconym marmurze. Wybawił mnie Riley: nazrywał rozwijających się pączków pigwowca, a przyglądając się, jak je układam, powiedział:

— Cieszę się, że twoja mama była miłą kobietą. Bo większość to wredne baby.

Nie wiedziałem, czy ma na myśli własną matkę, biedną Rose Henderson, która kazała mu skakać dokoła podwórka i recytować tabliczkę mnożenia. Sądziłem jednak, że się odkuł po tych ciężkich latach. Ma w końcu auto, które kosztowało ponoć trzy tysiące dolarów. I to z drugiej ręki, uważacie. Zagraniczny kabriolet alfa romeo (alfa Romea, żartowano) kupiony w Nowym Orleanie od polityka, którego czekała odsiadka w więzieniu.

Kiedy jechaliśmy z warkotem po niebrukowanej drodze

w stronę miasta, modliłem się, żeby ktoś mnie zobaczył w aucie Rileya Hendersona: są osoby, których spotkanie ucieszyłoby moje serce. Ale było zbyt wcześnie, żeby ktoś się już kręcił, gotowano jeszcze śniadania, z kominów mijanych domów wznosił się dym. Skręciliśmy koło kościoła, objechaliśmy rynek i zaparkowaliśmy na gruntowej uliczce między stacją Coopera a piekarnią Katydid. Tutaj Riley mnie zostawił, przykazując, żebym się nie ruszał: wróci najpóźniej za godzinę. Wyciągnąłem się więc na siedzeniu i słuchałem kłótni wróbli buszujących w stajennej słomie, wdychałem zapach świeżego chleba i aromat ciasta z rodzynkami dochodzący z piekarni. Jej właściciele, państwo C.C. County, rozpoczęli dzień o trzeciej rano, żeby zdążyć ze świeżymi wypiekami na godzinę otwarcia, ósmą. Piekarnia była czystym, zasobnym miejscem. Panią County stać było na najdroższe stroje ze sklepu Vereny. Kiedy tak leżałem, wdychając smakowite zapachy, otworzyły się tylne drzwi piekarni i ukazał pan County z miotłą w ręce, wymiatający ze środka rozsypaną mąkę. Zaskoczył go chyba widok auta Rileya i mnie w nim.

— Co ty tu robisz, Collin?

— Nic szczególnego, proszę pana — odparłem, zastanawiając się, czy wie on już o naszej eskapadzie.

— Dobrze, że to już październik — powiedział, pocierając palce, jakby chłodne powietrze było materia, której może dotknąć. — Lato jest straszne, upał na dworze, a w środku żar pieców. Wiesz co, synu, spodziewamy się pana od pierników, wejdź, to na niego trafisz.

Cóż, nie był to człowiek, który by mnie zwabił do środka i zatelefonował po szeryfa.

Jego żona powitała mnie w korzennym zapachu piekarni, jakby nie mogło jej się przytrafić nic miłszego niż moja wizyta. Trudno było nie lubić pani County. Była to przysadzista kobieta

bez kropli żółci, miała słoniowate nogi, muskularne ramiona, mięsistą twarz stale rozpaloną od żaru, oczy błękitne jak lukier na cieście; jej włosy wyglądały, jakby nimi wymiatała mąkę z beczki, ubrana była w fartuch, który sięgał czubków stóp. Jej mąż nosił podobny fartuch; widywałem go czasami, jak owinięty nim wyskakuje za róg do kawiarni Phila na chwilę ochłody przy piwie. Robił wrażenie umalowanego, upudrowanego, szykownie kanciastego kłowna, powiewającego połami swojego fartucha.

Zrobiwszy miejsce na stole, jego żona podała mi filiżankę kawy i ciepłą tackę bułeczek cynamonowych, za którymi tak przepada Dolly. Pan County zauważył, że może wolałbym coś innego.

— Obiecywałem ci coś. Ale co ja ci obiecywałem? Chyba wizytę pana od pierników.

Jego żona rzuciła na stół kawał ciasta.

— Piernik to dla dzieci. On jest dorosłym mężczyzną, no, prawie. Ile ty właściwie masz lat, Collin?

— Szesnaście.

— To tyle samo co Samuel — powiedziała, mając na myśli syna, którego nazywaliśmy wszyscy Mułem, bo niewiele był od muła bystrzejszy.

Zapytałem, co się z nim dzieje, bo minionej jesieni, nie przeszedłszy po raz trzeci z ósmej klasy, Muł pojechał do Pensacoli i zaciągnął się do marynarki.

— Pisał ostatnio z Panamy — odparła, rozwałkowując ciasto. — Nieczęsto mamy od niego wiadomości. Napisałam mu raz, napisałam: „Samuel, jak się nie poprawisz z pisaniem, to ja zawiadomię prezydenta, ile ty naprawdę masz lat”. Bo rozumiesz, zaciągnął się, podając nieprawdziwy wiek. Byłam wtedy wściekła, winiłam o wszystko pana Handa w szkole, to przez niego Samuel się zaciągnął, nie mógł ścierpieć, że pokutuje

ciągle w ósmej klasie, wyrósł taki wielki, a siedzi wśród dzieciaków. Ale teraz widzę, że pan Hand miał rację: byłoby to nieuczciwe w stosunku do was, pozostałych chłopców, gdyby go przepuścił do następnej klasy, skoro Samuel się nie przykładał do nauki. Więc może tak powinno być. C.C., pokaż Collinowi zdjęcie.

Na zdjęciu na tle palm i prawdziwego morza stało czterech szczerzących zęby marynarzy, splecionych ramionami; u spodu widniały słowa: „Niech Bóg błogosławi Mamę i Tatę, Samuel”. Napęliło mnie to goryczą. Taki Muł ogląda świat, a ja tu, cóż, może rzeczywiście zasługuję tylko na piernik. Kiedy oddałem zdjęcie, pan County powiedział:

— Jestem za tym, żeby młodzi chłopcy służyli krajowi. Niestety tylko, że Samuel dobiegł właśnie wieku, kiedy mógłby nam pomagać w piekarni. Nie musielibyśmy polegać na samych najemnych czarnuchach. Tylko kłamią i kradną, nigdy nie wiadomo, czego się po nich spodziewać.

— Nie mieści mi się w głowie, dlaczego C.C. wygaduje takie rzeczy — zaprotestowała jego żona, sznurując wargi. — Wie, jak mnie to irytuje. Kolorowi nie są w niczym gorsi od białych, a zdarza się, że są lepsi. Powtarzam to ludziom przy różnych okazjach. Jak teraz ta historia z Catherine Creek. Może i jest trudna, nieobliczalna, ale niełatwo znaleźć drugą taką porządną kobietę. A-a, przypomina mi to, miałam zamiar posłać jej obiad do więzienia. Bo szeryf na pewno nie prowadzi za dobrej kuchni.

Bardzo rzadko, gdy coś się popsuje, daje się naprawić. Świat o nas wie: nigdy nie będzie nam już ciepło, czeka nas mroźna zima na drzewie. Puściłem wodze wyobraźni i rozbeczałem się, rozbeczałem, rozkleiłem jak szmata na deszczu. Zbierało mi się na płacz, odkąd uciekliśmy z domu. Pani County zaczęła się sumitować, że może czymś mnie uraziła; jęła mi wycierać

twarz roboczym fartuchem i po chwili się zaśmiewaliśmy, nie mogąc się powstrzymać na widok papki z mąki i łez rozsmarowywanej na moich policzkach. Poczuję się zaraz lepiej, ulżyło mi, spadł mi kamień z serca, jak to ludzie mówią. Pan County, zażenowany moim wybuchem, w męskiej reakcji, którą rozumiałem, ale która mnie nie zawstydziła, usunął się na front sklepu.

Pani County naląła sobie kawy i usiadła.

— Nie roszczę sobie pretensji do rozumienia wszystkiego, co zaszło — powiedziała. — Z tego, co słyszę, panna Dolly wyniosła się z domu z powodu jakiegoś nieporozumienia z Vereną.

Chciałem sprostować, że sprawa jest bardziej złożona, ale gdy spróbowałem sobie uzmysłwić rozwój wydarzeń, naszły mnie wątpliwości, czy rzeczywiście tak było.

— Może to brzmieć, jakbym miała coś przeciwko Dolly — ciągnęła pani County z namysłem — ale tak nie jest. Uważam jednak, że powinniście wrócić wszyscy do domu; Dolly pogodzi się z Vereną, zawsze to robiła, a nie zmienia się postępowania na tym etapie życia. Poza tym to zły przykład dla miasta, dwie skłócone siostry, jedna mieszkająca na drzewie. I ten sędzia Charlie Cool, po raz pierwszy zaczynam współczuć jego synom. Szacowni obywatele powinni świecić przykładem, inaczej całe miasto schodzi na psy. Widziałeś na przykład ten wóz na rynku? No, to idź zobacz. Rodzina kowbojów. Ponoć świeccy kaznodzieje, mówi C.C., a ja wiem, że wywołują tylko zgorzienie w mieście. I ma to podobno jakiś związek z Dolly. — Nadmuchała z irytacją papierową torbę. — Powiedz jej, Collin, żeby wracała do domu. I masz tu, weź parę bułeczek cynamonowych. Dolly za nimi przepada.

Kiedy wyszedłem z piekarni, zegar na wieży sądu wybijał ósmą, co znaczy, że było wpół do ósmej. Ten zegar od zawsze

śpieszy się pół godziny. Sprowadzono kiedyś zegarmistrza, żeby go nastawił, a ten po niemal tygodniowym majstrowaniu oświadczył, że jedyne lekarstwo na niego to pałeczka dynamitu, mimo to rada miejska większością głosów postanowiła wypłacić mu pełne honorarium, bo panowało powszechne poczucie dumy z zegara, który okazał się tak krnąbrny.

Na rynku paru sklepikarzy przygotowywało się do otwarcia swoich przybytków: chmury wymiatanego pyłu zasnuwały wejścia, taczki ze śmieciami budziły swoim skrzypieniem chłodne, kociociche ulice. W Rannym Ptaszku, sklepie spożywczym lepszym od Centowego Raju, w którym zakupy robi Verena, dwaj kolorowi chłopcy dekorowali wystawę puszkami hawajskich ananasów. Po południowej stronie rynku, za wypłatanymi ławkami, na których o wszystkich porach roku przesiadują apatyczni starcy dochodzący krańca swoich dni, zobaczyłem wóz, o którym mówiła pani County; była to w rzeczywistości wiekowa ciężarówka, pokryta brezentem na podobieństwo dawnych wozów z Dzikiego Zachodu. Sprawiała na rynku wrażenie zagubionej, nie na miejscu. Jej szoferkę zwieńczał napacykowany, wielki szyld, sterczący jak płetwa rekina: „Pozwólcie Małemu Homerowi schwytać swoją duszę na lasso dla Pana”. Po drugiej stronie szyldu wymalowana była łuszcząca się farbą zielonkawa głowa z wyszczerzonymi zębami, w kowbojskim kapeluszu. Nie wziąłbym tego za ludzką podobiznę, gdyby nie podpis głoszący: „Cudowne dziecko Mały Homer Honey”.

Nie było tu nic więcej do zobaczenia, bo przy ciężarówce nikt się nie kręcił, więc skierowałem się w stronę więzienia, pudełkowatej ceglanej budowli stojącej obok przedstawicielstwa Forda. Byłem kiedyś w środku. Zabrał mnie tam wraz z tuzinem innych chłopców i mężczyzn Wielki Eddie Stover; przyszedł do drogerii i powiedział: „Chodźcie ze mną, jeśli chcecie

zobaczyć prawdziwy dziw”. Tym dziwem był przystojny, chudy młody Cygan, którego wyciągnięto z pociągu towarowego; wielki Eddie dał mu dwudziestopięciocentówkę i kazał spuścić spodnie; nikt z nas nie wierzył własnym oczom, a jeden z mężczyzn powiedział: „Chłopie, masz do dyspozycji taki łom i ty pozwalasz się trzymać za kratkami?”. Przez długie tygodnie wiedzieliśmy, które dziewczyny słyszały tę historię: chichotały za każdym razem, kiedy przechodziły koło więzienia.

Boczną ścianę więzienia zdobi osobliwe malowidło. Pytałem o nie Dolly, która mówi, że za jej młodości była to reklama słodyczy. Jeśli to prawda, litery się zatarły; pozostał kredowy malunek: dwa szybujące anioły, różowe jak flamingi, dmą w trąby, zawieszzone nad olbrzymim rogiem obfitości, z którego wysypują się bakalie; spłwiałały fresk wyczarowany na cegle przypominał wyblakły tatuaż, na którym uwiecznione anioły majaczą w słońcu jak skradające się duchy. Wiedziałem, na jakie ryzyko się narażam, parując tak w biały dzień; mimo to przeszedłem koło więzienia, zawróciłem, zagwizdałem, w końcu zawołałem cicho: „Catherine, Catherine”, w nadziei, że ją ściągnę do okna. Wiedziałem, które jest jej okno: na parapecie błyszczało akwarium ze srebrnymi rybkami; była to jedyna rzecz, jak się później dowiedzieliśmy, o której przyniesienie poprosiła. Falowanie pomarańczowych płetw w wodzie przypomniało mi poranek, kiedy pomagałem Dolly szukać na strychu koralowego zamku i perłowych kamyków. Od tego się wszystko zaczęło. I nagle zmroziła mnie myśl, jak się może skończyć, jeśli Catherine, pod dyskretną obserwacją, zostanie przyłapana na wyglądaniu oknem. Żeby nie podeszła do tego okna, jałem się modlić, i po chwili nikogo by już nie zobaczyła, bo zawróciłem i uciekłem.

Riley kazał mi na siebie czekać przez bite dwie godziny. Wrócił taki wściekły, że nie ważyłem się okazać mu własnego

humoru. Okazało się, że wpadł do domu i zastał Anne i Elizabeth, a także Maude Riordan, która spędziła u nich noc, wylegujące się jeszcze w łózkach; na domiar złego salon był pełen butelek po coca-coli i niedopałków papierosów. Maude wzięła na siebie całą winę, oświadczyła, że to ona zaprosiła paru chłopców, żeby posłuchać wspólnie radia i potańczyć; ale ukarane zostały siostry. Riley wyciągnął je z łóżka i spuścił im baty. „Jak to — spytałem — spuściłeś im baty?”. Tak, położył je na kolanie, wyjaśnił, i sprzął im tyłki tenisówką. Nie potrafiłem sobie tego wyobrazić: nie licowało to z godnością Elizabeth. „Za surowy jesteś dla tych dziewczyn — powiedziałem i dodałem mściwie: — To Maude, ona jest wszystkiemu winna”. Przyjął to z powagą, powiedział, że faktycznie, chciał jej także sprawić lanie, chociażby za to, że go obrzuciła wyzwiskami, jakich by nikomu nie przepuścił; ale nim jej dopadł, czmychnęła tylnymi drzwiami. Pomyślałem sobie, że może teraz Maude będzie miała z nim na pieńku.

Niesforne włosy Rileya lepiły się od brylantyny, pachniał wodą bżową i talkiem. Nie musiał mi mówić, że był u fryzjera ani dlaczego.

W owym czasie zakład fryzjerski prowadził niezwykły osobnik, który wycofał się później z interesu, Amos Legrand. Ludzie tacy jak szeryf, a mówiąc prawdę, także Riley Henderson i, jak się zastanowić, właściwie wszyscy, mówili o nim „ta stara ciota”. Ale na dobrą sprawę nikt nie miał nic przeciwko niemu, wszyscy go lubili i dobrze mu życzyli. Przypominał zwinną małą małpkę, musiał stać na stołku, jak kogoś strzygł, a terkotał jak para kastanietów. Do wszystkich stałych klientów zwracał się per „złotko”, do mężczyzn i do kobiet, bez różnicy.

— Złotko, najwyższa pora przystrzyc wreszcie te loki, myślałem już, czyby panu nie zafundować szpilek do włosów.

Amos miał jeden nieoceniony dar: mógł paplać bez wy-

tchnienia o sprawach interesujących zarówno biznesmenów, jak dziesięcioletnie dziewczynki, o wszystkim, od ceny, jaką Ben Jones wytargował za swój zbiór orzeszków ziemnych, do listy gości, jakich Mary Simpson zamierza zaprosić na swoje urodziny. Było rzeczą oczywistą, że Riley uda się do niego po wiadomości. Przekazywał mi je w swój zwykły sposób, ale ja widziałem Amosa, słyszałem jego terkot kolibra.

— Tak to jest, złotko, jak się nie pilnuje pieniędzy. Ale nikt się nie spodziewał czegoś takiego po Verenie Talbo! Wszyscy uważali, że ona biegnie do banku z każdymi dziesięcioma centami, jakie jej wpadną w ręce. Dwanaście tysięcy siedemset dolarów! A na tym nie koniec. Domyślaliśmy się, że Verena weszła w spółkę z tym doktorem Ritzem, dlatego kupiła tę starą fabrykę konserw. Ale kto by przypuszczał, że dała Ritzowi przeszło dziesięć tysięcy na zakup maszyn i Bóg wie czego jeszcze, a teraz się okazuje, że on nie kupił nic za jednego złamanego centa. Schował wszystko do własnej kieszeni. I nie zostawił po sobie najmniejszego śladu; jeśli kiedykolwiek go znajdą, to pewnie gdzieś w Ameryce Południowej. Ja nigdy nie przypuszczałem, żeby między tymi dwojgiem dochodziło do jakichś małych figlów, Verena jest na to zbyt uważająca; złotko, ten Żyd miał najgorszy łupież, jaki w życiu widziałem. Ale taka trzeźwa kobieta jak ona... Może jednak straciła dla niego głowę. A do tego ta cała historia z jej siostrą i huczek wokół tego. Nic dziwnego, że doktor Carter aplikuje Verenie zastrzyki. A już zupełnie nie rozumiem sędziego Coola: chce się na śmierć przeziębnić na tym drzewie?

Wyjeżdżaliśmy z miasta w szaleńczym tempie: pac, miazga, owady rozgniecione na szybie. Śmigał koło nas suchy, wykrochmalony niebieski dzień, nie było ani jednej chmurki. Ale przysięgam, że czułem w kościach nadciągającą burzę. To zwykła dolegliwość starszych ludzi, ale rzadka u kogoś tak

młodego. Jest to takie uczucie, jakby się czuło wilgotne pulsowanie grzmotu w stawach. Sądząc po bólu, byłem pewien, że nadciąga ni mniej, ni więcej, tylko huragan. Powiedziałem to Rileyowi, który odrzekł, żebym nie plótł głupstw: „Oszalałeś, popatrz na niebo”. Zakładaliśmy się o to, kiedy skręcając w ten niebezpieczny skrót do cmentarza, Riley zeszywniał i wdepnął hamulec: wpadliśmy w poślizg dostatecznie długi, żeby dokonać przeglądu życia.

Nie była to wina Rileya, drogę blokowała wlokąca się jak kulawa krowa ciężarówka Małego Homera Honeya. Zatrzymała się z klekotem zamierającego motoru. Po chwili z szoferki wynurzył się kierowca. Kobieta.

Nie była młoda, ale z kołysania jej bioder biła radość życia, a jej piersi ocierały się o brzoskwiniową bluzkę, kłuły ją w jakże ponętny sposób. Miała na sobie irchową spódniczkę z frędzelkami i kowbojskie buty do kolan, co stanowiło jawne nieporozumienie, gdyż nie ulegało wątpliwości, że w pełni ukazane, nogi stanowiłyby jej największy atut. Oparła się o drzwi ciężarówki. Jej powieki opadły, jakby ich rzęsy stanowiły nieznośny ciężar; koniuszkiem języka zwilżyła bardzo czerwone wargi.

— Dzień dobry, chłopcy — powiedziała przeciągłym, wolno płynącym głosem. — Moglibyście mi wskazać drogę?

— Co wy sobie wyobrażacie, u diabła? — naskoczył na nią Riley. — O mało się przez was nie wywróciliśmy.

— Dziwię się, że się z tym wyrywasz — powiedziała kobieta, podrzucając przyjaźnie dużą głowę; włosy, wymyślnego morelowego koloru, miała zwinięte w pedantyczne loki rozsypane jak bezdźwięczne dzwonki. — Pędziłeś jak wariat, kochany — zganiała pobłażliwie Rileya — znacznie ponad dozwoloną szybkość. Taka jazda jest niedopuszczalna, szczególnie tutaj, gdzie wszystko jest zakazane.

— Zakazana to powinna być ta wasza landara — odciął się Riley. — Taka kupa złomu nie powinna być dopuszczona do ruchu.

— Wiem, kochany — roześmiała się kobieta. — Chętnie się wymienimy. Chociaż obawiam się, że byśmy się nie pomieścili w tym waszym autku; ciasnawo nam nawet w naszym. Nie poczęstowalibyście mnie papierosem? To bardzo uprzejmie z waszej strony, dzięki.

Kiedy zapalała papierosa, zauważyłem, jakie chude ma dłonie, chude i spierzchnięte; jej paznokcie były nieumalowane, a jeden czarny, jakby go przytrzasnęła drzwiami.

— Podobno tu gdzieś znajdziemy niejaką pannę Talbo. Dolly Talbo. Mieszka jakoby na drzewie. Nie moglibyście nam łaskawie wskazać...

Za jej plecami wysypywał się z ciężarówki jakby cały sierociniec. Maluchy ledwo chodzące na krzywych rachitycznych nóżkach, płowe łebki ze smarkami u nosa, dziewczyny dorosłe do noszenia staników, wybujale chłopaki, niektóre męskiego wzrostu. Doliczyłem się dziesiątki, włącznie z parą zezowatych bliźniąt i niemowlęciem w pieluszce dźwiganym przez nie więcej niż pięcioletnie dziecko. A wciąż ich przybywało jak królików wyciąganych przez sztukmistrza z kapelusza: mnożyli się, aż droga się gęsto zaludniła.

— To wszystko pani dzieci? — spytałem, zdumiony, bo przy powtórnej próbie doliczyłem się piętnastki.

Pętał się wśród nich chłopiec, może dwunastoletni, w cienkich drucianych okularkach i wielkim kowbojskim kapeluszu; wyglądał jak chodzący grzyb. Większość tej dzieciarni miała na sobie jakiś kowbojski akcent, buty czy przynajmniej chustę jak na rodeo. Stanowili jednak żalosną gromadkę, zagłodzoną, jakby przez lata żywili się gotowanymi kartoflami i cebulą. Skupili się wokół ciężarówki, upiornie spokojni, z wyjątkiem maluchów, które bębniły w reflektory i huśtały się na błotnikach.

— Jasne, że moje, wszystko moje — odpowiedziała kobieta, opędzając się od małej dziewczynki, która próbowała jej się wspinać po nodze. — Czasami mi się wydaje, żeśmy przygarnęli po drodze jedno czy dwoje nie swoich — dodała ze wzruszeniem ramion, a kilkoro dzieci się uśmiechnęło. Widać było, że ją ubóstwiają. — Ojcowie niektórych nie żyją, innych pewno żyją. Tak czy inaczej, nie zaprzątamy sobie nimi głowy. Wy, zdaje się, nie byliście wczoraj na naszym spotkaniu. Ja jestem siostra Ida, matka Małego Homera Honeya.

Chciałem wiedzieć, który to Mały Homer. Zamrugła, wskazując chłopca w okularach, na co ten zakołysał się w swoim kapeluszu i pozdrowił nas:

— Niech będzie pochwalony. Kupcie gwizdek.

Wydał policzki i zagwizdał.

— Takim gwizdkiem — wyjaśniła jego matka, odgarniając włosy — można napędzić diabłu stracha. Mają te gwizdki także różne praktyczne zastosowania.

— Dwadzieścia pięć centów — sprecyzował chłopiec.

Miał małą zatroskaną buzię, białą jak krem. Kapelusz zsunął mu się na oczy. Kupiłbym gwizdek, gdybym miał pieniądze. Jasne było, że są głodni. Riley pomyślał widać to samo, bo wyciągnął pięćdziesiątkę i wziął dwa gwizdki.

— Niech Bóg was błogosławi — podziękował Homer, po czym wsunął monetę między zęby i mocno zagryzł.

— Tyle jest teraz w obiegu fałszywych pieniędzy — wyjaśniła przepaszająco jego matka. — Wydawałoby się, że w naszej działalności nie powinniśmy napotykać takich problemów — dodała z westchnieniem. — Ale gdybyście nam mogli wskazać drogę... Nie zajedziemy daleko, kończy nam się benzyna.

Riley odrzekł jej, że traci czas.

— Nie ma tam już nikogo — powiedział, zapalając motor.

Za nami zatrafił kierowca, któremu blokowaliśmy drogę.

— Nie mieszka już na drzewie? — Żałosny głos kobiety wzniosł się ponad niecierpliwy warkot. — A gdzie ją możemy znaleźć? — Wyciągniętymi dłońmi chciała jakby zatrzymać nasze auto. — Mamy do niej ważny interes...

Riley poderwał auto. Odwróciwszy się, patrzyłem, jak we wznoszącym się tumanie pyłu odprowadzają nas wzrokiem. Zwróciłem się do Rileya z wyrzutem, że powinniśmy byli się dowiedzieć, czego chcą.

— Ja chyba wiem — odparł.

* * *

Wiedział rzeczywiście dużo: Amos Legrand oświecił go dokumentnie co do siostry Idy. Chociaż w naszym mieście pojawiła się ona po raz pierwszy, Amos, który czasami podróżuje, natknął się na nią kiedyś na jarmarku w Bottle, stolicy pobliskiego hrabstwa. Nie była ona również nieznaną wielebnemu Busterowi, który gdy tylko przyjechała do miasta, odszukał szeryfa i zażądał zakazania trupie Małego Homera Honeya urządzania u nas jakichkolwiek spotkań. Nazwał ich hochsztaplerami i poinformował, że ta tak zwana siostra Ida znana jest w sześciu stanach jako notoryczna dziwka; pomyśleć tylko: piętnaścioro dzieci i ani śladu męża! Amos sądził, że nie była ona w ogóle nigdy zamężna, uważał jednak, że kobieta tak przedsiębiorcza zasługuje na szacunek. Szeryf zaś oświadczył, że i bez tego nie brak mu kłopotów; a co do tamtych wariatów, to może mają oni świętą rację: siedzą na drzewie i nikomu nie wadzą; on sam gotów by się do nich przyłączyć. Pastor Buster orzekł, że w takim razie nie nadaje się on na szeryfa i powinien oddać swoją odznakę. Siostra Ida tymczasem, nieniepokojona przez czynniki oficjalne, zapowiedziała pod dębem na rynku wieczór modlitw i cudów. Wędrowni kaznodzieje cieszą się

wzięciem w naszym mieście, a muzyka, śpiewy, okazja do gromadzenia się pod gołym niebem przyciągają ludzi. Siostra Ida i jej rodzina przypadli im szczególnie do gustu; nawet Amos, tak zwykle krytyczny, powiedział Rileyowi, że dużo stracił, nie oglądając tego: te dzieciaki umieją naprawdę śpiewać, a już prawdziwy popis dał ten Mały Homer Honey, tańcząc i rzucając lassem. Bawili się świetnie wszyscy z wyjątkiem pastorostwa Busterów, którzy postanowili zrobić z tego aferę. Co ich ostatecznie rozsierdziło, to kiedy dzieciaki rozwinęły Bożą Linę, sznur do bielizny ze spinkami, do których można było przyczepiać datki. Osoby, które nigdy nie dały dziesięciu centów na tacę u pastora Bustera, przyczepiały do sznura banknoty dolarowe. Tego już było dla wielebnego za wiele. Pobiegł do domu na Talbo Lane i odbył pokrętną rozmówkę z Vereną, bez której poparcia, wiedział, nie doprowadzi do żadnej akcji. Według Amosa podburzył Verenę do działania relacją, że jakaś lafirynda, prowadząca rzekomą działalność kaznodziejską, napiętnowała Dolly jako niewierzącą, nieprzyjaciółkę Jezusa, i że Verena w obronie nazwiska Talbo winna doprowadzić do przepędzenia tej kobiety z miasta. Wątpliwe, żeby siostra Ida słyszała kiedykolwiek przedtem nazwisko Talbo. Ale Verena, jakkolwiek chora, przystąpiła z miejsca do działania, zadzwoniła do szeryfa i powiedziała: „Słuchaj, Junius, domagam się przepędzenia tych włóczęgów za granicę hrabstwa”. Miało to ciężar gatunkowy rozkazu, a nasz Buster uznał za swój święty obowiązek dopilnować, żeby został on wprowadzony w czyn. Udał się z szeryfem na rynek, gdzie siostra Ida ze swoim przychówkiem sprzątała po spotkaniu. Doszło do faktycznej szamotaniny, głównie dlatego, że Buster, gardłując o nielegalnym dochodzie, zażądał konfiskaty datków z Bożej Liny. Dopiął swego, chociaż dorobił się przy tym paru siniaków. Nie odwrócił sytuacji fakt, że część świadków zajścia stanęła

po stronie siostry Idy: szeryf zapowiedział jej, że ma opuścić miasto do południa następnego dnia.

Wysłuchawszy tego, spytałem Rileya, czemu, skoro ci ludzie zostali fałszywie oskarżeni, nie okazał im pomocy. Nigdy byście nie zgadli, co mi odpowiedział. Z największą powagą oświadczył, że nie może dopuścić, żeby Dolly zetknęła się z taką rozpustną kobietą.

* * *

Pod drzewem trzaskało ognisko; Riley zbierał gałązki do dorzucania, a sędzia, z oczami łzawiącymi od dymu, krzątał się koło naszego południowego posiłku. My wspięliśmy się bezczynnie na drzewo, Dolly i ja.

— Obawiam się — powiedziała, rozkładając pasjansa — że Verena nigdy nie zobaczy swoich pieniędzy. Ale wiesz co, Collin, myślę, że nie utrata pieniędzy najbardziej ją boli. Z jakiegoś powodu ona mu zaufała, temu doktorowi Ritzowi. Ciągle mam też w pamięci Maudie Laurę Murphy, dziewczynę, która pracowała na poczcie. Trzymały się z Vereną bardzo blisko. I to był dla Vereny wielki cios, kiedy Maudie spiknęła się z tym handlarzem spirytualiów i wydała za niego. Trudno mieć jej to za złe, skoro go pokochała. Ale kto wie, czy Maudie Laura i doktor Ritz to nie były jedyne dwie istoty, którym Verena zaufała w życiu, i obie... To może człowiekowi złamać serce. — Przekładała nieuważnie karty. — Ale ty coś mówiłeś o Catherine?

— O złotych rybkach. Widziałem je w oknie.

— Ale Catherine nie widziałeś?

— Nie, tylko jej rybki. Pani County była bardzo miła, powiedziała, że pośle Catherine obiad do więzienia.

Dolly przełamała jedną z jej bułeczek cynamonowych, wydłubała kilka rodzynek.

— Collin, a gdybyśmy im tak ustąpili i dali za wygraną? Musieliby wtedy wypuścić Catherine, prawda? — Jej oczy powędrowały ku szczytowi drzewa, jakby szukały prześwitu między liśćmi. — Myślisz, że... że powinnam skapitulować?

— Pani County uważa, że należałoby wrócić do domu.

— A powiedziała dlaczego?

— No... coś tam mówiła. Bo zawsze wracałaś. Zawsze szukałaś zgody.

Dolly się uśmiechnęła, obciągnęła długą spódnicę; promienie słońca malowały na jej palcach pierścienie.

— Czy ja miałam jakiś wybór? Czy mogłam robić, co chciałam? Kierować się w życiu własnymi decyzjami? To byłaby zgoda, prawdziwa zgoda. — Opuściła wzrok na scenę w dole, na Rileya łamiącego gałązki i sędziego pochylonego nad dymiącym garnkiem. — Dla Charliego, sędziego, to byłby okropny zawód, gdybyśmy się poddali. A on mi jest — splotła palce z moimi palcami — bardzo drogi.

Niekończąca się pauza wydłużała chwilę, serce podskoczyło mi w piersi, drzewo zamykało się nad nami jak wielki parasol.

— Bo dziś rano, jak was nie było, sędzia mi się oświadczył.

Jakby słysząc jej słowa, sędzia się wyprostował, chłopięcy uśmiech przywrócił młodzieńczość jego twarzy. Pomachał nam; nie sposób było nie zauważyć promiennego wyrazu twarzy Dolly, kiedy mu machała w odpowiedzi. Mogło się wydawać, że oto oczyszczony został stary portret i podnosząc wzrok, odkrywa człowiek świeży blask, niedostrzegane dotąd jaśniejsze barwy; cokolwiek się stanie, Dolly nie będzie już cieniem kryjącym się po kątach.

— Och, Collin, nie rób takiej nieszczęśliwej miny — powiedziała z wyrzutem, jak sądzę, o coś, co odczytała jako moją dezaprobatę.

— Ale czy ty...?

— Nigdy nie zdobyłam swobody podejmowania własnych decyzji. Jak ją uzyskam, jeśli Bóg pozwoli, będę wiedziała, co robić. Kogo jeszcze widziałeś w mieście? — zapytała, zmieniając ponownie temat.

Może próbowałbym coś wymyślić, jakąś historyjkę dla przykucia jej uwagi, bo zdawała się wybiegać myślą w przyszłość, podczas gdy ja, niezdolny dotrzymać jej kroku, pozostawałem w tyle. Okazało się to jednak niepotrzebne, gdyż w miarę jak opisywałem siostrę Idę, jej wóz i dzieci, opowiadałem o ich przeprawie z szeryfem, spotkaniu ich na drodze i ich rozpytywaniu się o kobietę na drzewie, nasza myśl zaczęła znów płynąć jednym nurtem jak rzeka rozdzielona na chwilę przez wyspę. Chociaż głupio by było, gdyby Riley słyszał, że go zdradzam, posunąłem się do powtórzenia, co powiedział: że kobieta pokroju siostry Idy to niewłaściwe towarzystwo dla Dolly. Uśmieła się z tego setnie, po czym oświadczyła z nagłą trzeźwością:

— Ależ to niegodziwe zabierać dzieciom chleb od ust, i to z powołaniem się na moje imię. Wstyd! — Poprawiła z determinacją kapelusz. — Collin, zbieraj się! Zrobimy sobie mały spacer. Założę się, że ci ludzie są jeszcze tam, gdzieście ich zostawili. Zresztą zobaczymy.

Sędzia próbował ją bezskutecznie powstrzymać, po czym kapitulując, oświadczył, że jeśli już Dolly chce się koniecznie przespacerować, to on musi nam towarzyszyć. Dolly osłodziła znacznie gorycz mojej zazdrości, gdy odparła, żeby lepiej pilnował swojego gotowania: ona będzie bezpieczna w towarzystwie Collina, zresztą chce tylko trochę rozprostować nogi.

Jak zawsze, i tym razem nie było sposobu przynaglenia Dolly do pośpiechu. Miała zwyczaj, nawet gdy padało, iść wolnym kroczkiem po najzwyklejszej ścieżce, jakby spacerowała po parku, wypatrując składników do swoich cennych

lecniczych wywarów, poleju, złocienia czy mięty, ziół, których zapachem przesiąknięte było jej ubranie. Spostrzegąca wszystko pierwsza, punktem jej honoru było, żeby to ona, nie ktoś inny, odkrywał rozmaite rzeczy: obrączkę zgubioną przez ptaka, okap pełen sopli; co chwila wołała, żeby przyjść zobaczyć to chmurę przypominającą kota, to gwiazdy uformowane w kształt okrętu, to twarz na zamarznętej szybie. Powolnym krokiem przemierzaliśmy pole traw, Dolly wypychała kieszenie zwiędłym mniszkiem, znalazła bażancie pióro; myślałem, że słońce zajdzie, nim znajdziemy się na drodze.

Szczyściem nie musieliśmy daleko iść: doszedłszy do cmentarza, ujrzeliśmy siostrę Idę z całą rodziną, biwakujących między grobami, coś na kształt smętnego placu zabaw. Dwie starsze siostry strzygły zezowatych bliźniaków, Mały Homer pucował buty śliną i liśćmi. Prawie dorosły chłopak, oparty plecami o płytę nagrobną, wygrywał melancholijną melodię na gitarze. Siostra Ida karmiła niemowlę, które skulone u jej piersi przypominało różowe ucho. Nie podniosła się na nasz widok.

— Jeśli się nie mylę, siedzi pani na moim tatusiu — oznajmiła Dolly.

Był to istotnie grób pana Talbo i siostra Ida, obróciwszy się do nagrobka (Uriah Fenwick Talbo, 1844—1922, dobry żołnierz, kochany mąż, kochający ojciec), powiedziała na głos: „Przepraszam, żołnierzu”. Zapięła bluzkę, wywołując głośny lament niemowlaka, i zaczęła się podnosić.

— O, niech pani nie wstaje. Ja tylko... chciałam się przedstawić.

Siostra Ida wzruszyła ramionami.

— I tak zaczął mnie już gryźć — powiedziała, masując bolące miejsce. — To znowu ty! — Zmierzyła mnie z rozbawieniem. — A gdzie twój kolega?

— Słyszę, że... — Dolly urwała, zaskoczona gromadą oblegających ją dzieci. — ...pani... — podjęła, ignorując chłopca nie większego niż kucyk, który zadartłszy jej spódnicę, lustrował uważnie jej uda — pani mnie szukała? Jestem Dolly Talbo.

Przełożywszy niemowlaka na drugą rękę, siostra Ida objęła, więcej, uścisnęła Dolly i oświadczyła, jakby były najstarszymi przyjaciółkami:

— Wiedziałam, że mogę na was liczyć. Dzieci — podniosła niemowlaka jak policjant pałkę — powiedzcie pani Dolly, że nie pisnęliśmy na nią nigdy złego słowa!

Dzieci potrząsnęły głowami, zamamrotały chórem. Dolly zdawała się wzruszona.

— Nie możemy tak wyjechać z miasta, mówiłam im to — oznajmiła siostra Ida i wdała się w opowieść o ich perypetiach.

Żałowałam, że nie mogę ich razem sfotografować, Dolly sztywnej, tak niedzisiejszej jak jej staromodna woalka, i siostry Idy o soczystych wargach i niestroniących od uciech biodrach.

— Jesteśmy bez pieniędzy, wszystko nam zabrali. Powinno ich się aresztować, tego obmierzłego Bustera i tego, jak mu tam, szeryfa: ma się za King Konga. — Wciągnęła dech, policzki poczerwieniały jej jak maliny. — Jeśli chcecie znać prawdę, to jesteśmy uziemieni. Nawet gdybyśmy o pani słyszeli, to nie mamy zwyczaju nikogo obmawiać. Och, wiemy, że te oskarżenia to był tylko pretekst, ale pomyślałam sobie, że pani by to mogła sprostować...

— Mój Boże, ja nie jestem właściwą osobą — zaprotestowała Dolly.

— Tylko co my mamy robić? Z dwoma litrami benzyny, może nawet mniej, z piętnastoma buziami do karmienia i kapitałem dolara i dziesięciu centów? Lepiej byśmy się mieli w więzieniu.

— Ale ja mam przyjaciela — oznajmiła na to dumnie Dolly — mądrego człowieka, on będzie wiedział, co robić. — Radosna pewność jej głosu świadczyła, że święcie w to wierzy. — Leć przodem, Collin, i zawiadom sędziego, że będziemy mieli gości na obiedzie.

Popędziłem jak strzała przez pole, tylko trawy smagały mnie po nogach. Ciekaw byłem wyrazu twarzy sędziego i nie zawiodłem się.

— Dobry Boże! — wykrzyknął, poderwał się, pokręcił głową. — Szesnaścioro ludzi!

Rzuciwszy okiem na rzadki gulasz perkoczający na ogniu, stuknął się w czoło. Ja robiłem niewinną minę, udając wobec Rileya, że nie przyłożyłem ręki do spotkania Dolly z siostrą Idą, on jednak stał, piorunując mnie wzrokiem; doszłoby może do wymiany gorzkich słów, gdyby sędzia nie popędził nas do roboty. Podsycił ogień, Rileya posłał po więcej wody, po czym zaczęliśmy wrzucać do garnka sardynki, parówki, zielone listki bobkowe, prawdę mówiąc, wszystko, co nam wpadło w ręce, włącznie z całą paczką słonych krakersów, które, uważał sędzia, pomogą zagęścić gulasz; przez pomyłkę zaplątało się też parę innych rzeczy, na przykład fusy od kawy. Osiągnąwszy stan nienaturalnej wesołości zadowolonych z siebie kucharzy, mieliśmy czelność stanąć nieco dalej i pogratulować sobie, a Riley wymierzył mi koleżeński cios przebaczenia.

Ukazujące się pierwsze dzieciaki osadził jednakże w miejscu entuzjizm powitań sędziego. Żadne nie postąpiło o krok, dopóki nie zebrała się cała gromadka, po czym Dolly, niepewna, jakby prezentowała nabytki popołudnia spędzonego na aukcji, ustawiła je do apelu. Podawały kolejno swoje imiona: Beth, Laurel, Sam, Lillie, Ida, Cleo, Kate, Homer, Harry... Tu recytacja się urwała, gdyż jedna mała dziewczynka odmówiła zdradzenia swego imienia; oświadczyła, że to sekret. Siostra Ida przytak-

nęła, że skoro uważa ona swoje imię za sekret, to niech tak pozostanie.

— Wszystkie czasem marudzą — wyjaśniła, ujmując sędziego swoim miodowym głosem i powłóczystymi rzesami.

Przedłużył ponad miarę uścisk jej dłoni i przesadził w uśmiechu, co uderzyło mnie jako dziwne w zachowaniu mężczyzny, który krótkie trzy godziny wcześniej oświadczył się innej kobiecie. Miałem nadzieję, że jeśli Dolly to zauważy, to się zastanowi. Ale ona powiedziała:

— Nic dziwnego, że marudzą. Są pewnie okropnie głodne.

Na co sędzia, z gromkim klaśnięciem i chełpliwym gestem w stronę gulaszu zapewnił, że temu się zaraz zaradzi. Najpierw jednak, uważa, dobrze by było, gdyby dzieci poszły nad rzekę i umyły ręce. Siostra Ida zapewniła, że umyją nie tylko ręce. Bardzo im się to przyda, oświadczyła.

Pojawił się jednak następny kłopot z dziewczynką, która nie chciała zdradzić swojego imienia; nie pójdzie, oświadczyła, tatuś musi ją powieźć na barana.

— Ty też jesteś moim tatusiem — powiedziała Rileyowi, który nie zaprotestował.

Nie posiadała się z uciechy, kiedy ją wziął na barana, i dokazywała przez całą drogę do rzeki; kiedy jednak zasłoniła mu oczy i wpadł w krzaki, podniosła nieziemski krzyk. Powiedział, że ma tego dość i żeby mu zsiadała z ramion. „Proszę, nie — szepnęła. — Powiem ci na ucho moje imię”. Pamiętałem, żeby go później zapytać, co to za imię. Benzyna Texaco — bo to takie śliczne słowa.

Rzeka nie sięga nigdzie powyżej kolan, brzegi zielenią się lśniącymi ścianami mchu, a na wiosnę zdobią je topniejące sople i fiołki maleńkie jak kwietne okruchy dla nowo narodzonych pszczoł, których ule wiszą w zakolach. Siostra Ida wybrała na brzegu miejsce, z którego mogła nadzorować kąpiel.

— Tylko bez szachrajstw! Bierzcie się do mycia!

Zabrali się. Dojrzałe już do małżeństwa dziewczyny jeły nagle paradować bez jednej szmatki; chłopcy także, duzi i mali, wszyscy golusieńcy. Szczęście, że Dolly pozostała z sędzią; wolałbym też, żeby nie było Rileya, który paraliżował wszystkich swoim skrępowaniem. Prawdę mówiąc, dopiero teraz, wiedząc, na jakiego wyrósł człowieka, rozumiem paradoks jego pruderyjności: tak bardzo pragnął być przyzwoity, że ułomności innych ludzi zdawały mu się kłaść cieniem na jego osobie.

Owe pamiętne krajobrazy młodości nad leśną rzeczką! Jakże często po latach, snując się po zimnych salach muzealnych, przystawałem przed podobnymi obrazami i stałem długo, sparaliżowany wyobrażeniem tej dawno minionej sceny, nie takiej, jaką była w rzeczywistości, gromady dzieci z gęsią skórką chlapiących się w jesiennym potoku, lecz takiej jak na obrazie, krzepkich młodzieńców i brodzących dziewczyn w diamentowych kroplach wody; i zastanawiałem się wówczas, zastanawiam do dzisiaj, co się dzieje z tą niezwykłą rodziną, jak się powodzi tym dzieciom, jakie sobie znalazły miejsce w świecie.

— Beth, sphucz porządnie włosy! Przestań chlapać Laurela, do ciebie mówię, Buck, skończ z tym! Wszyscy umyjcie porządnie uszy, Bóg wie, kiedy będziecie mieli drugą taką okazję!

Powoli siostra Ida się odprężyła, w końcu zostawiła dzieci samym sobie.

— W taki piękny dzień... — Opadła na mchy, rozświetlonymi oczami zmierzyła Rileya. — Jest w tobie coś: usta, takie same odstające uszy... Masz papierosa, kochany? — zapytała, nieczuła na jego chłodny stosunek do siebie. Jej twarz, rozluźniona, przybrała na chwilę dziewczęcy wygląd. —

W taki piękny dzień... ale nie w takim pięknym miejscu, pozbawionym właściwie drzew, tylko dom i ja sama jedna jak strach na wróble. Nie skarżę się: była mama i tato, i moja siostra Geraldine, wystarczy; mieliśmy dużo zwierząt, pianino, wszyscy ładnie śpiewali. Nie znaczy, że żyło nam się łatwo, tyle ciężkiej roboty i tylko jeden mężczyzna. Trudno było o siłę najemną, nikomu nie uśmiechało się życie na takim odludziu; jeden starszy gość, w którym pokładaliśmy wielkie nadzieje, upił się pewnego dnia i chciał podpalić dom. Geraldine kończyła szesnaście lat, o rok starsza ode mnie, o miłym wyglądzie, obie byłyśmy ładne, i nagle strzeliło jej do głowy, żeby się wydać za mężczyznę, który prowadził z tatą gospodarstwo. Tam, gdzieś my mieszkali, nie było wielkiego wyboru. Uczyła nas mama, tak jak potrafiła. Do najbliższego miasteczka było dziesięć mil, nazywało się Youfry od nazwiska miejscowej rodziny; leżało na górcie, więc przyjeżdżali tam zamożni letnicy. I owego lata Geraldine dostała w miasteczku pracę kelnerki w Hotelu Widokowym. Jeździłam tam w sobotę jakąś okazją i zostawałam u niej na noc. Był to pierwszy raz, kiedy obie nocowałyśmy poza domem. Geraldine nie przepadała za miejskim życiem, ale ja nie mogłam się doczekać tych sobót, jakby każda była Gwiazdką i urodzinami połączonymi w jedno. Mieli tam pawilon taneczny, wstęp nie kosztował ani centa, wszystko za darmo, muzyka, kolorowe światła. Pomagałam Geraldine w pracy, żebyśmy się mogły prędzej wyrwać; biegłyśmy ulicą, trzymając się za ręce, i ja zaczynałam tańczyć, nie czekając, aż złapię dech. Nigdy nie musiałyśmy czekać na partnerów, na każdą dziewczynę było pięciu chłopców, a my należałyśmy do najładniejszych. Mnie nie interesowali zbytnio chłopcy, ciągnął mnie taniec; czasami wszyscy się zatrzymywali i przyglądali, jak wywijam walca, a na chłopców ledwo raczyłam spojrzeć, zmieniali się tak szybko. Po tańcach szli za nami do hotelu,

wołali: „Wyjdźcie, wyjdźcie!”, i śpiewali pod oknami, takie z nich były głupki; Geraldine o mało nie straciła przez nich pracy. Leżałyśmy potem bezsennie, omawiając wieczór z praktycznego punktu widzenia. Bo nie była romantyczką ta moja siostra; rozważała, który z naszych adoratorów rokuje najlepsze widoki na pomocnika w naszym gospodarstwie. Wytypowała ostatecznie Dana Raineya. Był starszy od pozostałych, dwudziestopięcioletni, już mężczyzna; wprawdzie niezbyt przystojny, piegowaty, o odstających uszach i cofniętym podbródku, ale był ten Dan Rainey bystry, zrównoważony na swój sposób i silny, mógłby podnieść beczkę gwoździ. Pod koniec lata przyjechał do nas i pomógł w zbiorze pszenicy. Tato polubił go od razu, mama mówiła wprawdzie, że Geraldine jest za młoda, ale nie zrobiła z tego afery. Ja płakałam cały czas na weselu, dlatego, mówiłam sobie, że skończyły się nasze sobotnie tańce w pawilonie i że już nigdy nie będziemy we dwie z Geraldine leżeć przytulone w jednym łóżku. Ale gdy tylko Dan Rainey przejął gospodarstwo, wszystko się od razu ułożyło; wyzwolił co najlepsze z ziemi, a może i z nas. Tylko jak nadeszła zima i siedzieliśmy wszyscy przy ogniu, czasami z gorąca czy z czegoś ogarniała mnie słabość. Wychodziłam na dwór w samej sukience, nie czułam zimna, bo zrobiło się ono jakby częścią mnie, zamykałam oczy i kręciłam się krokiem walca, w kółko, w kółko; aż któregoś wieczoru Dan Rainey, nie słyszałam, jak się podkradł, złapał mnie w ramiona i jął ze mną tańczyć dla zabawy. Tylko że nie była to taka sobie zabawa. Żywił do mnie uczucie, w głębi serca wiedziałam to od początku. Ale nic nie mówił, a ja go nie pytałam; i nie doszłoby do niczego, gdyby Geraldine nie poroniła. Stało się to na wiosnę. Bała się ona śmiertelnie węży i przez węża do tego doszło; zbierała jajka i choć był to tylko mały wężyk, tak się przeraziła, że utraciła dziecko cztery miesiące przed czasem. Nie wiem, jaki diabeł

w nią potem wstąpił, zrobiła się drażliwa i złośliwa, o byle co się piekliła. Dan Rainey bardzo źle to znosił, schodził jej z drogi, jak mógł; owijał się w koc i szedł spać w pszenicy. Wiedziałam, że jak tam zostanę... Więc pojechałam do Youfry i przyjąłam dawną pracę Geraldine w hotelu. Pawilon taneczny był taki jak minionego lata, a ja jeszcze wyładniałam; jeden chłopak o mało nie zatłukł drugiego o to, który mi postawi oranżadę. Nie powiem, żebym się nie bawiła, ale moja myśl była gdzie indziej; w hotelu wszyscy pytali, o czym ja właściwie myślę, bo wiecznie sypałam sól do cukierniczki, do krajania mięsa podawałam ludziom łyżkę. Przez całe lato nie pojechałam ani razu do domu. Gdy wreszcie nadszedł czas, a dzień był taki jak dzisiaj, jesienny dzień błękitny jak wieczność, nie zawiadomiłam nikogo, że przyjeżdżam, tylko wsiadłam do autobusu i maszerowałam później trzy mile wśród stogów pszenicy, aż znalazłam Dana Raineya. Nie powiedział słowa, tylko padł na ziemię i rozbeczał się jak dzieciak. Tak mi go było żal, kochałam go bardziej, niż język może wyrazić.

Papieros siostry Idy dawno zgasł. I jakby zgubiła wątek albo co gorsza zawahała się przed dalszym opowiadaniem. Miałem ochotę tupać i gwizdać jak łobuzy w kinie, kiedy nagle urwie się film; Riley, choć nie tak napalony, też się niecierpliwił. Potarł zapałkę i przysunął do jej papierosa; otrzeźwiona dźwiękiem, odzyskała głos, podjęła jednak opowieść tak, jakby przez tę chwilę wybiegła niebacznie naprzód.

— Tato zaklinał się, że drania zastrzeli. Geraldine błagała mnie po sto razy, żebym jej powiedziała, kto to, a Dan wyprawi się na niego ze strzelbą. A ja zaśmiewałam się do płaczu albo czasami na odwrót. Mówiłam, że nie mam pojęcia; mógł to być każdy z pięciu czy sześciu chłopców w Youfry; skąd mogę wiedzieć który. Mama spoliczkowała mnie, kiedy to powiedziałam. Ale uwierzyli; po jakimś czasie uwierzył chyba i Dan

Rainey, chciał pewnie wierzyć, nieszczęśnik. Przez wszystkie te miesiące nie wytykałam nosa z domu; a w trakcie tego umarł tato. Nie pozwolili mi pójść na pogrzeb, tak się bali, że ktoś może zauważyć. I to się wydarzyło tego dnia, kiedy wszyscy byli na pogrzebie, ja zostałam sama w domu, wiatr niósł tumany piasku, szalał jak słoń: a ja stanęłam oko w oko z Bogiem. Żadną miarą nie zasługiwałam na to, żeby zostać wybrana: do tej pory mama musiała mnie poganiać, żebym się uczyła wersetów Biblii; potem nauczyłam ich się ponad tysiąc w niecałe trzy miesiące. Ćwiczyłam jakiś kawałek na pianinie i nagle rozprysła się szyba w oknie, cały pokój stanął na głowie, potem się obrócił z powrotem, a przy mnie był ktoś, duch taty, myślałam; wiatr przycichł raptem, łagodny jak na wiosnę, a przy mnie był On i stojąc wyprostowana, taka jaką mnie stworzył, wyciągnęłam na Jego powitanie ręce. W lutym, trzeciego, minęło od tej pory dwadzieścia sześć lat; miałam wtedy szesnaście lat, teraz mam czterdzieści dwa, a nigdy się nie zachwiałam. Kiedy na świat przyszło dziecko, nie zawołałam Geraldine ani Dana Raineya, nikogo, tylko leżałam, szepcząc jeden po drugim wersety, i nikt nie wiedział, że urodził się Danny, dopóki nie uderzył w płacz. Imię wybrała mu Geraldine. Był jej dzieckiem, wszyscy tak myśleli, ludzie zjeżdżali z całej okolicy, zobaczyć jej nowo narodzonego, niektórzy przywozili prezenty, a mężczyźni klepali Dana Raineya po plecach i mówili, jakiego ma wspaniałego syna. Ja, jak mogłam najszybciej, wyprowadziłam się do odległego o trzydzieści mil Stoneville, miasta wielkości dwóch Youfry, o dużym osiedlu górniczym. Wspólnie z drugą dziewczyną założyłyśmy pralnię i dobrze nam szło, bo ludność takiego górniczego osiedla stanowią w znacznej części kawalerowie. Jakies dwa razy w miesiącu jeździłam do domu zobaczyć Danny'ego, kursowałam tam i z powrotem przez siedem lat. Była to moja jedyna przyjem-

ność, dość wątpliwa zresztą, bo za każdym razem krajało mi się serce: taki śliczny chłopiec, nie do opisania. A Geraldine trzęsa się nad nim, nie pozwalała go dotknąć, wyskakiwała ze skóry, jak go pocałowałam; Dan Rainey też nie inaczej, umierał ze strachu, że go wsypię. Ostatnim razem, kiedy byłam w domu, poprosiłam go, żeby się ze mną spotkał w Youfry. Bo od dłuższego czasu nosiłam się z szaloną myślą, że gdybym tak mogła przeżyć wszystko jeszcze raz, gdybym urodziła dziecko, bliźniaczego braciszka Danny'ego... Lecz błędem było liczyć, że moje drugie dziecko mogłoby mieć tego samego ojca. Byłoby to martwe dziecko, dziecko urodzone martwo: zmierzyłam wzrokiem Dana Raineya (był to wyjątkowo zimny dzień, siedzieliśmy koło pustego pawilonu tanecznego, pamiętam, że cały czas nie wyjmował rąk z kieszeni) i odprawiłam go do domu, nie mówiąc mu w ogóle, po co go ściągnęłam. Szukałam potem przez lata jego sobowtóra. W Stoneville znalazł się górnik, który miał podobne piegi, piwne oczy; dobry chłopak, obdarzył mnie Samem, moim najstarszym. O ile pamiętam, ojciec Beth był łudzaco podobny do Dana Raineya, ale jako dziewczynka, Beth wcale nie przypominała Danny'ego. Aha, zapomniałam powiedzieć, że sprzedałam tymczasem swój udział w pralni i wyniosłam się do Teksasu, pracowałam w restauracjach w Dallas i Amarillo. Ale dopiero jak poznałam pana Honeya, pojęłam, dlaczego Pan mnie wybrał i jakie jest moje posłannictwo. Pan Honey głosił Słowo Prawdy; kiedy tylko usłyszałam jego kazanie, poszłam do niego i nie rozmawialiśmy dłużej niż dwadzieścia minut, gdy oświadczył, że się ze mną ożeni, oczywiście o ile nie jestem już zamężna. Odparłam, że nie, zamężna nie jestem, ale mam rodzinę; fakt, że miałam już piątkę dzieci. Nie spieszyło go to wcale. Pobraliśmy się tydzień później, w walentynki. Nie był młodym mężczyzną i nie przypominał ani trochę Dana Raineya; jak zzuł

buty, nie sięgał mi do ramienia. Ale Pan wiedział, co robi, kiedy nas skojarzył: spłodziliśmy Roya, potem Pearl i Kate, i Cleo, i Małego Homera, większość urodzonych w tym wozie, któryście widzieli. Jeździliśmy po całym kraju, niosąc Słowo Boże ludziom, którzy go nigdy nie słyszeli, a przynajmniej nie słyszeli tak, jak umiał je głosić mój mąż. Muszę teraz zdradzić pewną smutną okoliczność, tę mianowicie, że utraciłam pana Honeya. Pewnego ranka, było to w tej dziwnej części Luizjany, kraju Kejdziunów*, odszedł drogą, zrobić zakupy, i wyobraźcie sobie, nigdy więcej go nie widzieliśmy. Zapadł się jak kamień w wodę. Gwiżdżę na to, co mówi policja; nie był człowiekiem, który by porzucił własną rodzinę; o, nie, to była jakaś nieczysta gra.

— Albo amnezja — wtrąciłem. — Człowiek zapomina wszystko, nawet własne imię.

— Nie człowiek, który ma całą Biblię na końcu języka. Powiedzielibyście, że zapomniał coś takiego jak własne imię? Zabił go któryś z tych Kejdziunów dla pierścionka z amethystem. Ja oczywiście znałam innych mężczyzn od tej pory; ale nie zaznałam miłości. Lillie Ida, Laurel, inne dzieci przydarzyły się po drodze. Ja jakoś nie mogę egzystować bez wciąż nowego życia kopiącego mnie pod sercem: czułabym się taka bezużyteczna.

Kiedy dzieci ubrały się po kąpieli, niektóre w garderobę wywróconą na lewą stronę, powróciliśmy do naszego drzewa, i tam starsze dziewczęta, skupiwszy się koło ogniska, przystąpiły do suszenia i czesania włosów. Pod naszą nieobecność niemowlęciem opiekowała się Dolly; niechętnie je teraz oddawała.

* Kejdziunowie (z ang. Cajuns) to zamieszkali w delcie Missisipi potomkowie francuskich imigrantów z Akadii, francuskiej kolonii istniejącej w siedemnastym i osiemnastym wieku na wschodnim wybrzeżu Kanady, obejmującej w przybliżeniu terytorium dzisiejszej Nowej Szkocji.

„Żałuję, że żadna z nas nie miała dziecka, ani ja, ani moja siostra czy Catherine” — powiedziała, a siostra Ida potwierdziła, że tak, to wielka radość i satysfakcja. Gulasz był zbyt gorący, żeby się nim delectować, co może przyczyniło się do jego powodzenia, a sędzia, który musiał podawać go partiami, gdyż mieliśmy tylko trzy kubki, nie skąpił przy tym wesołych sztuczek i wygłupów, sprawiając dzieciakom nie lada uciechę. Benzyna Texaco doszła do wniosku, że się pomyliła, to wcale nie Riley, tylko sędzia jest jej tatusiem, a ten się odwdzieczył, urządzając jej wyprawę na księżyc, to znaczy obracając nią w kółko nad głową. Siostra Ida orzekła, że ma godną pozazdroszczenia siłę, co przełknął ochoczo, o mało nie kazał jej pomacać swoich bicepsów. Co parę sekund zerkał na Dolly, czy aby go należycie podziwiała. Podziwiała.

Wśród ostatnich ukośnych grotów słońca rozległo się gruchanie synogarlicy. Powietrze mieniło się chłodnymi zieleniami i błękitami, jakby na niebie roztopiła się tęcza. Dolly przeszedł dreszcz.

— Nadchodzi burza. Czuję ją od rana.

Spojrzałem triumfalnie na Rileya: czyż nie mówiłem?

— I robi się późno — zauważyła siostra Ida. — Buck, Homer, lećcie, chłopcy, do wozu. Bóg raczy wiedzieć, czy ktoś nie dobrał się tam do naszych rzeczy. Nie żeby — ciągnęła, odprowadzając wzrokiem synów oddalających się mroczniejącą ścieżką — było tam wiele do ukradzenia, chyba tylko moja maszyna do szycia. A pani, Dolly, czy miała pani okazję...

— I owszem, rozmawialiśmy — wpadła jej w słowo Dolly, zwracając się do sędziego o potwierdzenie.

— Wygrałaby pani sprawę w sądzie bez dwóch zdań — oświadczył autorytatywnie. — Choć raz prawo stanęłoby po właściwej stronie. Ale tak jak sytuacja ma się obecnie...

— Jak sytuacja ma się obecnie — powtórzyła Dolly i wcisnęła siostrze Idzie w dłoń czterdzieści siedem dolarów, które

stanowiły cały nasz kapitał; na dokładkę wręczyła jej wielki złoty zegarek sędziego.

Lustrując dary, siostra Ida pokręciła głową, jakby miała zamiar je odrzucić.

— Czy to wypada? Ale dziękuję.

Nad lasem rozległ się daleki grzmot, a w złowrózbniej ciszy, jaka po nim nastąpiła, na ścieżkę jak kawaleryjska szarża wpadli Buck i Mały Homer.

— Idą tu! Idą! — wykrzyknęli jednocześnie, po czym Homer, zsuwając z czoła kapelusz, wysapał: — Przybiegliśmy pędem.

— Mówcie do rzeczy. Kto idzie?

Mały Homer przełknął ślinę.

— Ci ludzie! Szeryf i nie wiem ilu z nim. Idą przez pole. Ze strzelbami.

Znów zagrzmiało; wiatr zatargał naszym ogniskiem.

— Spokój! — huknął sędzia, przejmując komendę. — Niech nikt nie traci głowy! — Zachowywał się, jakby przewidział tę chwilę, i muszę przyznać, stanął chlubnie na wysokości zadania. — Kobiety i dzieci do domku na drzewie. Riley, ty przypilnuj, żeby reszta się rozproszyła, powłaziła na inne drzewa i miała solidny zapas kamieni.

Podczas gdyśmy wypełniali jego polecenia, on sam pozostał na dole; stał z zaciśniętą szczęką, w napiętej ciszy zapadającego mroku, niczym kapitan, który nie opuszcza tonącego okrętu.

6

Usadowiliśmy się w piątkę na platanie, którego konary górowały nad ścieżką. Był ze mną Mały Homer, był jego brat Buck, groźnie nasrożony i z kamieniami w obu dłoniach. Po drugiej stronie ścieżki widzieliśmy Rileya siedzącego okrakiem na konarze drugiego platana; otaczały go starsze dziewczęta: ich blade twarze połyskiwały w gęstniejącym mroku jak latarnie. Wydało mi się, że czuję na twarzy kroplę deszczu, ale był to tylko pot spływający mi po policzku. Chociaż grzmoty ustały, nadciąganie deszczu zwiastowała wyostrzona woń liści i dymu ogniska. Przeciążony domek na drzewie zatrzeszczał złowieszczo; widziani z naszej perspektywy, jego lokatorzy wydawali się jednym stworem, jakimś wielonogim, wielookim pająkiem, na którego głowie sterczał jak atlasowa korona kapelusz Dolly.

Na naszym drzewie wyciągnęliśmy wszyscy blaszane gwizdki, które Riley kupił od Małego Homera: napędzą diabłu nieliczego stracha, jak powiedziała siostra Ida. Mały Homer zdjął po chwili swój wielki kapelusz, wyciągnął z jego obszernego wnętrza tęgi sznur, była to pewnie Boża Lina, i przystąpił do wiązania na jego końcu ruchomej pętli. Kiedy zaczął

sprawdzać jej działanie, napinając i zaciągając węzeł, miniaturowe szkła jego stalowych okularów rzucały tak groźne błyski, że odsunąłem się przezornie na następny konar. Patrolujący w dole sędzia wydał w tym momencie gwizd wzywający nas do zaprzestania wszelkich ruchów; była to jego ostatnia komenda przed inwazją.

Nadciągający napastnicy nie zachowywali żadnych pozorów ukradkowego zbliżania. Rozgarniając krzaki strzelbami jak maczetami, wkraczali na ścieżkę w sile dziewięciu, dwunastu, w końcu dwudziestu. Pierwszy szedł Junius Candle z gwiazdą szeryfa migocącą w mroku; za nim Wielki Eddie Stover, zezując, wypatrywał naszych kryjówek, co przywiodło mi na myśl gazetowe zagadki rysunkowe: „Odnajdź pięciu chłopców i sowę na rysunku drzewa”. Jednakże aby nas wypatrzyć, trzeba by kogoś bystrzejszego od Wielkiego Eddiego Stovera: prześlizgnął się wzrokiem po mnie i rozglądał dalej. Niewielu z tej bandy grzeszyło bystrością: jedyne, co umieli, to zakąsić i popić piwem. Rozpoznałem jednak wśród nich pana Handa, dyrektora szkoły, przyzwoitego skądinąd człowieka, którego nie spodziewałbym się zobaczyć w takim szemranym towarzystwie i na takiej haniebnej wyprawie. Ciekawość mogła tłumaczyć udział Amosa Legranda; był wśród napastników, tym razem jednak milczał, i nic dziwnego, gdyż Verena opierała się jak na lasce na jego głowie sięgającej ledwo jej biodra. Jej drugie ramię kurtuazyjnie wspierał gniewny pastor Buster. Ujrawszy Verenę, doznałem takiego samego paraliżującego strachu, jaki mnie ogarnął, kiedy po śmierci mamy wtargnęła do naszego domu, żeby mnie zabrać. Mimo utykania kroczyła ze zwykłą wyniosłością; zatrzymała się wraz ze swymi towarzyszami pod naszym platanem.

Sędzia nie ustępował o krok; trwał na posterunku, blokując stopą stopę szeryfa, jakby wytyczona była między nimi linia, której nie pozwoli intruzowi przekroczyć.

W tym krytycznym momencie dostrzegłem poruszenia Małego Homera: opuszczał powoli swoje łąso. Pełzło w dół, kołysząc się jak wąż, z szeroką pętlą rozwartą jak paszcza, aż nagle opadło i mistrzowskim szarpnięciem zacisnęło się wokół szyi wielebnego Bustera, którego zdławiony krzyk Mały Homer uciszył nowym potężnym szarpnięciem.

Napastnicy nie mieli zbyt wiele czasu, żeby się interesować losem pastora, który z twarzą nabiegłą krwią wymachiwał rozpaczliwie rękami, gdyż sukces Małego Homera posłużył za sygnał do frontalnego ataku na nich: posypały się kamienie, gwizdki rozdarły jak wrzask drapieżnych ptaków, tak że intruzi rozpierzchli się w ogólnym odwrocie, wpadając na siebie, kryjąc się, gdzie mogli, głównie pod ciałami powalonych wcześniej towarzyszy. Verena musiała wytargać Amosa Legranda za uszy, gdyż próbował jej się wślizgnąć pod spódnicę. Można by rzec, że ona jedna zachowała się jak mężczyzna, wygrażając pięściarni w kierunku naszych drzew i wyzywając nas od ostatnich.

W szczytowym zamęcie, jak zatrzaskujące się żelazne wrota, gruchnął strzał. Otrzeźwiło nas wszystkich jego niekończące się złowróźbne echo, a w ciszy, która zapadła, usłyszeliśmy coś ciężkiego zwałającego się z platana po przeciwnej stronie.

Był to Riley; spadał, spadał: powoli, bezwładnie jak zastrzelony ryś. Dziewczyny, zakrywszy oczy, wydawały pisk za każdym razem, gdy zawadził o gałąź, zawisł wśród liści, aż gałąź trzasnęła i Riley padł skrwawiony na ziemię. Wszyscy trwali sparaliżowani.

— Chłopcze, mój chłopcze — pierwszy wykrzyknął sędzia i osunął się nieprzytomnie na kolana. Jął głaskać bezwładne dłonie Riley'a. — Litości, synu, litości. Odezwij się.

Otoczyli go wystraszeni i bezwolni mężczyźni; niektórzy rzucali rady, których sędzia zdawał się nie słyszeć. My, jeden

po drugim, zesekaliwaliśmy z drzewa. Dziecięce szepty, czy on nie żyje, nie żyje, zlewały się w jęk, delikatny jak szum muszli. Uchylając z szacunkiem kapeluszy, mężczyźni zrobili przejście dla Dolly, zbyt oszołomionej, żeby zwracać na nich uwagę; przeszła koło Vereny, nawet jej nie zauważając.

— Chcę wiedzieć — odezwała się Verena głosem, który przykuł ogólną uwagę — który z was, idiotów, strzelił.

Mężczyźni wymienili ukradkowe spojrzenia; zbyt wiele z nich skupiło się na Wielkim Eddiem Stoverze, któremu opadła szczeka, zadrżały wargi.

— Cholera, nie chciałem nikogo zastrzelić. Wypełniałem tylko swój obowiązek, to wszystko.

— Nie wszystko — odrzuciła ostro Verena. — Winny jesteś, panie Stover.

Na to obróciła się Dolly; jej oczy, przysłonięte woalką, zdawały się nie dostrzegać nikogo prócz Vereny.

— Winny? Nikt nie jest winny prócz nas samych.

Tymczasem miejsce sędziego przy Rileyu zajęła siostra Ida; zerwała z niego koszulę.

— Niech pan podziękuję swojej gwiazdzie, to tylko ręka — poinformowała Stovera, a westchnienia ulgi, choćby samego Wielkiego Eddiego, byłyby w stanie unieść latawiec. — Ale jest nieprzytomny. Zbierajcie się, chłopcy, zanieście go do lekarza.

Zatamowała krwawienie bandażami z podartej koszuli. Szeryf i trzech innych mężczyzn złączyło dłonie w rodzaj lektyki do niesienia rannego. Ale nie jego jednego trzeba było eskortować: w pożałowania godnym stanie znajdował się także wielebny Buster. Z nogami miękkimi jak u kukły, z pętlą wiszącą wciąż u szyi, potrzebował kilku podtrzymujących, żeby móc ruszyć ścieżką. Pobiegł za nim Mały Homer.

— Ejże, oddaj pan moją linę!

Amos Legrand czekał, żeby dotrzymać towarzystwa Verenie, ale mu powiedziała, żeby wracał sam, bo ona nie ma zamiaru się stąd ruszyć, dopóki Dolly... Zawahała się, obrzuciła nas wszystkich wzrokiem, zatrzymała się wymownie na siostrze Idzie.

— Chcę porozmawiać w cztery oczy z moją siostrą.

Z gestem zbywającym Verenę siostra Ida powiedziała:

— Nie ma sprawy, moja pani. My odjeżdżamy. — Objęła Dolly. — Niech panią Bóg błogosławi. Kochamy panią, prawda, dzieci?

— Niech pani z nami jedzie, pani Dolly — dorzucił Mały Homer. — Będziemy się razem świetnie bawić. Dam pani mój nabijany pas.

A Benzyna Texaco podbiegła do sędziego z błaganiem, żeby on też jechał. Nikt jakoś nie upomniał się o mnie.

— Nigdy wam nie zapomnę, że chcieliście mnie ze sobą zabrać — powiedziała Dolly, przebiegając wzrokiem po dzieciach, jakby chciała na zawsze zapamiętać ich twarze. — Powodzenia. Żegnajcie. Szybko, szybko — podniosła głos, żeby przekrzyczeć nasilające się grzmoty — zaczyna padać.

Była to muskająca jak piórko mżawka, przejrzysta jak muslinowa zasłona. Kiedy siostra Ida z dziećmi zniknęła w jej zwojach, Verena obróciła się do Dolly.

— Z tego, co rozumiem, skumałaś się z tą... tą kobietą? Po tym, jak ona wystawiła nasze imię na pośmiewisko?

— Nie sądzę, żebyś to ty mogła mnie oskarżać o skumanie się z kimkolwiek — odparła Dolly spokojnie. — Na pewno nie skumałam się z draniami, którzy — zaczynała lekko tracić panowanie — okradają dzieci i pakują kobiety do kryminału. Nie poczuwam się do imienia, które podpisuje się pod takimi metodami. Nie zasługuje ono na nic innego, jak na pośmiewisko.

Verena przyjęła to bez zmruczenia oka.

— Nie jesteś sobą — oznajmiła, jakby to była diagnoza lekarska.

— Przypatrz mi się lepiej: jestem jak najbardziej sobą. — Dolly wyprostowała się jak do inspekcji. Dorównywała Verenie wzrostem, nie ustępowała jej pewnością siebie; nie było w niej teraz żadnego wahania, niezdecydowania. — Wzięłam sobie do serca twoją radę: przestałam chodzić ze zwieszoną głową. Mówiłaś, że dostajesz od tego mdłości. Nie dalej, jak parę dni temu — ciągnęła — powiedziałaś, że nas się wstydzisz, mnie i Catherine. Myśmy przez długie lata żyły dla ciebie: bolesne było usłyszeć, że marnowałyśmy życie. Czy wiesz, co to poczucie zmarnowanego życia?

Ledwo słyszalnie Verena szepnęła: „Wiem” — i jej oczy pociemniały, jakby otworzyła się przed nimi kamienna pustynia duszy. Przybrały wyraz, jaki widywałem, podglądając ją ze strychu, kiedy późnym wieczorem rozkładała fotki Maudie Laury Murphy, jej męża i dzieci. Zachwiała się, oparła na moim ramieniu; gdyby nie to, pewnie by upadła.

— Myślałam, że odejdę do grobu z tym ciężarem, Vereno. Nie odejdę. Ale nie sprawia mi satysfakcji przyznanie, że wstydzę się także za ciebie.

Tymczasem zapadła noc; żaby, piłujące owady sławiły nieśpieszny deszczyk. Rozpływaliśmy się w mroku, jakby wilgoć wysysała z naszych twarzy światło. Verena osuwała się coraz bardziej na mnie.

— Nie czuję się dobrze — powiedziała załamującym się głosem. — Jestem chorą kobietą, tak, Dolly.

Nie przekonało to Dolly. Podeszła do siostry, dotknęła jej, jakby miała nadzieję palcami domacać się prawdy.

— Collin, sędzio — powiedziała — pomóżcie Verenie wejść na drzewo.

Verena zaprotestowała, że nie umie chodzić po drzewach; ale gdy tylko oswoiła się z tą myślą, wspięła się względnie łatwo. Domek na drzewie zdawał się dryfować po mglistych wodach; było w nim jednak sucho, bo deszczyk nie przebił się jeszcze przez parasol liści. Płynęliśmy na fali milczenia, dopóki nie odezwała się Verena:

— Mam ci coś do powiedzenia, Dolly. Łatwiej by mi było to powiedzieć, gdybyśmy były same.

Sędzia skrzyżował ramiona.

— Obawiam się, że będzie pani się musiała pogodzić z moją obecnością, panno Vereno. — Oświadczył to zdecydowanie, lecz nieagresywnie. — To, co pani ma do powiedzenia, może dotyczyć także mnie.

— Bardzo w to wątpię. Niby w jaki sposób? — zapytała, odzyskując nieco swój wyniosły sposób bycia.

Sędzia zapalił ogarek świecy i nasze cienie pochylły się nagle nad nami jak czworo podsłuchujących.

— Nie lubię rozmawiać po ciemku — oznajmił.

Niedwuznaczną wymowę miała dumnie wyprostowana postura, jaką przyjął. Chce pokazać Verenie, pomyślałem, że ma przed sobą mężczyznę, rzecz, którą zbyt mało mężczyzn ważyło się manifestować w obcowaniu z nią. Dla Vereny było to nie do przyjęcia.

— Nie pamiętasz tego pewnie, panie Charlie Cool. Było to pięćdziesiąt lat temu, może więcej. Wyprawiliście się, chłopcy, na jeżyny do naszego ogrodu. Mój tato złapał twego kuzyna Seta, a ja złapałam ciebie. Spuściliśmy wam tęgie lanie.

Sędzia pamiętał. Zaczerwienił się, uśmiechnął i powiedział:

— Nie biłaś się czysto, Vereno.

— Biłam się czysto — odparła sucho. — Ale masz rację. Żadne z nas tego nie lubi, więc nie rozmawiajmy po ciemku. Szczerze mówiąc, nie uśmiecha mi się oglądanie ciebie. Moja

siostra nigdy by nie wpadła na takie niedorzeczne pomysły, gdybyś ty jej nie podpuścił. Więc byłabym ci wdzięczna, gdybyś się usunął; ta sprawa nie dotyczy już w najmniejszej mierze ciebie.

— Właśnie że dotyczy — oznajmiła Dolly. — Bo sędzia Cool, Charlie...

Zawahała się, jakby naszyły ją nieoczekiwane wątpliwości.

— Dolly chce powiedzieć, że oświadczyłem jej się dzisiaj.

— To — wykrztusiła Verena po parosekundowej napiętej pauzie — to rzecz — cedziła dalej ze wzrokiem wbitym w rękawiczki na swoich dłoniach — rzecz niesłychana. Zupełnie niesłychana. Nie podejrzewałabym żadnego z was o taką wyobraźnię. A może to mnie się coś przywidziało? Może mi się śni, że siedzę po nocy na mokrym drzewie podczas burzy z piorunami. Tylko że mnie się nigdy nic nie śni. Albo tylko tego nie pamiętam. Proponuję, żebyśmy puścili całą tę historię w niepamięć.

— Przyznaję, że i mnie się to wydaje snem, panno Vereno. Ale człowiek, któremu się nic nie śni, jest jak człowiek, który się nie poci; gromadzi się w nim mnóstwo jadów.

Zignorowała jego odpowiedź. Jej cała uwaga skupiła się teraz na Dolly, a uwaga Dolly na niej: mogło się wydawać, że są same, dwie osoby w dwóch rogach ciemnego pokoju, niemowły porozumiewające się ezoterycznym językiem migowym, subtelnymi zmrużeniami oka; i stało się tak, jakby Dolly udzieliła odpowiedzi, odpowiedzi, która wycisnęła całą krew z twarzy Vereny.

— Rozumiem. Przyjęłaś jego oświadczyny?

Deszcz zgęstniał, tak że ryby mogłyby pływać w powietrzu; jak narastająca tonacja muzyczna uderzył w swój najmocniejszy akord, bębniąc ulewą, która choć złowroga, nie od razu nas dosięgła: krople zaczynały przeciekać przez liście, ale na-

drzewny domek pozostawał jeszcze suchym jądrem nasiąkającego wodą świata. Sędzia osłonił świecę dłonią; z równym napięciem co Verena oczekiwał odpowiedzi Dolly. Moja niecierpliwość nie ustępowała ich niecierpliwości, ale pozostawałem jakby poza sceną, znowu jak szpieg podglądający ze strychu, a moje sympatie dziwnie nie skupiały się na nikim lub raczej kierowały ku wszystkim: życzliwość wobec całej trójki spowijała mnie jak deszcz, nie mogłem ich rozdzielić, zlewali się w jedną całość.

Dolly podobnie. Nie potrafiła wybrać między sędzią a Vereną. W końcu boleśnie wykrzyknęła:

— Nie mogę! — sygnalizując bezradność ponad wszelkie przewidywanie. — Myślałam, że będę wiedziała, co robić. Ale to nieprawda: nie wiem. Czy ludzie w ogóle takie rzeczy wiedzą? Gdybym miała wybór, myślałam, gdybym mogła decydować o własnym życiu...

— Ależ miałyśmy własne życie — zaprotestowała Verena. — Twoje nie było do pogardzenia. Nie uważam, żebyś potrzebowała więcej, niż miałaś; zawsze ci zazdrościłam. Wracaj do domu, Dolly. Pozostaw decyzje mnie: zrozum, to zawsze było moje życie.

— Czy to prawda, Charlie? — zapytała Dolly, tak jak dziecko pyta, gdzie spadają gwiazdy. I dalej: — Czy my mamy własne życie?

— Nie umarliśmy jeszcze — odrzekł, ale było to tak, jakby odpowiedział dziecku, że gwiazdy spadają w przestrzeń: odpowiedź nie do zanegowania, lecz niezadowolająca.

Tego Dolly nie mogła zaakceptować.

— Nie musi się być umarłym. W domu, w kuchni, mamy pelargonie, która ciągle zakwita. Ale są rośliny, które kwitną tylko raz, jeśli w ogóle, i nic innego się z nimi nie dzieje. Żyją jeszcze, ale już przeżyły swoje życie.

— To nie tak jak ty — powiedział sędzia i przysunął twarz do jej twarzy, jakby chciał, by ich wargi się spotkały; zawahał się jednak, zabrakło mu odwagi.

Deszcz wyłobił sobie tunel między gałęziami, lał się teraz z całym impetem; po kapeluszu Dolly spływały strumyki, woalka przywarła jej do policzków; świeca zaskwierczała i zgasła.

— Nie tak jak ja?

Jak żyły ognia wybuchały kolejne błyskawice, a oświetlana przez ich nieprzerwane pulsowanie Verena przemieniła się w kogoś mi nieznanego, kobietę złamaną bólem, pokonaną, z oczami ponownie zwróconymi w głąb siebie, wzrokiem wpatrzonym w wewnętrzny krajobraz, ziemię spaloną. Kiedy ucichły pioruny i tylko deszcz więził nas w mnogości swoich szumów, przemówiła wreszcie słabym głosem, jakby dochodzącym z oddali, tak że, zdawało się, miał pozostać niesłyszany.

— Zazdrościłam ci, Dolly. Twojego różowego pokoju. Mogłam tylko pukać do takich pokojów, i to rzadko. Tyle, żeby wiedzieć, że teraz tylko ty jedna możesz mnie wpuścić. Bo mały Morris, mały Morris... Biada mi, ja go kochałam. Tak, kochałam. Nie jak kobieta, och, przyznaję, byliśmy raczej bratnimi duszami. Patrzyliśmy sobie w oczy i widzieliśmy tego samego szatana, aleśmy się nie bali; była to raczej... radość. Przechytrył mnie jednak; wiedziałam, że jest do tego zdolny, ale się łudziłam, że tego nie robi. Zrobił i teraz... byłoby rzeczą straszną zostać samą na resztę życia. Snuję się po domu, nic tam nie jest moje: twój różowy pokój, twoja kuchnia, twój dom, twój i Catherine pewnie. Więc nie opuszczaj mnie, pozwól mi ze sobą mieszkać. Czuję się stara, chcę mieć siostrę.

Towarzyszący głosowi Vereny deszcz wdzierał się między Dolly a sędziego, rozdzielał ich przezroczystą ścianą, przez którą sędzia patrzył, jak Dolly traci wyrazistość, rozplywa się

w jego oczach, tak jak przedtem zdawała się rozpływać w moich. Rozpływał się także nasz nadrzewny domek. Porywisty wiatr uniósł rozmokłe resztki naszych kart, papier do pakowania; krakersy się pokruszyły, przepelnione słoje przelewały się wodospadami; piękna kołdra Catherine nasiąkała bezpowrotnie, jak unurzana w kałuży. Domek odpływał jak skazane na zagładę domy unoszone przez wezbraną rzekę, a wraz z domkiem oddalał się sędzia, machając do nas, bezpiecznych na brzegu. Bo Dolly powiedziała: „Wybacz mi, ale ja też chcę być z siostrą” — i sędzia nie mógł jej już dosięgnąć, ani wyciągniętą dłonią, ani sercem: roszczenie Vereny było nie do odrzucenia.

Koło północy deszcz osłabł, ustał; wiatr targał drzewami, otrząsając je z deszczu. Gwiazdy zaczynały jedna po drugiej znaczyć niebo, jak spóźnieni goście przybywający pojedynczo na bal. Czas był wracać. Nie wzięliśmy ze sobą niczego: zostawiliśmy na zgnicie kołdrę, łyżki na zardzewienie; a domek zostawiliśmy wraz z lasem zimie.

7

Przez dłuższy czas Catherine dzieliła wydarzenia na te sprzed jej uwięzienia i te, które miały miejsce po nim. „Przedtem — zaczynała — jak ta tam zrobiła ze mnie kyminalistkę...”. Co do nas, pozostałych, my mogliśmy dzielić wypadki podobnie: na te sprzed naszego pobytu na drzewie i po nim. Te kilka jesiennych dni stało się pomnikiem i miarą.

Jeśli nie liczyć wyprawy po swoje rzeczy, sędzia nigdy nie wrócił do domu, który dotąd zajmował z synami i ich żonami, okoliczność, która im widać nader odpowiadała, gdyż nie protestowali, kiedy wynajął pokój w pensjonacie panny Bell. Była to surowa brunatna budowla przekształcona ostatnio w zakład pogrzebowy przez przedsiębiorcę, który uznał, że dla nadania jej odpowiedniej atmosfery wymaga jedynie minimalnej adaptacji. Nie lubiłem tamtędy przechodzić, gdyż na werandzie od świtu do zmierzchu odprawiały swój maraton czuwania pensjonariuszki panny Bell, damy cierniste jak zwarzone krzewy róż wegetujące koło domu. Jedną z nich, dwukrotną wdowę Mamie Canfield, specjalizowała się w wykrywaniu ciąży (głośno było o pewnym mężu, który miał powiedzieć swojej ślubnej: „Po co wyrzucać pieniądze na doktora? Przejdź się przed

pensjonatem panny Bell, a już Mamie Canfield roztrąbi wszystkim, jeśli jesteś w ciąży”). Dopóki sędzia nie zamieszkał u panny Bell, jej jedynym męskim lokatorem był Amos Legrand. Dla pozostałych lokatorek był on prawdziwym darem niebios: jak świętość traktowały godzinę, gdy Amos Legrand wychodził się bujać po kolacji na huśtawce, z nogami niesięgającymi ziemi i językiem terkocącym jak budzik. Prześcigały się w dzierganiu mu skarpetek i swetrów, w zabiegach o jego menu; przy stole wszystkie najlepsze kęski trafiały na jego talerz, a panna Bell miała kłopot z utrzymaniem kucharek, gdyż damy urzędowały bez przerwy w kuchni, pichcąc rozmaite specjały dla dogodzenia pupilowi. Robiłyby pewnie to samo dla sędziego, ten jednak je zbywał. Nigdy, skarżyły się, nie zatrzyma się nawet na słowo.

Ostatnia ulewna noc na drzewie przyprawiła mnie o paskudne przeziębienie, Verenę o jeszcze gorsze, a za pielęgniarkę mieliśmy kichającą również Dolly. Catherine odmówiła pomocy.

— Rób, co ci się podoba, Dolciu, wynoś po tej tam brudy, aż padniesz na nos. Ale na mnie nie licz, bo palcem nie kiwnę, ja już swoje zrobiłam.

Dolly zrywała się o wszystkich porach nocy, przynosiła nam syropy na gardło, dokładała do ognia, żebyśmy mieli ciepło. Verena nie przyjmowała już tego jak dawniej jako rzeczy sobie należnej.

— Na wiosnę — obiecywała siostrze — urządzimy sobie wycieczkę. Może pojedziemy do Wielkiego Kanionu, odwiedzić Maudie Laurę. Albo na Florydę, nie widziałaś nigdy oceanu.

Dolly odpowiadała jednak, że woli być tu, gdzie jest; nie ma ochoty podróżować.

— Nie uśmiecha mi się oglądanie pięknych widoków, które mogłyby przyćmić bliskie mi miejsca.

Odwiedzał nas regularnie doktor Carter i pewnego ranka Dolly spytała, czyby nie zmierzył także jej temperatury: jest

taka rozpalona i nogi się pod nią uginają. Zapakował ją z miejsca do łóżka i ubawił setnie, besztając, że latała tyle czasu z zapaleniem płuc.

— To takie latane zapalenie płuc — powiedziała sędziemu, kiedy przyszedł ją odwiedzić. — Coś nowego, nigdy o tym nie słyszałam. Chociaż czuję się rzeczywiście, jakbym szybowała w powietrzu albo balansowała na szczudłach. Cudowne uczucie — powiedziała i zasnęła.

Przez trzy, prawie cztery dni nie obudziła się właściwie ani razu. Siedziała przy niej Catherine, drzemała w wiklinowym fotelu i burczała przyciszonym głosem, ilekroć Verena czy ja wchodziliśmy na paluszkach do pokoju. Z uporem, jakby to było lato, wachlowała chorą obrazkiem Jezusa, ignorując przy tym w skandaliczny sposób zalecenia doktora Cartera. „Świni bym tego nie podała” — mówiła, wskazując przysłane przez niego lekarstwo. Doktor Carter oświadczył w końcu, że umywa ręce od wszelkiej odpowiedzialności, jeżeli chora nie zostanie przewieziona do szpitala. Najbliższy szpital mieścił się w odległym o sześćdziesiąt mil Brewton. Verena zamówiła karetkę, mogła była jednak oszczędzić sobie wydatku, gdyż Catherine zamknęła się w pokoju Dolly na klucz i oświadczyła, że ktokolwiek tknie klamkę, sam będzie potrzebował karetki. Dolly nie wiedziała, dokąd ją chcą zabrać, błagała jednak, żeby jej nie ruszać.

— Nie budźcie mnie — prosiła. — Nie jestem ciekawa żadnego oceanu.

Pod koniec tygodnia była w stanie znów siadać w łóżku, a kilka dni później miała dość sił, by podjąć na nowo korespondencję z odbiorcami leku na puchlinę. Gryzła się stosem niezrealizowanych zamówień, ale Catherine, która przypisywała sobie zasługę jej wykurowania, oświadczyła:

— Nic z tego, nie czas jeszcze na warzenie naszej mikstury.

Co dzień punktualnie o czwartej stawiał się przy furtce ogrodowej sędzia i gwizdał na mnie, żebym go wpuścił; wchodząc przez ogród zamiast drzwiami frontowymi, zmniejszał szansę spotkania się z Vereną, chociaż ta nie miała nic przeciwko jego wizytom, przygotowywała nawet na jego przyjście butelkę sherry i pudło cygar. Przynosił Dolly zwykle jakiś prezencik, ciastka z piekarni Katydid czy kwiaty, pękate jak baloniki brązowe chryzantemy, które Catherine z miejsca konfiskowała w przeświadczeniu, że wysysają z powietrza wszystko, co życiodajne. Catherine nie dowiedziała się nigdy, że sędzia się Dolly oświadczył; jednakże wyczuwając intuicyjnie sytuację niezbyt po jej myśli, pilnie nadzorowała wizyty sędziego, podczas których, pociągając zdrowo przygotowane dla niego sherry, perorowała głównie sama. Podejrzewam jednak, że ani sędzia, ani Dolly nie mieli sobie do powiedzenia zbyt wielu rzeczy prywatnej natury; akceptowali się nawzajem bez szczególnej ekscytacji, jak ludzie o ustabilizowanych uczuciach. Jeżeli sędzia był człowiekiem skądinąd zawiedzionym, to nie z powodu decyzji Dolly, sądzę bowiem, że stała mu się tym, czego pragnął, tą jedyną osobą w świecie, której można wszystko powiedzieć. Ale kiedy można wszystko powiedzieć, to może nie pozostaje już nic do powiedzenia. Siedział więc przy jej łóżku, rad, że jest przy niej, nie oczekując, że ktoś go będzie zabawiał. Dolly, senna z gorączki, często zasypiała, a jeśli zakwiliła czy nachmurzyła się przez sen, budził ją z promiennym uśmiechem.

W przeszłości Verena wzbraniała nam radia; tanie melodie, utrzymywała, zatruwają umysł; nie można też zapominać o koszcie. Teraz doktor Carter przekonał ją, że Dolly powinna mieć radio; uważał, że pomoże jej ono przetrwać długą rekonwalescencję, jaką przewidywał. Więc Verena kupiła radio, zapłaciła za nie słoną cenę, nie wątpię w to. Było to jednak brzydkie garbate pudło, tandetnie politurowane. Wyniosłem je

na dwór i pomalowałem na różowo. Mimo to Dolly nie była z początku pewna, czy chce je mieć w swoim pokoju; później nie można jej było od niego oderwać. Nagrzewało się zawsze tak, że mogłyby się w nim wylęgać kurczęta, bo we dwie z Catherine słuchały go od rana do wieczora. Najbardziej lubiły transmisje meczów futbolowych.

— Dziękuję, nie — powstrzymała sędziego, kiedy chciał jej wyjaśnić reguły gry. — Wolę nie wiedzieć. Wszyscy krzyczą, bawią się wspaniale: mogłoby to nie być takie interesujące i zabawne, gdybym wiedziała dlaczego.

Sędzia był na nią z początku zły, bo nie chciała kibicować żadnej drużynie.

— Wszystko to z pewnością mili chłopcy — twierdziła.

Z powodu radia przemówiłem się pewnego popołudnia z Catherine. Maude Riordan miała tego dnia grać w stanowym konkursie muzycznym; chciałem oczywiście posłuchać transmisji. Catherine to wiedziała, ale nie dopuszczała mnie do radia, bo słuchała meczu Uniwersytetu Tulane z Politechniką Stanu Georgia.

— Co z tobą jest, Catherine? — zapytałem. — Nie bądź taką egoistką, nie wszystko musi być po twojej myśli. Zrobiłaś się gorsza niż Verena.

Catherine chciała jakby podreperować swój autorytet, nadzarpięty utarczką z prawem, podnieść swoją pozycję w domu panien Talbo: kto jak kto, ale my powinniśmy okazywać respekt dla jej indiańskiej krwi, znosić jej tyranię. Dolly na ogół jej ulegała; w sprawie Maude Riordan stanęła jednak po mojej stronie.

— Pozwól Collinowi przestawić radio. Byłoby nie po chrześcijańsku nie posłuchać Maude. To nasza dobra znajoma.

Wszyscy, którzy słyszeli Maude, byli zgodni co do tego, że powinna dostać pierwszą nagrodę, ale uplasowała się na drugim

miejscu. Ucieszyło to wprawdzie jej rodzinę, bo oznaczało połowę stypendium na studia muzyczne, nie było jednak sprawiedliwe, gdyż grała pięknie, znacznie lepiej niż chłopak, któremu przyznano pierwszą nagrodę. Zagrała serenadę swego taty, która brzmiała mi tak samo cudownie jak owego dnia w lesie. Trawiłem odtąd godziny na bazgraniu imienia Maude, opisywaniu w myślach jej wdzięków, jej włosów o barwie lodów waniliowych. Sędzia przyszedł w porę, by wysłuchać transmisji, i czułem, że Dolly jest szczęśliwa, bo było tak, jakbyśmy się znów znaleźli razem pośród liści, przy muzyce zwiewnej jak lot motyli.

Parę dni później spotkałem na ulicy Elizabeth Henderson. Była w salonie piękności, gdyż włosy miała zaondulowane, paznokcie polakierowane i wyglądała dorosło; pogratulowałem jej.

— To na bal. Mam nadzieję, że twój kostium jest gotowy.

Przypomniało mi to: bal kostiumowy w Halloween, na którym ona i Maude chcą, żebym pełnił rolę wróżbity.

— Chyba nie zapomniałeś? Och, Collin — ciągnęła — harujemy jak niewolnice! Wyobrażasz sobie, pani Riordan robi poncz z winem. Wcale bym się nie dziwiła, gdyby niektórzy się popili i w ogóle. Ale jest to w końcu na cześć Maude, bo... — Elizabeth zwróciła wzrok w głąb ulicy, posepną perspektywę niemych domów i słupów telefonicznych — bo ona wyjeżdża, no wiesz, na studia.

Zmroził nas przedsmak rozstania: nie chcieliśmy, by nasze drogi się rozeszły. Ofiarowałem się odprowadzić ją do domu.

Po drodze wstąpiliśmy do piekarni Katydid, gdzie Elizabeth chciała zamówić tort na Halloween. W fartuchu połyskującym kryształkami cukru wyszła z zaplecza pani C. C. County, zapytać o zdrowie Dolly.

— Poprawia się, mam nadzieję — biadała. — Niewyobrażalne, latała z zapaleniem płuc. Moja siostra także miała zapalenie płuc, ale cały czas leżała. No, dziękować Bogu, że Dolly też

wreszcie leży we własnym łóżku; kamień mi spadł z serca, żeście wrócili wszyscy do domu. Możemy się teraz śmiać, cha cha, z tego idiotyzmu. Ale, ale, wyjęłam akurat z pieca blachę pączków; weźcie je z moim błogosławieństwem dla Dolly.

Zanim doszliśmy do domu, zjedliśmy ich większość we dwoje z Elizabeth. Zaprosiła mnie ona do domu na szklanek mleka, przy której wykończyliśmy resztę.

W miejscu, gdzie stał dom Hendersonów, jest dzisiaj stacja benzynowa. Składał się on z piętnastu pełnych przeciągów pokojów, tandetnie skleconych, które dawno zostałyby objęte w posiadanie przez bezpańskie zwierzęta, gdyby Riley nie był wytrawnym cieślą. Wybudował sobie obok szopę, kombinację pracowni i świątyni, gdzie spędzał ranki, piłując deski i heblując gonty. Półki na ścianach ugiwały się pod ciężarem pamiątek jego dawnych zamiłowań: węzów, os i pajaków zakonserwowanych w denaturacie, nietoperza rozkładającego się w butelce, modeli okrętów. Pozostałością jego chłopięcego upodobania do wypychania zwierząt było żalosne zoo brzydki wonejących stworzeń, jakiegoś bezokiego królika o zielonej od robactwa sierści i uszach zwisających jak u wyżła — muzeum eksponatów zasługujących na jak najszybsze pogrzebanie. Kilkakrotnie odwiedzałem ostatnio Rileya; kula Wielkiego Eddiego Stovera uszkodziła mu bark, czego największą niedogodnością było unieruchomienie ramienia w swędzącym gipsie, ważącym, jak twierdził, sto funtów. Nie mógł prowadzić auta ani wbić prosto gwoźdźca, nie pozostawało mu więc nic innego, jak snuć się bez celu i rozpamiętywać.

— Jeśli chcesz odwiedzić Rileya — powiedziała Elizabeth — to go znajdziesz w szopie. Jest z nim pewno Maude.

— Maude Riordan?

Zdziwiłem się nie bez powodu, bo kiedy odwiedzałem go poprzednio, nalegał zawsze, żebyśmy przeszli do szopy; nie

będą nam tam przeszkadzały dziewczyny, bo jest to, chełpił się, próg, którego nie ma prawa przekroczyć żadna istota rodzaju żeńskiego.

— Tak, czyta mu. Poezje, sztuki. Maude jest naprawdę cudowna. I to mimo że mój braciszek nie traktował jej nigdy choćby ze zwykłą ludzką przyzwoitością, puściła to w niepamięć. Myślę, że odmieniło go otarcie się o śmierć, jakie mu się przytrafiło, czyni to człowieka bardziej otwartym na rzeczy piękne. Najlepszy dowód, że pozwala jej czytać godzinami.

Szopa stała za domem, w cieniu drzew figowych. Koło wejścia przechadzały się dostojne kwoki, wydziobując ziarna z resztek letnich słoneczników. Namalowany wyblakłym wapnem na drzwiach widniał pamiętny z dzieciństwa napis: „Ostrożnie!”. Wprawił mnie w dziwne onieśmienie. Zza drzwi dochodził głos Maude, jej poetycki, omdlewający, śpiewny głos, który uwielbiały przedrzeźniać co większe łobuzy w szkole. Ktokolwiek by usłyszał, że Riley Henderson zniżył się do tego, uważałby, że upadek z płatana rzucił mu się na mózg. Podkradłszy się do okna, zobaczyłem go: pochłonięty był majstrowaniem we wnętrzu zegara, a sądząc po wyrazie jego twarzy, można by sądzić, że nie słucha niczego bardziej wzniosłego niż bzykanie muchy; podłubał palcem w uchu, jakby go swędziało. Po czym, gdy już miałem zastukać w okno, odsunął nagle zegar i podszedłszy z tyłu do Maude, objął ją i zamknął książkę, którą czytała. Z uśmiechem wziął w dłonie zwoje jej włosów; uniosła się jak kociak uchwycony za kark. Wydawali się jakby ujęci w ramę światła, jasności, która poraziła mi oczy. Oczywiście było, że całują się nie po raz pierwszy.

Niecały tydzień przedtem, ze względu na jego doświadczenie w sprawach sercowych, dopuściłem Rileya do tajemnicy, wyznałem mu swoje uczucia do Maude; i patrzcie! Pragnąłem być w tej chwili olbrzymem, który by chwycił szopę i potrząsnął

nią, wywalił drzwi i rzucił obojgu w twarz oskarżenie. Ale o co właściwie mógłbym oskarżyć Maude? Jakkolwiek źle by się o nim wyrażała, zawsze wiedziałem, że jej serce bije dla Rileya. Między nami dwojgiem nie było nigdy nic, co można by nazwać porozumieniem; byliśmy co najwyżej bliskimi znajomymi, a w ostatnich paru latach nawet i to nie. Dostojne kwoki odprowadzały mnie szyderczym gdakaniem, gdy szedłem z powrotem.

— Prędko wróciłeś — powitała mnie Elizabeth. — Nie ma ich tam?

Odparłem, że nie wypadało im jakoś przerywać.

— Tak byli przejęci wyższymi sprawami...

Ale sarkazm nie docierał nigdy do Elizabeth: mimo subtelności, jaką zdawała się obiecywać jej wrażliwość, była osobą zbyt dosłowną.

— To cudownie, prawda?

— Cudownie.

— Collin, na miłość boską, czemu ty tak siąkasz nosem?

— To nic, jestem trochę przeziębiony.

— Ale mam nadzieję, że przyjdiesz na zabawę. Tylko musisz mieć kostium. Riley ma być diabłem.

— To w sam raz strój dla niego.

— Chcemy, żebyś ty był przebrany za kościotrupa. Wiem, został już tylko dzień...

Nie miałem najmniejszego zamiaru iść na zabawę. Gdy tylko wróciłem do domu, zasiadłem do pisania listu do Rileya. „Kochany Riley...”. „Szanowny Panie Henderson...”. Wykreśliłem: szanowny. Starczy samo: Henderson. „Henderson, twoja zdrada nie pozostała niepostrzeżona”. Całe strony wypełnił opis początków naszej przyjaźni, jej szlachetnych początków; stopniowo narastało poczucie pomyłki: niemożliwe, żeby mnie zdradził taki wspaniały przyjaciel. Aż pod koniec zacząłem mu

niepoczytalnie wyznawać, że jest moim najlepszym przyjacielem, bratem. Rzuciłem więc w końcu do ognia te brednie i pięć minut później maszerowałem do pokoju Dolly spytać, jakie są szanse, żebym miał na następny wieczór kostium kościotrupa.

Dolly nie miała nigdy smykałki do szycia, z trudem przychodziło jej nawet obrębienie spódnicy. To samo można by powiedzieć o Catherine, w jej charakterze leżało jednak pretendowanie do biegłości we wszystkich dziedzinach, szczególnie tych, w których była najmniej wprawna. Posłała mnie do sklepu Vereny po siedem jardów najlepszej czarnej satyny.

— Z siedmiu jardów powinno sporo zostać: obie z Dolly wykroimy sobie halki.

Uczyniła następnie wielkie przedstawienie z mierzenia moich długości i szerokości, co było krokiem jak najwłaściwszym, tyle że nie miała najmniejszego pojęcia, jak przenieść te dane nożycami na materiał.

— Z tego kawałka — mówiła, odcinając dobry jard — wyjdą dla którejś z nas śliczne majtki. A z tego — ciach, ciach — będzie piękny kołnierzyk do tej mojej kretonowej sukienki.

Ostatecznie materiału, który pozostał dla mnie, nie starczyłoby do okrycia wstydliwych części ciała liliputa.

— Catherine, kochanie, nie powinnyśmy myśleć o naszych potrzebach — mitygowała ją Dolly.

Pracowały bez przerwy przez całe popołudnie. Sędzia, podczas swojej codziennej wizyty, zmuszony był nawlekać igły, czynność, której Catherine nie cierpiała.

— Przypomina mi to nadziewanie robaków na haczyk wędkii. Ciarki mnie od tego przechodzą.

W porze kolacji Catherine powiedziała, że dość się narobiła, i poszła do swojego domku wśród krzaków fasoli. Dolly pozostała na miejscu, owładnięta chęcią dokończenia dzieła; jej pracowitości towarzyszyła ozywiona wymowność. Igła

fruwiała w górę i w dół nad satyną, a szwy, które spod niej wychodziły, miały równie chybotliwy bieg jak tok jej myśli.

— Myślicie, że Verena pozwoliłaby mi urządzić przyjęcie? Mam teraz tylu przyjaciół. Jest Riley, jest Charlie, mogłabym zaprosić panią County, Maude i Elizabeth. Przyjęcie ogrodowe na wiosnę, z małymi fajerwerkami. Mój tato umiał świetnie szyć. Szkoda, że nie odziedziczyłam po nim zdolności. Dawniej szyło wielu mężczyzn, tatuś miał znajomego, który zdobył nie wiem ile nagród za swoje kołdry z łątek. Tatuś mówił, że szycie pozwala mu się odprężyć po ciężkiej pracy na farmie. Collin, proszę cię, obiecaj mi coś. Byłam zawsze przeciwna zabieraniu ciebie do nas. Uważałam, że dom samych kobiet to nie miejsce do wychowywania chłopca. Stare baby ze swoimi przyzwyczajeniami. No, stało się i teraz już się tym nie martwię: wiem, że wyjdiesz na człowieka, znajdziesz swoje miejsce w świecie. Ale co chcę, żebyś mi obiecał: bądź dobry dla Catherine, nie odsuwaj się od niej, jak dorośniesz. Nie śpię czasem w nocy, jak sobie pomyślę, że mogłaby zostać opuszczona. No-o — podniosła do góry mój kostium — zobaczmy, jak pasuje.

Uwierał mnie w kroku, z tyłu zwisał niczym niewymowne grubasa; nogawki miał szerokie jak spodnie majtka, jeden rękaw nie sięgał przegubu, drugi zakrywał czubki palców.

— Nie jest zbyt szykowny — przyznała Dolly. — Ale jak wyrysujemy na nim szkielet... Srebrną farbą. Verena kupiła kiedyś srebrną farbę do pomalowania drzewca sztandaru, oczywiście, zanim się obraziła na rząd. Gdzieś na strychu powinna być puszka. Zajrzyj pod łóżko, kochany, może znajdziesz moje kapcie.

Nie wolno jej było wstawać, nawet Catherine tego pilnowała.

— Nie zaczynaj tylko zrędzić, wcale mnie to nie bawi — powiedziała, po czym sama znalazła kapcie.

Zegar na wieży sądu wybił jedenastą, co oznaczało, że jest wpół do jedenastej, mroczna godzina w miasteczku, gdzie drzwi

przyzwoitych domów zamyka się o dziewiątej; wydawało się, że jest jeszcze później, bo w sąsiednim pokoju Verena dawno zatrzasnęła swoje księgi i poszła spać. Wydobyliśmy lampę oliwną ze schowka na bieliznę i przy jej chwiejnym świetle wdrapaliśmy się na palcach po drabinie na strych. Panował tam ziąb; ustawiliśmy lampę na beczce i krążyliśmy wokół niej, jakby to był ciepły kominek. Przyglądały się naszym poszukiwaniom wypchane trocinami głowy, które służyły niegdyś w sklepie Vereny do prezentacji sprowadzanych z St. Louis kapeluszy. W którąkolwiek stronę wyciągnęliśmy ręce, rozlegał się splotzony szurgot smykających łapek. Po podłodze potoczyły się kulki przeciwmolowe wysypane z przewróconego pudełka.

— Ojejku — zachichotała Dolly — jak Verena to usłyszy, to zadzwoni po szeryfa.

Wygrzebaliśmy niezliczone pędzle, a farba, odkryta pod stosem zasuszonych wianków bożenarodzeniowych, okazała się nie srebrna, tylko złota.

— Tym lepiej, prawda? Złoto jak królewski okup. Popatrz tylko, co jeszcze znalazłam. — Było to pudełko od butów związane szpagatem. — Moje skarby — oznajmiła i zabrała się do rozpakowywania.

Podnosiła kolejno do światła plaster po miodzie, gniazdo szerszeni i naszpikowaną goździkami pomarańczę, którą czas pozbawił aromatu. Na koniec pokazała mi nieskazitelnie niebieskie jajko sójki owinięte w watę.

— Ja byłam zbyt zasadnicza, to Catherine wykradła jajko z gniazda. Ofiarowała mi je na Gwiazdkę. — Posłała mi uśmiech; jej twarz przywiodła mi na myśl ćmę zawisłą u klosza lampy: była równie niebaczna i równie zniszczalna. — Charlie twierdzi — podjęła — że miłość to łańcuch miłości. Mam nadzieję, że go słuchałeś i zrozumiałeś. Bo jak się pokocha jedną rzecz — uniosła niebieskie jajko z taką samą rewerencją,

z jaką sędzia podnosił listek — to pokocha się także następną, i to już jest twoje, ma się po co żyć. Wszystko można wybaczyć. No — westchnęła — ale czeka nas malowanie. Catherine się zdziwi; powiemy jej, że jak spaliśmy, twój kostium wykończyły krasnoludki. Zrobi wielkie oczy.

Zegar na wieży rozsyłał znów swoje wici, każdy jego dźwięk rozwijał się jak flaga nad zmarzniętym i uśpionym miastem.

— Wiem, że to łachocze — powiedziała, malując siatkę żeber na mojej piersi — ale jak się będziesz wiercił, to wszystko się rozmaże. — Umoczyła pędzel i jęła się ślizgać po moich rękawach i nogawkach, malując złoty kościec rąk i nóg. — Zapamiętaj dokładnie wszystkie komplementy, będzie ich bez liku — zapowiedziała, lustrując nieskromnie swoje dzieło. — Ojejku, jejku... — Ujęła się pod boki, jej śmiech zagrzechotał pod krokwiemi. — Popatrz tylko...

Świeżo wymalowany z przodu i z tyłu, uwięziony byłem w swoim kostiumie. Ładnie mnie urządziła! Pogroziłem jej palcem.

— Kręć się, kręć — śmiała się. — Wyschnie prędzej, jak będziesz się kręcił.

Wyciągnęła komicznie ręce i jęła powoli, niezgrabnie wirować po cieniach podłogi; wydymał się jej szlafrok, chude stopy potykały w kapciach. Nagle, jakby się zderzyła z innym tancerzem, zatoczyła się, złapała jedną ręką za czoło, drugą za pierś.

Daleko na horyzoncie dźwięku rozległ się gwizd pociągu, ale moją uwagę przykuwało przerażenie, które ścięło jej oczy, skurcz, który wykrzywił twarz. Chwyciwszy ją w ramiona, wyciskając wzór świeżej farby na jej szlafroku, zacząłem wołać Verenę: na pomoc, na pomoc! Dolly wyszeptała:

— Ci-i, ci-i.

Domy wieszczą w nocy katastrofę nagłą bezlitosną jasnością. Catherine krążyła po pokojach, zapalając światła nieużywane

od lat, a ja, trzęsąc się w swoim żałosnym kostiumie, siedziałem na jednej ławce z sędzią w blasku holu wejściowego. Sędzia przybiegł natychmiast, w samym płaszczu przeciwdeszczowym narzuconym na flanelową koszulę nocną. Ilekroć zbliżała się Verena, ścisnął wstydliwie gołe nogi jak pensjonarka. Zaalarmowani przez nasze rozjarzone okna, schodzili się sąsiedzi. Verena rozmawiała z nimi na werandzie: jej siostra, panna Dolly, doznała udaru. Doktor Carter nie dopuszczał nikogo do jej łóżka, co respektowaliśmy wszyscy, nie wyłączając Catherine, która zapaliwszy w całym domu światła, stała z głową opartą o drzwi do pokoju Dolly.

W holu był wieszak z wieloma zwierzęcymi rogami i lustrem. Wisiał na nim aksamitny kapelusz Dolly, a ilekroć po wschodzie słońca wkradł się do domu wietrzyk, w lustrze falowało odbicie woalki.

Po pewnym czasie wiedziałem już z całkowitą jasnością, że Dolly od nas odeszła. Parę chwil temu, niewidziana, przeszła przez hol, a ja w wyobraźni poszedłem za nią. Minęła rynek, doszła do kościoła, teraz wchodzi na wzgórze. Poniżej mienią się indiańskie trawy: tak daleko musi iść.

* * *

Drogę tę odbyłem z sędzią Coolem we wrześniu następnego roku. W tym czasie prawie się nie widywaliśmy; kiedy się spotkaliśmy raz na rynku, poprosił, żebym go odwiedzał, jak tylko będę miał ochotę. Chciałem, ale przechodząc koło pensjonatu panny Bell, zawsze patrzyłem jakoś w drugą stronę.

Czytałem, że przeszłość i przyszłość stanowią spiralę, której każdy zwój przechodzi w następny i wyznacza jego bieg. Może tak i jest, ale moje własne życie jawi mi się raczej jako seria zamkniętych kręgów, pierścieni, które nie rozwijają się ze swobodą spirali; przejście od jednego do drugiego kręgu to dla

mnie skok, nie prześlizgiwanie się. Tym, co mnie paraliżuje, jest pustka między nimi, czekanie, aż będę miał pewność, w którą stronę skoczyć. Dłuższy czas po śmierci Dolly trwałem w stanie zawieszenia.

Postanowiłem używać życia.

Obijałem się w kawiarni Phila, wygrywając w bilard mechaniczny darmowe piwa. Podawanie mi piwa było niezgodne z prawem, ale Phil kombinował sobie, że pewnego dnia odziedziczy pieniądze Vereny i być może sfinansuję mu założenie hotelu. Pomadowałem włosy brylantyną i wypuszczałem się na tańce do sąsiednich miasteczek; po nocach świeciłem dziewczynom w okna latarką i rzucałem im do pokojów kamyki. Poznałem Murzyna, który sprzedawał w okolicy gin marki Żółty Bies. Podlizywałem się każdemu, kto miał auto.

Wszystko to dlatego, że nie chciałem spędzać ani jednej godziny dnia w domu Vereny Talbo. Zbyt ciężko było w nim od zastałego powietrza. W kuchni królowała obca dziewczyna, Murzynka o ptasich stopach, która po całych dniach śpiewała; miała drżący głosik dziecka, które dodaje sobie otuchy w miejscu, gdzie straszy. Gotowała podle, pozwoliła uschnąć kuchennej pelargonii. Popierałem jej najęcie przez Verenę, licząc, że zmobilizuje to Catherine do powrotu do kuchni.

Wyszło wprost przeciwnie, gdyż Catherine nie wykazała najmniejszego zainteresowania pozbyciem się nowo przyjętej dziewczyny. Zrejterowała do swego domku w ogródku warzywnym, zabrała ze sobą radio i wydawała się bardzo szczęśliwa.

— Pozbyłam się raz na zawsze ciężaru obowiązków — oświadczyła. — Teraz będę odpoczywała.

Roztyła się od tego odpoczywania, stopy jej tak popuchły, że musiała rozcinać sobie pantofle. Wpadła w zwielokrotnioną wersję nawyków Dolly, jej upodobania do słodczy; na obiad kazała sobie przysyłać ze sklepu dwa litry lodów. Na kolanach

szeleściły jej wiecznie papierki od cukierków. Dopóki nie zrobiła się zbyt gruba, wciskała się w suknie pozostałe po Dolly, jakby tym sposobem chciała utrzymać przyjaciółkę przy sobie.

Wizyty u niej były udawką, odbywałem je z przymusu, zły, że oczekuje ode mnie dotrzymywania jej towarzystwa. Opuściłem na próbę dzień bez zobaczenia się z nią, potem trzy dni, raz cały tydzień. Przychodząc po parodniowej nieobecności, sądziłem, że milczenie, w jakim siedzimy, jej obojętne zachowanie, wynikają z żalu do mnie; zbyt doskwierało mi sumienie, bym pojmował, że ani ją ziębi, ani grzeje, czy przychodzę, czy nie. Aż któregoś popołudnia okazała mi to. Wyjęła po prostu watę, którą obkładała dziąsła. Bez waty jej mowa stawała się dla mnie równie niezrozumiała, jak nawet z watą dla innych. Stało się to w momencie, gdy szukałem pretekstu do szybkiego ulotnienia się. Catherine uniosła fajerkę pękatego piecyka i wrzuciła watę do ognia; jej policzki się zapadły, wyglądała jak zagłodzona. Z dzisiejszej perspektywy sędzę, że nie był to akt odwetu; dawała mi po prostu do zrozumienia, że nie mam wobec niej żadnych zobowiązań: nie chciała dzielić ze mną przyszłości.

Czasem zawiózł mnie gdzieś Riley, nie mogłem jednak liczyć na niego i jego auto; nie miał dla mnie zbyt wiele czasu, zrobił się bowiem człowiekiem interesu. Bateria traktorów niwelowała dziewięćdziesiąt akrów ziemi, które kupił na obrzeżach miasta; planował wybudować tu osiedle. Poparcie niektórych lokalnych notabli zyskała inna jego inicjatywa: wybudowania przedzalni jedwabiu, której udziałowcami byłiby wszyscy mieszkańcy miasta; oprócz spodziewanego zysku przyczyniłoby się to do zwiększenia populacji. W gazecie ukazał się entuzjastyczny artykuł o tej propozycji, zakończony stwierdzeniem, że nasze miasto powinno być dumne, iż może się poszczycić tak przedsiębiorczym młodym człowiekiem jak Henderson. Zapuścił wąsy; wynajął lokal na biuro, w którym funkcje sekretarki

pełniła jego siostra Elizabeth. W prawie każdy weekend woził swoje siostry na uniwersytet stanowy, na którym studiowała Maude Riordan; czynił to rzekomo dlatego, że siostronom tak jej brak. Zawiadomienie o zaręczynach panny Maude Riordan i pana Rileya Hendersona zamieścił „Courier” w prima aprilis.

Pobrali się w połowie czerwca; wręczyli sobie uroczyście obrączki w ceremonii ślubnej, której ja byłem mistrzem, a sędzia družbą pana młodego. Poza siostrami Henderson druhami były same panny z towarzystwa, które Maude poznała na uniwersytecie; „Courier” nazwał je nader szarmancko uroczymi debiutantkami. Panna młoda miała bukiet z jaśminu i bzu; pan młody miał na nogach getry i gładził wąsy. Sowite prezenty zaścieliły calutki stół; ja im ofiarowałem pół tuzina pachnących mydeł i popielniczkę.

Po ślubie wracałem z Vereną pod osłoną jej czarnej parasolki. Dzień był skwarny, fale gorąca pulsowały jak odświętne bicie dzwonów kościoła baptystów. Przed sobą miałem całą resztę lata, perspektywę pustą jak ulica przede mną, martwa w południowym upale. Lato, potem jesień, jeszcze jedna zima: nie spirala, lecz krąg zamknięty jak cień parasolki pod naszymi stopami. Czy kiedykolwiek odważę się na skok przez ten krąg? Z zamierającym sercem dokonałem skoku.

— Vereno, chcę wyjechać.

Dochodziliśmy do furtki od ogrodu.

— Wiem, ja też bym chciała — odparła i zamknęła parasolkę. — Liczyłam, że wyjedziemy we dwie z Dolly, chciałam jej pokazać ocean.

Verena wydawała się zawsze kobietą rosłą z powodu swojej wyniosłej postury; teraz garbiła się lekko, głowa jej się trzęsła. Dziwiłem się sam sobie, że mogłem jej się kiedykolwiek bać, bo zrobiła się kobieca, lękliwa, rozprawiała o włamywaczach, naszpikowała drzwi zasuwami, dach piorunochronami. Do

niedawna miała zwyczaj obchodzić każdego pierwszego wszystkich, od których należał jej się czynsz; miasto ogarnęła konsternacja, gdy tego zaprzestała, ludzie poczuli się zagubieni bez comiesięcznego dnia sądnego. Kobiety uważały, że Verena nie jest sobą, odkąd straciła siostrę, nie ma teraz żadnej rodziny; ich mężowie winili za wszystko doktora Morrisa Ritza, jego zdrada złamała w niej ducha, mówili; i tak jak przedtem mieli na pieńku z Vereną, teraz mieli pretensję do niego.

Kiedy trzy lata temu przyjechałem do miasta, pierwszym zadaniem, jakie na mnie spadło, było uporządkowanie papierów po siostrach Talbo; i wśród prywatnych rzeczy Vereny, jej kluczy, zdjęć Maudie Laury Murphy, znalazłem widokówkę. Nadeszła z Paragwaju przed Bożym Narodzeniem, dwa miesiące po śmierci Dolly. „Jak tutaj mówimy: *Feliz Navidad*. Czy tęsknisz za mną? Morris”. Czytając kartkę, przypomniałem sobie czas, gdy oczy Vereny nabrały tego dziwnego wyrazu, ścięte bolesnym, skierowanym do wewnątrz zapatrzaniem; i chwilę, gdy w dniu ślubu Rileya w jej oczach pojawił się błysk nadziei.

— Moglibyśmy urządzić sobie dłuższą podróż. Myślałam o sprzedaniu paru... paru posiadłości. Moglibyśmy popłynąć statkiem; nie widziałeś nigdy oceanu.

Zerwałem gałązkę kapryfolium rosnącego na ogrodowym płocie; Verena przyglądała się, jak obrywam jego listki, tak jakbym rozszarpywał jej nadzieje, wizję podróży, którą sobie dla nas wymarzyła.

— No-o! — Potarła pieprzyk, który błyszczał na jej policzku niczym łza. — Więc jakie — podjęła rzeczowym tonem — jakie masz plany na przyszłość?

Tak więc dopiero we wrześniu poszedłem odwiedzić sędziego, poszedłem, żeby się z nim pożegnać. Walizki miałem spakowane, Amos Legrand ostrzygł mnie na drogę („Kochany,

tylko nie wracaj tutaj z łysą pałą, znaczy, nie pozwól się oskalpować tym tam rzezimieszkom, oni tylko patrzą, jak człowieka obłupić ze skóry”); miałem nowy garnitur, nowe buty, szary kapelusz („Ale z ciebie elegant, panie Collin Fenwick! — wykrzyknęła pani County. — Adwokatem chcesz zostać i wysztafirowałeś się już jak adwokat. Nie, nie pocałuję cię, chłopcze, nie miałabym sumienia ubielić ci garderoby piekarnianą mąką. Ale pisz, pisz, słyszysz?”). Jeszcze tego wieczoru pociąg miał mnie ukołysać w podróży na północ, przewieźć przez pół kraju w drodze do miasta, gdzie już wywieszono na moją cześć chorągwie.

W pensjonacie panny Bell powiedziano mi, że sędzia Cool wyszedł. Znalazłem go na rynku i serce mi piknęło na widok jego eleganckiej, krzepkiej postaci z różą w butonierce, w towarzystwie starych mężczyzn, którzy przesiadują tam na ławkach, pogadując, popluwając i czekając. Ujął mnie pod ramię i odciągnął od nich. Minęliśmy kościół i ruszyliśmy drogą wzdłuż Lasu Nadrzecznego, a on opowiadał mi pogodnie o swoich własnych studenckich latach na prawie. Ta droga, to drzewo: zamykałem oczy, żeby utrwalić w pamięci ich widok, bo nie myślałem, że tu jeszcze wrócę, nie sądziłem, że będę szedł tą drogą i śnił o tym drzewie, dopóki się o mnie nie upomną.

Tak jakby żaden z nas nie wiedział, dokąd idziemy, z niemym zdziwieniem zmierzaliśmy widok ze wzgórza cmentarnego i ramię w ramię zaczęliśmy schodzić na spalone po lecie, wrześniowo ubarwione pole. Suche, szeleszczące liście spływały kaskadą kolorów; żałowałem, że sędzia nie słyszał, co mi powiedziała Dolly: że to harfa traw, nabrzmiewająca, wymowna harfa głosów wspominających jakieś historie. Nasłuchiwalismy.

Pan Bida

Stukot jej wysokich obcasów na marmurowej posadzce holu przywiódł jej na myśl kostki lodu grzechoczące w szklance, a te kwiaty, była pewna, te jesienne chryzantemy w wazonie przy wejściu, gdyby ich dotknęła, rozprysnęłyby się, rozsypały w lodowy pył, chociaż w tym domu jest ciepło, nawet trochę za ciepło, ale i zimno — Sylvia się wstrząsnęła — ale i zimno jak na obrzękłej śnieżnej pustyni twarzy sekretarki, panny Mozart, która się ubiera cała na biało, jakby była pielęgniarką; tak, to by tłumaczyło wszystko. „Pan jest szaleńcem, panie Revercomb, a to jest pańska pielęgniarka”. Zastanawiała się nad tym przez chwilę; jednak nie. Tymczasem służący podał jej szalik. Rozczuliła ją jego uroda — smukły, taki delikatny, Murzyn z piegami na skórze i czerwonymi oczami bez blasku. Otwierała drzwi, gdy zjawiała się panna Mozart, sucho szeleszcząc na całym hol wykrochmalonym uniformem.

— Mamy nadzieję, że pani jeszcze przyjdzie — powiedziała i wręczyła Sylvii zapieczętowaną kopertę. — Pan Revercomb był nadzwyczaj zadowolony.

Na dworze opadał granatowymi płatkami listopadowy zmierzch. Sylvia ruszyła w poprzek Manhattanu, a gdy dotarła

do wyludnionych górnych rejonów Piątej Alei, przyszło jej do głowy, że mogłaby wrócić do domu przez park. Był to niemal akt buntu, bowiem Henry i Estelle, tak lubiący podkreślać swoje wielkowiejskie obycie, powtarzali jej wciąż: „Sylvio, nie masz pojęcia, jak niebezpiecznie jest spacerować po parku po zapadnięciu mroku; pamiętaj, co się przydarzyło Myrtle Calisher. To nie Easton, kochanie”. To było drugie zdanie, które powtarzali. I dodawali: „Aż się z tego pochorowała, biedaczka”.

Ale z drugiej strony, jeśli nie liczyć paru koleżanek ze Snug-Fare, firmy bieliźniarskiej, w której była maszynistką, kogóż innego zna w Nowym Jorku? Och, wszystko byłoby w porządku, gdyby tylko nie musiała mieszkać z nimi, gdyby mogła sobie pozwolić na najmniejszy, byleby osobny pokój. Bo w ich przeładowanym perkalami mieszkaniu czuła czasem, że jeszcze chwila, a zadusi oboje. Po co w ogóle przyjechała do Nowego Jorku? Po cokolwiek przyjechała, a cel zacierał się coraz bardziej, główną przyczyną wyjazdu z Easton była chęć odczepienia się od Henry’ego i Estelle; to znaczy od ich tamtejszych sobowtórów, chociaż faktem jest, że Estelle rzeczywiście pochodzi z Easton, miasteczka na północ od Cincinnati. Wychowały się razem z Sylvią. Najnieznośniejsze w Henrym i Estelle było to ich natrętne obnoszenie się ze swoim małżeństwem. Wszystko ślicznie-ładnie, kizia-mizia, wszystko ma swoją nazwę: telefon nazywa się pan Dzyń-dzyń, kanapa panna Helcia, łóżko Mruczek; a te wszystkie moje-twoje poduszki, moje-twoje ręczniki. Można oszaleć.

— Oszaleć — powiedziała głośno, a cisza parku pochłonięła jej głos.

W parku było uroczo — dobrze, że tędy poszła. Wiatr przebierał listkami, klosze latarni przed chwilą się rozjarzyły, wydobywając z mroku dziecięce rysunki kredą, różowe ptaki, niebieskie strzały, zielone serca. Nagle, jak sprośne przekleń-

stwa, wyrosło na ścieżce dwu wyrostków; krostowaci, z wyszczerzonymi zębami, majaczyli w półmroku niczym groźne płomienie, aż Sylvia, mijając ich, poczuła żar w całym ciele, jakby się naprawdę otarła o ogień. Chłopcy zawrócili i szli za nią wzdłuż pustego placu zabaw; jeden ciągnął kij po żelaznych prętach ogrodzenia, drugi gwizdał i dźwięki osaczały ją jak rosnący łoskot lokomotywy; potem któryś roześmiał się i krzyknął: „Hej, po co ten pośpiech?” — aż Sylvia wykrzywiła usta, łapiąc dech. Spokój, myślała, zastanawiając się, czy nie rzucić torebki i nie uciec. Ale w tym momencie z bocznej alejki wynurzył się pan z psem i idąc w ślad za nim, dotarła do bramy. Ale by mieli uciechę Henry i Estelle, gdyby im powiedziała. Dopiero by było: „A mówiliśmy!”. Co gorsza, Estelle nie omieszkałaby napisać do domu i tylko patrzeć, jak w całym Easton zrobiłoby się głośno, że została zgwałcona w Central Parku. Przez resztę drogi do domu czuła nienawiść do Nowego Jorku: do anonimowości, tej jego rzekomej cnoty, do piszczących rur, świateł, które się palą przez całą noc, niemilkących kroków, tuneli metra, numerów na drzwiach (3C).

— Cii, kochanie — syknęła Estelle, wychylając się trwożnie z kuchni. — Misio się uczy.

Rzeczywiście, Henry, który studiował prawo na Columbii, siedział w saloniku pochylony nad książkami. Sylvia, zdjawszy na żądanie Estelle pantofle, przeszła na palcach do swojego pokoju. Rzuciła się na łóżko, zasłoniła oczy rękami. Czy to wszystko naprawdę się dziś wydarzyło? Panna Mozart i pan Revercomb, czy naprawdę rozmawiała z nimi w tym wielkim domu na Siedemdziesiątej Ósmej Ulicy?

— No, kochanie, wydarzyło się dzisiaj coś ciekawego?

Estelle weszła bez pukania. Sylvia uniosła się na łokciu.

— Coś ciekawego? Przepisałam dziewięćdziesiąt siedem listów.

— O czym te listy, kochanie? — zapytała Estelle, poczesując się szczotką Sylvii.

— U diabła, a jak myślisz? Jak co dzień, o gatkach, które dodają prestiżu czołowym przedstawicielom nauki i przemysłu.

— Ojej, coś ty taka wściekła? Czasami nie wiem, co się z tobą dzieje. Taka jesteś opryskliwa. Auu! Czemu ty sobie nie kupisz nowej szczotki? Na tej jest już kołtun włosów...

— Głównie twoich.

— Co mówisz?

— Mniejsza z tym.

— Bo myślałam, że coś mówisz. Więc jak powiadam, byłabym szczęśliwa, gdybyś nie musiała chodzić do tego biura, bo wracasz codziennie taka jakaś rozdrażniona i nie w sosie. Ja osobiście sądzę, zresztą powiedziałam to nie dalej jak wczoraj Misiowi i on się ze mną zgadza w stu procentach, powiedziałam: „Misiu, myślę, że Sylvia powinna wyjść za męża. Taka pobudliwa dziewczyna jak ona nie może żyć w ciągłym napięciu”. I nie widzę powodu, dlaczego byś nie miała tego zrobić. Nie jesteś może przystojna w zwykłym rozumieniu, ale masz śliczne oczy i żywe, szczere spojrzenie. Naprawdę, każdy inteligentny mężczyzna byłby szczęśliwy, biorąc taką dziewczynę jak ty. A myślę, że i ty nie byłabyś przeciwna. Popatrz tylko na mnie, jestem zupełnie inną kobietą, odkąd wyszłam za Henry’ego. Czy ty się nie czujesz samotna, widząc, jacy jesteśmy szczęśliwi? Uważam za swój obowiązek, kochanie, powiedzieć ci, że nie ma większego szczęścia, niż leżeć w nocy w łóżku w objęciach mężczyzny...

— Estelle! Na miłość boską! — Sylvia usiadła prosto jak struna na łóżku i gniew zabarwił jej policzki jak róż. Ale po chwili zagryzła wargi i opuściła powieki. — Przepraszam, nie chciałam podnosić głosu. Tylko proszę cię, nie opowiadaj takich rzeczy.

— Już dobrze, dobrze — odparła Estelle z niemym uśmiechem zdumienia. Potem podeszła i pocałowała Sylwię. — Rozumiem, kochanie. Jesteś po prostu przepracowana. Założę się, że jeszcze nic nie jadłaś. Chodź do kuchni, zrobię ci jajecznicę.

Kiedy Estelle postawiła przed nią talerz, Sylvia poczuła wstyd. Ostatecznie Estelle chciała być dla niej miła. Więc żeby naprawić sytuację, powiedziała:

— Jednakże coś mi się dzisiaj przydarzyło.

Estelle usiadła naprzeciwko z filiżanką kawy, więc Sylvia mówiła dalej:

— Nie wiem, jak ci to powiedzieć. To takie dziwne. Jadłam dzisiaj lunch w barze, nie było wolnych stolików, więc się przysiadłam do trzech mężczyzn. Gdybym była niewidzialna, nie mogliby się mniej krępować, bo rozmawiali o najintymniejszych sprawach. Jeden powiedział, że jego przyjaciółka zaszła w ciążę, a on nie ma pieniędzy, żeby coś z tym zrobić. Na to drugi zapytał, dlaczego czegoś nie sprzeda. Ale tamten odparł, że nie ma nic do sprzedania. Wtedy ten trzeci (wyglądał na subtelniejszego i jakoś nie pasował do tamtych dwu) powiada, że i owszem, jest coś, co może sprzedać: sny. Nawet ja parsknęłam śmiechem, ale ten, który to powiedział, potrząsnął głową i mówił całkiem serio, że jednak tak, to święta prawda, ciotka jego żony, panna Mozart, pracuje u pewnego bogatego człowieka, który skupuje od ludzi sny, zwykłe nocne sny. Zapisał nazwisko i adres i dał temu koledze, ale tamten po prostu zostawił kartkę na stole. Powiedział, że to jakieś bzdury, takie coś to nie dla niego.

— Dla mnie też nie — wtrąciła Estelle trochę sztywno.

— Nie wiem — powiedziała Sylvia, zapalając papierosa. — Nie dawało mi to spokoju. Nazywa się A.F. Revercomb i mieszka na Siedemdziesiątej Ósmej Wschodniej Ulicy. Rzuciłam

tylko okiem na tę kartkę... I sama nie wiem czemu, ale jakoś mnie to dręczyło, więc wyszłam wcześniej z biura...

Wolno i dobitnie Estelle postawiła filizankę.

— Ależ, kochanie, nie powiesz chyba, żeś do niego poszła, do tego zwariowanego Revercomba?

— Nie miałam zamiaru iść — odparła, zbita z tropu. Pojęła teraz, że popełniła błąd, mówiąc o tym. Estelle nie ma wyobraźni, nigdy tego nie zrozumie. Więc zmrużyła oczy jak zawsze, kiedy zmyślała kłamstwo. — I ostatecznie nie poszłam — powiedziała bezbarwnie. — Już miałam iść, ale zrozumiałam, jakie to niemądre. Poszłam zamiast tego na spacer.

— Bardzo rozsądnie zrobiłaś — powiedziała Estelle i zaczęła składać naczynia do zlewu. — Pomyśl tylko, do czego to mogło doprowadzić. Skupować sny! Któż to słyszał? Tak, tak, moja droga, to nie jest Easton.

Przed położeniem się Sylvia zażyła seconal, co bardzo rzadko robiła; ale wiedziała, że bez tego nie zaśnie. Mózg jej pracował jak szalony, myśli kłębiły się w głowie; ponadto odczuwała dziwny smutek, świadomość utraty, tak jakby padła ofiarą rzeczywistej czy też moralnej kradzieży, jakby spotkani w parku chłopcy naprawdę (zapaliła gwałtownie światło) wyrwali jej torebkę. Koperta, którą wręczyła jej panna Mozart! Jest w torebce; zupełnie o niej zapomniała. Rozerwała ją. Wewnątrz był banknot owinięty w niebieską kartkę, na kartce napis: „Opłata za jeden sen — 5 dolarów”.

A więc to prawda, sprzedała panu Revercombowi sen. Czyż może to być aż takie proste? Roześmiała się cichutko, gasząc z powrotem światło. Gdyby sprzedała tylko dwa sny tygodniowo, pomyśleć, co może za to mieć: wynajmie oddzielny pokój, myślała, zapadając się powoli w sen. Błogość zafalowała nad nią jak płomień, a potem ta chwila osuwania się w półmrok, w głębię. Jego wargi, jego ramiona, wyolbrzymione jak przez

lunetę, pochylają się; ze wstrętem odepchnęła koc. Czy o takich chłodnych męskich ramionach mówiła Estelle? Wargi pana Revercomba ocierają się o jej ucho, osuwają z nią przepastnie w sen. „Proszę mi powiedzieć” — szepczą.

Minał tydzień, nim go znów zobaczyła. Było to na początku grudnia. Wyszła w niedzielę po południu z zamiarem wybrania się do kina i jakimś sposobem, sama nie wiedząc jak i kiedy, znalazła się na Madison Avenue, o dwie przecznice od jego domu. Dzień był chłodny, o wysrebrzonym niebie i wietrze ostrym i przenikliwym jak zapach malw. Na wystawach, pośród zasp cekinowego śniegu, połyskiwały sople anielskich włosów — ku utrapieniu Sylvii, która nie znosiła świąt, owych dni, kiedy człowiek czuje się najbardziej samotny. Za którąś witryną naturalnej wielkości mechaniczny Święty Mikołaj klepał się po brzuchu i kołysał w przód i w tył w paroksyzmie elektrycznej radości. Na ten widok Sylvia zamarła; przez grube szkło słyszała jego donośny, piskliwy śmiech. Im dłużej mu się przyglądała, tym bardziej wydawał jej się wcieleniem zła, aż wreszcie odwróciła się z dreszczem i skręciła w ulicę, na której rezydował pan Revercomb.

Jego dom wyglądał z zewnątrz jak zwykły miejski dom, może odrobinę mniej elegancki, mniej imponujący niż niektóre inne, jednakże stosunkowo okazały. Dokoła oprawnych w ołów szyb wił się bluszcz zwarzony przez zimę, obejmował węzowymi splotami drzwi; po obu stronach wejścia stały dwa małe kamienne lewki o wyżłobionych, niewidomych oczach. Sylvia odetchnęła głęboko, po czym nacisnęła dzwonek. Czarujący, blady Murzyn poznał ją i uśmiechnął się uprzejmie.

Gdy była tu poprzednim razem, w saloniku, gdzie czekała na przyjęcie, nie było nikogo prócz niej. Dzisiaj zastała tu kilka kobiet o różnym wyglądzie oraz nadzwyczaj nerwowego młodego człowieka o rozbieganych oczach. Gdyby to zbiorowis-

ko ludzkie było tym, na co wyglądało, a więc grupką pacjentów w przedpokoju u doktora, można by go wziąć za przyszłego ojca bądź też ofiarę choroby świętego Wita. Sylvii przypadło miejsce obok niego i zaraz poczuła, jak ją rozbiera latającymi oczyma; widocznie jednak to, co zobaczył, niezbyt go zacieka- wiło, bo po chwili Sylvia z ulgą stwierdziła, że znów jest pochłonięty nerwowym wierceniem się na krześle.

Stopniowo jednak zdawała sobie sprawę, jak bardzo wszyscy są zaciekawieni jej osobą; w mdłym, niepewnym świetle pokoju pełnego roślin ich spojrzenia spoczywały na niej bardziej nieruchome niż krzesła, na których siedzieli; szczególnie natarczywa była jedna z kobiet. W zwykłych warunkach jej twarz cechowałaby pewnie banalna miękka słodycz, lecz teraz, wpatrzona w Sylwię, zeszpecona była nieufnością i zawiścią. Jakby chcąc ugłaskać dzikie zwierzę, które za chwilę może skoczyć na nią z zębami, kobieta gładziła bez przerwy futrzany kołnierz pogryziony przez pchły, nie odrywając przy tym od Sylvii natrętnego wzroku, dopóki w holu nie zadudniły kroki panny Mozart. Natychmiast, jak wystraszona klasa, nieruchoma grupka rozbiła się na odrębne indywidua, sztywno wyprostowane na krzesłach.

— Pan, panie Pocker — powiedziała oskarżającym tonem panna Mozart. — Pańska kolej.

Pan Pocker, wykręcając palce i wywracając oczyma, ruszył za nią. W mrocznym pokoju zebrani znieruchomieli z powrotem jak refleksy słońca. I wtedy zaczęło padać; na ścianach zatrzepotały topniejące odblaski od okna, a do pokoju wsunął się młody służący pana Revercomba. Jał rozgarniać ogień na kominku i ustawiać na stoliku serwis do herbaty. Sylvia, która siedziała najbliżej ognia, poczuła się senna od ciepła i szumu deszczu; przechyliła głowę i zamknęła oczy, ni to śpiąc, ni czuwając. Przez dłuższy czas jedynie kryształowe wahanie

zegara skrobało polerowaną ciszę saloniku pana Revercomba. Aż nagle, ni z tego, ni z owego, powstało w holu okropne zamieszanie, wtrącając pokój w furie dźwięków. Głos tubalny jak ryk bawołu, wulgarny jak purpura, wykrzykiwał:

— Zatrzymać Oreilly'ego? I to kto? Lokajczyk z baletu?

Właściciel głosu, niski baryłkowaty mężczyzna o ceglastej cerze, utorował sobie drogę do progu saloniku, gdzie stanął, balansując po pijacku z nogi na nogę.

— No, no, no — powiedział, a jego ochryply od ginu głos co słowo opadał o ton. — Wszystkie te panie przede mną? Ale Oreilly jest dżentelmenem, Oreilly poczeka.

— Nie, nie poczeka — powiedziała panna Mozart, zachodząc go od tyłu i chwytając zdecydowanie za kołnierz.

Twarz mężczyzny poczerwieniała jeszcze bardziej, oczy wylażyły na wierzch.

— Dusi mnie pani — wykrztusił.

Ale panna Mozart, której zielonkawe ręce były silne jak korzenie dębu, mocno zacisnęła mu krawat na szyi i posterowała do drzwi, które się za nim zatrzasnęły z łoskotem; na stoliku brzęknęła filiżanka, z dalii posypały się zeschłe listki. Kobieta w futrzanym kołnierzu wsunęła do ust aspirynę.

— Oburzające — powiedziała i wszyscy z wyjątkiem Sylvii zaśmiali się z dyskretnym podziwem, kiedy panna Mozart przechodziła obok, otrzepując ręce.

Padał gęsty czarny deszcz, kiedy Sylvia wyszła od pana Revercomba. Rozejrzała się po wyludnionej ulicy, wypatrując taksówki; ale nie dostrzegła nic ani nikogo; i owszem, ktoś tam jest, pijak, który wywołał tę awanturę. Jak bezdomne wielkomięskie dziecko stał oparty o zaparkowane auto i podrzucał do góry gumową piłeczkę.

— Popatrz, mała — powiedział do Sylvii — popatrz tylko. Znalazłem piłeczkę. Myślisz, że to mi przyniesie szczęście?

Sylvia uśmiechnęła się do niego. Pomimo całej buńczuczności wydawał jej się zupełnie nieszkodliwy; w twarzy miał jakiś rys, uśmiech jak przez łyzy, który przywodził na myśl kłowna — brakowało mu tylko charakteryzacji. Żonglując piłeczką, sunął w podskokach za nią, kiedy ruszyła w stronę Madison Avenue.

— Nielichego durnia z siebie zrobiłem — mówił. — Kiedy coś takiego zrobię, to mam ochotę usiąść i płakać. — Wyglądało, że wytrzeźwiał, stojąc tyle czasu na deszczu. — Ale żeby mnie tak dusić? Wściekła baba, niech ją diabli! Znałem różne herod-baby w życiu; moja siostra Berenice potrafiła ocechować najdzikszego buhaja. Ale takiej jak żyję nie widziałem. Jak nic skończy na krześle elektrycznym, słowo Oreilly'ego — powiedział i cmoknął wargami. — Nie mają najmniejszego powodu, żeby mnie w ten sposób traktować. Zresztą to wszystko jego wina. Od początku nie miałem wiele do powiedzenia, a wszystko, co miałem, on ze mnie wycisnął. Nic mi nie zostało, *niente*, dziecko, *niente*.

— To przykre — powiedziała Sylvia, sama nie bardzo wiedząc, dlaczego mu współczuje. — Czy pan jest kłownem, panie Oreilly?

— Byłem — odrzekł.

Doszli już do Madison Avenue, ale Sylvia nawet się nie rozglądała za taksówką; miała ochotę iść po deszczu z tym człowiekiem, który był kiedyś kłownem.

— Kiedy byłem dziewczynką — powiedziała — lubiłam się bawić tylko pajacykami. Mój pokój wyglądał jak cyrk.

— Byłem nie tylko kłownem. Polisy ubezpieczeniowe też już sprzedawałem.

— Och — westchnęła Sylvia rozczarowana. — A co pan teraz robi?

Oreilly zachichotał i podrzucił piłeczkę szczególnie wysoko; złapawszy ją, stał wciąż z głową przechyloną do góry.

— Patrzę w niebo — powiedział. — Przyglądam się swojej osobie, jak żegluje z walizką w błękicie. Jeśli człowiek nie ma dokąd pójść, to musi żeglować w błękicie. A co robię na tej planecie? Kradłem już, zebrałem, sprzedawałem sny, wszystko na wódkę. Nie można bez butelki żeglować w błękicie. Tak oto doszliśmy do sedna. Powiedz, mała, nie wzięłabyś mi za złe, gdybym cię poprosił o pożyczanie dolara?

— Nie wzięłabym — odparła Sylvia i urwała, niepewna, co dalej powiedzieć. Szli powoli, otuleni jak izolacją sztywnym naporem deszczu; miała wrażenie, że idzie z pajacem, którym się bawiła w dzieciństwie, a który się okazał obdarzony nadprzyrodzonymi zdolnościami. Wyciągnęła rękę i poszukała jego dłoni; kochany kłown żeglujący w błękicie. — Tylko że nie mam dolara — dokończyła. — Mam wszystkiego siedemdziesiąt centów.

— Trudno się mówi — powiedział Oreilly. — Ale między nami: to on teraz tak nędznie płaci?

Sylvia wiedziała, o kogo chodzi.

— Nie, nie. Tylko prawdę mówiąc, nie miałam snu do sprzedania.

Nie próbowała mu tłumaczyć, bo sama tego nie rozumiała. Znalazłszy się przed siwiejącym, niepozornym panem Revercombem (niepokalany, dokładny jak podziałka, otoczony koktajlem klinicznych woni, z bezdusznymi szarymi oczami, osadzonymi jak ziarna w anonimowej twarzy i opieczętowanymi stalową martwotą soczewek), nie mogła sobie przypomnieć żadnego snu, więc zaczęła opowiadać o złodziejach, którzy ją gonili po parku i pomiędzy huśtawkami na placu zabaw.

— „Dosyc, powiedział mi, dosyc. Bywają różne sny, powiedział, ale to nie jest prawdziwy sen, pani go zmyśla”. Jak pan myśli, skąd on to wiedział? Więc opowiedziałam mu inny sen, o nim, jak mnie ścisnął w nocy, a naokoło wznosiły się balony

i opadały księżyce. Ale on oświadczył, że go nie interesują sny dotyczące jego samego. Kazał pannie Mozart przerwać stenografowanie i poprosić następną osobę. Chyba tam więcej nie pójdę.

— Pójdiesz, pójdiesz — powiedział Oreilly. — Popatrz na mnie, nawet ja tam wracam, choć on już dawno ze mną skończył, nasz pan Bida.

— Pan Bida? Tak go nazywasz?

Doszli do rogu, gdzie się kołysał i histerycznie zaśmiewał Święty Mikołaj. Jego śmiech rozchodził się skrzekliwym echem po mokrej ulicy, a jego cień kołysał tęczą światła na trotuarze. Oreilly, odwrócony plecami do wystawy, uśmiechnął się i powiedział:

— Nazywam go panem Bidą, bo nim jest. Może ty go inaczej nazywasz, ale to jeden i ten sam facet, musisz go dobrze znać. Wszystkie matki opowiadają o nim dzieciom; mieszka w wypróchniałych drzewach, zakrada się w nocy przez komin, czai na cmentarzach, tupie na strychach. Kradnie, sukinsyn, i sprowadza na człowieka coraz to nową biedę. Zabierze ci wszystko, co masz, nie zostawi nic, nawet ostatniego snu. Tfu! — wykrzyknął i zaśmiał się głośniejszym niż Święty Mikołaj. — Wiesz już, kto to?

Sylvia kiwnęła głową.

— Wiem. U nas w domu nazywał się inaczej. Już nie pamiętam jak. To było tak dawno.

— Ale jego pamiętasz?

— Tak, pamiętam.

— No, to nazywaj go panem Bidą — powiedział i oddalił się, podrzucając piłeczkę. — Pan Bida — snuł się już tylko jego głos, ulotny dźwięk. — Pan Biidaa...

* * *

Trudno było patrzeć na Estelle, bo stała pod oknem, a okno było pełne zwiewnego słońca, które raziło Sylwię w oczy, i brzęku szyb, który rozsadał jej głowę. Na domiar złego Estelle prawiała kazanie; jej nosowy głos skrzypiał, jakby w gardle miała zardzewiałe żyletki.

— Szkoda, że nie możesz siebie zobaczyć — mówiła. A może to coś, co powiedziała kiedyś, dawno? Mniejsza o to. — Nie rozumiem, co się z tobą stało. Nie ważysz już nawet pięćdziesięciu kilogramów; każda kostka prześwituje przez skórę, każda żyłka. A te włosy! Wyglądasz jak pudel.

Sylvia przesunęła dłonią po czole.

— Która godzina, Estelle?

— Czwarta — odrzekła, przerywając na sekundę, żeby spojrzeć na zegarek. — A gdzie twój zegarek?

— Sprzedałam — powiedziała Sylvia, zbyt zmęczona, żeby kłamać. Zresztą to już nieważne. Tyle rzeczy sprzedała: i futro bobrowe, i tę złotą siatkową torebkę balową.

Estelle potrząsnęła głową.

— Ręce opadają, kochanie. Po prostu ręce opadają. Przecież ten zegarek dostałaś od mamusi na maturę. Wstyd — powiedziała i po staropanieńsku cmoknęła wargami — wstyd i hańba. Dlaczegoś ty się w ogóle od nas wyprowadziła? Oczywiście, to twoja sprawa, ale nigdy nie zrozumieć, jak się mogłaś od nas wyprowadzić do tej... do tej...

— ...nory — powiedziała Sylvia, wybierając to słowo z rozmysłem.

Był to umeblowany pokój przy Sześćdziesiątej Którejś Wschodniej Ulicy, pomiędzy Drugą a Trzecią Aleją. Z trudem mieścił tapczan i obłazącą, starą komódkę z lustrem przypominającym oko zasnute kataraktą, i miał jedno okno wychodzące na wielką, pustą parcelę, z której po południu dobiegały podniecone głosy ganiających się do upadłego chłopaków.

W oddali, jak wykrzyknik na linii nieba, sterczał czarny komin fabryczny; komin ten często pojawiał się w jej snach, co wywoływało nieodmienną reakcję panny Mozart: „To falliczne, falliczne” — mruzczała, podnosząc wzrok znad stenogramu. Podłoga w pokoju była jednym wielkim śmietnikiem, z walającymi się zaczętymi i nigdy niedoczytanymi książkami, przedpotopowymi gazetami, a nawet skórkami od pomarańczy, ogryzkami owoców, bielizną, wysypanym pudełkiem pudru.

Estelle rozgarnęła nogą śmiecie i usiadła na tapczanie.

— Kochanie, może ty sobie nie zdajesz sprawy, ale ja mało nie oszalałam z niepokoju. Rozumiesz, mam swoją dumę i tak dalej, i jak mnie nie lubisz, no to trudno, ale nie miałaś po prostu prawa wynieść się i przez ponad miesiąc nie dawać znaku życia. Więc mówię dzisiaj do Misia: „Misiek, czuję, że z Sylwią stało się coś strasznego”. I możesz sobie wyobrazić, co przeżyłam, kiedy zadzwoniłam do ciebie do biura i powiedzieli mi, że nie pracujesz już od miesiąca. Co się właściwie stało, wyrzucili cię?

— Tak, wyrzucili. — Sylvia zaczynała zbierać się do wstania. — Proszę cię, Estelle. Muszę się szykować. Jestem umówiona.

— Siedź cicho. Nigdzie nie pójdziesz, dopóki się nie dowiem, co się z tobą dzieje. Gospodyni na dole mówi, że jesteś lunaticzką...

— Kto cię prosił, żebyś z nią rozmawiała? Dlaczego mnie szpiegujesz?

Estelle zaszkliły się oczy, jakby miała zaraz wybuchnąć płaczem. Ujęła dłoń Sylvii i pogłaskała delikatnie.

— Powiedz mi, kochanie, czy to z powodu mężczyzny?

— Tak, z powodu mężczyzny — odrzekła Sylvia, ale z jej głosu przebijał śmiech.

— Powinnaś była przyjść do mnie wcześniej — westchnęła Estelle. — Ja się znam na mężczyznach. Nie masz się czego

wstydzic. Mężczyzna potrafi tak omotać kobietę, że o bożym świecie zapomina. Gdyby Henry nie był takim solidnym, świetnie się zapowiadającym prawnikiem, też bym go pewnie kochała i robiła dla niego rzeczy, które sama uważałam za okropne i szokujące, dopóki nie wiedziałam, co to znaczy żyć z mężczyzną. Ale, kochanie, ten jegomość, z którym ty się związałaś, on ciebie wykorzystuje.

— To nie jest zwykły związek — powiedziała Sylvia, wstając i wyławiając pończochy z kłębowiska w szufladzie komódki. — To nie ma nic wspólnego z miłością. Najlepiej zapomnij o tym. Tak, najlepiej wracaj do domu i zapomnij o mnie w ogóle.

Estelle zmierzyła ją badawczym wzrokiem.

— Przerażasz mnie, Sylvio. Naprawdę mnie przerażasz.

Sylvia się roześmiała, nie przerywając ubierania.

— Pamiętasz, dawno temu, jak ci mówiłam, że powinnaś wyjść za męża?

— Uhm. A teraz posłuchaj. — Sylvia się odwróciła, w ustach trzymała ułożone rzędkiem szpilki do włosów. Mówiąc, wyjmowała je po jednej. — Mówisz o małżeństwie tak, jakby to było rozwiązanie absolutnie wszystkich problemów. No dobrze, do pewnego stopnia się zgadzam. Oczywiście, chcę być kochana; któż, u licha, nie chce być kochany? Ale nawet gdybym była gotowa pójść na kompromis, to gdzież jest ten mężczyzna, którego miałabym poślubić? Wierz mi, dawno go diabli wzięli. Tak, mówię serio, w Nowym Jorku nie ma mężczyzn. A jeśli nawet są, to jak ich znaleźć? Każdy choć trochę interesujący mężczyzna, którego poznaję, jest albo żonaty, albo za biedny, żeby się żenić, albo woli chłopców. W ogóle Nowy Jork to nie miejsce, gdzie można się zakochać; tutaj powinno się przyjeżdżać, jeśli chce się wyleczyć z miłości. Oczywiście, mogłabym pewnie wyjść za męża. Ale nie chcę. Rozumiesz?

Estelle wzruszyła ramionami.

— Więc czego ty właściwie chcesz?

— Więcej, niż mogę się spodziewać. — Wetknęła ostatnią szpilkę we włosy, wygładziła brwi przed lustrem. — Jestem umówiona, Estelle. Musisz już iść.

— Nie mogę cię tak zostawić — powiedziała Estelle i bezradnie rozejrzała się po pokoju. — Byłyśmy przecież przyjaciółkami od dzieciństwa.

— Właśnie o to chodzi. Nie jesteśmy już dziećmi; przynajmniej ja nie jestem. Nie, proszę cię, idź do domu i nie życzę sobie, żebyś tu więcej przychodziła. Chcę, żebyś o mnie zapomniała.

Estelle zamachała chusteczką koło oczu i nim zdążyła dojść do drzwi, wybuchnęła głośnym płaczem. Sylvia nie mogła sobie pozwolić na wyrzuty sumienia; postąpiła paskudnie, więc nie pozostaje jej nic innego, jak postąpić jeszcze paskudniej.

— Idź sobie — powiedziała, wychodząc za Estelle do holu. — Idź sobie i ponawypisuj o mnie do domu jakich chcesz bzdur.

Bucząc tak, że w drzwiach wszystkich pokoiów ukazali się lokatorzy, Estelle zbiegła po schodach.

Wróciwszy do siebie, Sylvia wzięła kostkę cukru, żeby się pozbyć niesmaku w ustach — stare lekarstwo babci na poprawę humoru. Potem uklękła i wyciągnęła pudełko do cygar, które trzymała schowane pod łóżkiem. Kiedy się je otworzyło, pudełko grało prymitywną i lekko rozstrojoną wersję: „Och, jak nie cierpię wstawać rano”. Pozytywkę tę zмайstrował brat i dał jej na czternaste urodziny. Ssąc cukier, pomyślała o babci; słuchając melodii, pomyślała o bracie. I przed oczami zawirowały jej pokoje domu, w którym mieszkali, wszystkie pogrążone w ciemności, i ona sama jak błyskawica przebiegająca z jednego do drugiego, na schody i ze schodów, z domu i do domu;

w powietrzu wisała słodycz wiosny i cienie bzu, a z werandy dochodziło skrzywienie bujanej kanapki. Wszyscy odeszli — myślała, przywołując ich imiona — jestem zupełnie sama na świecie.

Muzyka zamilkła. Ale wciąż brzmiała jej w głowie, głośniejsza niż krzyki chłopców na pustej parceli; i przeszkadzała w czytaniu. Bo Sylvia czytała mały oprawny pamiętnik, który przechowywała w pudełku. Zapisywała w nim treść snów; było ich teraz bez liku i tak trudno było wszystkie spamiętać. Dzisiaj opowie panu Revercombowi o trójce niewidomych dzieci. Na pewno mu się to spodoba. Ceny, które płacił, były różne, ale ten sen z pewnością wart jest przynajmniej dziesięć dolarów. Melodia pozytywki nie opuszczała jej, kiedy schodziła na dół i szła ulicami, aż zapragnęła, żeby się rozwiła.

Za witryną, gdzie niedawno stał Święty Mikołaj, umieszczono teraz nowy, równie denerwujący eksponat. Nawet gdy się śpieszyła spóźniona do pana Revercomba, Sylvia musiała się zatrzymać przed wystawą, na której gipsowa dziewczyna o wyrazistych szklanych oczach pedałowiała w szalonym tempie na rowerze; szprychy wirowały jak zahipnotyzowane, ale rower oczywiście ani drgnął — tyle wysiłku, a ta biedna dziewczyna stoi w miejscu. Była to beznadziejnie życiowa sytuacja, którą Sylvia mogła tak dokładnie porównać do swojej, że zawsze doznawała ukłucia bólu. W głowie brzmiała jej nakręcona na nowo pozytywka: ta melodia, brat, dom, wieczorek gimnazjalny, dom, melodia! Czy pan Revercomb jej nie słyszy? W jego przenikliwym spojrzeniu jest tyle uporczywej podejrzliwości. Ale musiał być zadowolony z jej snu, bo kiedy Sylvia wychodziła, panna Mozart wręczyła jej kopertę z dziesięcioma dolarami.

— Dostałam za ten sen dziesięć dolarów — powiedziała O'Reilly'emu, a O'Reilly, zacierając ręce, odparł:

— Pięknie, pięknie! Ale to już takie moje parszywe szczęście, mała. Powinnaś była przyjść trochę wcześniej, bo zrobiłem coś strasznego. Wszedłem do sklepu z wódkami, świsnąłem litra i drapnąłem.

Sylvia nie chciała wierzyć, dopóki nie wyciągnął z popspinanego agrafkami palta butelki kukurydzianej whisky, już do połowy opróżnionej.

— Wpakujesz się kiedy w kabałę — powiedziała. — I co się wtedy stanie ze mną? Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

Oreilly roześmiał się i nalał sobie whisky do szklanki. Siedzieli w nocnym barze samoobsługowym, wielkim połyskliwym kombinacie gastronomicznym ożywianym błękitem luster i krzyczącymi malowidłami na ścianach. Chociaż Sylvia uważała, że lokal jest odrażający, umawiali się tu często na kolację; zresztą nawet gdyby ją było na to stać, i tak nie bardzo wiedziała, gdzie indziej mogliby pójść, gdyż tworzyli razem dziwny widok: młoda dziewczyna i trzęsący się zapijaczony mężczyzna. Nawet tutaj ludzie często się na nich gapili; a gdy się gapili za długo, Oreilly prostował się z godnością i mówił: „Buźka, Flet. Znamy się z dawnych czasów. Ciągłe urzędujesz w pisuarze?”. Ale zwykle zostawiano ich samym sobie i czasami siedzieli tak, rozmawiając do drugiej, trzeciej rano.

— Dobrze, że ta banda od pana Bidy nie wie, że dostałaś dziesięć dolarów. Na pewno by któreś z nich powiedziało, że mu ukradłaś sen. Mnie się to raz zdarzyło. Zazdrość ich pożera, wszystkich bez wyjątku. Nie spotkałem drugiego takiego stada szakali, są gorsi niż aktorzy, niż kłowni, niż geszefciarze. Śmieszne, jak tak się nad tym zastanowić: człowiek się zamartwia, czy zaśnie, czy mu się coś przyśni i czy nie zapomni, co mu się śniło. Tak w kółko i w kółko. A jak dostanie te parę dolarów, to leci do najbliższego sklepu z alkoholem. Albo do

najbliższego automatu z proszkami nasennymi. I ani się spostrzeże, jak się stacza do rynsztoka. Tak, mała, wiesz, co to wszystko razem jest? To jest życie.

— Nie, Oreilly, to nie jest życie. To nie ma nic wspólnego z życiem. Już więcej to ma wspólnego ze śmiercią. Ja się czuję, jakby mi wszystko zabrano, jakby jakiś złodziej całkiem mnie ogołocił. Mówię ci, Oreilly, nie mam już żadnych aspiracji, a kiedyś miałam aspiracje, tyle aspiracji. Nie rozumiem tego i nie wiem, co robić.

Oreilly wyszczerzył zęby.

— I mówisz, że to nie jest życie? A kto rozumie życie i kto wie, co robić?

— Bądź poważny — powiedziała. — Bądź raz poważny. Odstaw już tę wódkę i zjedz zupę, zanim ostygnie na lód. — Zapaliła papierosa i zmarszczyła się, bo dym zaszczypał ją w oczy. — Gdybym tylko wiedziała, po co jemu te wszystkie sny spisane na fiszkach, posegregowane w kartotece. Co on z nimi robi? Masz rację, nazywając go panem Bidą. Niemożliwe, żeby on był tylko jakimś zwariowanym szarlatanem, to musi mieć głębsze znaczenie. Ale do czego jemu potrzebne sny? Pomóż mi, Oreilly, myśl, myśl. Co to wszystko znaczy?

Mrużąc jedno oko, Oreilly napełnił znowu szklanę; klownowski grymas ust stwardniał w prostą linię akademickiej dociekliwości.

— O, dziecko, odpowiedź na to pytanie warta jest milion dolarów. Dlaczego nie zapytasz mnie o coś prostego, na przykład, jak się wyleczyć z przeziębienia? Tak, mała, co to wszystko znaczy? Rozmyślałem nad tym nie raz i nie dwa. Rozmyślałem, Kochając się z kobietą, rozmyślałem, grając w pokera.

Wychylił jednym haustem zawartość szklanki, wstrząsnął się.

— No, sen może się wyzwolić pod wpływem dźwięku;

warkot samochodu przejeżdżającego w nocy ulicą może pograżyć stu śpiących w ich własne głębie. Śmieszne, pomyśleć, że taki jeden samochód pędzący w ciemności ciągnie za sobą tyle snów. Seks, nagła zmiana oświetlenia, kiszony ogórek, wszystko to są klucze, które otwierają nasze wnętrza. Ale najwięcej snów rodzi się dlatego, że szaleją w nas furie, które wyważają wszystkie drzwi. Nie wierzę w Pana Jezusa, ale wierzę w duszę ludzką. I wyobrażam to sobie tak, dziecko: sny to oko duszy i najgłębsza prawda o nas. A pan Bida, może on nie ma duszy, więc kawałek po kawałku pożyczają twojej, kradnie ją tak, jakby kradł twoje lalki albo skrzydełko kurczaka z talerza. Setki dusz przeszły przez jego ręce i zostały posegregowane w kartotece.

— Oreilly, bądź poważny — powtórzyła zirytowana, bo sądziła, że wciąż żartuje. — Widzisz, zupa zupełnie...

Urwała, zaskoczona dziwnym wyrazem jego twarzy. Patrzył w stronę wejścia, gdzie się pojawili dwaj policjanci i cywil w płóciennej kurtce ekspedienta, wskazujący palcem ich stolik. Oreilly obiegł wzrokiem salę z rozpaczą osaczonego; potem westchnął i rozparłszy się na krześle, ostentacyjnie nalał sobie ponownie do szklanki.

— Dobry wieczór — powiedział, kiedy urzędowa grupka zatrzymała się przed nim. — Napijecie się, panowie, z nami?

— Nie możecie go aresztować! — krzyknęła Sylvia. — Nie możecie aresztować kłowna!

Rzuciła na stół banknot dziesięciodolarowy, a gdy policjanci ją zignorowali, zaczęła bębnić pięściami w blat. Klienci się przyglądali, nadbiegł kierownik, załamując ręce. Policjanci kazali Oreilly'emu wstać.

— Ależ oczywiście — powiedział — chociaż wydaje mi się to oburzające, żeby panowie musieli sobie zawracać głowę takimi drobnymi sprawami jak moja, podczas gdy dokoła

panoszą się bezkarnie prawdziwi złodzieje. Na przykład to miłe dziecko — stojąc pomiędzy policjantami, wskazał Sylvię — padło niedawno ofiarą horrendalnej kradzieży. Biedna mała, skradziono jej duszę.

* * *

Przez dwa dni po aresztowaniu Oreilly'ego Sylvia nie wychodziła z pokoju; słońce w oknie, potem mrok. Trzeciego dnia zabrakło jej papierosów, więc zdecydowała się wypuścić do sklepu na róg. Kupiła paczkę kruchych babeczek, puszkę sardynek, gazetę i papierosy. Przez cały ten czas nie jadła i teraz przenikało ją uczucie rozkosznej, dojmującej lekkości; ale wejście z powrotem na schody, zamknięcie z ulgą drzwi, tak ją wyczerpało, że nie miała już siły dojść do łóżka. Osunęła się na podłogę i zrobił się znowu dzień, zanim wstała. Myślała potem, że leżała może dwadzieścia minut.

Nastawiła radio na pełny regulator i przyciągnąwszy krzesło do okna, rozłożyła na kolanach gazetę: „Lana zaprzecza”, „Rosja odrzuca”, „Górnicy pertraktują”. Ze wszystkiego to było najsmutniejsze, że życie się toczy swoim torem: kiedy ktoś się rozstaje z ukochanym, życie powinno się dla niego zatrzymać; kiedy ktoś odchodzi ze świata, świat powinien się zatrzymać; ale nigdy się nie zatrzymuje. I to jest prawdziwy powód, dlaczego większość ludzi wstaje rano; nie dlatego, że to ma jakieś znaczenie, ale dlatego że nie ma. Gdyby jednak panu Revercombowi udało się w końcu zebrać wszystkie sny ze wszystkich mózgów na świecie, to może... Myśl uciekła, zlała się w jedno z radiem i z gazetą. „Temperatura spada”. Burza śnieżna sunie przez Colorado, przez cały zachód, spada na małe miasteczka, przyćmiewa wszystkie światła, zasypuje wszystkie ślady, spada tu i tam; jak szybko ona nadeszła, ta burza: dachy, pusta parcela, wszystko jak okiem sięgnąć w głę-

bokiej bieli, coraz głębszej, bielejącej jak owce. Popatrzyła na gazetę, popatrzyła na śnieg. Ależ musi padać cały dzień; niemożliwe, żeby dopiero teraz zaczęło. Nie słychać ruchu ulicznego; na wirującym bezmiarze pustej parceli dzieci krążą dookoła ogniska; auto zasypane przy chodniku mruga reflektorami: „Pomocy, pomocy!”, bezgłośnie jak serce w rozpacz.

Pokruszyła babeczkę i rozsypała ją na parapecie; przylecą północne ptaki dotrzymać jej towarzystwa. Więc zostawiła otwarte okno; śnieżny wiatr prószył płatkami, które się rozpuszczały na podłodze jak primaaprilisowe błyskotki. „Świadczy, że życie może być piękne”; przyciszyć to radio! Czarownica z piekła rodem puka do drzwi.

— Dobrze, pani Halloran — powiedziała i zgasła radio zupełnie.

Śnieżno-martwo, senno-cicho, tylko gdzieś daleko ognisko buzuje dziecinnym *recitativo*; a pokój jest siny od mrozu, mroźniejszego od mrozu z baśni: milcz, serce, pośród eskimoskich śnieżnych kwiatów. „Och, panie Revercomb, czemuż pan stoi na progu? Niechże pan wejdzie, na dworze jest tak zimno”.

Ale moment przebudzenia był ciepły i nie rozwiał się. Okno było zamknięte, obejmowały ją męskie ramiona. Mężczyzna śpiewał głosem delikatnym, a zarazem skocznym:

*Pieniążki, szczęście, miodek z dzbanka,
Ale lepsza jest kochanka...*

— O'Reilly, to ty? Naprawdę ty?

Uściskał ją.

— Dziecko się obudziło. I jak się czuje?

— Myślałam, że nie żyję — powiedziała i szczęście zatrzepotało jej skrzydłami w piersi jak ptak okaleczony, lecz jeszcze zdolny do lotu. Spróbowała go przytulić, ale była za

słaba. — Kocham cię, Oreilly. Jesteś moim jedynym przyjacielem. Tak się bałam, myślałam, że już nigdy cię nie zobaczę. — Zamilkła, przypomniawszy sobie. — Ale dlaczego nie siedzisz w więzieniu?

Twarz Oreilly'ego poczerwieniała z uciechy.

— W ogóle nie siedziałem w więzieniu — powiedział tajemniczo. — Ale najpierw zjedzmy coś. Przyniosłem rano trochę rzeczy z garmażerii.

Doznała nagle takiego uczucia, jakby się unosiła w powietrzu.

— Dawno tutaj jesteś?

— Od wczoraj — odrzekł pochłonięty paczuszkami i papierowymi talerzami. — Sama mnie wpuściłaś.

— Niemożliwe. Nic nie pamiętam.

— Wiem. — powiedział, poprzestając na tym. — No, masz. Wypij mleko jak grzeczna dziewczynka, to ci opowiem cyniczną historię. Naprawdę fantastyczną — obiecał, klepiąc się radośnie po bokach; bardziej niż kiedykolwiek przypominał kłowna. — Więc, jak powiadam, nie siedziałem w ogóle w więzieniu, szczęście się do mnie uśmiechnęło. Wloką mnie akurat te draby ulicą, aż tu patrzeć, kto sunie naprzeciw, jak nie ta goryl-baba? Zgadłaś, panna Mozart. „Buźka — mówię do niej — do fryzjera pani idzie, ogolić się?”. „Nareszcie pana aresztowali — powiada i uśmiecha się do jednego z policjantów. — Spełnia pan swój obowiązek, panie posterunkowy”. „Och — mówię do niej — aresztowali? Mnie? Ja wcale nie jestem aresztowany. Idę na komisariat z własnej woli, żeby złożyć doniesienie na ciebie, ty komunistko”. Możesz sobie wyobrazić, jak się zaczęła żołądkować. Rzuciła się do mnie z pazurami, a gliny cap ją! Nie mogą powiedzieć, że ich nie ostrzegałem. „Ostrożnie, chłopcy — powiadam — to czort nie baba”. I ma się rozumieć, jak ich zaczęła okładać! To ja się zakręciłem i po prostu sobie poszedłem. Nigdy nie miałem zwyczaju stać i gapić się na bójki, jak niektórzy nowojorczy.

Oreilly pozostał u niej przez cały weekend. Było to piękniejsze niż jakakolwiek zabawa, jak daleko Sylvia mogła sięgnąć pamięcią; przede wszystkim nigdy się tyle nie śmiała. Poza tym nigdy w niczym towarzystwie, w każdym razie w towarzystwie nikogo z rodziny, nie czuła się taka kochana. Oreilly był świetnym kucharzem i pitrasił różne smakowite rzeczy na kuchence elektrycznej; raz zgarnął śnieg z za okna i zrobił sorbet z syropem truskawkowym. W niedzielę Sylvia nabrała już tyle sił, że mogła tańczyć. Nastawili radio i tańczyła tak długo, aż padła na kolana, zaśmiewając się i łapiąc dech.

— Już nigdy nie będę się bała. W ogóle nie bardzo wiem, czego się bałam.

— Tego samego będziesz się bała następnym razem — powiedział Oreilly spokojnie. — To właśnie typowe dla pana Bidy: nikt nigdy nie wie, co takiego w nim jest. Nawet dzieci, a dzieci przecież wiedzą prawie wszystko.

Sylvia podeszła do okna. Arktyczna białość pokrywała miasto, choć śnieg już przestał padać i wieczorne niebo błyszczało jak lód; dostrzegła nad rzeką wędrującą po nim pierwszą gwiazdę.

— Widzę pierwszą gwiazdę — powiedziała, zakładając palec na palec.

— Jakie wyrażasz pragnienie, kiedy zobaczysz pierwszą gwiazdę?

— Żeby zobaczyć drugą — odparła. — Zwykle tego pragnę.

— A dzisiaj?

Usiadła na podłodze i oparła głowę o jego kolano.

— Dzisiaj pragnę odzyskać swoje sny.

— Czyż nie pragniemy tego wszyscy? — powiedział Oreilly, głaszcząc ją po włosach. — I co byś wtedy zrobiła? Co byś zrobiła, gdyby ci się udało je odzyskać?

Sylvia milczała przez chwilę; kiedy przemówiła, wzrok miała odległy i poważny.

— Wróciłabym do domu — powiedziała wolno. — To bohaterska decyzja, bobym musiała położyć krzyżyk na wszystkich snach. Ale gdyby pan Revercomb je oddał, wróciłabym jutro do domu.

Bez słowa Oreilly podszedł do szafy i przyniósł jej palto.

— Ale dlaczego? — zapytała, kiedy je podawał.

— Mniejsza o to — odrzekł. — Rób tylko, co ci powiem. Złożymy panu Revercombowi wizytę i poprosisz, żeby ci oddał twoje sny. Może się uda.

Sylvia zapała się w drzwiach.

— Proszę cię, Oreilly, nie każ mi iść. Nie mogę, proszę cię, tak się boję.

— Mówiłaś, zdaje się, że już nigdy nie będziesz się bała.

Kiedy się znaleźli na ulicy, poprowadził ją tak szybko pod wiatr, że nie miała czasu się bać. Była niedziela, sklepy pozamykane, a światła na rogach zdawały się mrugać tylko do nich, bo żadne auto nie jechało grubo zaśnieżoną ulicą. Sylvia zupełnie zapomniała, dokąd idzie, i paplała o różnych mało ważnych sprawach; że tutaj na tym rogu widziała kiedyś Grete Garbo, a tam dalej, tak, tam, auto przejechało staruszkę. Ale raptem się zatrzymała, bez tchu, przytłoczona ciężarem nagłego przypomnienia.

— Nie mogę, Oreilly — zaprotestowała, cofając się. — Co ja jemu powiem?

— Zaproponujesz interes — odparł Oreilly. — Powiesz prosto z mostu, że chcesz mieć z powrotem swoje sny i jeśli je odda, zwrócisz mu wszystkie pieniądze. Oczywiście w miesięcznych spłatach. Proste jak drut, mała. Czemu, u licha, miałby ich nie oddać? Przecież ma je wszystkie w kartotece.

Rozumowanie wydało jej się przekonywające, więc przytupując zmarzniętymi nogami, ruszyła przed siebie z pewną dozą odwagi. „Grzeczna mała” — powiedział Oreilly, kiedy się

rozstawali na Trzeciej Alei, był bowiem zdania, że bezpośrednie sąsiedztwo pana Revercomba nie jest obecnie dla niego najbezpieczniejszym miejscem. Ukrył się w jakiejś bramie, od czasu do czasu zapalając zapałkę i wyśpiewując głośno:

...lecz najlepsza whisky szklanka!

W blasku księżyca przeświecającego przez wiadukt kolei naziemnej skradał się jak wilk chudy pies, po drugiej stronie ulicy mgliste męskie postacie tłoczyły się koło baru. Myśl, że a nużby się udało naciągnąć kogoś na kieliszek, przyprawiła Oreilly'ego o zawrót głowy. Już był zdecydowany spróbować szczęścia, gdy się ukazała Sylvia. Padła mu w ramiona, nim się upewnił, że to naprawdę ona.

— Aż tak źle, kochanie? — powiedział miękko, tuląc ją, jak tylko umiał. — Nie płacz, maleńka. Za zimno jest, żeby płakać. Buzia ci spierzchnie.

Mocowała się ze słowami, które jej więzły w gardle, aż nagle jej szloch przeszedł w wibrujący, nienaturalny śmiech, który wypełnił obłokiem powietrze.

— Wiesz, co mi powiedział? — wykrztusiła. — Wiesz, co powiedział, kiedy poprosiłam o swoje sny? — Odrzuciła głowę do tyłu, a jej śmiech wzbierał, niósł się po ulicy jak puszczone na pastwę losu fantastycznie kolorowy latawiec, aż Oreilly musiał ją potrząsnąć za ramiona. — Powiedział... że nie może ich oddać... bo wszystkie zużył...

Umilkła i jej twarz wygładził beznamiętny spokój. Wzięła Oreilly'ego pod ramię i ruszyli ulicą, ale byli jak para przyjaciół spacerujących po peronie w oczekiwaniu, kiedy nadejdzie pociąg uwożący jedno z nich; a gdy doszli do rogu, Oreilly odchrząknął i powiedział:

— Chyba skręcę tutaj. To równie dobre miejsce jak każde inne.

Sylvia złapała go za rękaw.

— Dokąd ty chcesz iść, Oreilly?

— Pożegluję w błękicie — powiedział i spróbował się uśmiechnąć, ale nie bardzo mu to wyszło.

Sylvia otworzyła torebkę.

— Nie można żeglować w błękicie bez butelki — powiedziała i całując go w policzek, wsunęła mu do kieszeni pięć dolarów.

— Niech Bóg cię błogosławi, mała.

Nieważne, że były to jej ostatnie pieniądze, że będzie teraz musiała wracać do domu na piechotę, sama. Zwały śniegu falowały jak białe odmęty białego morza, a ona płynęła po nich unoszona wiatrami i przyptywami księżyca. „Nie wiem sama, czego chcę, i może nigdy nie będę wiedziała, ale jedynym moim życzeniem od każdej gwiazdy będzie zawsze druga gwiazda. I naprawdę nic się nie boję” — myślała. Z jakiegoś baru wyszło dwóch wyrostków, zmierzili ją wzrokiem; kiedyś dawno w jakimś parku widziała już takich dwóch chłopaków, może to ci sami. Naprawdę nic się nie boję — myślała, słysząc w śniegu za sobą kroki; zresztą i tak nie zostało jej nic, co by mogli ukraść.

Dzieci w dniu urodzin

(Dla Andrew Lyndona)

Popołudniowy autobus przejechał wczoraj pannę Bobbit. Sam nie wiem, jakich słów mam użyć, bo była w końcu ledwie dziesięcioletnią dziewczynką. Ale pewien jestem, że nikt z mieszkańców naszego miasta nigdy jej nie zapomni, choćby dlatego że od razu, od chwili kiedyśmy ją pierwszy raz ujrzeli, nie uczyniła nic, co by nie było niezwykle, a minął od tej pory rok.

Panna Bobbit przyjechała wraz z matką o szóstej tym samym popołudniowym autobusem, który jedzie aż z Mobile. Tak się złożyło, że był to dzień urodzin mojego kuzyna Billy'ego Boba i dzieci z całego miasteczka zebrały się w naszym domu. Porozsiadani na werandzie, pałaszowaliśmy akurat tutti frútti z plackiem czekoladowym, kiedy autobus wypadł z Zakrętu Śmierci. Było to owego lata, kiedy z nieba nie spadła ani kropla deszczu; suchy pył powlekał wszystko rdzawą warstwą, a kiedy szosą przejechał samochód, kurz wisiał czasami w nieruchomym powietrzu godzinę albo dłużej. Ciotka El powtarzała ciągle, że jeśli nie wybrukują w końcu tej drogi, to ona wyprowadza się nad morze; ale odgrażała się tak od zawsze... Dość, że siedzieliśmy na werandzie i tutti frutti rozpuszczało się na talerzykach, kiedy ni z tego, ni z owego, akurat kiedyśmy się modlili, żeby

coś się wydarzyło, z chmury czerwonego pyłu wynurzyła się panna Bobbit. Sprężysta mała dziewczynka w paradnej wykrochmalonej cytrynowej sukieneczce kroczyła z miną dorosłej eleganterki, z jedną ręką opartą na biodrze, w drugiej dzierząc staropanięńską parasolkę. Za nią wlokła się matka, dygując dwie tekturowe walizki i gramofon z korbą do nakręcania. Była to koścista, rozczochrana kobieta o martwych oczach i pustym uśmiechu.

Dzieci na werandzie zamarły jak trusie; nawet kiedy z gniazda os poczęło się wydobywać brzęczenie, dziewczynki nie uderzyły w zwykły pisk. Ich uwaga zbyt była pochłonięta pojawieniem się panny Bobbit i jej matki, które właśnie dochodziły do furtki.

— Przepraszam bardzo! — zawołała panna Bobbit głosem, który był zarazem dziecinny i jedwabisty jak kawałek pięknej wstążki, i niepokalanie czysty jak głos gwiazdy filmowej albo pani w szkole. — Czy mogłybyśmy mówić z kimś dorosłym w tym domu?

Odnosiło się to oczywiście do ciotki El, może w jakiejś mierze także do mnie. Ale Billy Bob i inni chłopcy, choć żaden nie miał więcej niż czternaście lat, wszyscy wylegli za nami do furtki. Patrząc na ich twarze, można było myśleć, że nigdy w życiu nie widzieli dziewczynki. Chociaż takiej jak panna Bobbit nie widzieli faktycznie. Jak powiedziała ciotka El, kto kiedy słyszał, żeby takie dziecko się malowało. Szminka nadawała jej wargom pąsowy odcień, włosy ułożone w stertę różowych pukli przypominały peruki, jakie widuje się na scenie, oczy były umiejętnie przedłużone kredką; z tym wszystkim miała w sobie jakąś kościstą godność, była prawdziwą damą, a co więcej, patrzyła człowiekowi prosto w oczy z otwartością mężczyzny.

— Jestem panna Lily Jane Bobbit, panna Bobbit z Memphis, stan Tennessee — powiedziała uroczyście.

Chłopcy spuścili wzrok na palce swoich nóg, a dziewczynki za przykładem Cory McCall, do której zalecał się w tym czasie Billy Bob, wybuchły kaskadą chichotów.

— Wiejskie dzieci — zauważyła panna Bobbit z pobłażliwym uśmiechem i zgrabnie zakręciła parasolką. — Mamusia — w tym miejscu ta poczciwa kobieta uznała za stosowne zmanifestować swoją obecność gwałtownym skinieniem głowy — mamusia i ja wynajęłyśmy tutaj pokoje. Czy nie byłaby pani tak dobra wskazać nam, gdzie się znajduje ten pensjonat? Właścicielką jest niejaka pani Sawyer.

— Ależ ma się rozumieć — powiedziała ciotka El — pensjonat pani Sawyer jest po drugiej stronie ulicy.

Jedyny pensjonat w naszym mieście to wysoki, ciemny, stary budynek z blisko dwoma tuzinami piorunochronów na dachu, bo pani Sawyer umiera ze strachu podczas najgłupszej burzy.

Czerwieniąc się jak burak, Billy Bob powiedział, że taki dzisiaj, pszepani, gorąc i w ogóle, więc czyby nie zechciały odpocząć chwilkę i zjeść trochę tutti frutti, a ciotka El dorzuciła zaraz, że tak, koniecznie, lecz panna Bobbit potrząsnęła głową.

— To zbyt tuczące, tutti frutti, ale piękne *merci*.

I ruszyła przez drogę, a matka za nią, pół niosąc, pół wlokąc bagaże po piasku. Ale po paru krokach panna Bobbit odwróciła się z wyrazem powagi na twarzy; jej oczy, żółte jak słoneczniki, pociemniały i uciekły lekko w bok, jak gdyby chciała przypomnieć sobie jakiś wiersz.

— Moja mamusia cierpi na zaburzenia mowy, dlatego ja muszę się wypowiadać w jej imieniu — oznajmiła przedziutko i z jej piersi wydobyło się westchnienie. — Mamusia jest pierwszorzędną krawcową, ubierała się u niej śmietanka towarzyska wielu miast, między innymi Memphis i Tallahassee. Pewnie podziwiają państwo sukienkę, którą mam na sobie; mamusia uszyła ją własnoręcznie do ostatniego ściegu. Mamusia

potrafi skopiować każdy fason, niedawno zdobyła dwadzieścia pięć dolarów nagrody na konkursie pisma „Pani Domu”. Mamusia umie także robić na drutach, szydełkować i haftować. Jeśli ktoś z państwa ma cokolwiek do szycia, proszę przyjść do mojej mamusi. Proszę polecić ją także rodzinie i znajomym. Dziękuję.

Po czym ruszyła z szumem przez drogę.

Cora McCall i inne dziewczynki skubały nerwowo, niezdecydowanie wstążki na głowach; miny miały kwaśne i niepewne.

— Jestem panna Bobbit — powiedziała Cora, wykrzywiając twarz w złośliwym naśladownictwie. — Jestem księżniczka Elizabeth, tak, tak, jestem księżniczka Elizabeth, cha, cha, cha. Jeśli mam być szczerą — powiedziała — ta jej kiecka jest zupełnie przedpotopowa. Co do mnie — powiedziała Cora — to sprowadzam wszystkie stroje z Atlanty, a dostałam nawet parę pantofli z Nowego Jorku, nie mówiąc już o tym srebrnym pierścionku z turkusem, który pochodzi z Mexico City.

Ciotka El zwróciła im uwagę, że nie powinny się tak wyrażać o swojej rówieśniczce, która dopiero co przyjechała, ale one dalej trzepały językami jak wiedźmy, a część chłopców, ci durniejsi, co się lubią podlizywać dziewczynom, też się do nich przyłączyła i do spółki wygadywali takie rzeczy, że ciotka El aż się zrobiła czerwona i oświadczyła, że wszystkich wyprawi do domu i poskarży się rodzicom. Nim jednak zdążyła wprowadzić w czyn swoją groźbę, sprawę przesądziła sama panna Bobbit, wychodząc niedbałym kroczeniem na werandę pani Sawyer, przebrana w nowy, równie zdumiewający strój.

Starsi chłopcy, którzy jak Billy Bob czy Prymus Kaznodzieja siedzieli cicho, kiedy dziewczyny nicowały pannę Bobbit, i którzy przez cały czas łakomymi oczami obserwowali dom, w którym zniknęła, wyprostowali się teraz i od niechcienia

ruszyli do furtki. Cora McCall prychnęła i wydeła dolną wargę, ale my pozostaliśmy i usadowili się na stopniach werandy.

Panna Bobbit nie zwracała na nas najmniejszej uwagi. Ogródek pani Sawyer jest ocieniony morwami i zarośnięty trawą i krzakami; czasem po deszczu słodki zapach krzewów dochodzi aż do naszego domu. Pośrodku tego ogródka stoi zegar słoneczny, który pani Sawyer wybudowała w 1912 roku na pamiątkę bostońskiego buldożka, Promyka, który zdechł, wychłaptawszy kubel farby. Panna Bobbit przedefilowała przez ogródek, ściskając w ramionach gramofon, który postawiła na zegarze; nakręciła go, puściła płytę i rozległy się melodie z *Hrabiego Luksemburga*. Był już prawie mrok, godzina świętojańskich robaczek, sina jak mrożone szkło, i ptaki na kształt strzał zbijały się w stadka i zapadały w gęstwiny drzew. Czasami przed burzą liście i kwiaty jaśniejają jakby własnym światłem, własną barwą, a panna Bobbit, wystrojona w białą spódniczuszkę przypominającą puszek do pudru, z połyskującą złotem wstążką wplecioną we włosy, na tle gęstniejącego mroku zdawała się obdarzona tym swoistym fosforyzmem. Stała wyciągnięta na czubkach palców, z rękami sklepiionymi nad głową i dłońmi bezwładnymi jak lilie. Stała tak przez długi, długi czas, aż ciotka El oświadczyła, że zrećzna z niej dziewczynka. Potem ją się kręcić i wirować, i kręciła się tak, i wirowała w takt walca, aż ciotka El powiedziała, że no, no, można zawrotu głowy dostać od samego patrzenia. A panna Bobbit zatrzymywała się tylko, kiedy trzeba było nakręcić gramofon; wzeszedł księżyc i począł wspinać się po grani nieba, przebrzmiał ostatni dzwonek wzywający na kolację, dzieci rozeszły się do domów, nocne irysy zaczęły rozkwitać, a ona wciąż wirowała w ciemności jak fryga.

Potem nie widzieliśmy jej przez pewien czas. Prymus Kaznodzieja przychodził do nas codziennie z samego rana i siedział

kamieniem do wieczora. Prymus jest chudy jak tyka, z szopą ognistorudych włosów na głowie; ma jedenaścioro rodzeństwa, ale nawet oni boją go się jak ognia, bo straszny z niego pasjonat i słynie na całą okolicę z zimnokrwistej złośliwości. W zeszłym roku na czwartego lipca tak oćwiczył Olliego Overtona, że rodzina musiała go oddać do szpitala do Pensacoli; innym razem odgryzł mułowi pół ucha, przeżuł bez zmrużenia oka i wypluł na ziemię. Dopóki Billy Bob nie podrósł, Prymus i jemu zalewał nielicho sadła za skórę. To mu nawpychał rzepów za koszulę, to natarł oczy pieprzem, to podarł wypracowanie szkolne. Teraz są największymi kumplami w całym mieście: gdzie jeden, tam i drugi, co jeden, to i drugi; a od czasu do czasu przepadają obaj na całe dni, Bóg wie gdzie. Ale przez ten czas, kiedy nie było widać panny Bobbit, nie oddalali się na krok od domu. Wystawali na podwórku, strzelając z procy do jaskółek na słupach telefonicznych, czasem Billy Bob grał na ukulele i obaj śpiewali tak głośno, że wujek Billy'ego Boba, który jest sędzią okręgowym, słyszał ich, jak twierdzi, ni mniej, ni więcej, tylko w sądzie.

Napisz mi liścik, wyślij go pocztą,

Wyślij do ciupy, do Birmingham prosto.

Ale panna Bobbit nie słyszała, a przynajmniej nie wytknęła nosa z domu. Dopiero któregoś dnia pani Sawyer przyszła do nas pożyczyć kubek cukru i naterkotała ile wlezie o swoich nowych lokatorkach.

— Wie pani — opowiadała, zezując błyszczącymi oczkami kurczęcia — ten pan Bobbit był jakimś kryminalistą, yhy, kryminalistą; mała sama mi to powiedziała. Nie ma ani odrobiny wstydu, mówię pani, ani krzynki. Powiedziała, że jej ojciec był najukochańszym tatusiem pod słońcem i miał najstodszy głos

ze wszystkich śpiewaków w całym Tennessee. To ja mówię: „Dobrze, kochanie, a gdzie on teraz jest?”. A ona na to jakby nigdy nic: „Och, siedzi w kryminale, przestał do nas w ogóle pisywać”. Niech pani sama powie: czy pani by się krew nie ścięła w żyłach? Aha, i wie pani, co ja myślę? Ta jej mamunia to ja myślę, że jest jakąś cudzoziemką: nigdy się słowem nie odezwie, a czasami to całkiem wygląda, że nie rozumie, jak się do niej mówi. I wie pani, one wszystko jedzą surowe. Surowe jajka, surową rzepę, marchew, a mięsa to do ust nie wezmą. Ze względu na zdrowie, powiada ta mała, ale cha, cha, już od zeszłego wtorku leży w łóżku z gorączką.

Tego samego popołudnia, kiedy ciotka El poszła podlać swoje róże, stwierdziła, że zniknęły. Były to jakieś szczególne róże, które chciała wysłać na wystawę kwiatową do Mobile, więc ciotka, ma się rozumieć, dostała lekkiej hysterii. Zadzwoiła do szeryfa i powiada:

— Niech pan słucha, szeryfie, ma pan tu natychmiast przyjechać. Tak, bo ktoś ukradł wszystkie moje Lady Ann, które z takim poświęceniem hoduję od wiosny.

Kiedy wóz szeryfa zajechał przed dom, wszyscy sąsiedzi powychodzili na werandy, a pani Sawyer, z twarzą wypacykowaną na grubo kremem, przyleciała na naszą stronę ulicy.

— Och, też coś — powiedziała ogromnie rozczarowana, że nikt nie został zamordowany. — Też coś — powiedziała — tych róż nikt nie ukradł. Paniny Billy Bob sam je przyniósł i zostawił, żeby wręczyć tej małej Bobbit.

Ciotka El nie powiedziała ani słowa. Pomaszerowała prosto do brzoskwini i ucięła tęgą różgę. „Hej, Billy Bob!” — pokrzykiwała, skradając się ulicą, aż go wreszcie przydybała w garażu u Chyżego, gdzie się razem z Prymusem przyglądali, jak Chyży rozbiera motor. Niewiele myśląc, złapała go za czuprynę i okładając jak szalona, powlekła do domu. Ale nie

mogła go zmusić, żeby przeprosił; nie mogła go nawet doprowadzić do płaczu. A kiedy go puściła, pobiegł za dom i wlażł na sam czubek orzecha pekanowego, zaklinając się, że nigdy stamtąd nie zejdzie. Potem wrócił do domu jego tato i zrobiła się pora na kolację. Tato stanął w oknie i zawołał:

— Synku, nie gniewamy się na ciebie. Zejdz zjeść z nami kolację.

Ale Billy Bob ani drgnął. Ciotka El wyszła i stanęła pod orzechem. Przemówiła głosem miękkim jak światło brzasku.

— Przykro mi, synku — powiedziała — nie miałam zamiaru tak mocno cię zbić. Zrobiłam wyśmienitą kolację, synku, sałatkę z kartofli, gotowaną szynkę, jajka faszerowane w sosie musztardowym.

— Idź sobie — odparł Billy Bob — nie chcę żadnej kolacji. Nienawidzę cię jak wszyscy diabli.

Na to tato powiedział, że nie powinien tak mówić do matki, a ona się rozplakała. Stała pod orzechem i chlipała, zadartym rąbkiem spódnicy ocierając oczy.

— Ja ciebie kocham, synku. Gdybym cię nie kochała, nigdy bym cię tak nie zbiła.

Gałęzie orzecha zaczęły szeleścić i Billy Bob zsunął się powolutku na ziemię. Ciotka El przejechała mu palcami po włosach, przyciągnęła go do siebie.

— Oj, mamusiu — powiedział — oj, mamusiu.

Po kolacji Billy Bob przyszedł i rzucił się w nogi mojego łóżka. Pachniał cały kwaśno-słodko, jak to chłopaki, i zrobiło mi się go bardzo żal, bo taki był strapiony. Oczy miał prawie zamknięte ze zmartwienia.

— Sami mówili, że chorym się posyła kwiaty — powiedział nie bez racji.

Jakoś w tym momencie usłyszeliśmy gramofon, śpiewny dźwięk z oddali, a przez okno wpadła ćma unoszona powiewem

delikatnym jak muzyka. Ale było już zupełnie ciemno i nie mogliśmy dojrzeć, czy panna Bobbit tańczy. Billy Bob, jakby miał boleści, złożył się na łóżku niczym scyzoryk; ale twarz mu się nagle rozjaśniła, a kaprawe chłopczyńskie oczy zamrugwały jak świece.

— Jejku, ale klawa — szepnął. — Jak żyję, drugiej takiej klawej nie widziałem. Co mi tam, niech się dzieje, co chce, dla niej tobym zerwał wszystkie róże pod słońcem.

Prymus Kaznodzieja też by dla niej zerwał wszystkie róże pod słońcem. Był na jej punkcie nie mniej zbzikowany niż Billy Bob. Ale panna Bobbit ich nie zauważała. Jedynym kontaktem, jaki z nami nawiązała, była kartka, w której dziękowała ciotce El za kwiaty. Dzień po dniu przesiadywała na werandzie, zawsze wystrojona jak na wesele, i wyszywała coś albo zaczesywała loki na głowie, albo czytała słownik Webstera — pełna rezerwy, ale nieodpychająca; jeśli jej powiedziales: „Dzień dobry” odpowiadała ci: „Dzień dobry”. Mimo to chłopcy jakoś nigdy nie mogli się zdobyć na odwagę, żeby podejść i zagadnąć ją, a ona przeważnie patrzyła na nich, jakby miała przed sobą powietrze, chociaż bez przerwy paradowali po ulicy, żeby przyciągnąć jej wzrok. Mocowali się, bawili w Tarzana, wyprawiali wariackie sztuczki na rowerach. Aż przykro było patrzeć.

Także sporo dziewczyn defilowało pod domem pani Sawyer po dwa, trzy razy w ciągu godziny, w nadziei, że a nuż coś zobaczą. Robiła to i Cora McCall, i Mary Murphy Jones, i Janice Ackerman. Ale panna Bobbit nie okazywała im także najmniejszego zainteresowania. Cora nie rozmawiała już w tym czasie z Billym Bobem. Tak samo miała się sprawa z Janice i Prymusem. Janice napisała nawet do Prymusa list czerwonym atramentem na papierze obramowanym koronką, w którym mu oznajmiła, że jest nikczemny ponad wszystkie ludzkie istoty

i ponad wszelkie wyobrażenie, że uważa ich zaręczyny za zerwane i że Prymus może sobie zabrać z powrotem tę wypchaną wiewiórkę, którą jej ofiarował. Prymus, chcąc, jak opowiadał, być dla niej miły, złapał ją, gdy przechodziła następnym razem koło naszego domu, i powiedział, że niech sobie już, u diaska, zatrzyma tę głupią wiewiórkę, jak chce. Nie mógł później w żaden sposób zrozumieć, dlaczego poleciała z takim bekiem, jakby się Bóg wie co stało.

Któregoś dnia chłopcy wygłupiali się bardziej niż zwykle; Billy Bob zataczał się od płotu do płotu w mundurze swego tatusia z wojny światowej, a Prymus, rozebrany do pasa, paradował z nagą kobietą wyrysowaną na piersi starą pomadką ciotki El. Wyglądali jak ostatnie błazny, ale panna Bobbit ziewała tylko wyciągnięta na huśtawce. Dochodziło południe i na ulicy nie było nikogo prócz nich, dopóki się nie pojawiła czarna dziewczynka, pulchna jak niemowlę, z brzuszkiem kragłym jak śliwka, która podśpiewując, niosła wiaderko jeżyn. Chłopcy przyczepili się do niej, natrętni jak komary; wzięli się za ręce i oznajmili, że jej nie przepuszczą, dopóki się nie okupi.

— Ja tam niezwyczajna żadnych okupywać — powiedziała. — O jakim to okupywaniu panicz mówi?

— A, pofiglujemy sobie w stodółce — powiedział Prymus przez zaciśnięte zęby. — Pofiglujemy jak się patrzy w stodółce.

A ona na to z chmurnym wzruszeniem ramion, że hm, ona niezwyczajna żadnych figłów w stodółkach. I wtedy Bill Bob wytrącił jej z ręki wiaderko, a kiedy z rozpaczliwym kwikiem pochyliła się w złudnej nadziei uratowania swojej własności, Prymus, który potrafi być złośliwy jak diabli, dał jej takiego kopniaka w tyłek, że się wyciągnęła jak długa w galarecie jeżyn i piasku. W tym momencie nadbiegła panna Bobbit ze wskazującym palcem prawej ręki kiwającym się jak strzałka metronomu; gestem nauczycielki klasnęła w dłonie, tupnęła nogą i powiedziała:

— Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że mężczyźni zostali powołani na świat po to, żeby się opiekować kobietami. Czy wy sobie wyobrażacie, że w ten sposób się zachowują chłopcy w takich miastach jak Memphis, Nowy Jork, Londyn, Hollywood czy Paryż?

Chłopcy cofnęli się, chowając ręce do kieszeni. Panna Bobbit pomogła Murzynce wstać, otrzepała ją z kurzu, osuszyła jej łzy i podała chusteczkę, mówiąc, żeby wytarła nos.

— Piękne rzeczy — powiedziała. — Ładna historia, jeżeli kobieta nie może się już w biały dzień pokazać bezpiecznie w miejscu publicznym.

Potem odeszły, usiadły razem na werandzie pani Sawyer i przez następny rok nie rozłączyły się nigdy na długo, panna Bobbit i ta mała słoniczka, która się nazywała Rosalba Cat. Z początku pani Sawyer robiła wiele szumu, że Rosalba przesiaduje w jej domu. Wcale jej nie w smak, powiedziała ciotce El, żeby czarna dziewczucha się wylegiwała na samym widoku na jej własnej werandzie. Ale panna Bobbit wywierała dziwny urok; wszystko, co robiła, robiła tak bez reszty i tak naturalnie, tak solennie, że nie pozostawało nic innego, jak ustąpić. Na przykład kupcy w mieście uśmiechali się początkowo, nazywając ją panną Bobbit; ale niebawem była panną Bobbit i wszyscy witali ją krótkimi, sztywnymi ukłonami, gdy przechodziła zwawym kroczkiem, kręcąc parasoleczką. Panna Bobbit mówiła każdemu, że Rosalba jest jej siostrą, co wywoływało niekończące się żarciki, aż powoli, jak większość jej pomysłów, zaczęło się to wydawać całkiem naturalne i kiedy słyszeliśmy, jak mówią do siebie „siostró Rosalbo” i „siostró Bobbit”, nikt się już nawet nie uśmiechnął. Mimo że siostra Rosalba i siostra Bobbit robiły różne dziwne rzeczy. Jak choćby ta historia z psami.

Bo trzeba wam wiedzieć, że w naszym mieście jest do licha i trochę psów, terierów szczurołapów, seterów ptaszników,

ogarów posokowców. W upalne południa sennymi grupkami sześcioro do dwunastu sztuk snują się po wymarłych ulicach, czekając tylko, aż zapadnie mrok i wzejdzie księżyc; odtąd przez długie samotne godziny będziecie słyszeć ich wycie: ktoś umiera, ktoś umarł. Panna Bobbit poszła na skargę do szeryfa; oświadczyła, że część psów stale urzęduje pod jej oknem, a ona ma lekki sen — to po pierwsze; a co gorsza, uważają, obie z siostrą Rosalbą, że to w ogóle nie są psy, tylko jakieś złe. Oczywiście szeryf nic nie zrobił, wobec czego panna Bobbit ujęła sprawę w swoje ręce. Pewnego ranka po szczególnie hałaśliwej nocy można było zobaczyć, jak krąży po mieście z Rosalbą u boku; Rosalba dźwigała kosz po kwiatach pełen kamieni i gdy tylko spotkały jakiegoś psa, zatrzymywały się i panna Bobbit skrupulatnie go oglądała. Czasami potrzasała głową, częściej jednak mówiła: „Tak, siostró Rosalbo, to jeden z nich” — na co siostra Rosalba wybierała z kosza kamień i z celnym okrucieństwem waliła psa między oczy.

Druga historia, jaka się wydarzyła, dotyczy pana Hendersona. Pan Henderson wynajmuje pokój od podwórza w pensjonacie pani Sawyer; żyłasty, krępy staruch był kiedyś dzikim poszukiwaczem ropy w Oklahomie; dzisiaj ma z siedemdziesiąt lat i jak tyłu starych ludzi fioła na punkcie funkcji fizjologicznych. Poza tym jest strasznym pijanicą. Kiedyś był pijany przez dwa tygodnie i gdy tylko usłyszał, że panna Bobbit i siostra Rosalba kręcą się po domu, wchodził na szczyt schodów i ryczał na dół do pani Sawyer, że w ścianach są liliputy, które się dobierają do jego papieru toaletowego. Ukradły mu już za całe piętnaście centów, wrzeszczał. Pewnego wieczoru, kiedy dziewczynki siedziały w ogrodzie pod drzewem, pan Henderson wyskoczył do nich w jednej koszuli nocnej na grzbiecie.

— Będziecie mi kradły papier toaletowy, będziecie?! — rozdarł gębę. — Ja wam pokażę, liliputy! Na pomoc, ludzie, na

pomoc, bo mi te suki, liliputki, wszystko do ostatniego kawałka wyniosą!

Nie kto inny, tylko Billy Bob z Prymusem obezwładnili wówczas pana Hendersona i trzymali go tak długo, aż się zjawili dorośli mężczyźni i zaczęli go wiązać. Ale panna Bobbit, która przez cały czas zachowywała się z podziwu godnym spokojem, powiedziała, że nie potrafią nawet zrobić porządnego węzła, i zabrała się sama do roboty. Związała pana Hendersona tak dobrze, że zatrzymała mu dopływ krwi do rąk i nóg i trzeba było całego miesiąca, żeby zaczął znowu chodzić.

Niedługo potem panna Bobbit złożyła nam wizytę. Przyszła w niedzielę, kiedy byłem w domu sam, bo wszyscy byli w kościele.

— W kościele jest taki przykry zaduch — powiedziała, pochylając się do przodu, z dłońmi splecionymi skromnie przed sobą. — Nie chciałabym, żeby pan sobie pomyślał, że jestem poganką, panie C. Doświadczyłam dosyć w życiu, żeby wiedzieć, że istnieje Bóg i istnieje Szatan. Ale to nie sposób na obłaskawienie Szatana, chodzić do kościoła i słuchać, jaki z niego występny, wredny głupiec. Nie, Szatana trzeba kochać, tak jak kochamy Pana Jezusa; bo wiele może i gotów jest wyświadczyć nam dużo dobrego, jeśli wie, że mamy do niego zaufanie. Mnie często świadczył uprzejmości. Na przykład w szkole tańca w Memphis zawsze wzywałam Szatana, żeby mi pomógł uzyskać główną rolę w naszym dorocznym przedstawieniu. Po prostu zdrowy rozsądek. Rozumie pan, wiedziałam, że Pan Jezus nie będzie sobie zawracał głowy tańcami. Prawdę mówiąc, ostatnio też się musiałam uciec do Szatana; on jeden może mi pomóc wydostać się z tej dziury. Nie żebym tutaj naprawdę żyła, nie; myślą jestem zawsze gdzie indziej, gdzie wszystko jest tańcem, ludzie tańczą na ulicach, wszystko jest ładne jak dzieci w dniu urodzin. Mój nieoceniony tatko

mówił zawsze, że żyję w chmurach, ale gdyby sam żył bardziej w chmurach, byłby teraz bogaty, tak jak chciał. Cała bieda z moim tatkiem, że sam nie kochał Szatana, a pozwalał, żeby Szatan kochał jego. Ale ja jestem mądrzejsza pod tym względem: wiem, że bardzo często wcale nie to jest najlepsze, co się wydawało najlepsze. Nie najlepszą rzeczą była dla nas przeprowadzka do tego miasta, ponieważ nie mogę tu rozwijać mego talentu; więc najlepszym, co mogłam zrobić w tej sytuacji, było wziąć na boczku jakieś przedstawicielstwo. I tak właśnie zrobiłam. Jestem w tym hrabstwie jedynym agentem, który przyjmuje prenumeratę pokaźnej liczby czasopism, między innymi „Reader’s Digest”, „Mechaniki dla Wszystkich”, „Taniego Detektywa” i „Życia Dziecka”. Ma się rozumieć, nie przyszłam tutaj, żeby pana namawiać do zaprenumerowania czegoś. Ale przyszłam z pewną myślą, panie C. Pomyślałam sobie, że ci dwaj chłopcy, którzy się tu stale kręcą... otóż wpadło mi do głowy, że to ostatecznie też mężczyźni. I czy nie sądzi pan, że mogliby z nich być nie najgorsi pomocnicy?

Billy Bob i Prymus wzięli się z całym oddaniem do pracy dla panny Bobbit, a także dla siostry Rosalby. Siostra Rosalba prowadziła akwizycję kosmetyków firmy Kropla Rosy, a do obowiązków chłopców należało dostarczanie towarów zamówionych przez klientki. Billy Bob przychodził wieczorem taki zmęczony, że ledwo miał siłę przełknąć kolację. Ciotka El mówiła, że to wstyd i hańba, a kiedy wreszcie wrócił któregoś dnia do domu z lekkim porażeniem słonecznym, oświadczyła, że dość tego, to już przekracza wszelkie granice i Billy będzie musiał skończyć z panną Bobbit. Ale Billy Bob tak ją skłął, że tatuś musiał go zamknąć na klucz w pokoju; na co Billy zagroził, że się zabije na śmierć. Jedna z kucharek, które u nas były, powiedziała mu kiedyś, że jak się zje salaterkę jarmużu dobrze podlanego melasą, to człowiek umrze jak amen w pacierzu; i oczywiście Billy to zrobił.

— Umieram — lamentował, tarzając się po łóżku. — Umieram, a nikogo to nie wzrusza.

Przyszła panna Bobbit i kazała mu leżeć cicho.

— Nic ci nie jest, mój chłopcze — orzekła. — Boleści masz, i tyle.

Po czym uczyniła coś, co zgorszyło ciotkę El: ściągnęła z Billy Boba nakrycie i natarła go od stóp do głów spirytusem. A kiedy ciotka El powiedziała, że jej skromnym zdaniem zupełnie nie wypada, żeby taka dziewczynka jak ona robiła takie rzeczy, panna Bobbit odparła:

— Nie wiem, czy wypada, czy nie, ale na pewno bardzo rozgrzewa.

Ciotka El robiła potem wszystko, żeby Billy Bob nie wrócił do pracy u panny Bobbit, ale jego tatuś powiedział, że trzeba go zostawić w spokoju: chłopak musi mieć własne życie.

Panna Bobbit była bardzo rzetelna w sprawach pieniężnych. Skrupulatnie wypłacała Billy'emu Bobowi i Prymusowi należną prowizję, a choć często ponawiali zaproszenia, nigdy nie pozwoliła, żeby jej zafundowali najmniejszy poczęstunek czy kino.

— Składajcie lepiej pieniądze — mówiła im. — Naturalnie, jeśli chcecie iść na studia. Bo żaden z was nie jest na tyle rozgarnięty, żeby dostać stypendium, nawet jako piłkarz.

A jednak nie o co innego, tylko o pieniądze Billy Bob i Prymus poprzytkali się w końcu na śmierć i życie. Oczywiście pieniądze nie były istotnym powodem; powodem było to, że od dłuższego czasu krzywo na siebie patrzyli z zazdrości o względy panny Bobbit. Aż wreszcie któregoś dnia Prymus, a miał czelność zrobić to w obecności Billy'ego Boba, powiedział panie Bobbit, żeby dobrze sprawdziła rachunki, bo ma więcej niż podejrzenie, że Billy Bob nie oddaje jej wszystkich pieniędzy, które zbiera.

— Bezczelne kłamstwo! — wrzasnął Billy Bob i zgrabnym lewym sierpowym zwałił Prymusa z werandy pani Sawyer, po czym sam skoczył za nim na grządkę nasturcji.

Ale kiedy Prymus dostał go w łapy, Billy nie miał już żadnych szans. Prymus natarł mu nawet oczy piachem. Przez cały ten czas pani Sawyer, wychylona z okna górnego piętra, kwiliła jak orzeł, a siostra Rosalba, wesółka tłuścioszka, pokrzykiwała dwuznacznie: „Bierz go! Bierz go! Bierz go!”. Tylko panna Bobbit nie straciła głowy. Włączyła wąż do podlewania i puściła im w nos taki strumień, że zaniewidzieli. Łapiąc dech, Prymus się poderwał.

— Kochana — powiedział, otrząsając się jak zmokły pies. — Musisz, kochana, sama rozstrzygnąć.

— Co rozstrzygnąć? — spytała panna Bobbit, z miejsca zaperzona.

— Kochana — sapał Prymus — nie chcesz chyba, żebyśmy się pozabijali. Musisz sama rozstrzygnąć, który z nas będzie ostatecznie twoim ukochanym.

— Ukochanym, też coś! — prychnęła panna Bobbit. — Powinna być mieć tyle oleju w głowie, żeby się nie zadawać z bandą wiejskich smarkaczy. Ładny z ciebie kupiec. Posłuchaj, co ci powiem, panie Prymusie Kaznodziejo: nie chcę żadnego ukochanego, a gdybym już chciała, to na pewno nie takiego jak ty. Przecież ty nawet nie wstajesz z krzesła, kiedy kobieta wchodzi do pokoju.

Prymus splunął na ziemię i obrócił się z godnością do Billy'ego Boba.

— Chodź, idziemy — powiedział, jak gdyby nigdy nic. — To twarda sztuka ta cała panna Bobbit. O nic jej nie chodzi, tylko żeby skłócić dwóch dobrych kolegów.

Przez moment wydawało się, że Billy Bob ruszy za nim w braterskiej zgodzie; ale nagle, opamiętawszy się, zrobił krok

do tyłu i uczynił ten gest. Mierzyli się wzrokiem przez pełną minutę i cała ich przyjaźń zmieniła barwę; nie można tak silnie nienawidzić, jeśli się zarazem nie kocha. Wszystko to się malowało na twarzy Prymusa. Ale nie pozostawało mu nic innego jak odejść. Tak, tak, Prymusie, byłeś taki nieszczęśliwy tego dnia, że po raz pierwszy naprawdę cię polubiłem; taki wydawałeś się wychudzony, zawstydzony i nieswój, kiedy szedłeś sam jeden ulicą.

Sprawa była nie do naprawienia, i to nawet nie dlatego, żeby obydwaj, i Prymus, i Billy Bob, nie chcieli się pogodzić, tylko że nie było żadnej dogodnej podstawy, na której by ich przyjaźń mogła odżyć. Ale nie mogli się od niej również oswobodzić. Jeden wciąż obserwował, co robi drugi, a kiedy Prymus znalazł sobie nowego kumpla, Billy Bob chodził przez wiele dni jak struty; do czegokolwiek się zabrał, zaraz rzucał, robił różne niepoczytalne rzeczy, raz na przykład wsadził rozmyślnie palec w wiatraczek elektryczny. Czasami wieczorem Prymus przystawał przy furtce i gawędził z ciotką El. Robił to, jak przypuszczam, tylko po to, żeby zaleźć za skórę Billy'emu Bobowi, ale faktem jest, że pozostawał z nami wszystkimi w przyjaznych stosunkach, a na Gwiazdkę podarował nam nawet olbrzymie pudło łuskanych fistaszków. Zostawił także prezent dla Billy'ego Boba. Jak się okazało, była to książka o Sherlocku Holmesie z nagryzmołoną na wyklejce sentencją: „Kto się lubi, ten się czubi”.

— Jak żyję, nie widziałem takiej durnej gadki — powiedział Billy Bob. — Jezu, ale kretyn z niego.

Po czym, chociaż był zimny grudniowy dzień, poszedł za dom i wdrapał się na goły orzech pekanowy; siedział tam przez całe popołudnie, skulony na tle granatowych konarów.

Ale najczęściej był szczęśliwy, bo miał pannę Bobbit, która zrobiła się teraz dla niego niezmiennie słodka. I ona, i siostra

Rosalba traktowały go jak mężczyznę, to znaczy pozwalały mu za siebie wszystko robić. Ale z drugiej strony pozwalały mu wygrać, kiedy siadali do brydża z dziadkiem, nie podawały nigdy w wątpliwość jego łgarstw i nie gasiły go w jego ambicjach. Był to szczęśliwy okres. Ale niedługo wynikły nowe kłopoty. Rozpoczęła się szkoła i panna Bobbit odmówiła chodzenia.

— To śmieszne — powiedziała, kiedy pewnego dnia kierownik, pan Copland, przyszedł zbadać sprawę. — To naprawdę śmieszne. Umiem czytać i pisać, a są w tym mieście także osoby, które miały okazję się przekonać, że umiem liczyć pieniądze. Nie, panie Copland, jak pan się chwilę zastanowi, sam pan dojdzie do wniosku, że żadne z nas nie ma na to czasu ani energii. Sprawa ograniczyłaby się w końcu do tego, które z nas pierwsze skapituluje, pan czy ja. Zresztą, czegoż pan mnie może nauczyć? Gdyby pan miał pojęcie o tańcu, a, to co innego, ale w tych warunkach, tak, panie Copland, w tych warunkach proponuję, żebyśmy oboje zapomnieli o całej historii.

Pan Copland zapomniałby z całą przyjemnością. Ale reszta miasta uważała, że należałoby jej spuścić porządne baty. Horacy Deasley napisał do gazety artykuł zatytułowany: „Tragiczna sytuacja”. Była to, jego zdaniem, tragiczna sytuacja, kiedy mała dziewczynka może sobie w żywe oczy kpić, jak to nie wiadomo dlaczego określił, z konstytucji Stanów Zjednoczonych. Artykuł kończył się pytaniem: „Czy ujdzie jej to na sucho?”. Uszło — i jej, i siostrze Rosalbie. Tylko że siostra Rosalba była czarna, więc nikogo to nie obchodziło.

Nie poszczęściło się natomiast Billy’emu Bobowi. On musiał chodzić do szkoły, bez dyskusji, choć równie dobrze mógłby siedzieć w domu, jeśli wziąć pod uwagę korzyści, jakie mu to przynosiło. Na pierwszy okres miał trzy niedostateczne, swego

rodzaju osiągnięcie. A Billy Bob nie jest tępym chłopcem. Podejrzewam, że nie mógł po prostu znieść tych godzin bez panny Bobbit, z dala od niej był zawsze jak nieprzytomny. Wciąż się także wdawał w bójki: to miał podbite oko, to rozciętą wargę, to znów utykał na nogę. Nigdy o tym nie opowiadał, ale panna Bobbit była zbyt inteligentna, żeby się nie domyślić powodu bójek.

— Kochany jesteś, wiem, wiem. W pełni to doceniam, Billy Bobie. Ale nie wdawaj się w bijatyki z mojego powodu. Oczywiście, ludzie wygadują na mnie różne złośliwości. Ale wiesz, dlaczego to robią? To swego rodzaju komplement, Billy Bobie. Bo w głębi duszy uważają, że jestem cudowna.

I miała rację; jeśli cię nie otacza podziw, nikt nie będzie sobie zadawał trudu, żeby cię mieszać z błotem. Ale prawdę mówiąc, nie mieliśmy pojęcia, jaka jest cudowna, dopóki do miasta nie zawitał osobnik o nazwisku Manny Fox. Nastąpiło to pod koniec lutego. Po raz pierwszy o istnieniu Manny'ego Foxa dowiedzieliśmy się z serii aluzyjnych afiszów porozwieszanych po sklepach: „Manny Fox przedstawia tancerkę z wachlarzem, ale bez wachlarza”; a pod spodem mniejszym drukiem: „Także sensacyjny program amatorski, w którym wystąpią wasi sąsiedzi. Pierwsza nagroda: autentyczne zdjęcia próbne w Hollywood”.

Wszystko to miało się odbyć w następny czwartek. Bilety były po dolarze, a dolar to pieniądz w naszych stronach; ale też nieczęsto zdarza nam się okazja zobaczenia czegoś pikantnego, więc każdy wyłuskiwał pieniądze i wiele było hałasu wokół całej historii. Obiboki przesiadujące w sklepie opowiadały sobie przez cały tydzień sprośności, najczęściej o tancerce bez wachlarza, którą jak się okazało, była żona samego pana Manny'ego Foxa. Zatrzymali się obydwójce w ośrodku turystycznym w Chucklewood, ale po całych dniach krążyli po

mieście starym packardem, który na wszystkich czworogu drzwiczkach miał wymalowane pełne imię i nazwisko Manny Fox. Jego żona była rudowłosą piękną o nieruchomej twarzy i ostrym jak pieprz języczku; miała mokre wargi i wilgotne powieki i choć w rzeczywistości wcale postawna, wydawała się wątlej budowy przy Mannym Foxie, który był wielki i pękaty jak cygaro.

Główną kwaterę założyli w klubie bilardowym, gdzie można ich było zobaczyć codziennie po południu pijących piwo i dowcipkujących z bywalcami. Jak wyszło na jaw, interesy Manny'ego Foxa nie ograniczały się do imprez teatralnych. Prowadził również swego rodzaju biuro pośrednictwa pracy, stopniowo bowiem zaczął dawać do zrozumienia, że za cenę stu pięćdziesięciu dolarów może każdemu przedsiębiorczemu młodemu człowiekowi w całym hrabstwie zapewnić pierwszorzędne zajęcie na którymś ze statków kursujących pomiędzy Nowym Orleanem a Ameryką Południową z transportami owoców. Jest to życiowa szansa, podkreślał. Nie wiem, czyby się znalazło w naszej okolicy dwóch chłopców, którym często trafi się choćby pięć dolarów, niemniej jednak z tuzin wytrasnęło skądś pieniądze. Ada Willingham podjęła wszystko, co uzbierała na nagrobek z aniołem dla swego zmarłego męża, i dała synowi, a ojciec Aceya Trumpa sprzedał na pniu cały zbiór bawełny.

Co dopiero się działo w sam wieczór przedstawienia! Wszystko tego wieczoru poszło w niepamięć: długi na hipotece i brudne naczynia w zlewie. Jak powiedziała ciotka El, można by myśleć, że się wybieramy do opery, wszyscy są tacy wyelegantowani, wypucowani i pachnący. W Odeonie nie było tak pełno od owego wieczoru, kiedy miano rozłosować komplet sreber stołowych. Z prawie każdej rodziny ktoś brał udział w konkursie, więc na sali panowała ogólna nerwowość. Co do nas,

jedyną uczestniczką, którą bliżej znaliśmy, była panna Bobbit. Nic dziwnego, że Billy Bob nie mógł usiedzieć na miejscu. Raz po raz powtarzał, żebyśmy nie klaskali nikomu prócz niej, a kiedy ciotka El powiedziała, że to by było bardzo niegrzecznie, spowodowała jeden z jego wybuchów. Potem jego tatuś kupił nam wszystkim po torebce prażonej kukurydzy, której Billy Bob nawet nie tknął; nie chce sobie zathuć rąk, powiedział, i jeszcze jedno, prosi, żebyśmy też nie jedli i w ogóle nie hałasowali, kiedy panna Bobbit będzie występowała.

Wiadomość, że panna Bobbit bierze udział w konkursie, zaskoczyła nas w ostatniej chwili, chociaż było to jak najbardziej logiczne i obserwowaliśmy fakty, które powinny nas do tego przygotować. Chociażby to, że nie wytknęła nosa z domu pani Sawyer przez ile to dni? I że gramofonnie ustawał przez pół nocy, za roletą wirował jej cień, a siostra Rosalba robiła tajemniczą i nadętą minę, kiedy ktoś ją zapytał o zdrowie panny Bobbit. Dość że jej nazwisko można było przeczytać w programie, i to zaraz na drugim miejscu, chociaż dużo czasu upłynęło, nim się pojawiła na scenie.

Pierwszy wyszedł Manny Fox, pod dobrą datą, i z porozumiewawczym uśmiechem zaczął opowiadać dwuznaczne dowcipy, klaszcząc w ręce i zanosząc się: „Cha, cha!”. Ciotka El oświadczyła, że jeśli opowie jeszcze jeden taki dowcip, to ona wstaje i wychodzi; opowiedział, ale nie wyszła. Potem, przed panną Bobbit, występowało jedenastu uczestników konkursu, między innymi Eustacia Bernstein, która parodiowała gwiazdy filmowe tak, że wszystkie przypominały Eustację, oraz niezwykły pan Buster Riley, stary, uchaty kudłacz z jakiejś zapadłej dziury, który zagrał na pile *Tańczącą Matyldę*. Do tej pory jego występ był niewątpliwym gwoździem programu, chociaż trudno by się było dopatrywać wyraźnych różnic w przyjęciu poszczególnych numerów, bo nikt nie żałował

oklasków; to znaczy nikt prócz Prymusa Kaznodziei, który siedział dwa rzędy przed nami i każdy występ kwitował oślim bu-u. Ciotka El powiedziała, że do końca życia nie odezwie się do niego słowem.

Jedyną osobą, którą Prymus oklaskiwał tego wieczoru, była panna Bobbit. Nie ulega wątpliwości, że Szatan jej sprzyjał, ale zasługiwała na to. Wybiegła, kręcąc biodrami, potrząsając lokami i wywracając oczami. Od razu widać było, że to nie będzie żaden z jej klasycznych numerów. Przeleciała z przytupem przez scenę, unosząc z wdziękiem rąbki niebieskiej jak obłok sukienki.

— Jak żyję, czegoś takiego nie widziałem! — powiedział Billy Bob i trzepnął się w udo, a ciotka El musiała przyznać, że panna Bobbit wygląda naprawdę słodko.

Kiedy zaczęła wirować, widownia zahuczała spontanicznymi oklaskami; a ona wirowała i wirowała, sycząc: „Szybciej, szybciej” — w stronę biednej panny Adelaide, która popisывała się swoimi umiejętnościami akompaniarki ze szkółki niedzielnej.

— „Urodziłam się w Chinach, chowałam w Nipponie... — Nigdy nie słyszeliśmy, jak panna Bobbit śpiewa, a głosik miała chropawy jak glaspapier. — ...nie chwalisz mych jabłuszek, to nie sięgaj po nie, o-ho, o-ho!”.

Ciotka El otworzyła usta ze zdumienia, otworzyła je jeszcze szerzej, kiedy panna Bobbit nagłym ruchem tułowia podrzuciła do góry sukienkę, pokazując niebieskie koronkowe majteczki, za co zebrała większość gwizdów, które chłopcy rezerwowali dla tancerki z wachlarzem, ale bez wachlarza; zresztą, jak się później okazało, nie popełnili wielkiego błędu, gdyż dama owa przy akompaniamencie *Jabłuszka dla nauczycielki* oraz okrzyków: „Cyganicha, cyganicha!” — odtańczyła swój kawałek ubrana w kostium kąpielowy. Ale demonstracja siedzenia nie

stanowiła ostatniego triumfu panny Bobbit. Panna Adelaide rozpoczęła złowróżbne grzmocenie w ponurej tonacji i na ten znak wpadła na scenę siostra Rosalba z płonącą świecą rzymską, którą wręczyła pannie Bobbit w momencie, gdy ta wykonywała szpagat; właśnie go ukończyła, kiedy świeca buchnęła kaskadą ognistych kul, czerwonych, białych i niebieskich, a my wszyscy musieliśmy wstać, bo panna Bobbit co sił w płucach śpiewała *Gwiazdzisty sztandar*. Ciotka El powiedziała potem, że był to jeden z najwspanialszych występów, jakie widziała.

No, nie ulegało w każdym razie wątpliwości, że panna Bobbit zasługuje na zdjęcia próbne w Hollywood, a ponieważ zajęła pierwsze miejsce w konkursie amatorów, wszystko wskazywało, że będzie je miała. Manny Fox powiedział, że oczywiście, to jej się należy.

— Złotko — powiedział — w tobie jest materiał na prawdziwą gwiazdę. — Tylko że następnego dnia się ulotnił, nie pozostawiając nic prócz solennych obietnic. — Czekaście na listy, moi drodzy, niedługo dostaniecie ode mnie wiadomość. — Tak powiedział do chłopców, od których wziął pieniądze, i tak powiedział do panny Bobbit.

Listy przychodzą trzy razy dziennie i trzy razy dziennie pokaźna grupka zbierała się na poczcie — takie wesole zebrania towarzyskie, które się stopniowo robiły coraz mniej wesole. Jakże wszystkim drżały ręce, kiedy do skrzynki na furtce wsuwał się list! W miarę jak upływały dni, pogrążali się w coraz bardziej ponurym milczeniu. Każdy wiedział, co myśli drugi, ale nikt nie potrafił tego wykrztusić, nawet panna Bobbit. Zdobyła się na to dopiero kierowniczką poczty, pani Patterson.

— To oszust — powiedziała, nie owijając w bawełnę. — Od początku wiedziałam, że to zwykły oszust. A jak będę musiała patrzeć na wasze twarze jeszcze jeden dzień, to palnę sobie chyba w łeb.

Ostatecznie, po upływie dwu tygodni, przełamała urok panna Bobbit. Jej wzrok robił się przez ten czas coraz bardziej nieobecny, aż pewnego dnia, po nadejściu ostatniej poczty, wstąpił w nią nagle dawny ogień.

— No, chłopcy, musimy sobie sami wymierzyć sprawiedliwość — powiedziała i poprowadziła całe stadko do domu.

Tak odbyło się pierwsze zebranie Klubu Katów Manny'ego Foxa, organizacji, która przybrawszy bardziej towarzyski charakter, przetrwała do dziś dnia, mimo że Manny Fox już dawno został ujęty i mówiąc obrazowo, oddany katu. Osiągnięcie to, nie bez racji, zaliczone zostało na konto panny Bobbit. W ciągu tygodnia przygotowała ona ponad trzysta opisów Manny'ego Foxa, które porzysłała do wszystkich szeryfów w południowych stanach; napisała także listy do gazet w większych miastach, nadając w ten sposób sprawie spory rozgłos. W wyniku tej akcji czterech spośród okradzionych chłopców dostało od United Fruit Company dobrze płatną pracę, a później, na wiosnę, kiedy Manny'ego Foxa aresztowano w Uphigh w stanie Arkansas, gdzie próbował tej samej starej sztuczki, Promienne Dziewczęta Ameryki przyznały pannie Bobbit odznakę za dobry uczynek. Ta jednak, z powodów bliżej nieokreślonych, uczyniła wszystko, by poinformować świat, że wyróżnienie to nie przypadło jej specjalnie do smaku.

— Nie uznaję tej organizacji — oświadczyła. — To ich gromkie dęcie w trąby! Ani to nie wypływa z dobrego serca, ani to nie jest prawdziwie kobiece. Zresztą co to jest właściwie dobry uczynek? Nie dajcie się nikomu wodzić za nos. Dobry uczynek to coś, co robimy, żeby w zamian uzyskać coś innego.

Przyjemnie byłoby napisać, że się myliła i że należna nagroda, kiedy wreszcie przyszła, została jej ofiarowana z dobroci serca. Jednakże nie tak się sprawa miała. Jakiś tydzień temu wszyscy poszkodowani chłopcy otrzymali od Manny'ego Foxa czeki na

pokrycie straty i tego samego dnia na zebranie Klubu Katów, które służy obecnie za pretekst, żeby się co czwartek napić wieczorem piwa i pograć w pokera, z bezceremonialną determinacją wkroczyła panna Bobbit.

— Słuchajcie, chłopcy — powiedziała prosto z mostu — żaden z was się nie spodziewał, że kiedykolwiek zobaczy te pieniądze. Ale skoro je już macie, powinniście zainwestować je w coś, co wam przyniesie realne korzyści, na przykład we mnie.

Chodziło o to, żeby zebrali swoje kapitały i do spółki sfinansowali jej wyjazd do Hollywoodu; w zamian będzie im do końca życia wypłacała dziesięć procent swoich zarobków, a to — kiedy zostanie gwiazdą, co nastąpi bardzo szybko — uczyni ich wszystkich ludźmi bogatymi. Przynajmniej, jak powiedziała, bogatymi na tutejsze warunki. Żaden z chłopców nie miał na to najmniejszej ochoty, ale kiedy panna Bobbit popatrzy na człowieka, cóż można powiedzieć?

Od poniedziałku padał pogodny letni deszczyk przeplatany przeblyskami słońca, lecz noce były ciemne i pełne szelestu ociekających liści, szmeru padających kropli, bezsennych gonitw. Billy Bob chodził z szeroko otwartymi, suchymi oczami, jakby wszystko, co czynił, było ścięte mrozem, a język miał sztywny jak serce dzwonu. Nie była to dla niego łatwa sprawa, wyjazd panny Bobbit. Bo panna Bobbit to w jego życiu więcej... Więcej niż co? Więcej niż jego trzynaście lat i cielece zadurzenie. Panna Bobbit to wszystko, co szczególne w jego życiu: i przesiadywanie na orzechu, i upodobanie do książek, i to, że znosi urazy, jeśli kogoś dostatecznie lubi. Panna Bobbit to wszystko, z czym by się nie zdradził przed nikim innym. W ciemności sączy się wśród deszczu muzyka; czy nie będzie więcej nocy, w które usłyszymy ją tak, jakby dochodziła naprawdę? Czy nie będzie wieczorów, w które się pomieszają nagle cienie i przed nami przesunie się panna Bobbit, przeleci

przez trawnik jak rozpościerająca się barwna wstęga? Uśmiechała się do Billy'ego Boba, wzięła go za rękę, nawet pocałowała.

— Przecież nie umieram — powiedziała. — Przyjedziesz do mnie i będziemy się wspinali na wielką górę. Będziemy znowu wszyscy razem, i ty, i ja, i siostra Rosalba.

Lecz Billy Bob wiedział, że nigdy się to nie ziści, i dlatego, kiedy w ciemności rozlegała się muzyka, chował głowę pod poduszkę.

Ale wczorajszy dzień był dziwnie uśmiechnięty, choć był to właśnie dzień odjazdu. Koło południa wyjrzało słońce i przesycało powietrze słodkim zapachem wistarii. Kwitły znowu herbaciane Lady Ann i ciotka El uczyniła rzecz cudowną: powiedziała Billy'emu Bobowi, żeby je ściał i dał pannie Bobbit na pożegnanie. Panna Bobbit siedziała przez całe popołudnie na werandzie, otoczona gromadką ludzi, którzy zachodzili życzyć jej powodzenia. Ubrana na biało, z białą parasoleczką w rękę, wyglądała, jakby się wybierała do komunii. Siostra Rosalba ofiarowała jej chusteczkę do nosa, ale musiała ją wziąć z powrotem, bo nie mogła powstrzymać łez. Inna mała dziewczynka przyniosła piezzonego kurczaka, przypuszczalnie z myślą, że panna Bobbit zje go w autobusie, tyle że zapomniała go wypatroszyć przed upieczeniem. Matka panny Bobbit oświadczyła jednak, że to nic nie szkodzi, kurczak to zawsze kurczak, co jest godne pamięci, gdyż była to jedyna opinia, jaką kiedykolwiek wygłosiła.

Była tylko jedna gorzka nuta. Od paru godzin kręcił się w pobliżu Prymus Kaznodzieja; to się pojawiał na chodniku, podrzucając do góry monetę, to znów chował za drzewem, jakby nie chcąc, żeby go zobaczono. Działo to wszystko na nerwy. Na jakieś dwadzieścia minut przed nadejściem autobusu zbliżył się wreszcie i oparł o naszą furtkę. Billy Bob ciągle

jeszcze ścinał w ogródku róże, choć miał ich już tyle, że można by ułożyć ogromny bukiet; ich zapach ciążył jak wiatr. Prymus nie spuszczał z niego oka, dopóki Billy'emu Bob nie podniósł głowy. Kiedy się mierzyli wzrokiem, zaczął znowu padać deszcz, delikatny jak pianka morska, prześwietlony blaskiem tęczy. Prymus podszedł bez słowa i jął pomagać Billy'emu Bobowi w układaniu dwu gigantycznych bukietów; ramię w ramię wyszli z nimi na chodnik.

Po drugiej stronie ulicy szumiało jak w ulu, ale kiedy panna Bobbit ich dostrzegła — dwu chłopców, których twarze przesłonięte kwiatami wyglądały jak dwa żółte księżyce — zbiegła z wyciągniętymi rękami po schodach. Można było przewidzieć, co się stanie; krzyczeliśmy, nasze głosy przeszywały deszcz jak błyskawice, ale panna Bobbit pędziła na spotkanie dwu różanych księżyców, zdając się nic nie słyszeć. I właśnie wtedy przejechał ją popołudniowy autobus.

Zatrzaśnij ostatnie drzwi

1

— Walterze, posłuchaj, co ci powiem. Nikt cię nie lubi, wszyscy są przeciwko tobie i nie wyobrażaj sobie, że robią to ze złej woli: sam jesteś sobie winien.

Były to słowa Anny i chociaż zdrowsza połowa duszy mówiła mu, że nie chciała go dotknąć (któż był mu jeszcze przyjazny, jeśli nie Anna?), zniechęcił ją za to i wszystkim dookoła opowiadał, jak bardzo nią gardzi i co z niej za świnia.

— Ta Anna — mówił — nie wierzcie tej kobiecie. Udaje szczerą, a kryje za tym wrogość; a jak kłamie, nie wierzę ani jednemu jej słowu. Niebezpieczna osoba, Bóg jeden wie, że mam rację!

Oczywiście wszystko, co mówił, doszło do Anny, i kiedy zadzwonił w sprawie premiery, na którą mieli się razem wybrać, nie omieszkała mu tego powiedzieć.

— Żałuję, Walterze, ale nie mogę sobie pozwolić na dalszą znajomość z tobą. Rozumiem cię doskonale i nawet ci trochę współczuję. Wiem, że to jest silniejsze od ciebie, ta twoja przewrotność, i że to nawet nie bardzo twoja wina. Ale nie chcę się z tobą więcej widywać, bo sama nie jestem dostatecznie zrównowazona, żebym mogła się na coś takiego narażać.

Ale dlaczego? Co takiego właściwie zrobił? No tak, rozsiewał o niej plotki. Ale przecież nie myślał tego naprawdę, a zresztą, jak powiedział do Jimmy'ego Bergmana (a to dopiero jest fałszywy facet), po co człowiekowi w ogóle przyjaciele, jeśli nawet nie może o nich wyrazić obiektywnego sądu.

Powiedział, powiedziała, powiedzieli, powiedzieliśmy — w kółko to samo, w kółko i w kółko jak łopatką wiatraka, który się kręci nad głową, wiruje i wiruje u sufitu, mieszając bezskutecznie zatęchłe powietrze, tykając jak zegar i licząc w ciszy sekundy. Walter przesunął się powoli w chłodniejszą część łóżka i zamknął oczy, żeby nie widzieć ciemnego, ciasnego pokoju. Przyjechał dziś o siódmej wieczorem do Nowego Orleanu, a o wpół do ósmej zameldował się w tym hoteliku, bezimiennym i ukrytym w jakiejś bocznej uliczce. Był sierpień i zdawało się, że ogień goreje na czerwonym sklepieniu nocy, a nienaturalny krajobraz Południa, który tak bacznie śledził z okien pociągu i który teraz, starając się odepchnąć wszystko inne, odtwarzał w pamięci, ten krajobraz potęgował tylko uczucie, że oto dotarł do kresu drogi, do krańca odtrącenia.

Co robi w tym dusznym hoteliku w odległym mieście, nie potrafiłby powiedzieć. W pokoju było okno, ale nie mógł go otworzyć, a nie miał odwagi zadzwonić na boya (cóż za przedziwne oczy ma ten chłopak!) i nie miał odwagi wyjść z hotelu, bo co, jeśli zabłądzi; jeśli zbłądzi choćby na chwilę, to już zabłądzi na zawsze.

Był głodny, nie jadł nic od rana, więc wyjął resztkę wafli orzechowych z paczki kupionej w Saratodze i popił je łykiem „Czterech Róż”, ostatnim na dnie butelki. Zemdliło go. Zwymiotował do kosza na śmieci i opadłszy z powrotem na łóżko, płakał tak długo, że poduszka zrobiła się cała mokra. Potem leżał już tylko, drżąc w upale pokoju, leżał i przyglądał się

powolnym obrotom wiatraka; obrotom, które nie miały początku i nie miały końca, które były jednym zamkniętym kręgiem.

Oko, ziemia, słoje drzewa, wszystkie są kręgami, a każdy krąg, powiedział, ma swój środek. To idiotyzm, co mówi ta Anna, że wszystko, co się stało, jest skutkiem jego własnego postępowania. Jeżeli naprawdę coś z nim jest nie w porządku, to winę ponoszą okoliczności, na które nie miał wpływu, takie, powiedzmy, jak matka dewotka czy ojciec urzędnik towarzystwa ubezpieczeń w Hartford, czy siostra, Cecile, która wyszła za człowieka starszego od niej o czterdzieści lat. „Chciałam się po prostu wyrwać z domu”. Tym się tłumaczyła i prawdę mówiąc, Walter uważał to za całkiem rozsądne usprawiedliwienie.

Ale nie wiedział, od czego zacząć rozważania o sobie, nie wiedział, gdzie szukać początku. W pierwszym telefonie? Nie, to było zaledwie trzy dni temu i na dobrą sprawę było raczej końcem, nie początkiem. Tak, trzeba zacząć od Irvinga, bo Irving to pierwsza osoba, którą poznał w Nowym Jorku.

Irving był słodkim małym Żydkiem o nieprzeciętnym talencie do szachów i właściwie niczym więcej; miał jedwabiste włosy, różową buzię niemowlęcia i wyglądał na jakieś szesnaście lat. Naprawdę miał dwadzieścia trzy, tyle co Walter, kiedy się poznali w pewnym barze w Greenwich Village. Walter był sam i w ogóle czuł się w Nowym Jorku bardzo samotny, więc kiedy ten mały słodki Irving zagadnął go przyjaźnie, Walter zdecydował, że może nie będzie to takie głupie zaprzyjaźnić się z nim — nigdy nic nie wiadomo. Irving znał masę ludzi i był bardzo lubiany; przedstawił Waltera wszystkim swoim znajomym.

W ten sposób Walter poznał Margaret. Margaret była mniej czy bardziej nieodstępną towarzyszką Irvinga. Nie była specjalnie ładna (miała wyłupiaste oczy, zęby zawsze trochę pobrudzone szminką i ubierała się jak dziesięcioletnia dziewczynka), ale odznaczała się żywiołową inteligencją, którą Walter

uznał za interesującą. Nie mógł tylko zrozumieć, dlaczego zwraca sobie głowę Irvingiem. Zapytał ją o to podczas jednego z długich spacerów po Central Parku, na które zaczęli chodzić we dwójkę.

— Irving jest słodki — odparła. — Kocha mnie czystą miłością i kto wie, może wyjdę za niego.

— Idiotyczny pomysł — powiedział. — Irving nie nadaje się na męża dla ciebie, jest twoim małym braciszkiem. Irving jest dla każdego małym braciszkiem.

Margaret była zbyt inteligentna, żeby nie dostrzec w tym prawdy. I kiedy pewnego dnia Walter zapytał ją, czy nie chciałaby się z nim kochać, powiedziała, że i owszem, nie ma nic przeciwko temu. Odtąd żyli ze sobą regularnie.

W końcu Irving dowiedział się o tym i pewnego poniedziałku doszło do niesmacznej sceny, dziwnym zbiegiem okoliczności w tym samym barze, w którym się poznali. Tego dnia Margaret zabrała Waltera wieczorem na jubileusz swojego szefa, Kurta Kuhnhardta (Agencja Ogłoszeniowa Kuhnhardta), po którym obydwójce wstąpili jeszcze do baru na kieliszek. Oprócz Irvinga i paru dziewczyn w spodniach w lokalu nie było nikogo. Irving siedział przy barze z zaróżowionymi policzkami i szklanymi oczyma. Wyglądał na małego chłopca, który udaje dorosłego, z krótkimi nóżkami, niesięgającymi podpórki wysokiego stołka; dyndał nimi jak pajac. Zobaczywszy go, Margaret natychmiast zawróciła i chciała wyjść, ale Walter ją powstrzymał. Zresztą Irving i tak ich już spostrzegł. Nie spuszczać z nich oka, odstawił kieliszek, zsunął się powoli ze stołka i z żalną namiastką krzepy ruszył przed siebie.

— Irving, kochany — powiedziała Margaret i urwała, przerażona jego spojrzeniem.

Broda mu się trzęsła.

— Idźcie sobie — powiedział jak dziecko oskarżające prześladowcę. — Nienawidzę was.

Po czym, ruchem niemal powolnym, zamachnął się i tak jakby w rękę trzymał nóż, uderzył Waltera w pierś. Cios nie był groźny i Walter zareagował jedynie uśmiechem, a Irving zatonął się na szafę grającą, piszcząc:

— Bij się, tchórzu jeden! Podejź tylko, to cię zabiję! Jak Boga kocham, zabiję!

Tak go zostawili. W drodze do domu, Margaret tłumiała cichy płacz.

— On już nigdy nie będzie taki słodki — powiedziała.

A Walter na to:

— O czym ty mówisz?

— Doskonale wiesz, o czym — oświadczyła zdławionym głosem. — To my, my dwoje nauczyliśmy go nienawidzić. Jakoś nie wydaje mi się, żeby wiedział dotąd, co to nienawiść.

Od chwili przyjazdu Waltera do Nowego Jorku mijały wówczas cztery miesiące. Suma pięciuset dolarów, które przywiózł ze sobą, stopniała już do piętnastu i Margaret musiała mu pożyczyć pieniędzy na zapłacenie komornego za styczeń. Ale dlaczego, chciała wiedzieć, dlaczego nie przeprowadzi się do tańszego hotelu, tylko wciąż mieszka u Brevoorta? No-o, wyjaśnił jej, bo to ważne, żeby mieszkać pod dobrym adresem. A co z pracą? Kiedy się wreszcie zabierze do jakiejś roboty? Czy się w ogóle zabierze? Jasne, powiedział, jasne, że się zabierze. Jeśli Margaret chce wiedzieć, to myśli o tym bez przerwy. Ale nie ma najmniejszego zamiaru zawracać sobie głowy pierwszą lepszą duperelą, jaka się nawinie. Szuka czegoś dobrego, czegoś, co by rokowało przyszłość, na przykład w agencji ogłoszeniowej. Dobrze, obiecała Margaret, niewykluczone, że mu będzie mogła pomóc; pomówi w każdym razie ze swoim szefem, panem Kuhnhardtem.

AOK, jak ją w skrócie nazywano, była agencją średniej wielkości, ale, co się często zdarza, bardzo dobrą agencją, jedną z najlepszych. Kurt Kuhnhardt, który ją założył w roku 1925, był niecodziennym człowiekiem i cieszył się niecodzienną reputacją. Chudy, pedantyczny Niemiec, stary kawaler, mieszkał w eleganckim czarnym domu na Sutton Place, którego wnętrze zdobiły między innymi trzy Picassy, wspaniałe szafkowy adapter, maski z wysp południowych oraz barczysty duński młodzian, pełniący funkcje służącego. Pan Kuhnhardt zapraszał od czasu do czasu na obiad tego czy owego pracownika, który był akurat w łaskach, miał bowiem zawsze jakiegoś faworyta. Była to jednak niebezpieczna pozycja, gdyż owe przyjaźnie okazywały się chimeryczne i niepewne. Często taki wybranek, który nie dawniej jak wczoraj spożył w najlepszym nastroju kolację ze swoim protektorem, następnego dnia musiał zabierać się do studiowania ogłoszeń o wolnych posadach. W drugim tygodniu pracy w AOK Walter, który został przyjęty do pomocy Margaret, otrzymał od pana Kuhnhardta zaproszenie na lunch, co go oczywiście wprowadziło w niesłychane podniecenie.

— Nie ciesz się — powiedziała Margaret, poprawiając mu krawat i strzepując pył z klapy. — Nic z tych rzeczy. Widzisz, u Kuhnhardta doskonale się pracuje, dopóki człowiek trzyma się na dystans. Bo inaczej może się nagle okazać, że właśnie dzisiaj przestałeś pracować, i kropka.

Walter przejrzał jej grę; nie zamydliła mu oczu ani na chwilę. Chciał jej to nawet powiedzieć, ale się powstrzymał — jeszcze nie pora. Nadejdzie jednak dzień, w którym jej się pozbędzie, nadejdzie niedługo. To ponizające, żeby on miał pomagać Margaret. W dodatku te zabiegi, żeby nie dać mu się wybić. Ale nie, nikt nie zdoła przeszkodzić jemu, Walterowi.

— Idiota jesteś — mówiła mu Margaret. — Ile razy ja już widziałam te nagłe przyjaźnie Kuhnhardta. To absolutnie o niczym nie świadczy. Mój Boże, on się potrafił tak samo pokumać z telefonistą. Jemu chodzi tylko o to, żeby miał z kogo robić wariata. Wierz mi na słowo, Walterze, tu nie ma żadnych cudów: liczy się tylko to, jak pracujesz.

— A czy masz jakieś zastrzeżenia do mojej pracy? Chyba pracuję najlepiej, jak można się było spodziewać.

— Zależy, czego się kto spodziewał — powiedziała.

Niedługo potem umówił się z nią pewnej soboty na stacji Grand Central. Mieli jechać do Hartford i spędzić popołudnie u jego rodziny, Margaret sprawiła sobie na tę okazję nową sukienkę, nowy kapelusz i pantofle. Ale Walter się nie zjawił. Pojechał zamiast tego z panem Kuhnhardtem na Long Island i był najbardziej podziwianym spośród trzystu gości na inauguracyjnym balu Rosy Cooper. Rosa Cooper (urodzona Kuppermann), dziedziczka Przetwórnii Mlecznych Coopera, była sympatycznym, pulchnym, czarnowłosym dzieckiem o nienaturalnym brytyjskim akcencie nabytym w ciągu czterech lat, jakie spędziła na pensji panny Jewett. Po balu napisała w liście do przyjaciółki Anny Stimson, która później pokazała to Walterowi:

„Poznałam boskiego chłopca. Tańczyłam z nim sześć razy, tańczy bosko. Jest szyszką w agencji ogłoszeniowej i jest piekielnie, bosko przystojny. Umówiłam się z nim na randkę — obiad, potem teatr”.

Margaret nie wspomniała ani słowem o tej historii, Walter również. Zachowywali się obydwój, jakby nic nie zaszło, tyle że spotykali się teraz i rozmawiali tylko wtedy, gdy mieli do omówienia jakieś sprawy służbowe. Pewnego popołudnia, wiedząc, że jej nie będzie w domu, Walter skorzystał z klucza, który mu kiedyś dała, i wybrał się do jej mieszkania; miał tam jeszcze różne rzeczy, ubrania, kilka książek, fajkę. Szperając

po kątach i zbierając wszystko, co tu jeszcze zostało, znalazł swoją fotografię całą zasmarowaną szminką: przyprawiło go to na moment o wrażenie, że spada z wysoka, jak we śnie. Natknął się również na jedyny prezent, jaki jej dał, buteleczkę L'Heure Bleue, dotąd nierozpieczętowaną. Usiadł na łóżku, z papierosem w ustach, i wodząc palcami po chłodnej poduszce, przypominał sobie, jak na niej opierała głowę, przypominał, jak zawsze w niedzielę leżeli razem, czytając na głos komiksy, historyjki o Barneyu Google'u i Dicku Tracym, i Joem Palooka.

Popatrzył na radio, małą zieloną skrzyneczkę. Kochali się zawsze przy muzyce, byle jakiej muzyce, jazzowej, symfonicznej, przy śpiewach chóralnych; był to sygnał, bo ilekroć Margaret go chciała, mówiła: „Posłuchamy trochę radia, kochanie?”. No, ale teraz to skończone; nienawidzi jej i musi o tym pamiętać. Odnalazł buteleczkę perfum i schował ją do kieszeni: Rosa na pewno ucieszy się z niespodzianki.

Następnego dnia przystanął w biurze przy urządzeniu do chłodzenia wody, gdy tam stała Margaret. Uśmiechnęła się do niego wymownie i powiedziała:

— No, no, nie wiedziałam, że jesteś złodziejem.

Był to pierwszy przypadek otwartej wrogości w ich stosunkach. I nagle przyszło mu do głowy, że w całej agencji nie ma ani jednej bratniej duszy. Kuhnhardt? Na niego nigdy nie można liczyć. A wszyscy pozostali są wrogami: Jackson, Einstein, Fischer, Porter, Capehart, Ritter, Villa, Byrd. Och, ma się rozumieć, są za cwani, żeby mu to powiedzieć w oczy, przynajmniej dopóki trwa entuzjizm Kuhnhardta.

Świetnie, niechęć to przynajmniej coś określonego, a jeśli z czymś się nie mógł pogodzić, to właśnie z sytuacjami niejasnymi, pewnie dlatego, że jego własne uczucia są takie niezdecydowane, takie chwiejne. Nigdy nie był pewien, czy lubi Iksa, czy nie.

Potrzebował jego miłości, ale sam był do miłości niezdolny.

I nigdy nie potrafił być z nim szczery, nigdy nie potrafił mu powiedzieć więcej niż pięćdziesiąt procent prawdy. Z drugiej strony, niemożliwością byłoby pozwolić Iksowi na te same niedoskonałości: Walter wiedział, że zostałby gdzieś po drodze oszukany. I bał się Iksa, truchlał przed nim ze strachu. Kiedyś w gimnazjum splagiował wiersz i wydrukował w gazetce szkolnej; do dziś nie może zapomnieć końcowej linijki: „Bo wszystkie nasze czyny są aktami trwogi”. A kiedy nauczycielka go zdemaskowała, czy kiedykolwiek uważał coś za większą niesprawiedliwość?

3

Na początku lata spędzał większość weekendów w willi Rosy Cooper na Long Island. Dom był zwykle pełen niedowarzonych studentów z Yale i Princeton, którzy go irytowali; jeszcze w Hartford flaki się w nim przewracały na widok tych pewnych siebie bubków, którzy go rzadko traktowali jak równego sobie. Co do Rosy natomiast, to było z niej kochane stworzenie; wszyscy to mówili, nawet Walter.

Ale kochane stworzenia rzadko bywają poważne — i Rosa nie miała poważnych zamiarów w stosunku do Waltera. Nie wiele sobie z tego robił. Weekendy spędzane w jej domu dawały okazję do nawiązania wielu cennych znajomości; Taylor Ovington, Joyce Randolph (ta gwiazdka), E.L. McEvoy — w sumie z tuzin osób, których nazwiska dodały wiele blasku jego notesowi z adresami. Pewnego wieczoru wybrał się z Anną Stimson na film, w którym grała ta mała Randolph, i ledwo zdążyli usiąść, już wszyscy na wiele rzędów dokoła wiedzieli, że jest jego przyjaciółką, że pije za dużo, źle się prowadzi, a w ogóle nie jest wcale taką pięknoscia, jaką z niej zrobiono

w Hollywood. Anna powiedziała mu później, że się zachowuje jak zazdrosna nastolatka.

— Ty to jesteś mężczyzną tylko pod jednym względem, serdeńko — zawyrokowała.

Annę Stimson poznał przez Rosę. Była redaktorką pewnego magazynu mody; miała prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, chodziła w czarnych garniturach, w monoklu, z laseczką i nosiła na sobie całe kilograpy brzęczącego meksykańskiego srebra. Była dwukrotnie zamężna, raz z Buckiem Strongiem, gwiazdorem westernów, i miała dziecko, czternastoletniego chłopaka, którego trzeba było umieścić w instytucji nazywanej przez nią „akademią poprawczą”.

— Cóż to był za wredny dzieciak — mówiła. — Strzelał przez okno na chybił trafił z wiatrówki, ciskał różnymi przedmiotami, kradł u Woolwortha. Nieznośny bachor, zupełnie jak ty.

Ale Anna była mimo wszystko dobra dla niego i kiedy nie cierpiała zbytnio na depresję, która ją czyniła zgryźliwą, słuchała łaskawie, jak wyplakuje swoje problemy, jak tłumaczy, dlaczego jest taki, jaki jest. Przez całe życie jakiś szuler rozdaje mu karty. Przypisując Annie wszystkie możliwe wady z wyjątkiem głupoty, Walter lubił posługiwać się nią jako swego rodzaju spowiedniczką: nie miała prawa potępiać go, cokolwiek by jej wyznał. Mówił na przykład:

— Naopowiadałem Kuhnhardtowi kupę łgarstw o Margaret. Wiem, to cholerne świństwo, ale ona zrobiłaby to samo na moim miejscu. Zresztą nie chodzi mi wcale o to, żeby ją wylał, tylko może przeniósł do Chicago.

Albo też:

— Byłem w księgarni i koło mnie stał jakiś facet w średnim wieku, dość sympatyczny, o inteligentnym wyglądzie. Zacząłem z nim rozmawiać, a kiedy wyszedłem, on ruszył za mną, trzymając się trochę z tyłu. Przeszedłem na drugą stronę ulicy, on

też, przyśpieszyłem kroku, on też. Tak mineliśmy ze sześć, siedem ulic, a kiedy się w końcu połapałem, o co chodzi, postanowiłem zrobić z niego wariata. Stałem na rogu i zatrzymałem taksówkę; potem się obróciłem i posłałem facetowi długie, powłóczyście spojrzenie. Przybiegł w lansadach z rozpromienioną twarzą. A ja wskoczyłem do taksówki, zatrzasnąłem drzwiczki, wychyliłem się przez okno i zacząłem pękać ze śmiechu. Trzeba było widzieć jego minę; to było okropne, zupełnie jak Chrystus na krzyżu. Nie mogę tego zapomnieć. I powiedz mi, Anno, po co mi była ta cała idiotyczna historia? Tak jakbym chciał odplacić wszystkim ludziom, którzy mnie kiedyś urazili. Ale było w tym i coś innego.

Opowiadał Annie takie historie, po czym wracał do domu i szedł spać. Sny miał jak nowo narodzone dziecko.

A problem miłości nurtował go przede wszystkim dlatego, że nie uważał miłości za problem. Zdawał sobie jednakże sprawę, że nikt go nie kocha. Ta świadomość tkwiła w nim jak drugie serce szamocące się w piersi. Ale nie widział nikogo. Może jedna Anna. Czy Anna go kocha?

— Och — powiedziała Anna. — Czy cokolwiek jest tym, na co wygląda? Czy to pies, czy wydra? Myślisz, że to złoto, a założysz na palec, zostaje ci zielona obwódka. Weź mojego drugiego męża: wyglądał na porządnego gościa, a okazało się, że to jeszcze jeden łobuz. Rozejrzyj się choćby po tym pokoju: na kominku nie dałoby się zapalić nawet kadzidła. A te lustra nadają mu perspektywę; i one kłamią. Nic nie jest, Walterze, tym, czym się wydaje. Choinki są z celofanu, a śnieg na nich z płatków mydlanych. W naszych piersiach kołacze się coś, co nazywamy duszą, i kiedy umieramy, nie jesteśmy wcale umarli; tak, a kiedy żyjemy, nie jesteśmy wcale żywi. I ty chcesz wiedzieć, czy ja cię Kocham? Nie bądź kretyńcem, Walterze, nie jesteśmy nawet przyjaciółmi...

Słuchaj, wiatrak. Wirujące kręgi szeptu: powiedział, powiedziała, powiedzieli, powiedzieliśmy, w kółko i w kółko, prędzej i wolniej, w rytm czasu, który powraca bezkresnym potokiem słów. Stary połamany wiatrak rozłupujący ciszę: trzeciego sierpnia, trzeciego, trzeciego.

Trzeciego sierpnia, w piątek, ukazało się to w gazecie, w kolumnie Winchella*, jego własne nazwisko: „Gruba ryba, specjalista ogłoszeniowy Walter Ranney, i dziedziczka koncernu mleczarskiego Rosa Cooper uprzedzają zaufanych przyjaciół, żeby zaczynali kupować ryż”**. Walter sam wręczył tę notatkę pewnemu znajomemu, który znał Winchella. Pokazał ją teraz młodemu kasjerowi u Whelana, gdzie jadł śniadanie.

— To o mnie — powiedział. — Ja jestem tym facetem.

Wyraz podziwu na twarzy kasjera zrobił mu dobrze na trawienie. Do biura przyszedł tego dnia późno i idąc pomiędzy biurkami, słyszał cichy szmer, który niósł się przed nim od maszynistki do maszynistki. Ale nikt nic nie powiedział. Koło jedenastej, po godzinie spędzonej na nieróbstwie i napawaniu się rozkosznym podnieceniem, zszedł na dół do barku na filiżankę kawy. Było tam już trzech kolegów z biura, Jackson, Ritter i Byrd, i kiedy Walter wszedł, Jackson szturchnął Byrda, Byrd szturchnął Rittera i wszyscy trzej się obrócili.

— No, i co powiesz, gruba rybo? — zapytał Jackson, różowy mężczyzna, przedwcześnie wyłysiały, a tamci dwaj parsknęli śmiechem.

* Walter Winchell (1897—1972) prowadził popularną kolumnę plotek towarzyskich w „Mirror”, nowojorskim brukowcu wydawanym przez koncern Hearsta.

** W Stanach Zjednoczonych istnieje zwyczaj obrzucania ryżem nowożeńców.

Udając, że nie słyszy, Walter podszedł szybkim krokiem do kabiny telefonicznej. „Bęcwały jedne” — powiedział, niby to wykręcając numer. Odczekał, aż wyjdą, po czym połączył się naprawdę.

— Halo, Rosa? Nie obudziłem cię?

— Nie.

— Słuchaj, widziałaś kolumnę Winchella?

— Tak.

Roześmiał się.

— Jak myślisz, skąd on bierze takie historyjki?

Cisza.

— Co ci jest? Jakiś dziwny masz głos.

— Czyżby?

— Zła jesteś czy co?

— Po prostu zawiedziona.

— Czym?

Cisza. I po chwili:

— To niesmaczne, co zrobiłeś, Walterze. Bardzo, bardzo niesmaczne.

— Nie rozumiem, o co ci chodzi.

— Do widzenia, Walterze.

Wychodząc, zapłacił kasjerce za kawę, której zapomniał wypić. W tym samym domu był fryzjer. Kazał się ogolić, albo nie, niech będzie strzyżenie, nie, lepiej manicure, i nagle, ujrawszy w lustrze swoją twarz, prawie tak białą jak kitel fryzjera, zrozumiał, że sam nie wie, czego chce. Rosa ma rację, to było niesmaczne. Zawsze był gotów uznać swoją winę, bo gdy ją uznał, zdawało mu się, że ją zaciera. Wrócił na górę i usiadł za biurkiem, czując się tak, jakby miał w piersi krwawiącą ranę; ze wszystkich sił pragnął teraz wierzyć w Boga. Za oknem paradował po parapecie gołąb. Przez jakiś czas Walter przyglądał się, jak błyska w słońcu piórami, jak prze-

stępuje statecznie z nogi na nogę, po czym, zanim uświadomił sobie, co robi, złapał z biurka szklany przycisk i rzucił z rozmachem. Gołąb poderwał się spokojnie, przycisk, koziółkując, poszybował jak gigantyczna kropla. A jeśli — pomyślał, nasłuchując odległego krzyku — jeśli trafi w kogoś, pozabija ludzi? Ale nic nie słyhać. Stukają tylko palce maszynistek; pukanie do drzwi!

— Hej, Ranney! K.K. cię wzywa.

— Bardzo mi przykro, Walterze — mówi pan Kuhnhardt, bazgrząc złotym piórem. — Napiszę ci list polecający, kiedy tylko będziesz chciał.

Teraz w windzie wrogowie, którzy zapadają się razem z nim, miażdżą Waltera pomiędzy sobą. Jest i Margaret z niebieską wstążką we włosach; patrzy na niego i jej twarz jest inna od tamtych twarzy, nie taka nieobecna jak one, pozbawiona wyrazu; jest jeszcze na niej współczucie. Ale patrząc na niego, patrzy poprzez niego; ona także. To wszystko sen, nie wolno mu w to uwierzyć; a jednak pod pachą ściska coś, co przeczy, że to sen: wielką brunatną kopertę kryjącą wszystkie osobiste rzeczy, jakie miał w biurku.

Kiedy winda zatrzymała się na dole, zrozumiał, że musi pomówić z Margaret, poprosić ją o przebaczenie, błagać o opiekę; ale ona wysunęła się szybko w stronę wyjścia, niknęła pośród wrogów. „Kocham cię — mówił, biegnąc za nią przez hol. — Kocham cię” — mówił, nie mówiąc nic.

— Margaret! Margaret!

Obróciła się. Niebieska wstążka harmonizowała z jej oczami, a oczy, patrząc na niego, zmiękły, zrobiły się prawie przyjazne. Czy tylko przejęte litością?

— Proszę cię — powiedział. — Moglibyśmy się czegoś napić razem, może poszlibyśmy do Benny'ego. Kiedyś lubiliśmy chodzić do Benny'ego, pamiętasz?

Potrząsnęła głową.

— Mam randkę, już jestem spóźniona.

— Aa.

— Tak... No, czas na mnie — powiedziała i puściła się biegiem.

Stał i patrzył, jak pędzi ulicą; wstążka powiewała za nią, mieniając się w ciemniejącym letnim blasku. Aż zniknęła.

* * *

Mieszkanie, jeden pokój bez windy w pobliżu Gramercy Park, prosiło się o wywietrzenie i sprzątnięcie, ale Walter, napętniwszy kieliszek, powiedział: „Do diabła z tym wszystkim” — i wyciągnął się na tapczanie. Bo i co to da? Obojętne, co człowiek robi i jak bardzo będzie się starał, wszystko sprowadzi się w końcu do zera; codziennie, wszędzie, każdy pada ofiarą oszustwa i kogo ma za to winić? Jedno tylko było dziwne: leżąc i sącząc whisky w szarówce pokoju, czuł się taki spokojny, jak nie czuł się już od Bóg wie jak dawna. Jak wówczas kiedy oblał algebrę i doznał uczucia takiej ulgi, takiej swobody; klęska jest rzeczą nieodwracalną, jest pewnością, a każda pewność przynosi ze sobą spokój. Wyjedzie teraz z Nowego Jorku, zrobi sobie wakacje; ma kilkaset dolarów, do jesieni wystarczy.

Jał się zastanawiać, dokąd jechać, i ni z tego, ni z owego, jakby mu w głowie puszczone film, zobaczył jedwabne dżokejki, wiśniowe i cytrynowe, i malutkich mężczyzn o mądrych twarzach, w koszulkach we wspaniałe grochy. Zamknąwszy oczy, stał się nagle pięcioletnim chłopcem i z rozkoszą przypominał sobie wiwaty, gorące parówki i wielką lornetkę ojca. Saratoga. Rzednące światło kładło mu na twarz maskę cienia. Zapalił lampę, nalał sobie jeszcze kieliszek i nastawiwszy adapter, zaczął tańczyć rumbę, aż podeszwy skrzypiały na

dywanie. Często przychodziło mu do głowy, że gdyby trochę poćwiczył, mógłby zostać tancerzem.

Płyta akurat się skończyła, kiedy zadzwonił telefon. Stał bez ruchu, nie wiadomo dlaczego bojąc się odebrać; lampa, meble, wszystko w pokoju zamarło. Kiedy myślał, że już się nie odezwie, telefon rozdzwonił się na nowo; jeszcze głośniejsze, zdawało się, jeszcze natarczywiej. Potknął się o stół, sięgnął po słuchawkę, upuścił ją i podniósł.

— Tak? — powiedział.

Zamiejscowa; jakieś miasto w Pensylwanii, którego nazwy nie zrozumiał. Seria spazmatycznych trzasków, po czym w słuchawce rozległ się głos — suchy, bezpłciowy i zupełnie niepodobny do żadnego głosu, jaki kiedykolwiek słyszał.

— Czołem, Walter.

— Kto mówi?

Nie ma odpowiedzi, słyszać tylko czysty, silny oddech; połączenie było tak dobre, że miał wrażenie, iż ten ktoś, ktokolwiek to jest, stoi tuż obok, z wargami przyciśniętymi do jego ucha.

— Nie lubię głupich kawałów. Kto mówi?

— Och, znasz mnie, Walterze. Znasz mnie od dawna.

Trzask — i nic więcej.

5

Była noc i padało, kiedy pociąg dojechał do Saratogi. Walter spał przez większą część podróży, pocąc się w parnym upale wagonu, i śnił mu się stary zamek, zamieszkały przez samych starych mamutów, i mający sen, w którym występował ojciec, Kurt Kuhnhardt, ktoś bez twarzy, Margaret i Rosa, Anna Stimson i cudaczna starsza pani z diamentami zamiast oczu.

Stał na długiej, wyludnionej ulicy i mimo że jedynym znakiem życia była zbliżająca się powoli procesja czarnych, jakby pogrzebowych aut, wiedział, że ze wszystkich okien niewidzialne oczy obserwują jego nagość. Zaczął machać rozpaczliwie i pierwsza limuzyna zatrzymała się; siedzący w niej mężczyzna, jego ojciec, otworzył gościnnie drzwiczki. „Tato!” — krzyknął i rzucił się przed siebie, ale drzwiczki się zatrzasnęły, przygniatając mu palce, a ojciec w paroksyzmie śmiechu wychylił się przez okno i wyrzucił ogromny wieniec z róż. W drugim aucie jechała Margaret, w trzecim pani z diamentami zamiast oczu (czy to przypadkiem nie panna Casey, dawna nauczycielka algebry?), w czwartym pan Kuhnhardt z nowym protegowanym, ową istotą bez twarzy. Wszystkie drzwiczki otwierały się, wszystkie zamykały, wszyscy wybuchali śmiechem i wszyscy rzucali róże. Potem procesja aut potoczyła się gładko w głąb milczącej ulicy, a Walter z rozdzierającym krzykiem padł na zwały róż: ciernie szarpały mu ciało, a nagły deszcz, oberwanie popielatej chmury, miażdżył kwiaty i zmywał bladą krew spływającą po listkach.

Utkwione w nim spojrzenie siedzącej naprzeciwko kobiety uświadomiło mu, że musiał krzyczeć przez sen. Uśmiechnął się niepewnie, a ona odwróciła głowę, jak mu się wydawało, w zakłopotaniu. Była kaleką: na lewej nodze miała olbrzymi but ortopedyczny. Potem, w Saratodze, pomógł jej nieść walizkę i wzięli do spółki taksówkę; nie rozmawiali, każde siedziało w swoim kącie i patrzyło na deszcz, na zamazane światła. Przed kilkoma godzinami podjął w Nowym Jorku wszystkie oszczędności, zamknął na klucz mieszkanie i wyjechał, nie zostawiając żadnej wiadomości; a w tym mieście nie zna żywej duszy. To poczucie przynosiło ulgę.

Hotel był przepelniony: pomijając już to, że masę ludzi przyjechało na wyścigi, poinformował go portier, odbywa się

akurat zjazd lekarzy. Nie, niestety, nie wie o żadnym pokoju. Może jutro się coś zwolni.

Walter poszukał więc baru. Jeśli już ma nie spać przez całą noc, to niech się przynajmniej upije. Bar, bardzo duży, bardzo gorący i hałaśliwy, mienił się tłumem groteskowych postaci wakacjuszy: zwiotczalymi damami w srebrnych lisach, małymi karłowatymi dżokejami, bladymi krzykliwymi mężczyznami w tanich fantazyjnych kraciastych marynarkach. Ale po paru kieliszkach hałas rozplątał się gdzieś w oddali. Rozglądając się dokoła, Walter spostrzegł kulawą kobietę. Siedziała sztywno, sama przy stoliku, i sączyła przez słomkę peperment. Wymienili uśmiechy i Walter wstał, żeby się do niej przysiąść.

— Wcale nie mam wrażenia, że jesteśmy obcymi ludźmi — powiedziała, kiedy siadał. — Pan pewnie przyjechał na wyścigi?

— Nie — odrzekł. — Po prostu na odpoczynek. A pani? Wydeła wargi.

— Pewnie pan zauważył, że jestem kulawa. O-o, niech pan nie robi zdziwionej miny; zauważył pan na pewno, każdy zauważa. I widzi pan — mówiła, kręcąc słomką w szklance — doktor, który mnie leczy, ma wygłosić referat na tym zjeździe; ma mówić o mnie i o tej mojej nodze, bo to jakiś okropnie rzadki przypadek. Jejku, boję się jak nie wiem co. Rozumie pan, mam im tę nogę pokazywać.

Walter powiedział, że jej współczuje, ale odparła, że nie ma jej czego współczuć; ostatecznie dzięki temu ma parę dni urlopu, czyż nie?

— A nie wyjeżdżałam z Nowego Jorku od sześciu lat. Sześć lat temu po raz ostatni byłam przez tydzień w gospodzie Bear Mountain.

Policzki miała czerwone, lekko plamiste, oczy osadzone

zbyt blisko siebie, koloru lawendy, przenikliwe; wydawały się zupełnie nieruchome. Na czwartym palcu nosiła złotą obrączkę; na pokaz, jasna sprawa: nikogo na to nie nabierze.

— Jestem służącą — odpowiedziała na pytanie. — I wcale sobie nie krzywduję. Praca uczciwa, lubię ją. Państwo mają takiego słodkiego malca, Ronnie się nazywa. Jestem mu bliższa niż matka i kocha mnie bardziej niż ją; sam mi to powiedział. Bo ona to chodzi po całych dniach pijana.

Przygnębiało go słuchanie tego, ale owładnięty nagłym lękiem przed samotnością, Walter siedział i pił, i opowiadał, jak tylko raz w życiu opowiadał Annie Stimson. „Cii” — przerwała w pewnym miejscu, bo za bardzo podniósł głos i sporo osób zwróciło na nich uwagę. Do diabła z nimi, powiedział, nic go to nie obchodzi; mózg miał jak ze szkła i wydawało mu się, że wszystek alkohol, jaki wypił, przeobraził się w wielki młot; czuł, jak pogruchotane kawałki grzechoczą mu w głowie, zamazują ostrość widzenia i zniekształcają kontury; na przykład ta kaleka naprzeciwno wydaje się nie jedną osobą, lecz kilkoma naraz: Irvingiem, matką, tym facetem, który nazywał się Bonaparte, Margaret i jeszcze kimś innym; coraz jaśniej i jaśniej pojmował, że przeżycia tworzą krąg, z którego ani kawałeczka nie można wykroić ani zapomnieć.

6

Bar zamykano. Zapłacili każde za siebie i czekali w milczeniu na wydanie reszty. Obserwując go swymi nieruchomymi lawendowymi oczyma, sprawiała wrażenie zupełnie opanowanej, ale pod maską spokoju, Walter był tego pewien, kryło się tłumione wzburzenie. Kiedy kelner wrócił, podzielili się resztą — i wtedy powiedziała:

— Jak pan chce, to może pan przenocować u mnie w pokoju. — Rumieniec pokrył jej twarz jak wysypka. — Bo zdaje się, wspomniał pan coś, że nie ma pan gdzie spać...

Ujął ją za rękę; uśmiech, którym go obdarzyła, był wzruszająco nieśmiały.

Wyszła z łazienki, mając na sobie tylko wytarte cieliste kimono i ten monstrualny but ortopedyczny; na odległość zalatywały od niej tanie perfumy. Wtedy właśnie Walter pojął, że nigdy się na to nie zdobędzie. I nigdy w życiu nie było mu tak bardzo żal samego siebie: tego nawet Anna Stimson nigdy by mu nie przebaczyła.

— Nie patrz teraz — powiedziała i głos jej drżał. — Może to śmieszne, ale nie lubię, żeby kto widział moją nogę.

Odwrócił się do okna. Przyciśnięte do szyby liście wiązu szeleściły na wietrze. Mrugnęła blado błyskawica, zbyt odległa, żeby było słycać piorun.

— Już — powiedziała.

Walter stał bez ruchu.

— Już — powtórzyła niespokojnie. — Mam zgasić światło? Bo może wolisz... przygotować się po ciemku.

Podszedł do łóżka i schyliwszy się, pocałował ją w policzek.

— Jesteś bardzo miła, ale widzisz...

Przerwał mu telefon. Popatrzyła na niego z niemym zdumieniem.

— O Boże! — powiedziała, zakrywając dłonią tubę słuchawki. — Międzymiastowa! To na pewno chodzi o Ronniego! Na pewno jest chory albo... Hallo, co?... Ranney? Jejku, nie. Źle pana połą...

— Czekaj — przerwał Walter, biorąc słuchawkę. — To do mnie, ja jestem Walter Ranney.

— Czołem, Walter.

Głos, głuchy, bezpłciowy i odległy, przeniknął go do głębi

trzewi. Pokój zakołysał się, wygiął przed oczami. Liszaj potu wykwitł mu na górnej wardze.

— Kto mówi? — powiedział tak wolno, że słowa nie łączyły się w jedną całość.

— Och, znasz mnie, Walterze. Znasz mnie od dawna.

Potem cisza; ktokolwiek to był, odłożył słuchawkę.

— Jejku — powiedziała kobieta. — Jak myślisz, skąd oni mogli wiedzieć, że jesteś w moim pokoju? Przecież... Słuchaj, czy to jakaś zła wiadomość? Wyglądasz jakoś...

Walter padł na nią, wczepił się w jej ciało, przywarł mokrym policzkiem do jej twarzy.

— Nie puszczaj mnie — powiedział, zdumiony, że jeszcze potrafi płakać. — Błagam cię, nie puszczaj.

— Biedny mały chłopiec — odrzekła, klepiąc go po plecach. — Mój biedny mały chłopiec. Okropnie jesteśmy samotni na świecie, prawda?

I tak zasnął w jej ramionach.

Ale od tej pory nie spał już, nie mógł zasnąć nawet teraz, pomimo usypiającego szumu wiatraka, w którego obrotach słyszeć koła pociągów: Saratoga — Nowy Jork, Nowy Jork — Nowy Orlean. Wybrał Nowy Orlean bez żadnej specjalnej myśli, może tylko dlatego, że było to miasto ludzi obcych, miasto odległe. Cztery wirujące łopatki wiatraka, koła i głosy, w kółko i w kółko; więc jednak, pojmował teraz, jednak nie będzie końca temu łańcuchowi podłości, nie będzie nigdy końca.

Woda szumiała w rurach, kroki stukały nad głową, klucze brzęczały w holu, głos komentatora radiowego dudnił gdzieś w głębi, za ścianą mała dziewczynka dopytywała się: „Dlaczego? Dlaczego? DLACZEGO?”. Ale w pokoju panowała atmosfera ciszy. Jego stopy, lśniące w świetle wpadającym przez okienko nad drzwiami, wyglądały jak odrąbane od kamiennego

posagu; paznokcie połyskiwały jak dziesięć małych lusterek, szklily się zielonkawo. Usiadł i otarł pot ręcznikiem; bardziej niż cokolwiek przerażał go teraz upał, który namacalnie uzmysławiał bezsilność. Cisnął ręcznik w drugi koniec pokoju i przyglądał się, jak wylądowawszy na abażurze, kołysze się w jedną i w drugą stronę. W tym momencie zadzwonił telefon. Dzwonił raz po razie. Dzwonił tak głośno, że Walter był pewien, iż słyszą go w całym hotelu. Za chwilę ludzie zaczną się dobijać do drzwi. Więc ukrył twarz w poduszce, zatkał uszy pięściami i powtarzał sobie: Nie myśl o niczym, myśl o wietrze...

Gašiorek bilonu

W tym czasie pracowałem po szkole w Valhalli. Valhalla była sklepem mego wujka, pana Marshalla. Nazywam go panem Marshallem, bo wszyscy, nie wyłączając żony, nazywali go panem Marshallem. Mimo że był sympatycznym człowiekiem.

Valhalla była może staromodna, ale obszerna, mroczna i chłodna — w letnie miesiące nie było przyjemniejszego miejsca w całym mieście. Wszedłszy z ulicy, po lewej ręce miało się kontuar z papierosami i pismami, za którym przesiadywał zwykle pan Marshall, krępy mężczyzna o kanciastej twarzy i różowej cerze, z dostojnymi obwisłymi, białymi wąsami. Za kontuarem stał prześliczny saturator. Był bardzo stary, zrobiony z delikatnego poźółkłego marmuru, gładki w dotyku, choć bez śladu taniej polewy. Pan Marshall kupił go w 1910 roku na aukcji w Nowym Orleanie i jawnie się nim szczyił. Kiedy usiadło się na jednym z misternych wysokich stołków i spojrzano za saturator, człowiek widział swoją postać odbitą miękko, jak przy świetle świec, w szeregu antycznych luster w mahoniowych ramach. Wszystkie towary wystawione były na pokaz w oszklonych gablotach o zabytkowym wy-

gładzie, zamykanych na mosiężne klucze. W powietrzu wisiał zawsze zapach syropu, gałki muszkatołowej i innych specjałów.

Valhalla była punktem zbornym hrabstwa Wachata, dopóki do miasta nie zjechał niejaki Rufus McPherson i nie otworzył drugiego sklepu po przeciwnej stronie rynku. Ten Rufus McPherson to był wielki łajdak; to znaczy robił konkurencję mojemu wujkowi. Wyposażył sklep w różne nowomodne urządzenia, w elektryczne wiatraczki i kolorowe żaróweczki, obsługiwał przejezdnych w samochodach i smażył na zamówienie na grillu kanapki z serem. Ma się rozumieć, choć część klienteli dochowała wierności panu Marshallowi, większość nie mogła się oprzeć atrakcjom Rufusa McPhersona.

Przez pewien czas pan Marshall próbował nic sobie z tego nie robić; kiedy ktoś wspominał przy nim nazwisko McPhersona, parskał, ujmował wąż w dwa palce i obracał się w drugą stronę. Ale widać było, że jest przejęty. Z każdym dniem bardziej. Aż wreszcie przyszedłszy raz, w połowie października, do Valhalli, zastałem go grającego z Hamurabim w domino i popijającego wino.

Hamurabi był Egipcjaninem i czymś w rodzaju dentysty, choć kokosów na tym nie robił, bo ludzie w naszych stronach dzięki jakiemuś składnikowi wody mają nadzwyczaj mocne zęby. Spędzał więc masę czasu, obijając się po Valhalli, i był najbliższym kumplem mego wujka. A przystojny był chłop z tego Hamurabiego, smagły, blisko dwa metry wzrostu; miejscowe matrony trzymały córki pod kluczem, a same wywracały do niego oczy. Nie miał przy tym ani trochę cudzoziemskiego akcentu i w ogóle zawsze byłem zdania, że jest takim samym Egipcjaninem jak ja królową perską.

Tak czy inaczej, zastałem ich obu przy kontuarze, pociągających czerwone włoskie wino z dwulitrowego gąsiorka. Zdziwiło mnie to, gdyż pan Marshall był powszechnie znany z abstynen-

cji. Więc oczywiście myślę sobie: Rany boskie, ale mu ten Rufus McPherson zalazł za skórę. Jednakże sprawa nie tak się miała.

— Chodź no, synu — powiedział pan Marshall — wypij i ty szklaneczkę.

— Jasne — przytaknął Hamurabi — pomóż nam wykończyć gąsiorek. Kupiliśmy w sklepie, nie może się zmarnować.

Po dłuższym czasie, kiedy w gąsiorku ukazało się dno, pan Marshall wziął go z kontuaru i powiedział:

— No, teraz zobaczymy.

Po czym zniknął w mroku popołudnia.

— Gdzie on poszedł? — zapytałem.

— Aa!

To było wszystko, co usłyszałem od Hamurabiego. Lubił się ze mną droczyć.

Minęło z pół godziny, zanim wujek wrócił. Ugiął się i stękał pod ciężarem, który dźwigał. Postawił gąsiorek na saturatorze, po czym cofnął się o krok, zacierając z uśmiechem ręce.

— No, i co myślisz?

— Aa — zamruczał Hamurabi.

— Jejku... — powiedziałem.

Gąsiorek był ten sam, Bóg mi świadkiem, ale jakże cudownie przemieniony: naładowany po brzegi pięcio- i dziesięciocentówkami, które błyszcząły matowo przez grube szkło.

— Ładny, co? — powiedział wujek. — Przerobili go w banku nie do poznania. Nie można było wsadzić nic większego niż pięciocentówka. Ale wszystko jedno, jest w nim kupa forsy, mogę cię zapewnić.

— Ale po kiego licha, panie Marshall? — zapytałem. — To jest, chciałem powiedzieć, w jakim celu...

Uśmiech pana Marshalla stał się jeszcze szerszy.

— No, gąsiorek jest pełen bilonu, można powiedzieć...

— ...że to gwiazdka z nieba — dokończył Hamurabi.

— A cel, jak to nazwałeś, jest taki, żeby ludzie zgadywali, ile w gąsiorku jest pieniędzy. Kupi ktoś, powiedzmy, za dwadzieścia pięć centów, będzie mógł spróbować szczęścia. Im więcej kto kupi, tym więcej razy będzie mógł zgadywać. A ja będę wszystko zapisywał i w wigilię, kto się okaże najbliższy prawdy, dostanie w nagrodę cały gąsiorek.

Hamurabi pokiwał uroczyście głową.

— Zabawi się w Świętego Mikołaja — powiedział. — Spryciarz z tego Świętego Mikołaja! No, idę do domu i zabieram się do pisania książki pod tytułem *Przemysłne zabójstwo Rufusa McPhersona*.

Bo Hamurabi pisywał czasami opowiadania, które rozsyłał do różnych czasopism. Ale zawsze je odsyłano.

* * *

To było zadziwiające, zakrawało prawie na cud, jak bardzo hrabstwo Wachata zapaliło się do gąsiorka. Tak, tak, Valhalla nie miała takich obrotów od czasu, kiedy zawiadowca stacji, Tully dostał, biedaczysko, kompletnego hyzia i zaczął rozgłaszać, że odkrył za stacją ropę, sprowadzając na miasto najazd poszukiwaczy. Nawet zatwardziali obibocy, którzy całe dni spędzali w klubie bilardowym i żalowali centa na wszystko, co nie miało związku z whisky i dziewczynkami, zaczęli teraz inwestować pozostałą gotówkę w koktajle mleczne. Wprawdzie kilka starszych pań głośno potępiało przedsięwzięcie pana Marshalla jako formę hazardu, ale żadna nie podjęła jakiejś akcji, a niektóre nawet szukały okazji, żeby nas odwiedzić i spróbować szczęścia. Dzieci w szkole oszalały na punkcie gąsiorka, a ja cieszyłem się rzadką popularnością, bo były święcie przekonane, że wiem, ile w nim jest pieniędzy.

— Powiem wam, skąd się to wszystko bierze — oświadczył

któregoś dnia Hamurabi, zapalając jednego z egipskich papierosów, które sprowadzał za zaliczeniem z pewnej firmy w Nowym Jorku. — Wcale nie stąd, skąd sobie wyobrażacie; jednym słowem, wcale nie z chciwości. Nie, to tajemnica fascynuje ludzi. Człowiek patrzy na te drobniaki i co sobie myśli? Aa, to kupa pieniędzy? Otóż nie i nie! Myśli sobie: Aa, ile tego? A to ważne pytanie. Dla każdego co innego znaczy. Rozumiecie?

A Rufus McPherson jak się wściekał! Kiedy człowiek prowadzi interes, to liczy, że Boże Narodzenie przyniesie mu znaczną część rocznego zysku, a tymczasem na palcach mógł liczyć klientów. Spróbował więc zmałpować pomysł z gąsiorkiem; ale że był skąpy, napełnił gąsiorek pojedynczymi centami. Wysłał również do „Sztandaru”, miejscowego tygodnika, list, w którym pisał, że pana Marshalla należałoby „wymazać smołą, wytarzać w pierzu i powiesić, bowiem z niewinnych dzieciątek robi zagorzałych hazardzistów, sprowadzając je w ten sposób prostą drogą do piekła”. Możecie sobie wyobrazić, jak się z niego wszyscy nabijali; w połowie listopada wystawał już tylko po całych dniach przed swoim sklepem i obserwował z goryczą ruch po drugiej stronie rynku.

* * *

Jakoś w tym czasie pojawił się właśnie po raz pierwszy Pestka z siostrą.

Był zupełnie obcy w mieście; w każdym razie nikt nie przypominał sobie, żeby go kiedykolwiek widział. Powiedział, że mieszka na farmie milę za Indiańską Odnogą; poinformował nas także, że jego matka nie waży nawet czterdzieści kilogramów, a jego starszy brat za jedno pół dolara przyjdzie grać na skrzypkach na każdym weselu. Twierdził, że nazywa się po prostu i wyłącznie Pestka i że ma dwanaście lat. Ale jego siostra, Middy, mówiła, że ma osiem. Miał proste ciemnoblond

włosy i drobną ogorzałą buzię o niespokojnych zielonych oczach i mądrym, doświadczonym wyrazie. Był mały, cheralawy i nerwowy, ubrany zawsze tak samo: w czerwony sweter, granatowe drelichowe porcięta i wielkie buciorzy z dorosłego mężczyzny, którymi stukał klap-klap za każdym krokiem.

Padał deszcz, kiedy po raz pierwszy zjawiał się w Valhalli; włosy miał przyklejone do czaszki jak myckę, buty oblepione czerwoną gliną polnej drogi. Middy dreptała za nim, kiedy pewnym krokiem kowboja skierował się do saturatora, przy którym wycierałem szklanki.

— Mówią, że macie tutaj, ludzie, pełniutki dzban pieniędzy do oddania — powiedział, patrząc mi prosto w oczy. — Tośmy se umyślili, jak już zamierzacie je oddać, żebyście nam oddali, bardzo będziemy radzi. Pestka jestem. A to moja siostra, Middy ją wołają.

Middy sprawiała wrażenie bardzo, bardzo smutnego dziecka. Była znacznie wyższa i wyglądała na starszą od brata — istna gidia. Miała lnianoblond włosy, krótko obcięte, i żalną, bladą twarzyczkę. Chodziła w wypłowiałej bawełnianej sukieneczynie, która kończyła się wysoko nad kościstymi kolanami. Miała jakąś wadę uzębienia, którą starała się ukryć, sznurując usta jak starsza pani.

— Niestety — powiedziałem. — Będziesz musiał porozmawiać z panem Marshallem.

Nie omieszkał tego uczynić. Słyszałem, jak wujek mu tłumaczył, co musi zrobić, żeby wygrać gąsiorek. Słuchał uważnie, kiwając od czasu do czasu głową. Potem podszedł, stanął przed gąsiorkiem i gładząc go leciutko palcami, powiedział:

— Ale piękny, nie, Middy?

— To jak będzie, dadzą nam? — zapytała Middy.

— Nie. Żeby dali, trza najpierw zgadnąć, ile tych pieniędzy

jest w środku. A potem trza jeszcze kupić towaru za dwadzieścia pięć centów, żeby się liczyło to zgadywanie.

— Jej, toż my nie mamy jednego centa. Skąd my weźmiemy dwadzieścia pięć centów?

Pestka zmarszczył się, potarł brodę.

— To nie będzie takie trudne, już ty się nic nie frasuj. Gorsza bieda, że ja nie mogę iść na żadne ryzyko... Muszę wiedzieć dokumentnie, co i jak.

Po paru dniach zjawili się znowu. Pestka wdrapał się na wąski stołek przed saturatorem i odważnie poprosił o dwie szklanki wody, dla siebie i dla Middy. Wówczas właśnie udzielił informacji o swojej rodzinie.

— ...a potem to jest dziadzio stareńki, niby mamy tatulo. On to tak cudacznie gada po angielsku, bo jest z Kejdziunów. A mojego brata, tego, co to gra na skrzypkach, to już trzy razy zamknęły do kozy. To przez niego musieliśmy się zabierać z Luizjany. Porznęły się z drugim chłopakiem brzytwami o babę. Calutkie dziesięć lat była starsza od niego; włosy takie miała żółciuśkie.

Middy, ukryta za jego plecami, powiedziała niespokojnie:

— Pestka, godzi się to rozgadywać rodzinne sprawy przed ludźmi?

— Szsz, Middy — uciszył ją i Middy zaraz zamilkła. — Dobre z niej dziewczynisko — dorzucił, obracając się, żeby ją pogłaskać po głowie. — Nie można jej tylko za bardzo pobłazać. No, trza, żebyś sobie teraz poszła, złotko, obrazki oglądnij na książkach. Pestka wszystko musi dokumentnie wykalkulować. I przestań zgrzytać tymi zębiskami.

Owo kalkulowanie polegało na tym, że z uporem wpatrywał się w gąsiorek, jakby go chciał pożreć oczami. Siedział z brodą opartą na rękach i taksował go przez długi, długi czas, nie mrugnawszy powieką.

— Jeszcześmy mieszkali w Luizjanie — wyjaśnił — jak mi jedna kobieta powiedziała, że ja to dojrzę rzeczy, których inszy człowiek nie wypatrzy. Bo ja się w czepku urodziłem na głowie.

— Żeby nie wiem co, to nie wypatrzysz, ile pieniędzy jest w gąsiorku — odparłem. — Najlepiej weź pierwszą lepszą sumę, jaka ci wpadnie do głowy; może akurat trafisz.

— Iii — powiedział — diabelne ryzyko. Ja tam nie mogę iść na żadne zgadywanie. Myślałem, myślałem i wszystko se już dokumentnie umyśliłem. Nie ma rady, muszę wykalkulować akuratnie co do centa.

— Wykalkulować?

— Co wykalkulować? — zapytał Hamurabi, który się właśnie zjawił i usadowił przy kontuarze.

— Ten mały powiada, że musi wykalkulować co do centa, ile jest w gąsiorku — wyjaśniłem.

Hamurabi popatrzył na Pestkę z zainteresowaniem.

— A jak ty chcesz to wykalkulować, synu?

— No, obliczę wszystko dokumentnie — odrzekł Pestka rzeczowo.

Hamurabi się roześmiał.

— O, synu, to musiałbyś chyba przeświecić gąsiorek oczami. Tyle ci tylko powiem.

— Nie. W czepku trza się tylko urodzić na głowie. Tak mi jedna kobieta powiedziała w Luizjanie. Ona to była prawdziwa czarownica. Mówiła, że mnie kocha, ale matula nie chcieli mnie oddać, to na nią urok rzuciła; ani chybi dlatego matula nie ważą teraz nawet czterdziestu kilogramów.

— To cie-ka-we — skomentował Hamurabi i obrzucił Pestkę dziwnym spojrzeniem.

W tej chwili zbliżyła się Middy z numerem „Tajemnic Ekranu” w zaciśniętej dłoni. Pokazała bratu jedną z fotografii.

— Widziałeś kiedy taką cudną panią? — zapytała. — I po-

patrz, popatrz tylko, Pestka, jakie ona ma zęby. Żeby to jeden był koślawy!

— Już ty się nic nie frasuj — odpowiedział.

Kiedy wyszli, Hamurabi zamówił butelkę oranżady Nehi i pił powoli, zaciągając się papierosem.

— Jak ty myślisz, czy ten mały ma wszystkie klepki w głowie? — zapytał w końcu niepewnym głosem.

* * *

Chyba najprzyjemniejsze jest Boże Narodzenie w małych miasteczkach. Szybciej poddają się one nastrojowi, zmieniają i ożywają pod jego urokiem. Już w pierwszym tygodniu grudnia świąteczne wianki zdobią wszystkie drzwi, a wystawy przyciągają wzrok czerwonymi papierowymi dzwonekami i śniegiem z połyskujących płatków miki. Dzieci urządzają wyprawy do lasu i wracają, ciągnąc aromatyczne choinki, kobiety pieką keksy, odpieczętowują słoiki musu owocowego i otwierają butelki wina jeżynowego i muskatołowego. Na rynku stoi olbrzymia choinka, przybrana anielskimi włosami i kolorowymi żaróweczkami zapalonymi o zmroku. Późnym popołudniem słychać z kościoła prezbiteriańskiego chór przygotowujący kolędy na doroczne jasełka. Wszystkie pigwowce w mieście obsypane są kwieciem.

Jedyną osobą zupełnie nieczułą na tę ciepłą przedświąteczną atmosferę był Pestka, który z całą wytrwałością wprowadzał w czyn obwieszczony wszystkim zamiar obliczenia pieniędzy. Przychodził teraz codziennie do Valhalli i godzinami wpatrywał się ze skupieniem w gąsiorek ze zmarszczonym czołem, mamrocząc coś pod nosem. Z początku byliśmy wszyscy zafascynowani, ale po jakimś czasie stało się to męczące i nikt już na niego nie zwracał uwagi. Widocznie nie udało mu się zdobyć dwudziestu pięciu centów, bo nigdy nic nie kupił. Rozmawiał

natomiast niekiedy z Hamurabim, który serdecznie się nim interesował i od czasu do czasu fundował mu karmelka albo lukrecji za centa.

— Ciagle pan myśli, że on jest stuknięty? — zapytałem.

— Nie jestem pewny — odrzekł Hamurabi. — Ale powiem ci, jak będę wiedział. W każdym razie jest niedożywiony. Mam zamiar zabrać go któregoś dnia Pod Tęczę i postawić porcję pieczeni.

— On by na pewno wolał, żeby mu pan dał dwadzieścia pięć centów.

— Nie. Pieczeń bardziej mu się przyda. Zresztą najlepiej, żeby w ogóle nie zgadywał. Taki nerwowy dzieciak jak on, taki niezwykły, już ja tam wolę nie być odpowiedzialny, jak nie zgadnie. To by było okropne, nie uważasz?

Jeśli mam być szczery, to w tym czasie Pestka wydawał mi się po prostu śmieszny. Pan Marshall litował się nad nim, a dzieciaki próbowały się z nim droczyć, ale szybko dały za wygraną, gdyż nie reagował na zaczepki. Przesiadywał po całych dniach przed saturatorem, widoczny jak na dłoni, i tylko marszczył czoło, nie spuszczać oka z gąsiorka. I taki był tym pochłonięty, że czasami ogarniało człowieka niesamowite uczucie, że wszystko pięknie-ładnie, ale może on w ogóle nie żyje. Już, już miał człowiek w to uwierzyć, aż tu on się budził i mówił coś. Na przykład:

— Wie pan, a może tam będzie ta pięciocentówka z bawołem z tysiąc dziewięćset trzynastego roku. Słyszałem, mówił jeden, że za taką to i pięćdziesiąt dolarów dostanie.

Albo:

— Middy to będzie taką wielką panią, co przedstawia w kinie. One furę pieniędzy zarabiają, te panie. Wtedy to już do ust nie weźmiemy jarmuzu. Tylko Middy powiada, że nie może przedstawiać w kinie, póki nie będzie miała zębów jak się patrzy.

Middy nie zawsze pojawiała się z bratem, a kiedy nie przychodziła, Pestka nie mógł sobie znaleźć miejsca. Był onieśmielony i szybko wychodził.

Hamurabi dotrzymał przyrzeczenia i któregoś dnia zafundował mu porcję pieczeni Pod Tęczą.

— Ten pan Hamurabi to i owszem, przyjemny — powiedział potem Pestka. — Ale w głowie różne różności mu się lęgą. Zdaje mu się, że jakby żył w tym jakimś Egipcie, toby był królem i Bóg wie co.

Hamurabi zaś powiedział:

— Ten dzieciak ma rozczulającą wiarę. Przyjemnie na to popatrzeć, ale zaczyna mi już bokiem wyłazić ta cała historia. — Wskazał ręką gąsiorek. — To okrucieństwo robić komuś takie nadzieje. Diabło żałuję, że przykładałem do tego rękę.

W Valhalli najulubieńszą rozrywką były teraz rozważania, co by kto zrobił, gdyby wygrał gąsiorek. Do zabawiających się w ten sposób należeli Salomon Katz, Phoebe Jones, Carl Kuhnhardt, Puly Simmons, Addie Foxcroft, Marvin Finkle, Truda Edwards oraz Murzyn o nazwisku Erskine Washington. A oto niektóre odpowiedzi: bilet tam i z powrotem i wieczna ondulacja w Birmingham, używany fortepian, kucyk szetlandzki, złota bransoletka, komplet książek o „Małych wędrownikach”* i ubezpieczenie na życie.

Pewnego razu pan Marshall zapytał Pestkę, co on by sobie sprawił. „Tajemnica” — brzmiała odpowiedź i mimo nalegań nie udało się go skłonić, żeby ją zdradził. Ale można było przyjąć za pewnik, że bardzo mu na tym czymś zależy.

Prawdziwa zima przychodzi zazwyczaj do naszej części kraju nie wcześniej niż pod koniec stycznia, a przy tym jest

* „Mali wędrownicy” („The Rover Boys”) to cykl tanich seryjnych opowieści dla chłopców pisanych pod pseudonimem Arthur M. Winfield przez Edwarda Stratemeyera (1863—1930).

łagodna i krótkotrwała. Jednakże w roku, w którym to się działo, wyjątkowe mrozy nawiedziły nas na tydzień przed Bożym Narodzeniem. Niektórzy jeszcze o tym rozprawiają, takie to było straszne: woda w rurach zamarzała na kamień; ludzie spędzali całe dnie skuleni pod kołdrą, bo nie pomyśleli w porę, żeby zebrać dość drewna do kominka; niebo miało ten dziwny mętnoszary kolor, jaki przybiera przed burzą, a słońce było blade jak gasnący księżyc. Wiał ostry wiatr i suche jesienne liście opadały z drzew na lodowatą ziemię, a choinka na rynku została dwa razy ogołocona z gwiazdkowych ozdób. Kiedy się oddychało, powietrze z ust tworzyło obłoczki pary. Koło fabryki jedwabiu, gdzie mieszkają najbiedniejsi, rodziny siedziały po całych nocach przytulone w ciemnościach, opowiadając sobie różne historie, żeby nie myśleć o zimnie. Na wsi farmerzy okrywali delikatne rośliny jutowymi workami i modlili się; niektórzy wykorzystywali pogodę, żeby zarznąć świnie i dowieźć świeże kiełbasy do miasta. Pan R.C. Judkins, miejscowy pijak, zaopatrzył się w czerwone drelichowe ubranie i występował jako Święty Mikołaj w magazynie tanich towarów; pan R.C. Judkins jest ojcem licznej rodziny, więc wszyscy cieszyli się, że jest dość trzeźwy, żeby zarobić dolara. Odbyło się kilka zebrań kościelnych i na jednym z nich pan Marshall natknął się twarzą w twarz na Rufusa McPhersona; padły przy tej okazji gorzkie słowa, ale nie doszło jakoś do wymiany razów.

Wspominałem już, że Pestka mieszkał na farmie o milę za Indiańską Odnogą, a więc jakieś trzy mile od miasta — ładny kawałek drogi na piechotę. A jednak mimo zimna przychodził dzień w dzień do Valhalla i siedział aż do zamknięcia, które teraz, kiedy dni zrobiły się krótkie, przypadało dobrze po zmroku. Od czasu do czasu podjechał kawałek w stronę domu z majstrem z fabryki jedwabiu, ale nie trafiało się to często. Wyglądał na zmęczonego, a zaaferowanie wyżłobiło mu bruzdy

koło ust. Był zawsze zmarznięty i często trząsał się jak w febrze. Przypuszczam, że nie miał nawet ciepłej bielizny pod swoimi granatowymi porcięciami i czerwonym swetrem.

Pozostało wszystkiego trzy dni do Bożego Narodzenia, kiedy ni z tego, ni z owego oświadczył:

— No, to skończyłem. Znaczy się, wiem akuratnie, ile jest w tym dzbanie.

Stwierdził to z taką solenną powagą i pewnością, że trudno mu było nie uwierzyć.

— No, no, poczekaj z tym, synu — powiedział Hamurabi, który był akurat w Valhalli. — Nic takiego nie możesz wiedzieć. Źle, że sobie tym nabiłeś głowę. Koniecznie chcesz się sparzyć?

— Nie potrzebuje mi pan prawić kazań, panie Hamurabi. Wiem, co robię. Jedna kobieta w Luizjanie to mi powiedziała...

— Tak, tak, wiem. Ale powinieneś o tym zapomnieć. Gdybym był tobą, wróciłbym do domu i nie ruszał się na krok. I nie myślałbym więcej o tym cholernym gąsiorku.

— Mój brat gra dziś na weselisku w Cherokee City. Zarobi, powiedział, to mi da te dwadzieścia pięć centów — upierał się Pestka przy swoim. — Jutro popróbuję szczęścia.

* * *

Następnego dnia, kiedy przyszedł z Middy, z przejęciem wypatrywałem, czy przyniósł pieniądze. Ma się rozumieć, że przyniósł; zawinał je na wszelki wypadek w róg wielkiej czerwonej chustki. We dwoje, ramię w ramię, chodzili długo od jednej gabloty do drugiej, naradzając się szeptem, co za nie kupić. Zdecydowali się w końcu na buteleczkę wody gardeniowej wielkości naparstka; Middy zaraz ją otworzyła i wylała część zawartości na włosy.

— Ale cudnie pachnie... Najświętsza Panienko, jak żyję, nie

spotkałam takiego słodkiego zapachu. Daj no, Pestka, głowę, to i tobie pokropię.

Ale Pestka jej nie pozwolił.

Pan Marshall wyciągnął książkę buchalteryjną, w której prowadził zapiski, kiedy Pestka podszedł do saturatora i objawszy gąsiorek obiema rękami, jał go gładzić delikatnie. Oczy mu błyszczały, policzki płonęły z przejęcia. Kilka osób, które były akurat w sklepie, otoczyło go ciasnym kołem. Tylko Middy stała z tyłu, spokojnie drapiąc się po nodze i napawając zapachem wody gardeniowej. Hamurabiego nie było.

Pan Marshall polizał czubek ołówka i się uśmiechnął.

— No, synu, to co powiesz? — zapytał.

Pestka zaczerpnął głęboko powietrza.

— Siedemdziesiąt siedem dolarów i trzydzieści pięć centów — wypalił.

Wybierając taką nierówną sumę, okazał oryginalność, bo na ogół stawiano na jakąś okrągłą, prostą liczbę. Pan Marshall powtórzył uroczyście sumę, którą notował.

— Kiedy będę wiedział, czy wygrałem?

— W Wigilię — powiedział ktoś.

— Znaczy się jutro?

— Ano, jutro — odparł pan Marshall bez zdziwienia. — Przyjdź o czwartej.

* * *

Tej nocy termometr spadł jeszcze niżej, a przed świtem, jakby to było lato, przeleciała jedna z tych szybkich burz, tak że ranek wstał jasny i mroźny. Miasto wyglądało jak widokówka z Północy, całe roziskrzane bielutkimi soplami na drzewach, z kwiatami wymalowanymi przez mróz na wszystkich szybach. Pan R.C. Judkins wstał wcześniej i z bliżej niewyjaśnionych powodów dreptał po ulicach podzwaniając dzwonkiem, którego

używano do zwoływania domowników na posiłki; od czasu do czasu przystawał, żeby pociągnąć łyk z półlitrowej buteleczki whisky, którą nosił w tylnej kieszeni. Dzień był bezwietrzny, więc dym z kominów wspinał się leniwie prościuteńko w nieruchome, zamarzłe niebo. Już w południe chór w prezbiteriańskim kościele śpiewał w najlepsze, a dzieciaki, w poczwarnych maskach jak w Halloween, ganiały się po rynku, robiąc co niemiara harmidru.

Hamurabi wpadł do Valhalli koło południa, żeby nam pomóc w przygotowaniach. Przyniósł pękata torbę mandarynek, które wspólnymi siłami spałaszowaliśmy do ostatniej, wyrzucając skórki do opasłego pieca (gwiazdkowego prezentu pana Marshalla dla samego siebie), który właśnie zainstalowano pośrodku. Potem wujek zdjął gąsiorek z saturatora i pięknie go wypolerowawszy, ustawił na umieszczonym w widocznym miejscu stole. Od tej chwili nie mieliśmy już z wujka żadnego pożytku, przycupnął bowiem na krześle i resztę czasu spędził, zawiązując i rozwiązując na gąsiorku lichą zieloną wstążkę. Wobec tego musieliśmy resztę zrobić we dwóch z Hamurabim: zamietliśmy podłogę, pomyliśmy lustro, wytarliśmy z kurzu gabloty i rozwiesiliśmy od ściany do ściany czerwone i zielone chorągiewki z marszczonej bibułki. Kiedy skończyliśmy porządki, Valhalla wyglądała bardzo pięknie i elegancko. Ale Hamurabi zmierzył smutnym wzrokiem nasze dzieło i powiedział:

— No, chyba już pójdę.

— Co ty, nie zostajesz? — zapytał pan Marshall poruszony.

— Nie, o, nie — odrzekł Hamurabi, potrząsając wolno głową. — Nie chcę widzieć miny tego chłopca. Jest Boże Narodzenie i postanowiłem zabawić się za wszystkie czasy. Nie miałbym chwili spokoju z czymś takim na sumieniu. Do diabła, zasnąć bym nie mógł.

— Jak chcesz — powiedział pan Marshall. Wzruszył ramionami, ale widać było, że jest dotknięty do żywego. — Takie jest życie. Zresztą kto wie, może zgadnie.

Hamurabi westchnął posepnie.

— A ile wyliczył?

— Siedemdziesiąt siedem dolarów i trzydzieści pięć centów — odparłem.

— Czy to nie fantastyczne, powiedzcie sami? — rzekł Hamurabi. Opadł na krzesło koło pana Marshalla, założył nogę na nogę, zapalił papierosa. — Jak masz jeszcze te karmelki, to bym zjadł jednego — powiedział. — Coś mi gorzko w ustach.

* * *

Popołudnie schodziło powoli, a my trzej siedzieliśmy dokoła stołu, z nosami spuszczoneymi na kwintę. Żaden nie odezwał się słowem, a odkąd dzieci wyniosły się z rynku, jedynym dochodzącym dźwiękiem był głos zegara, który wybijał godziny na wieży sądu. Valhalla była zamknięta, ale coraz to jakiś przechodzień zaglądał przez szybę.

O trzeciej pan Marshall kazał mi otworzyć drzwi i w ciągu dwudziestu minut sklep był pełen ludzi. Wszyscy mieli na sobie odświeżone ubrania i wkrótce w powietrzu rozeszła się słodka woń, gdyż większość dziewcząt z fabryki jedwabiu perfumowała się waniliowym zapachem do ciast. Ludzie siedzieli na kontuarze, tłoczyli się przy ścianach, wciskali w każdy kąt; niedługo zatarasowali także chodnik, wylegli na jezdnię. Dokoła rynku stały konne wozy i fordy model T, którymi zjechali do miasta farmerzy z rodzinami. Pełno było śmiechu, krzyku i żartów, aż parę pań zaczęło się uskarżać na przekleństwa, rozpychanie się i nieokrzesane maniere co młodszych mężczyzn; ale jakoś żadna nie wyszła. Przy bocznym wejściu zebrała się grupa czarnych i ci bawili się najlepiej. Zresztą

każdy starał się bawić, korzystając z okazji. U nas jest tak spokojnie, nigdy nic się nie dzieje. A tu, można powiedzieć, zgromadziło się prawie całe hrabstwo Wachata, jeśli nie liczyć chorych i Rufusa McPhersona. Rozglądałem się także za Pestką, ale nigdzie go nie było widać.

Potem pan Marshall chrząknął i zaklaskał w dłonie, żeby zwrócić uwagę. Kiedy się uciszyło i atmosfera należycie nabrzmiała oczekiwaniem, podniósł głos jak licytator i zawołał:

— No, a teraz posłuchajcie wszyscy. W tej kopercie, którą widzicie — uniósł nad głową brunatną kopertę — w tej kopercie znajduje się rozwiązanie, którego w tej chwili nie zna jeszcze nikt oprócz Pana Boga i Pierwszego Oddziału Banku Narodowego, cha, cha, cha! A w tej książce — wolną ręką podniósł do góry księgę buchalteryjną — mam zapisane wszystkie rozwiązania, jakieście, ludzie, podawali. Czy ma kto jeszcze pytania?

Nic nie zakłóciło milczenia.

— No, to ładnie. A teraz może by się ktoś zgłosił na ochotnika...

Nikt się nie poruszył; mogło się zdawać, że paraliżujące onieśmienie ogarnęło tłum i nawet ci, którzy z natury lubili się popisywać, zawstydzeni przebierali tylko nogami. Aż nagle ciszę rozdarł głos, głos Pestki:

— Przepuście no, ludzie... Pani się posunie, pszepani.

Przepychał się do przodu, a za nim dreptała Middy i tyczkowaty mężczyzna o sennych oczach, najwidoczniej brat skrzypek. Pestka był ubrany jak zawsze, ale twarz miał wypucowaną do czerwoności, buty wypolerowane na glans, a włosy przylizane do skóry.

— W czas żeśmy przyszli? — zapytał, łapiąc dech.

Na co pan Marshall powiedział:

— Więc zgłaszasz się na ochotnika?

Pestka wyglądał na zaskoczonego, ale po chwili skwapliwie kiwnął głową.

— Nikt nie ma nic przeciwko temu młodemu człowiekowi?

Ciągle panowała martwa cisza. Pan Marshall wręczył kopertę Pestce, który ją przyjął ze spokojem. Z przygryzioną dolną wargą mierzył ją przez chwilę wzrokiem, zanim rozdarł brzeg.

W całym zgromadzeniu nie było najmniejszego szmeru, czasami tylko ktoś zakaszłał albo cichutko zadźwięczał dzwoneczek pana R.C. Judkinsa. Hamurabi, oparty o saturator, patrzył w sufit, Middy utkwiała nieruchome spojrzenie nad ramieniem brata, a kiedy ten zaczął rozdzierać kopertę, wydała krótkie, bolesne westchnienie.

Pestka wyciągnął skrawek różowego papieru i trzymając go, jakby to było coś bardzo kruche, wymamrotał pod nosem to, co przeczytał. Nagle twarz mu zbladła i w oczach stanęły łzy.

— Hejże, chłopcze, odezwij się! — zawołał ktoś.

Podszedł Hamurabi i jednym szarpnięciem wyrwał mu kartkę z ręki. Odchrząknął i już zaczynał czytać, gdy nagle wyraz twarzy zmienił mu się w przekomiczny sposób.

— Matko Boska! — powiedział.

— Głośniej! Głośniej! — domagał się gniewny chór.

— Banda oszustów! — ryknął pan R.C. Judkins, który miał już tego po dziurki w nosie. — Czuję szwindel! Śmierdzi, aż się kurzy!

Huragan krzyków i gwizdów rozdarł powietrze. Wówczas brat Pestki obrócił się na pięcie i potrząsnął pięścią.

— Zamkniecie gęby? Bo jak złapię jednego z drugim, jak stuknę łbami, to wam guzy powyskakują jak melony! Słyszycie?

— Obywatele — zawołał burmistrz Mawes — posłuchajcie, obywatele... Jest Wigilia i... Posłuchajcie...

Pan Marshall wskoczył na krzesło i jął klaskać w dłonie i tupać nogą, dopóki nie przywrócił względnego ładu. Może

warto tutaj dodać, że jak się później dowiedzieliśmy, Rufus McPherson zapłacił panu R.C. Judkinsowi, żeby wywołał awanturę. Ale mniejsza z tym. Dość, że kiedy burda została stłumiona w zarodku, w czyich rękach znajdowała się kartka, jak nie w moich? Nie pytajcie, jakim cudem. Niewiele myśląc, wykrzyknąłem:

— Siedemdziesiąt siedem dolarów i trzydzieści pięć centów.

I oczywiście w pierwszej chwili, wskutek podniecenia, nie połąpałem się, co to znaczy; była to dla mnie po prostu suma. Dopiero kiedy brat Pestki wydał swój przenikliwy okrzyk, zrozumiałem. Wieść o tym, kto wygrał, rozchodziła się szybko i szmer zdumienia rósł jak nawałnica.

A sam Pestka przedstawiał pożałowania godny widok: beczał, jakby był śmiertelnie ranny. Ale kiedy Hamurabi wziął go na barana, żeby każdy mógł na niego rzucić okiem, otarł oczy rękawami swetra i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Pan R.C. Judkins darł się: „Cygan! Cygan jeden!”, ale jego wrzaski utonęły w ogłuszającym grzmocie oklasków. Middy złapała mnie za rękę.

— Zęby — pisnęła. — Będę miała zęby.

— Zęby? — spytałem ogłupiały.

— No, takie sztuczne — powiada. — Bośmy umyślili, że zęby sobie wstawię za te pieniądze. Takie cudne, sztuczne białe zęby.

Ale mnie w tej chwili interesowało tylko jedno: skąd Pestka wiedział?

— Słuchaj, powiedz mi — zapytałem z desperacją — powiedz mi, skąd on, na miłość boską, wiedział, że w tym gąsiorku jest akurat siedemdziesiąt siedem dolarów i trzydzieści pięć centów?

Middy spojrzała na mnie takim wzrokiem.

— Bo to ci nie mówił? — powiedziała całkiem serio. — No, obliczył.

— Wiem, ale jak, jak obliczył?

— Co ty, nie wiesz nawet, jak się liczy?

— Ale czy to wszystko?

— No, nie — powiedziała po chwili namysłu. — Modlił się jeszcze trochę. — Zakręciła się, żeby uciec, ale odwróciła się i zawołała: — No, i w czepku się urodził na głowie.

Bliżej nie udało się nigdy nikomu rozwikłać tajemnicy. Kiedy potem ktoś pytał Pestkę: „Dobrze, ale jakim cudem?” — ten uśmiechał się dziwnie i zmieniał temat. W wiele lat później i on, i jego rodzina wynieśli się gdzieś na Florydę i słuch o nich zaginął.

Ale w naszym mieście legenda kwitnie do dziś dnia. Pan Marshall aż do swojej śmierci w zeszłym roku w kwietniu rokrocznie w wigilię Bożego Narodzenia musiał powtarzać historię Pestki w szkółce biblijnej baptystów. A Hamurabi wystukał kiedyś opowiadanie na maszynie i rozesłał do różnych czasopism. Ale nigdy go nie wydrukowano. Jeden redaktor odpisał: „Gdyby ta mała dziewczynka została naprawdę gwiazdą filmową, to Pańska historia może i byłaby coś warta”. Ale że do tego nie doszło, więc po co kłamać?

Miriam

Od kilku lat pani Miller zajmowała sama przyjemne mieszkanie (dwa pokoje z kuchenką) w przebudowanej kamienicy z brunatnego piaskowca w pobliżu East River. Pani Miller była wdową; pan H.T. Miller, umierając, pozostawił jej polisę na okrągłą sumkę. Zainteresowania miała wąskie, żadnych godnych uwagi znajomości i rzadko wypuszczała się dalej niż do sklepu na róg. Mieszkańcy kamienicy zdawali się jej nie zauważać: ubierała się praktycznie, stalowosiwe włosy nosiła krótko ostrzyżone i bezpretensjonalnie zaondulowane; nie używała kosmetyków, rysy miała pospolite i niezwracające uwagi. Obchodziła ostatnio sześćdziesiątą pierwszą rocznicę urodzin i rzadko czyniła coś pod wpływem chwili; utrzymywała w niepokalanej czystości swoje dwa pokoiki, wypalała czasami papierosa, gotowała sobie sama i hodowała kanarka.

Dopóki nie poznała Miriam. Tego wieczoru padał śnieg. Powycierawszy naczynia po kolacji, pani Miller, przeglądając popołudniową gazetę, spostrzegła reklamę filmu wyświetlanego w pobliskim kinie. Tytuł brzmiał zachęcająco, więc naciągnęła bobrowe futro, zasznurowała boty i wyszła, zostawiając w przedpokoju zapalone światło — nic nie wytrącało jej bardziej z równowagi niż ciemność.

Śnieg był drobniutki, padał miękko i nie czuło go się jeszcze na chodniku. Wiatr od rzeki zacinał tylko na skrzyżowaniach. Pani Miller szła szybko, z pochyloną głową, niepomna niczego, jak kret drążący ślepo korytarz. Po drodze wstąpiła do drogerii i kupiła torebkę pastylek miętowych.

W kinie była długa kolejka do kasy, pani Miller stanęła na końcu. Na wolne miejsca, obwieścił zmęczony, jękliwy głos, trzeba będzie poczekać do końca seansu. Pani Miller pogrzebała w torebce, żeby przygotować dokładną sumę potrzebną na bilet. Kolejka posuwała się powoli i rozglądając się, pani Miller spostrzegła nagle małą dziewczynkę stojącą pod skrajem markizy. W życiu nie widziała takich długich i niezwykłych włosów: dosłownie srebrnobiałe jak u albinosa, spływały gładkimi, luźnymi falami aż do pasa. Dziewczynka była chuda, o wątłej budowie. Rzucała się w oczy osobliwa, niewymuszona elegancja, z jaką stała, z kciukami w kieszeniach świetnie skrojonego aksamitnego płaszczyka koloru śliwkowego.

Panią Miller ogarnęło dziwne podniecenie. Dziewczynka spojrzała w jej stronę i uśmiechnęła się ciepło. Podeszła i powiedziała:

— Czy nie zrobiłaby mi pani grzeczności?

— Chętnie, jeśli tylko będę mogła — odrzekła pani Miller.

— Och, to całkiem proste. Chciałam tylko prosić, żeby mi pani kupiła bilet; nie wpuszczą mnie samej. Proszę, tutaj są pieniądze.

I wdzięcznym ruchem podała pani Miller trzy monety, dwie dziesiątki i jedną piątkę.

Do kina weszły razem. Bileterka skierowała je do poczekalni — za dwadzieścia minut kończył się seans.

— Czuję się jak prawdziwa przestępczyni — powiedziała wesoło pani Miller, siadając. — To jest niezgodne z przepisami, prawda? Ale mam nadzieję, że nie zrobiłam nic złego. Twoja mamusia wie, gdzie jesteś, kochanie? Wie, gdzie jesteś, prawda?

Dziewczynka nie odpowiedziała. Rozpięła płaszczyk i ułożyła go na kolanach. Pod spodem miała schludną granatową sukieneczkę, na szyi złoty łańcuszek; obracała go w palcach delikatnych jak u wirtuoza. Przyjrząwszy się uważnie, pani Miller doszła do przekonania, że tym, co dziewczynkę wyróżnia najbardziej, są nie włosy, lecz oczy — piwne, o pewnym spojrzeniu, w niczym nieprzypominającym dziecka, i tak wielkie, że dominowały nad drobną buzią.

Poczęstowała dziewczynkę pastylką miętową.

— Jak ci na imię, kochanie?

— Miriam — odpowiedziała takim tonem, jakby to była wiadomość osobliwym sposobem od dawna pani Miller znana.

— Czy to nie zabawne? Ja też mam na imię Miriam. A to wcale nie takie częste imię. Brakuje tylko, żebyś powiedziała, że się nazywasz Miller.

— Po prostu Miriam.

— Ale czy to nie zabawne?

— Umiarkowanie — powiedziała Miriam i obróciła pastylkę miętową w ustach.

Pani Miller oblała się rumieńcem. Poprawiła się niespokojnie na miejscu.

— Masz bogate słownictwo jak na dziewczynkę w twoim wieku.

— Czyżby?

— Tak, tak — potwierdziła pani Miller i czym prędzej zmieniła temat: — Lubisz kino?

— Sama nie wiem — odpowiedziała Miriam. — Jeszcze nigdy nie byłam.

Poczekalnia zaczęła się wypełniać kobietami; za ścianą dudniła łoskotem bomb kronika. Pani Miller wstała, ściskając pod pachą torebkę.

— Muszę iść, bo nie znajdę później miejsca — powiedziała. — Cieszę się, że cię poznałam.

Miriam ledwo ledwo skinęła głową.

* * *

Śnieg padał przez cały tydzień. Koła i buty sunęły bezgłośnie po ulicy, jak gdyby życie toczyło się ukradkiem za nieprzeniknioną białą firanką. Nie było nieba ani ziemi, tylko śnieg unoszony wiatrem, szroniący szyby w oknach, ziębiący mieszkania, okrywający miasto martwą ciszą. Całymi dniami trzeba było palić światło, tak że pani Miller straciła rachubę czasu; piątek nie różnił się od soboty, a w niedzielę wybrała się do sklepu na róg — oczywiście zamknięty.

Wieczorem usmażyła sobie jajecznicę i ugotowała talerz zupy pomidorowej. Potem, włożywszy flanelowy szlafrok i nasmarowała twarz kremem, usadowiła się w łóżku z butelką gorącej wody w nogach. Czytała „New York Timesa”, kiedy rozległ się dzwonek. Z początku myślała, że to ktoś się pomylił i zaraz odejdzie. Ale dzwonki powtarzały się raz po raz, w końcu zwały w nieprzerwane brzęczenie. Spojrzała na zegarek: po jedenastej. Wydawało się to niemożliwe, zwykle już o dziesiątej spała.

Wygramoliła się z łóżka i bosą przeszła przez salonik.

— Już otwieram, trochę cierpliwości. — Zatrask się zaciął; obracała go to w jedną, to w drugą stronę, a dzwonek nie milkł ani na chwilę. — Proszę przestać! — krzyknęła. Wreszcie zatrask puścił. Uchyliła drzwi. — Na miłość boską, co się stało?

— Dobry wieczór — powiedziała Miriam.

— O!... No, dobry wieczór — odparła pani Miller, wychodząc z wahaniem przed drzwi. — Jesteś tą małą dziewczynką.

— Myślałam, że pani nigdy nie otworzy. Ale nie odejmowałam palca od dzwonka, wiedziałam, że pani jest w domu. Nie cieszy się pani, że przyszedłam?

Pani Miller nie wiedziała, co powiedzieć. Miriam, stwierdziła, jest w tym samym płaszczyku koloru śliwkowego, ale na głowie ma dzisiaj берет do kompletu, a srebrne włosy zaplecione w dwa połyskliwe warkocze i przewiązane na końcu olbrzymimi białymi wstążkami.

— Czekam dostatecznie długo, mogłaby mnie pani wreszcie wpuścić — powiedziała.

— Jest strasznie późno.

Miriam zmierzyła ją niewzruszonym spojrzeniem.

— Cóż to ma za znaczenie? Niech pani mnie wpuści. Jest zimno, a ja mam na sobie jedwabną sukienkę.

Po czym delikatnym ruchem odsunęła panią Miller na bok i weszła do mieszkania. Rzuciła płaszczyk i берет na krzesło. Rzeczywiście miała na sobie jedwabną sukieneczkę. Z białego jedwabiu. Biały jedwab w lutym! Sukienka była pięknie plisowana, z długimi rękawami; szeleściła lekko, kiedy Miriam chodziła po pokoju.

— Podoba mi się u pani — powiedziała. — Ten dywan mi się podoba, niebieski to mój ulubiony kolor. — Dotknęła papierowej róży w wazonie na stoliczku do kawy. — Sztuczna — skomentowała bezbarwnym głosem. — To smutne. Prawda, że imitacje są smutne?

Usadowiła się na kanapie, rozpościerając starannie spódniczkę.

— Chcesz czegoś? — zapytała pani Miller.

— Niech pani siada — powiedziała Miriam. — Denerwuje mnie, jak ktoś stoi.

Pani Miller osunęła się na puf.

— Chcesz ode mnie czegoś? — powtórzyła.

— Wie pani, mam wrażenie, że pani się nie cieszy z mojej wizyty.

Po raz drugi pani Miller zabrakło odpowiedzi; uczyniła nieokreślony ruch dłonią. Miriam zachichotała i oparła się

o stos perkalowych poduszek. Pani Miller zauważyła, że nie jest taka blada, jaką ją zapamiętała, ma zaróżowione policzki.

— Jak się dowiedziałas, gdzie mieszkam?

Miriam zmarszczyła czoło.

— Też mi pytanie! Jak pani się nazywa? Jak ja się nazywam?

— Ale mojego nazwiska nie ma w książce telefonicznej.

— Och, pomówmy lepiej o czymś innym.

— Twoja matka musi być niepoczytalna. Pozwolić takiemu dziecku włóczyć się po nocy, i to w takim niedorzecznym stroju. Musi być niepoczytalna.

Miriam wstała i przeszła w kąt pokoju, gdzie na łańcuszku zwisała z sufitu klatka z ptakiem. Zajrzała pod zasłonkę.

— Kanarek — stwierdziła. — Nie będzie pani miała nic przeciwko temu, że go obudzę? Chciałabym posłuchać, jak śpiewa.

— Zostaw Toma — powiedziała pani Miller niespokojnie. — Ani się waż go budzić.

— Oczywiście — odrzekła Miriam. — Nie rozumiem wprawdzie, dlaczego bym nie mogła posłuchać, jak śpiewa. — I zaraz: — Nie ma pani czegoś do zjedzenia? Umieram z głodu. Może być tylko mleko i kanapka z dżemem.

— Posłuchaj — powiedziała pani Miller, podnosząc się z pufy — posłuchaj. Jeśli ci zrobię parę smacznych kanapek, czy będziesz grzeczna i wrócisz do domu? Jest już pewnie po północy.

— Śnieg pada — odparła Miriam z wyrzutem. — Jest zimno, ciemno.

— Nie powinnaś była w ogóle przychodzić — powiedziała pani Miller, starając się panować nad głosem. — A co do pogody, to nic na to nie poradzę. Jeśli chcesz coś dostać do jedzenia, to musisz obiecać, że pójdziesz grzecznie do domu.

Miriam musnęła warkoczem policzek. W jej oczach malował

się namysł, jakby rozważała propozycję. Odwróciła się twarzą do klatki.

— Dobrze — powiedziała. — Obiecuję.

* * *

Ile ona może mieć lat? Dziesięć? Jedenaście? Pani Miller otworzyła w kuchni słoik konfitur truskawkowych i ukroiła cztery kawałki chleba. Nalawszy szklanek mleka, zatrzymała się, żeby zapalić papierosa. I po co ona w ogóle przyszła? Zamarła, z zapalką w drżącej dłoni, aż płomień oparzył jej palce. W pokoju śpiewał kanarek: śpiewał tak, jak śpiewa tylko rano, o żadnej innej porze.

— Miriam! — zawołała. — Miriam! Mówiłam ci, żebyś nie ruszała Toma.

Nie było odpowiedzi. Zawołała jeszcze raz, ale nie usłyszała nic prócz śpiewu kanarka. Zaciągnęła się papierosem i stwierdziła, że pali korkowy ustnik. Och, naprawdę, nie powinna tracić głowy.

Zniosła tackę z jedzeniem i postawiła na stoliku do kawy. Uderzyło ją od razu, że klatka wciąż jest przykryta jak na noc. A Tom śpiewa! Wywarło to na niej piorunujące wrażenie. Poza tym w pokoju nie było nikogo. Przeszła przez garderobę do sypialni; na progu zaparło jej dech.

— Co ty tu robisz? — zapytała.

Miriam podniosła głowę; spojrzenie jej oczu nie było zwyczajne. Stała koło komódki, a przed nią otwarta szkatułka z biżuterią. Wpatrywała się w panią Miller, aż ich oczy się spotkały; wówczas się uśmiechnęła.

— Nie ma tu nic wartościowego — powiedziała. — Ale ta broszka mi się podoba. — W ręku trzymała broszkę z kameą. — Jest śliczna.

— Może... może lepiej, żebyś ją odłożyła — powiedziała pani Miller i stwierdziła nagle, że musi się o coś oprzeć.

Oparła się o futrynę drzwi; głowę miała nieznośnie ciężką, ucisk tłumił rytm serca. Światło zamigotało jej przed oczami, jakby chciało zgasnąć. — Proszę cię, dziecko. To prezent od mojego męża.

— Kiedy to takie śliczne. Chcę ją mieć — powiedziała Miriam. — Niech pani mi ją da.

Kiedy tak stała, usiłując znaleźć słowa, które by ocaliły broszkę, przyszło pani Miller na myśl, że nie ma żywej duszy, do której by się mogła zwrócić; jest sama — fakt, który znajdował się dotąd poza zasięgiem jej świadomości. Jego naga wymowa była paralizująca. Tu, w jej własnym pokoju, w tym mieście ogłuchłym pod śniegiem, dzieje się coś, czego nie może lekceważyć ani, widziała to teraz ze zdumiewającą wyrazistością, czemu nie potrafi stawić czoła.

* * *

Miriam jadła żarłocznie, a kiedy kanapki i mleko znikły, jej palce zaczęły błędzić pajęczym ruchem po talerzu, zbierając okruszki. Kamea połyskiwała na jej piersi, a wryty na niej jasny profil upodobił się jakimś cudem do rysów nosicielki broszki.

— Świetne było — westchnęła Miriam. — Teraz przydałoby się ciastko z migdałami albo wiśnia kandyzowana. Słodczyce to wspaniała rzecz, nie uważa pani?

Pani Miller, przycupnięta niepewnie na pufie, paliła papierosa. Siatka przekrzywiła jej się na głowie, luźne kosmyki opadały na twarz. Siedziała ze wzrokiem tępo wbitym w próżnię, z cętkowanymi czerwonymi plackami na policzkach; mogło się wydawać, że ktoś ją zdzielił w twarz.

— Nie ma pani cukierka? Albo ciastka?

Pani Miller strzepnęła popiół na dywan. Potrząsnęła lekko głową, starając się odzyskać ostrość widzenia.

— Obiecałaś, że pójdziesz, jak ci zrobię kanapki — powiedziała.

— Dobry Boże, obiecałam?

— Tak, obiecałaś. A ja jestem zmęczona i nie czuję się za dobrze.

— Pani się nie gniewa — powiedziała Miriam. — Żartowałam sobie.

Wzięła płaszczyk, przerzuciła go przez rękę, włożyła beret przed lustrem. Potem przysunęła się tuż do pani Miller i szepnęła:

— Niech mnie pani pocałuje na dobranoc.

— Proszę cię. Nie mam ochoty — powiedziała pani Miller. Miriam wzruszyła jednym ramieniem, uniosła jedną brew.

— Jak pani sobie życzy — powiedziała, po czym podeszła prosto do stoliczka, chwyciła wazon z papierowymi różami, zaniósła go w miejsce, gdzie twarda powierzchnia podłogi nie była niczym osłonięta, i grzotnęła nim o ziemię. Szkło rozprysnęło się na wszystkie strony, a ona nogą zgmiotła bukiet.

Potem ruszyła wolno do drzwi, ale nim je zamknęła, obróciła się jeszcze i popatrzyła na panią Miller z chytrze niewinnym zainteresowaniem.

* * *

Pani Miller spędziła następny dzień w łóżku, wstając tylko raz, żeby nakarmić kanarką i wypić filiżankę herbaty. Zmierzyła temperaturę, ale nie miała ani kreski; mimo to jej sny były gorączkowe, a nastrój paniki nie opuszczał jej nawet wówczas, gdy z szeroko otwartymi oczami leżała wpatrzona w sufit. Jak tajemniczy ulotny temat skomplikowanej symfonii przewijał się w jej rojeniach sen o scenerii kreślonej ostrymi konturami, jakby szkicowanej energiczną, utalentowaną dłonią. Mała dziewczynka w ślubnej sukni i wianku z liści sprowadza górską ścieżką szarą procesję owładniętą nienaturalną ciszą aż do

chwili, gdy idąca z tyłu kobieta rzuca pytanie: „Dokąd ona nas prowadzi?”. „Któż to wie” — odpowiada mężczyzna, który maszeruje z przodu. „Ale czy ona nie jest śliczna? — wyrywa się trzeci głos. — Taka świetlista i biała... jak śnieżny kwiat na szybie”.

We wtorek rano obudziła się w lepszym nastroju; ostre słońce przeświecające ukosem przez listewki żaluzji rozpraszało niezdrowe rojenia wyzwalającym blaskiem. Otworzyła okno i ujrzała łagodny, odtajały dzień; połać czystych świeżych chmur kędzierzawiła się na rozległym błękitnie przedwcześnie wiosennego nieba; nad linią dachów widać było rzekę i dymy z kominów holowników wijące się w ciepłym wietrze. Między zwałami zgarniętego śniegu brnęła ulicą wielka srebrzysta ciężarówka, napełniając powietrze pomrukiem motoru.

Doprowadziwszy do porządku mieszkanie, pani Miller poszła do sklepu na róg, zrealizowała czek, po czym udała się do Schraffta, gdzie zjadła śniadanie, gawędząc wesoło z kelnerką. Dzień był taki cudowny, zupełnie jak święto, grzechem byłoby wracać do domu. Wsiadła więc do autobusu i dojechała Lexington Avenue do Osiemdziesiątej Szóstej Ulicy; tutaj, zdecydowała, porobi trochę zakupów. Nie bardzo wiedziała, czego szuka, więc szła bez celu pochłonięta obserwowaniem przechodniów: śpieszący się, zaferowani, przyprawiali ją o nieprzyjemne poczucie obcości.

Czekała na rogu Trzeciej Alei, kiedy spostrzegła tego mężczyznę — stary człowiek o pałakowatych nogach, w wytartym brązowym palcie i czapce w kratkę, uginający się pod piramidą paczek. I nagle zdała sobie sprawę, że wymienia z nim uśmiech; ale nie było w tym uśmiechu nic przyjacielskiego, po prostu dwa chłodne błyski rozpoznania. Choć mogła przysiąc, że nie widziała go nigdy na oczy.

Stał koło filaru kolei naziemnej, a kiedy przeszła na drugą stronę ulicy, obrócił się i ruszył za nią. Trzymał się zupełnie

blisko — kącikiem oka widziała jego odbicie w witrynach mijanych sklepów. W połowie drogi do Drugiej Alei zatrzymała się i odwróciła do niego twarzą. Stał także i przekrzywił głowę, szczerząc zęby w uśmiechu. Ale co mogła powiedzieć? Zrobić? W biały dzień, tutaj, na Osiemdziesiątej Szóstej Ulicy? Wszystko byłoby bezsensowne. Zdegustowana własną bezradnością, przyspieszyła tylko kroku.

Druga Aleja jest przygnębiającą ulicą bud i ruder; jezdnię ma częściowo brukowaną kocimi łbami, częściowo asfaltową, częściowo betonową; niezmienny jest tu tylko nastrój opuszczenia. Pani Miller przeszła pięć przecznic, nie spotykając nikogo; przez cały czas słyszała niedaleko za sobą równy chrzęst kroków na śniegu. Wciąż miała w uszach ten dźwięk, kiedy zobaczyła kwiaciarnię. Weszła szybko do środka i przyglądała się przez szklane drzwi, jak mężczyzna przechodzi obok; patrzył prosto przed siebie i nie zwolnił kroku, ale uczynił jedną dziwną, wymowną rzecz: uchylił czapki.

* * *

— Sześć białych? — spytał kwaciarz.

— Tak — powiedziała. — Sześć białych róż.

Stamtąd poszła do sklepu z porcelaną i wybrała wazon, pewnie na miejsce tego, który stłukła Miriam, chociaż cena była wygórowana, a sam wazon, pomyślała, groteskowy i niegustowny. Tak się zaczęła seria niewytłumaczalnych zakupów, zupełnie jakby ktoś jej narzucił z góry ułożony plan, o którym nie ma pojęcia i nad którym nie panuje. Kupiła torebkę wiśni kandyzowanych i przepłaciła czterdzieści centów za sześć ciastek z migdałami w sklepie pod szyldem „Piekarnia Knickerbockera”.

W ciągu ostatniej godziny znowu się ochłodziło, zimowe chmury jak zapocone okulary zasnuły cieniem słońce, kontury wczesnego zmierzchu zabarwiły niebo, wiatr mieszał się z wil-

gotną mgłą, a głosy nielicznych dzieci, które dokazywały na zwałach śniegu zgarniętego z jezdni, brzmiały obco i nieprzyjaźnie. Wkrótce zawirował pierwszy płatek i nim pani Miller dotarła do domu, śnieg zgęstniał w lotną przesłonę, zasypując ślady stóp, gdy tylko się odcisnęły.

* * *

Białe róże stały ułożone dekoracyjnie w wazonie. Wiśnie kandyzowane szklily się na ceramicznym talerzu. Ciastka z migdałami, posypane pudrem, oczekiwały dłoni, która się po nie wyciągnie. Kanarek trzepotał się na drążku, dziobiąc kostkę prasowanego nasienia.

Punktualnie o piątej zadzwieczał dzwonek. Pani Miller wiedziała, kto dzwoni. Ogon szlafroka włókł się po podłodze, kiedy szła przez pokój.

— To ty?! — zawołała.

— Jasne — odparła Miriam; jej głos zabrzmiał ostro za drzwiami. — Niech pani otworzy.

— Idź sobie — powiedziała pani Miller.

— Niech pani się pośpieszy. Proszę pani, mam ciężką paczkę.

— Idź sobie — powiedziała pani Miller. Wróciła do saloniku, zapaliła papierosa i usiadłszy, słuchała spokojnie dzwonka; dzwoni, dzwoni, dzwoni. — Nie masz co czekać. Ani mi się śni cię wpuścić.

Wkrótce dzwonek umilkł. Pani Miller siedziała może dziesięć minut bez ruchu. Potem, nie słysząc żadnego szmeru, uznała, że Miriam dała za wygraną. Podsunęła się na palcach do drzwi, uchyliła je odrobinę; Miriam na pół leżała na tekturowym pudle, z piękną francuską lalką w ramionach.

— Myślałam już, że pani nigdy nie otworzy — powiedziała opryskliwie. — No, niech pani mi pomoże. To okropnie ciężkie.

Wniosła pudło, a Miriam lalkę, z którą się zaraz skuliła na kanapie, nie zadając sobie nawet trudu zdjęcia płaszczyka i beretu; przyglądała się bez zainteresowania, jak pani Miller upuszcza pudło i stoi drżąca, nie mogąc złapać tchu.

— Dziękuję pani — powiedziała.

W świetle dziennym wydawała się mizerna i zabiedzona, jej włosy nie były takie połyskliwe. Francuska lalka, którą ścisnęła w ramionach, miała na głowie elegancką pudrowaną perukę i szklane oczy idiotki szukające pociechy w źrenicach Miriam.

— Mam dla pani niespodziankę — podjęła. — Niech pani zajrzy do pudełka.

Ukląkwszy, pani Miller rozchyliła tekturowe klapy i wyjęła drugą lalkę, potem granatową sukieneczkę, którą Miriam miała na sobie owego pierwszego wieczoru w kinie; na widok reszty rzeczy powiedziała:

— Toż to same ubrania! Po co ci to wszystko?

— Będę tu mieszkała — oświadczyła Miriam i ukreśliła ogonek kandyzowanej wiśni. — To bardzo ładnie, że pani mi kupiła te wiśnie...

— Ależ to niemożliwe! Na miłość boską, idź sobie stąd! Idź sobie i zostaw mnie w spokoju!

— ...i róże, i ciastka z migdałami. Naprawdę wspaniałomyślnie. Wie pani, te wiśnie są wyśmienite. Ostatnio mieszkałam u takiego staruszka, który był okropnie biedny; nigdy nie mieliśmy nic dobrego do jedzenia. A tutaj będę chyba szczęśliwa. — Przerwała, żeby przytulić mocniej lalkę. — Może mi pani teraz pokaże, gdzie mogę schować swoje rzeczy.

Rysy pani Miller rozmazały się w brzydką czerwoną maskę; rozplakała się, ale był to nienaturalny szloch bez łez, jakby od tak dawna nie uroniwszy łzy, zapomniała płakać. Ostrożnie wycofała się tyłem, aż dosięgła drzwi.

Po omacku wydostała się na schody i zeszła piętro niżej.

Zaczęła się dobijać jak szalona do najbliższych drzwi. Przecisnęła się koło niskiego rudego mężczyzny, który jej otworzył.

— Hej, co u licha! — zaprotestował.

— Stało się coś, kochana? — spytała młoda kobieta, która się wynurzyła z kuchni, wycierając ręce.

Pani Miller zwróciła się do niej.

— Pani posłucha! — zawołała. — Wstydzę się swojego zachowania, ale... Jestem Miriam Miller, mieszkam piętro wyżej i... — Przycisnęła ręce do twarzy. — To takie absurdalne!

Kobieta podprowadziła ją do krzesła; mężczyzna nerwowo pobrząkiwał bilonem w kieszeni.

— No?

— Mieszkam piętro wyżej i przyszła do mnie taka dziewczynka. Ja jej się boję. Nie chce wyjść, nie mogę jej się pozbyć, a wiem... wiem, że zrobi coś strasznego. Ukradła mi już broszkę z kameą, ale wiem, że zrobi coś znacznie gorszego. Coś strasznego!

— To jakaś pani krewna? — zapytał mężczyzna.

Pani Miller potrząsnęła głową.

— Nie wiem kto to. Ma na imię Miriam, ale nic więcej o niej nie wiem.

— Niech się pani uspokoi, kochana — powiedziała kobieta, głaszcząc panią Miller po ręce. — Już Harry się nią zajmie, tą małą. Idź, mój drogi.

A pani Miller dorzuciła:

— Drzwi są otwarte. Mieszkanie pięć a.

Kiedy mężczyzna wyszedł, kobieta przyniosła ręcznik i obmyła pani Miller twarz.

— Bardzo pani uprzejma — powiedziała pani Miller. — Przykro mi, zachowuję się jak idiotka, ale ten wredny dzieciak...

— Rozumie się, kochana — pocieszała ją kobieta. — No, no, niech pani się uspokoi.

Pani Miller oparła głowę w zagłębieniu ramienia; ogarnął ją senny spokój. Kobieta przekręciła gałkę radia i ciszę wypełniły dźwięki pianina i ochryply głos; kobieta zręcznie wybijała nogą takt.

— Może powinniśmy pójść na górę — powiedziała.

— Nie chcę jej widzieć na oczy. Nie chcę się do niej zbliżać.

— No, no. Wie pani, co trzeba było zrobić? Wezwać policję.

W tej chwili usłyszały na schodach mężczyznę. Wkroczył do pokoju ze zmarszczonym czołem, drapiąc się po karku.

— Nie ma nikogo — powiedział szczerze zakłopotany. — Musiała dać nogę.

— Bałwan jesteś, Harry — oświadczyła kobieta. — Siedzimy tu cały czas, tobyśmy widzieli...

Urwała raptownie, bo mężczyzna zmierzył ją ostrym spojrzeniem.

— Patrzyłem wszędzie — powiedział — nikogo tam nie ma. Rozumiesz, nikogo!

— Niech pan powie — zapytała pani Miller, wstając — niech pan powie. Widział pan wielkie tekturowe pudło? I lalkę?

— Nie, proszę pani. Nie widziałem.

A kobieta, jakby wydawała wyrok, powiedziała:

— No, no, coś podobnego.

* * *

Pani Miller weszła cicho do mieszkania; zatrzymawszy się pośrodku pokoju, stała bez ruchu. Tak, właściwie nic się tutaj nie zmieniło: róże, ciastka, wiśnie, wszystko jest na miejscu. A jednak pokój wydawał się pusty, bardziej pusty, niż gdyby go ogołococono z mebli i wszystkich znanych przedmiotów, martwy i skamieniały jak pokój, w którym stoi trumna. Kanapa majaczyła obcością, straszyla pustką; wrażenie nie byłoby tak przejmujące i niesamowite, gdyby zobaczyła na niej skuloną

Miriam. Wbiła wzrok w miejsce, gdzie — jak pamiętała — postawiła pudło, i na moment puf zawirował jej przed oczami. Spojrzała w okno: oczywiście, rzeka jest, gdzie była, śnieg pada, jak padał. Ale czy można mieć pewność, że jest się świadkiem czegokolwiek? Miriam też siedziała jak żywa na kanapie i gdzie się podziała? Gdzie, gdzie?

Poruszając się jak we śnie, pani Miller opadła na fotel. Pokój tracił kształt, robiło się ciemno, coraz ciemniej, a nie mogła podnieść dłoni, żeby zapalić lampę.

Nagle, zamknawszy oczy, poczuła prąd unoszący ją w górę, jakby była nurkiem wynurzającym się z zielonej głębi. W godzinach grozy lub wielkiego cierpienia są momenty, kiedy umysł czeka jakby na objawienie, a kokon ciszy spowija myśl; przypomina to sen albo trans hipnotyczny i w tym uciszeniu człowiek sobie uświadamia siłę spokojnego rozumowania. Dobrze, a co jeśli nigdy naprawdę nie spotkała dziewczynki imieniem Miriam? Że jak idiotka uległa panice na ulicy? To w końcu, jak wszystko inne, nie ma żadnego znaczenia. Bo jedyną rzeczą, którą Miriam zabrała, była jej tożsamość; ale teraz już wie, że odnalazła na powrót osobę, która mieszkała w tym pokoju, gotowała sobie sama, doglądała kanarka, osobę, której mogła wierzyć i ufać — panią Miriam Miller.

Nasłuchując z zadowoleniem, zdała sobie nagle sprawę z podwójnego szmeru: szuflada komódki otwiera się, potem zamyka; zdawało się, że słyszy jeszcze ten dźwięk, kiedy już dawno się dopełnił — otwarcie, zamknięcie. Potem, stopniowo, miejsce chropowatego szmeru zajął szelest jedwabnej sukienki, delikatny i ulotny, ale przybliżający się, wzbierający na sile, aż ściany zawibrowały i sufit jął się zapadać pod falą dźwięków. Pani Miller, zeszywniała, otwarła oczy w tępym, nieruchomym spojrzeniu.

— Dobry wieczór — powiedziała Miriam.

Jastrząb bez głowy

Inni nie cierpią światła, nie chcą uznać Jego dróg, na ścieżkach Jego nie trwają. O zmroku do mieszkań się włamią, za dnia dom szczelnie zamknięty, światła oni nie cierpią. Mrokiem zda się dojrzany poranek, przywykli do grozy nocy.*

Księga Hioba, 24-13, 16, 17

* Cytat wg Biblii Tysiąclecia.

1

Vincent pogasił światła w galerii i wyszedł. Zamknawszy drzwi na klucz, wygładził rondo eleganckiej panamy i ruszył w stronę Trzeciej Alei; stuk-stuk stukał o bruk laską-parasolem. Zbierało się na deszcz i dzień był szary od samego świtu, a teraz, o piątej, pułap wzdętych chmur zupełnie zasnuł lipcowe słońce; było jednak gorąco i parno jak w tropikalnej mgle, a głosy rozlegające się w szarości ulicy, przytłumione i obce, brzmiały nutką irytacji. Vincent miał wrażenie, jakby się poruszał po dnie morza. Autobusy kursujące Pięćdziesiątą Siódmą Ulicą w poprzek Manhattanu wyglądały jak ryby o zielonych brzuchach, twarze wynurzały się i majaczyły jak maski tańczące na falach. Mierzył badawczo każdą przechodzącą osobę, wypatrując tej jednej, aż wreszcie ją dojrzał — dziewczynę w zielonym nieprzemakalnym płaszczu.

Stała na rogu Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy i Trzeciej Alei, po prostu stała, paląc papierosa i nie wiadomo dlaczego wydawało się, że nuci. Płaszcz był przezroczysty, miała pod nim ciemne spodnie i białą męską koszulę; była bez skarpetek, w plecionych meksykańskich sandałach. Włosy miała kasztanowate, ostrzyżone jak u chłopca. Kiedy spostrzegła Vincenta

przechodzącego przez ulicę, rzuciła papierosa i śpiesznie schroniła się w drzwiach sklepu z antykami.

Vincent zwolnił kroku. Wyjął chusteczkę i otarł czoło; gdyby mógł się stąd wyrwać, pojechać na Cape Cod i leżeć na piasku! Kupił popołudniową gazetę i bawił się otrzymaną resztą, aż jedna moneta potoczyła się do rynsztoku i znikła bezgłośnie w kratownicy ścieku.

— Panie, toż to głupie pięć centów — powiedział gazeciarz, bo Vincent, choć w rzeczywistości nieświadomy straty, wyglądał na przejętego.

Często tak było ostatnimi czasy: ciągle nieporozumienia z ludźmi, nigdy pewności, czy następny krok pchnie go w przód czy w tył, w górę czy w dół. Jak najniedbalej, z parasolem przewieszonym przez rękę, z oczami wbitymi w nagłówki gazety — ale o co tu, u diabła, chodzi? — ruszył dalej. Potrąciła go smagła kobieta z torbą na zakupy; błysnęła okiem i zamamrotała coś gwałtownie, gniewnie po włosku. Chropawy szlif jej głosu dochodził jak przez warstwę waty. Vincent, w miarę jak zbliżał się do sklepu z antykami, gdzie czekała dziewczyna w zielonym płaszczu, stąpał coraz wolniej, licząc: raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć — przy sześciu zatrzymał się przed wystawą.

Wystawa była zagracona jak najciemniejszy kąt na strychu — spiętrzona piramida niewiele wartych rupieci gromadzących się przez całe życie: puste ramy od obrazów, lawendowa peruka, przedpotopowe miseczki do golenia, lampy z paciorkami. Na sznurku zwisała z sufitu orientalna maska, podmuch elektrycznego wiatraka wirującego w sklepie obracał ją powoli dokoła i dokoła. Vincent powoli podnosił wzrok, aż w końcu spojrzał prosto na dziewczynę. Tkwiła nieruchomo w drzwiach, podwójne szkło zniekształcało faliście jej zieloną sylwetkę; nad głową załomotała kolej naziemna i wprawiała szybę w drżenie.

Postać dziewczyny rozlała się jak odbicie w srebrnym naczyniu, potem powoli znów stwardniała: obserwowała go.

Wsadził old golda między wargi, pogrzebał w poszukiwaniu zapalek, a nie znalazłszy, westchnął. Dziewczyna wyszła przed drzwi. Wyciągnęła w jego stronę taniutką zapalniczkę, a kiedy zadrgał płomyk, wbiła w Vincenta z niepokojącą przenikliwością blade, płytkie, kociozielone oczy. Był w nich wyraz zdziwienia, zaskoczenia, jakby będąc kiedyś świadkiem jakiegoś straszliwego zdarzenia, zastygły na zawsze szeroko otwarte. Niedbała grzywka zwisała strąkami na czoło i ta chłopięca fryzura podkreślała jeszcze dziecinny i trochę poetyczny zarys wąskiej buzi o zapadłych policzkach. Takie twarze widzi się czasami na portretach średniowiecznych młodzianków.

Wypuszczając nosem dym, Vincent zastanowił się, jak zawsze, gdzie ona mieszka i z czego żyje; ale dobrze wiedział, że nie warto nawet pytać. Rzucił papierosa, na którego od początku nie miał najmniejszej ochoty, po czym zakręcił się na pięcie i szybko ruszył przez ulicę pod torami kolei naziemnej; dochodził do przeciwległego chodnika, kiedy usłyszał zgrzyt hamulców i nagle, jakby ciśnienie wysadziło z uszu tamponiki waty, osaczył go wielkomiejski zgiełk.

— Jak Boga kocham, wzięłaby panienska ten tyłek w garść! — pomstował taksówkarz.

Ale dziewczyna nie raczyła nawet odwrócić głowy; w transie, niewzruszona jak lunatyczka, ze wzrokiem wbitym w Vincenta, który przyglądał się niemo, kroczyła dalej przez jezdnię. Czarny chłopak w fioletowym ubraniu ujął ją za łokieć.

— Źle się panienska czuje? — zapytał, prowadząc ją w stronę chodnika; ale nic nie odpowiedziała. — Diabło dziwnie panienska wygląda. Jak panienska chora, to ja... — Tu, idąc za jej wzrokiem, zwolnił uścisk. Rozgrywało się tu coś, co przeniknęło go do głębi. — Ach, to tak — mruknął i cofnął się, wyszczerzając żółte zęby.

Teraz Vincent ruszył raźniej i wystukując parasolem szyfr, mijał przecznicę za przecznicą. Koszulę miał przesiąkniętą świeżbiącym potem, dźwięki, takie teraz świdrujące, dudniły mu w głowie — klakson jakiegoś samochodu wyciął z fasonem: „O tobie śpiewam, kraju mój”, fontanna elektrycznych iskier sypnęła się niebiesko z łomocących szyn kolei naziemnej, pijacki śmiech czał przez cienkie drzwi cuchnących piwskim barów, w których kolorowe szafy grające produkowały amerykańskie szlagiery: „Na butach mam ostrogi i nimi brzdęk, i nimi brzdęk...”. Od czasu do czasu kątem oka dostrzegał jej postać, raz nawet zobaczył ją całą, odbitą w witrynie Pałacu Morskich Przysmaków Paula, za którą szkarłatne homary wygrzewały się na plaży z płatków lodowych. Szła tuż za nim, z rękami wsuniętymi w kieszenie nieprzemakalnego płaszcza. Zamigotały natrętnie światła na markizie kina i Vincent przypomniał sobie, jak bardzo lubiła filmy, szczególnie mrozące krew w żyłach kryminalne, szpiegowskie, westerny.

Skreślił w boczną uliczkę prowadzącą w stronę East River; było tu spokojnie, cicho jak w niedzielę: zabłąkany marynarz zajadał lody w czekoladzie, niezmordowane bliźniaczki skakały przez skakankę, aksamitna starsza pani z włosami bielutkimi jak gardenie rozsunęła koronkowe firanki i spojrzała beznamiętnie w mroczne, przeddeszczowe niebo — lipcowy krajobraz wielkowiejski. A za nim to uporczywe, miękkie kłapanie sandałów. Przy Drugiej Alei zapaliły się czerwone światła; na rogu brodaty karzeł, Ruby Kukurydziarz, zawodził:

— Prażona kukuryyydza, gorąca, z masłem. Dużą porcyjkę, co? — Vincent potrząsnął głową i karzeł zrobił zawiedzioną minę, ale zaraz: — Widzi pan? — wykrzyknął radośnie i wsunął szufelkę do oświetlonego świecą zbiorniczka, w którym pękające ziarenka tańczyły jak oszalałe ćmy. — Widzi pan, pani wie, jakie to pożywne!

Kukurydzę, którą kupiła za dziesięć centów, dostała w zielonej torebce, jakby specjalnie dobranej do koloru jej płaszcza, do koloru jej oczu.

„To jest moja dzielnica, moja ulica, brama domu, w którym mieszkam”. Musiał to sobie powtarzać, gdyż poczucie rzeczywistości zastępowały mu realia czasu i miejsca. Patrzył z pobłażliwością na skwaszone, wypłowiałe twarze kobiet, na żujących fajki mężczyzn przycupniętych na schodkach z brunatnego piaskowca. Na rogu tłoczyło się dokoła wózka z kwiatami dziewięć bladych dziewczynek, piszcząc o stokrotki, które chciały wpiąć we włosy; ale sprzedawca krzyknął: „Sio!”, i dziewczynki, jak paciorki pękniętej bransoletki, rozprysły się po jezdni; co gorętsze podskakiwały z uciechy, mniej śmiałe, ciche i wyobcowane, wznosiły w niebo buzie zwiędłe od upału: czyż ten deszcz nigdy nie spadnie?

Vincent, który mieszkał w suterenie, zszedł po schodkach, wyjął z kieszeni klucze; znalazłszy się w korytarzu, przystanął i wyjrzał przez judasza w drzwiach. Dziewczyna czekała na chodniku nad nim; oparła się o kamienną balustradę i ręce opadły jej bezwładnie — kukurydza jak płatki śniegu posypała się pod nogi. Umorusany malec podkraść się chyłkiem, żeby połasuchować jak wiewiórka.

2

Dla Vincenta to było święto. Przez całe rano w galerii nie zjawiała się ani jedna osoba, w czym — biorąc pod uwagę arktyczną pogodę — nie było nic nadzwyczajnego. Siedział za biurkiem i zajadając mandarynki, bawił się znakomicie opowiadaniem Thurbera, które odkrył w starym „New Yorkerze”. Śmiał się tak głośno, że nie słyszał, kiedy dziewczyna weszła,

nie widział, jak zbliża się po ciemnym dywanie, nie zauważył jej w ogóle do chwili, kiedy zadzwonił telefon.

— Halo, Galeria Garlanda. — Była to dziwaczna postać, nie ma co, z tą nieprzyzwoitą fryzurą, z tymi oczami pozbawionymi głębi. — A, Paul. *Comme ci, comme ça*. A ty? — I ubrana jak idiotka: bez palta, w jednej flanelowej koszuli, w granatowych spodniach i, nie, to już zakrawało na kpiny, w krótkich różowych skarpetkach i plecionych meksykańskich sandałach. — Balet? Kto tańczy? A, ta! — Pod pachą ścisnęła płaski pakunek owinięty w stronice gazety z powieścią obrazkową. — Poczekaj, Paul. Zadzwonię za chwilę. Akurat ktoś przyszedł...

I odkładając słuchawkę, z zawodowym uśmiechem na twarzy, wstał z miejsca.

— Słucham panią?

Jej wargi, spierzchnięte w szklistą skorupkę, zadrżały, moczując się z nieufornowanymi słowami, zupełnie jakby cierpiała na wadę wymowy, a oczy obróciły się w orbitach jak oblużowane kulki w łożysku. Był to przejaw owej paralizującej nieśmiałości, jaką zwykle kojarzymy z dziećmi.

— Przyniosłam obraz — powiedziała. — Państwo kupują obrazy?

Uśmiech zastygł na twarzy Vincenta.

— Wystawiamy.

— Sama go namalowałam — powiedziała. Głos miała chrapliwy, zlewający dźwięki, niewątpliwie południowy. — Ten obraz, sama go namalowałam... Jedna pani mi powiedziała, że w tych galeriach kupują obrazy.

— Tak, oczywiście. Ale prawdę mówiąc — Vincent uczynił bezradny gest — prawdę mówiąc, to ja nie jestem upoważniony, a pan Garland, bo rozumie pani, on jest właścicielem, pan Garland właśnie wyjechał.

Nieruchoma pośrodku eleganckiego dywanu, z ciałem prze-

chylonym w bok pod ciężarem pakunku, wyglądała jak smutna gałgankowa lalka.

— Może — podjął — może Henry Krueger. To na tej samej ulicy pod sześćdziesiątym piątym...

Ale ona nie słuchała.

— Sama go namalowałam — perswadowała miękko. — We wtorki i czwartki mieliśmy lekcje malarstwa, przez cały rok go malowałam. Tamci wszyscy knocili i pan Destronelli... — Nagle, jakby uświadamiając sobie, że popełnia nietakt, urwała i zagryzła wargę. — Pan go nie zna, co?

— Kogo? — spytał Vincent, zaskoczony.

— Pana Destronellego.

Potrząsnął głową, zastanawiając się, dlaczego ekscentryczność wprawia go zawsze w takie osobliwe zmieszanie. Tego samego uczucia doznawał jako dziecko na widok karnawałowych przebierańców. Nie mógłby również zaprzeczyć, że ci, których kochał, mieli zawsze jakiegoś maleńkiego bzika, jakąś pękniętą strunę. Dziwne tylko, że ta cecha, która budziła jego zainteresowanie, ta sama cecha z reguły je unicestwiała, kładąc kres sympatiom.

— Wprawdzie nie jestem upoważniony do podejmowania decyzji — powtórzył, zgarniając skórki od mandarynek do kosza — ale jeśli pani sobie życzy, to chętnie obejrzę pani obraz.

Chwila wahania, po czym klękawszy na podłodze, jęła zrywać opakowanie. Stronice z powieścią obrazkową, zauważył Vincent, pochodziły z nowoorleańskiego „Times-Picayune”.

— Pani z Południa, prawda?

— Nie — odparła.

Uśmiechnął się, ale po chwili zastanowienia doszedł do wniosku, że nietaktem byłoby wytykać tak przejrzyste kłamstwo. Bo czy możliwe, by nie zrozumiała? I nagle, ni z tego, ni z owego, poczuł niepokonaną chęć, żeby dotknąć jej głowy,

przesunąć palcami po chłopięcych włosach. Wsadził ręce w kieszenie i popatrzył w okno. Lśniło lutowym szronem, w którym jakiś przechodzień wyskrobał nieprzyzwoite słowo.

— Proszę — powiedziała.

Na zniszczonym, operetkowym kufrze, niedbale wyciągnięta, spoczywała bezgłowa postać w habicie mnicha; w jednej ręce trzymała żarzącą się niebieską świecę, w drugiej miniaturową złotą klatkę, u stóp zaś miała swoją odciętą krwawiącą głowę: była to głowa dziewczyny, tyle że z długimi, bardzo długimi włosami, których rozsypane pukle, jak motki przędzy, szarpał łapkami figlarny, bielutki jak śnieg kotek o kryształowych, gorejących ślepkach. Tło, jak niebo o zachodzie, drapowały skrzydła bezgłowego jastrzębia o szkarłatnych piersiach i miedzianych szponach. Było to surowe malowidło o twardych, czystych barwach, zestawionych z męską brutalnością, i chociaż nie odznaczało się doskonałością techniczną, miało w sobie tę siłę, jaka często cechuje dzieła głęboko przeżyte, mimo że operują prymitywnymi środkami. Vincent zareagował tak, jak reagował czasami, kiedy jakaś fraza muzyczna wyzwalała w nim nutę wewnętrznego poznania albo zestawienie słów w wierszu objawiało jakąś tajemnicę dotyczącą jego osoby: poczuł na plecach dreszcz satysfakcji.

— Pan Garland jest na Florydzie — rzekł ostrożnie — ale myślę, że powinien zobaczyć ten obraz. Nie mogłaby go pani zostawić, powiedzmy na tydzień?

— Miałam pierścionek, sprzedałam — powiedziała, a Vincent odniósł wrażenie, że mówi jak w transie. — Był bardzo ładny, ślubny prezent, nie mój, z wygrawerowanym napisem. Miałam także palto. — Kręciła w palcach guzik od koszuli; pociągnęła go, tak że odskoczył i poturlał się po dywanie jak perłowe oczko. — Nie chcę dużo, pięćdziesiąt dolarów. Czy to nieuczciwa cena?

— Za dużo — odparł Vincent tonem ostrzejszym, niż zamierzał.

Chciał kupić ten obraz, nie dla galerii, dla siebie. Są dzieła sztuki, które budzą ciekawość bardziej ze względu na osobę twórcy aniżeli na sam wytwór, zwykle dlatego, że w dziele takim odkrywamy coś, co do tego momentu wydawało nam się naszym prywatnym niewyraźnym spostrzeżeniem, i zachodzimy w głowę: któż to zna mnie tak dobrze i skąd?

— Mogę dać trzydzieści.

Przez chwilę patrzyła na niego z niemądrze rozchyłoną buzią, po czym, łapiąc ze świstem oddech, wyciągnęła otwartą dłoń. Ten bezpośredni gest, zbyt niewinny, żeby się obrażać, zaskoczył go nieprzygotowanego. Z pewnym zakłopotaniem powiedział:

— Okropnie mi przykro, ale obawiam się, że będę musiał wysłać pani czek. Może pani... — Przerwał mu telefon i Vincent podszedł go odebrać, a ona kroczyła za nim, z wyciągniętą ręką i twarzą wykrzywioną spazmatycznym grymasem. — Ach, Paul. Nie mógłbym zadzwonić za chwilę? Tak, rozumiem. Poczekaj sekundę. — Przytrzymując słuchawkę ramieniem, podsunął jej bloczek i ołówek. — Niech pani napisze nazwisko i adres.

Ale ona potrząsnęła głową; wyraz trwożnej paniki pogłębił się na jej twarzy.

— Czek — powtórzył Vincent. — Przyślę czek pocztą. Proszę napisać nazwisko i adres.

Uśmiechnął się zachęcająco, kiedy w końcu zaczęła pisać.

— Przepraszam, Paul... Jubel? U kogo? U tej małej? Wcale mnie nie zapraszała... Hej! — krzyknął, bo dziewczyna oddalała się w kierunku drzwi. — Hej, proszę pani!

Fala chłodnego powietrza wtargnęła do galerii i drzwi zatrzasnęły się ze szklanym brzękiem.

— Halohalohalo.

Vincent nie odpowiadał; stał, deliberując nad dziwną informacją wykaligrafowaną na bloczku: „D.J. — YWCA”.

— Halohalohalo.

Wisiał teraz u niego nad kominkiem, ten jej obraz, i kiedy w nocy Vincent nie mógł spać, nalewał sobie kieliszek whisky i przemawiał do jastrzębia bez głowy, opowiadał mu o swoim życiu. Jest, mówił, poetą, który nie napisał ani jednego wiersza, malarzem, który nic nie namalował, kochankiem, który nikogo nie kochał (nigdy), jednym słowem, kimś nieświadomym, czego chce, kimś zupełnie bez głowy. O, nie dlatego, żeby nie próbował — początki zawsze były dobre, koniec zawsze żałosny. Vincent, rasy białej, płci męskiej, wiek trzydzieści sześć lat, wykształcenie uniwersyteckie; człowiek zagubiony na morzu, pięćdziesiąt mil od brzegu; ofiara urodzona, żeby zginać z ręki własnej lub cudzej; aktor bez zajęcia. Wszystko to było, wszystko na tym obrazie, każda część oddzielnie i każda wykoślawiona. I kimże jest ta dziewczyna, że tyle wie?

Poszukiwania, jakie robił, nie doprowadziły donikąd, nie znał jej żaden handlarz obrazów, a dowiadywać się o niejaka D. J., zamieszkałą prawdopodobnie w YWCA, wydawało mu się absurdalne. Zresztą trochę liczył, że się zjawi sama, ale minął luty, potem marzec. Pewnego wieczoru, idąc przez skwer, na który wychodzą okna hotelu Plaza, miał dziwną przygodę. Woźnice zabytkowych dwukółek, które mają tutaj postój, zapalali akurat latarnie w swoich pojazdach i smugi światła wydobywały z gęstniejącego cienia drżące listki. I wówczas jedna z dwukółek ruszyła i przetoczyła się w półmroku koło niego. W środku siedziała tylko jedna osoba, pasażerka, której twarzy nie dostrzegł, ale zauważył, że była to dziewczyna o krótkich kasztanowatych włosach. Usiadł więc na ławce i zabijał czas rozmową z jakimś żołnierzem, z małym czarnym pederastą, który recytował wiersze, i z panem, który wyszedł

wyprowadzić jamnika; czekał wraz z tymi nocnymi zjawami, ale pojazd z tą, na którą czekał, nie zjawił się więcej. Drugi raz widział ją (albo mu się wydawało, że widzi), kiedy schodziła do metra, i tym razem zgubił ją w wykładanych płytkami tunelach, pełnych strzałek i automatów z gumą do żucia. Miał uczucie, że jej rysy zostały wyryte w jego mózgu na zawsze: nie mógł się ich pozbyć, tak jak umarły nie może oswobodzić źrenic od legendarnego obrazu, który widział w chwili śmierci.

Gdzieś w połowie kwietnia wybrał się na weekend do Connecticut, do swojej zamężnej siostry; podminowany, kosztowny, nie przypominał, jak mu wytknęła, w niczym samego siebie.

— Vinny, co ci jest, mój drogi... Jeśli potrzebujesz pieniędzy...

— Zamknij się! — powiedział.

— Pewnie zakochany — dociął szwagier. — No, Vinny, przyznaj się: jak ona wygląda?

Tak go to rozgniewało, że najbliższym pociągiem wrócił do Nowego Jorku. Z kabiny na stacji Grand Central zadzwonił, żeby przeprosić, ale w głowie szumiało mu od chorobliwego zdenerwowania i odwiesił słuchawkę, zanim telefonistka zdążyła go połączyć. Musiał się napić. W ciągu godziny, którą spędził w barze hotelu Commodore, wypił cztery daiquiri* i zrobiło mu się żal samego siebie — była sobota, dziewiąta wieczór, a on nie ma co ze sobą zrobić, chyba żeby chciał się gdzieś wybrać sam. W parku za biblioteką publiczną snuły się pod drzewami szepczące pary, fontanienki z wodą do picia szemrały cicho jak ich głosy, ale Vincenta, który lekko zawiany błąkał się bez celu, biały kwietniowy wieczór cieszył nie bardziej, niż gdyby był stary jak ci dziadkowie przesiadujący na ławkach, odchrząkujący flegmę.

* Daiquiri — koktajl z rumu i soku cytrynowego z cukrem i lodem.

Na wsi wiosna jest czasem drobniutkich przemian dokonujących się w milczeniu: w ogrodach hiacynty wypuszczają kielki, wierzby zapalają się nagle mroźnym płomykiem zieleni, przeciągają się godziny długo wzbierającego zmierzchu, deszczyk otwiera o północy kwiecie bzu. A w mieście rozbrzmiewają fanfary kataryniarzy, fetory nierozcieńczone przez zimowy wiatr zgęszczają powietrze, podnoszą się dawno nieotwierane okna i rozmowy wydobywające się z nich mieszają z dzwonkiem domokrażcy. Zaczyna się szal baloników i wrotek, pojawiają się podwórkowi barytoni i przeróżni naciągacze w rodzaju tego, który skakał właśnie jak pajac na sznurku. Był stary, miał lunetę i napis: „25 centów! Zobacz księżyc! Zobacz gwiazdy! Tylko 25 centów!”. Ani jednej gwiazdy nie można było dostrzec w blasku metropolii, ale Vincent wypatrzył księżyc, białą ocienioną kulę, a dalej lunę elektrycznych żaróweczek: „Cztery Róże, Bing Cros...”. I oto płynął w karmelowym oparze, nurzał się w oceanie żółtych jak ser twarzy, neonów i mroku.

Poprzez ryk grającej szafy gruchnął strzał, tekturowa kaczką klapnęła plackiem, ktoś pisnął: „lil-juu!”. Był w pasażu rozrywkowym na Broadwayu, w ciżbie poszukiwaczy sobotniej rozrywki. Obejrzał za pensa krótkometrażówkę (*Co widział czyścibut*), kupił horoskop od woskowej wróżki łypiącej zza szyby. „Naturę masz czułą...” — tyle tylko przeczytał, bo zwabiło go zbiegowisko koło grającej szafy. Gromada dzieci, klaszczących w takt jazzowej melodii, otaczała kręgiem dwie tancerki. Obie były czarne, obie młode; kołysały się ruchem powolnym i swobodnym jak para kochanków, chygotały się i tupały nogami, przewracały dziko i poważnie oczami, a ich mięśnie prężyły się rytmicznie, zestrojone z pulsowaniem klarnetu i narastającą tyradą bębna. Vincent przebiegł wzrokiem widzów, a kiedy ją spostrzegł, przeniknął go dreszcz, gdyż na jej twarzy odbijało się coś z dzikości tego tańca. Stała obok

wysokiego, brzydkiego chłopaka i mogło się wydawać, że jest pogrążona we śnie, a tańczące Murzynki tylko jej się śnią. Trąbka-bęben-pianino, spazmujące do wtóru ochryplej czarnej śpiewaczce, wznosiły się do jękliwego finału.

Umilkły oklaski, tancerki się oddaliły. Ona została sama. Wbrew instynktowi, który naglił, żeby uciekać, zanim go zauważy, Vincent zbliżył się i lekko, jak gdyby budził kogoś śpiącego, ujął ją za ramię.

— Halo — powiedział, a jego głos zabrzmiał zbyt głośno.

Odwróciła się, wpatrzona w niego, ale jej oczy były puste. Ich martwy wyraz ustąpił miejsca najpierw strachowi, potem zdziwieniu. Zrobiła krok do tyłu, ale chwycił ją za przegub; w tej samej chwili ryknęła na nowo szafa grająca.

— Nie pamięta mnie pani? — nalegał. — Galeria? Pani obraz?

Zamrugnęła, opuściła sennie powieki na te swoje dziwne oczy i Vincent poczuł, jak stopniowo rozluźniają się mięśnie jej ramienia. Była szczuplejsza, niż pamiętał, i ładniejsza. Jej włosy zdążyły już trochę odrosnąć; zwisały w niedbałym nieładzie, w jakimś niesfornym loku kołysała się smętnie mała srebrna wstążeczka. Chciał zapytać: „Napije się pani ze mną?”, ale oparła się o niego, składając mu głowę na piersi jak dziecko, więc powiedział:

— Pojedziemy do mnie?

Podniosła twarz; odpowiedź, kiedy wreszcie przyszła, była ledwo szeptem, ledwo tchnieniem.

— Proszę — powiedziała.

* * *

Vincent rozebrał się, pochował ubranie metodycznie do szafy i z zadowoleniem obejrzał swoją nagą postać w lustrzanych drzwiach. Nie był taki przystojny, za jakiego się uważał,

niemniej jednak przystojny. Średniego wzrostu, ale bardzo proporcjonalny, miał ciemnoblond włosy i subtelną twarz o lekko zadartym nosie i delikatnej rumianej cerze. Ciszę przerwał odgłos lejącej się wody — dziewczyna robiła sobie kąpiel w łazience. Vincent włożył luźną flanelową piżamę, zapalił papierosa.

— Wszystko w porządku? — zapytał.

Woda przestała się lać, nastąpiła długa cisza, wreszcie:

— Tak, dziękuję.

Już w taksówce, kiedy jechali do domu, Vincent próbował nawiązać rozmowę, ale ona nie odezwała się słowem; nie odezwała się również, kiedy weszli do mieszkania, czym poczuł się już urażony, był bowiem po kobiecemu dumny ze swojego lokum i oczekiwał jakiejś pochlebnej uwagi. Mieszkanie składało się z nadzwyczaj wysokiego pokoju, łazienki, małej kuchni oraz ogródka od podwórza. Urządzając je, Vincent połączył elementy nowoczesne z tradycyjnymi i osiągnął znakomite rezultaty. Ściany zdobiły trzy reprodukcje Toulouse-Lautreca, oprawiony afisz cyrkowy, obraz D.J. oraz fotografie Rilkego, Niżyńskiego i Eleonory Duse. Na biurku paliły się w kandelabrze wysmukłe niebieskie świece i pokój falował w ich delirycznym świetle. Oszklone drzwi prowadziły do ogródka, z którego Vincent wiele nie korzystał, gdyż niemożliwością było utrzymać go w porządku. W blasku księżyca sterczało tu kilka martwych łodyg po tulipanach, karłowate boże drzewko oraz nadwerężony przez niepogody stary fotel pozostawiony przez poprzedniego lokatora. Przeszedł się tam i z powrotem po zimnych kamiennych płytach; miał nadzieję, że w chłodzie wieczornym minie mu uczucie oszołomienia po alkoholu, który wypił. Gdzieś niedaleko ktoś bębnił bez pojęcia na pianinie, na piętrze ukazała się w oknie dziecięca buzia. Vincent obracał w palcach źdźbło trawy, kiedy na ogródek padł długi cień. Stała w drzwiach.

— Proszę nie wychodzić — powiedział, ruszając w jej stronę. — Zrobiło się trochę chłodno.

Było w niej teraz coś wzruszająco miękkiego, wydawała się jakby mniej kanciasta, mniej odbiegająca od przeciętności, i Vincent, podawszy jej kieliszek sherry, z przyjemnością obserwował, jak delikatnie przytyka go do warg. Miała na sobie jego frotowy szlafrok, o wiele za duży, bose nogi podciągnęła pod siebie, siadając na tapczanie.

— Te świece, zupełnie jak w Glass Hill — powiedziała i uśmiechnęła się. — Moja babcia mieszkała w Glass Hill. Jak tam bywało czasami cudownie! I wiesz, co ona mówiła? Mówiła: „Świece to czarodziejskie różdżki; zapalisz świecę i świat zamienia się w bajkę”.

— Jakaś okropnie nieszczęśliwa staruszka — powiedział Vincent, solidnie wstawiony. — Pewnie byśmy się nawzajem nie znosili.

— Babcia na pewno by cię pokochała — odrzekła. — Kochała wszystkich mężczyzn, wszystkich mężczyzn, jakich знаła. Nawet pana Destronellego.

— Destronellego? — Słyszał gdzieś to nazwisko.

Jej oczy umknęły w bok. „Nie ma między nami miejsca na wybiegi — zdawały się mówić. — My, którzy się rozumiemy, nie potrzebujemy się do nich uciekać”.

— Och, znasz go — powiedziała z przekonaniem, które w bardziej codziennych okolicznościach byłoby zaskakujące. Lecz Vincent jakby wyzbył się na jakiś czas zdolności dziwienia się. — Wszyscy go znają.

Objął ją ramieniem, przyciągnął.

— Ja nie, nie znam go — powiedział, całując ją w usta, w szyję, ale nie zareagowała zbyt zachęcająco; głos mu drżał jak wyrostkowi, kiedy mówił: — Nigdy go nie widziałem, tego pana... Jak-mu-tam.

Włożył jej rękę pod szlafrok, rozchylił na ramionach. Nad jedną piersią miała maleńkie znamię w kształcie gwiazdki. Spojrzał w lustrzane drzwi, gdzie w niepewnym świetle falowały ich postacie, blade i niewyraźne. Uśmiechała się.

— Jak on wygląda? — zapytał. — Ten pan... Jakmutam?

Zarys uśmiechu rozwiął się, małpi marsik zadrgał na jej twarzy. Patrzyła na obraz nad kominkiem i Vincent uświadomił sobie, że jest to pierwsza oznaka zainteresowania, jaką okazuje swemu dziełu. Wydawało mu się, że wzrok ma utkwiony w określonym punkcie obrazu, ale czy jest to jastrząb, czy też głowa, nie potrafił powiedzieć.

— Czy ja wiem — rzekła cicho, przytulając się mocniej do niego. — Wygląda jak ty, jak ja, jak każdy.

Padąło; w mokrym świetle południa paliły się jeszcze dwa ogarki świec, w otwartym oknie trzepotały rozpaczliwie popielate firanki. Vincent uwolnił ramię; było zdrętwiałe od ciężaru jej ciała. Ostrożnie, żeby nie robić hałasu, wysunął się z łóżka, zdmuchnął świece i dotarłszy na palcach do łazienki, opłukał twarz zimną wodą. Idąc do kuchni, rozprostował ramiona, sycąc się dawno niezaznanym uczuciem rozpierającej męskiej siły, zdrową pełnią swojej osoby. Przygotował i poustawiał na tacy sok pomarańczowy, grzanki z chleba z rodzynekami i dzbanek herbaty, po czym tak niewprawnie, że wszystko grzechotało na tacy, zaniósł śniadanie do pokoju i postawił na stoliczku koło łóżka.

Dziewczyna leżała bez ruchu; potargane włosy rozsypały się jak wachlarz po poduszce, jedną dłoń wtuliła we wgłębienie, gdzie niedawno spoczywała jego głowa. Pochylił się i pocałował ją w usta; zadrgały powieki, sine od snu.

— Tak, tak, nie śpię — wymamrotała. Bryzg deszczu, niesiony porywem wiatru, uderzył w okno jak fala.

Nie wiedząc skąd, wiedział, że w jej zachowaniu nie będzie

nic ze zwykłego zakłopotania: ani owego unikania wzroku, ani owych wstydliwych, pełnych wyrzutu chwil milczenia. Kiedy podniosła się na łokciu i spojrzała na niego, uczyniła to tak, pomyślał, jakby był jej mężem; podając jej sok, uśmiechnął się z wdzięcznością.

— Jaki dziś dzień? — zapytała.

— Niedziela — odrzekł, sadowiąc się pod kołdrą i ustawiając tacę na kolanach.

— Niedziela, a nie biją dzwony — powiedziała. — I deszcz pada.

Vincent rozkruszył kawałek grzanki.

— Zależy ci na tym? Deszcz... taki spokojny szum. — Nalał herbaty. — Cukru? Śmietanki?

Zlekceważyła pytanie; powiedziała:

— Jest niedziela, ale jaka niedziela? Jaki miesiąc?

— Gdzieś ty się podziewała, w metrze? — zapytał, pokazując zęby w uśmiechu. I z niedowierzaniem pomyślał, że pytanie było postawione serio. — No, kwiecień... Któryś tam kwietnia.

— Kwiecień — powtórzyła. — Od dawna tutaj jestem?

— Nie, od wczoraj wieczór.

— Aha.

Vincent zamieszał herbatę, brzękając o brzegi filiżanki łyżeczką jak dzwonkiem. Okruszki grzanki posypały się na prześcieradło. Przypomniały mu „New York Herald Tribune” i „New York Times” czekające przed drzwiami, ale myśl o nich nie miała dzisiaj zwykłego uroku; przyjemniej było leżeć koło niej w ciepłym łóżku, popijając herbatę i słuchając deszczu. Dziwne, kiedy się nad tym zastanowić, naprawdę dziwne. Nie zna nawet jej nazwiska, a ona nie zna jego. Więc powiedział:

— Masz jeszcze u mnie trzydzieści dolarów, pamiętasz? Zresztą sama jesteś sobie winna: któż to słyszał zostawiać taki idiotyczny adres? D.J., co to właściwie znaczy?

— Lepiej, żebyś nie znał mojego nazwiska — powiedziała. — Bez trudu mogłabym coś zmyślić. Dorothy Jordan, Delila Johnson, widzisz? Różne nazwiska mogłabym zmyślić... Gdyby nie on, powiedziałabym ci, jak się naprawdę nazywam.

Vincent odstawił tacę na podłogę. Przewrócił się na bok i serce zabiło mu żywiej, kiedy znalazł się z nią twarzą w twarz.

— Co to za on? — zapytał.

Wyraz jej twarzy pozostał spokojny, lecz gniew mącił jej głos, kiedy się odezwała.

— Jeśli go nie znasz, to powiedz mi, co ja tu robię?

Milczenie; deszcz na dworze jakby nagle zamarł. Na rzece zajęczała syrena okrętowa. Tuląc ją do siebie, przeczesał palcami jej włosy. Tak bardzo pragnął, żeby uwierzyła, kiedy powiedział:

— Bo cię kocham.

Zamknęła oczy.

— A co się stało z tamtymi?

— Jakimi tamtymi?

— Którym mówiłeś to samo.

Zaczynało się znowu: szara fala deszczu uderzyła o szyby, spadła w niedzielną ciszę ulic. Nasłuchując, Vincent przypomniał sobie. Przypomniał sobie kuzynkę Lucille, biedną, piękną, głupią Lucille, która po całych dniach siedziała i wyszywała jedwabne kwiaty na kawałkach płótna. I Allena T. Bakera — zimę, którą spędzili w Hawanie, dom, w którym mieszkali, o ścianach z kruszącego się, różowego kamienia; biedny Allen wyobrażał sobie, że to będzie trwało wiecznie. To samo Gordon. Ten Gordon ze swoją kręconą blond czupryną, z głową pełną starych elżbietańskich ballad. Czy to prawda, że się zastrzelił? A Connie Silver, ta głucha dziewczyna, która chciała zostać aktorką. Co się z nią stało? Co się stało z Heleną, z Louise, z Laurą?

— Była tylko jedna — powiedział i w jego własnych uszach zabrzmiało to jak prawda. — Tylko jedna i już nie żyje.

Czule, jakby ze współczuciem, dotknęła jego policzka.

— Pewnie ją zabił — powiedziała; leżała tak blisko, że widział zarys swojej twarzy uwieczony w zieleni jej źrenic. — Zabił pannę Hall, wiesz? To była najukochańsza kobieta pod słońcem, panna Hall. I taka piękna, że dech zapierało w piersi. Miałam z nią lekcje muzyki i kiedy grała na fortepianie, kiedy mówiła „dzień dobry”, kiedy mówiła „do widzenia”, myślałam, że mi serce pęknie. — Jej głos przybrał ton bezosobowy, jak gdyby mówiła o sprawach należących do innego stulecia, bezpośrednio jej nie dotyczących. — Lato się kończyło, kiedy za niego wyszła, zdaje się, że we wrześniu. Pojechała do Atlanty, tam się pobrali i już nie wróciła. To stało się tak nagle. — Strzeliła palcami. — Jak z bicia trzasł. Widziałam jego zdjęcie w gazecie. Czasami myślę, że gdyby wiedziała, jak bardzo ją kocham... dlaczego niektórym ludziom nie można tego wyznać... myślę, że może nie wyszłaby wcale za męża i może wszystko ułożyłoby się inaczej, tak jak chciałam.

Ukryła twarz w poduszce, lecz jeśli płakała, to bezgłośnie.

* * *

Dwudziestego maja kończyła osiemnaście lat; wydawało się to nie do wiary — Vincent myślał, że jest znacznie starsza. Miał zamiar urządzić przyjęcie i zrobić niespodziankę, przedstawiając ją, ale doszedł do przekonania, że nie jest to najfortunniejszy pomysł. Po pierwsze, choć stale miał na czubku języka ten temat, ani słówkiem nie wspomniał żadnemu z przyjaciół o istnieniu D.J.; po drugie, odstraszało przewidywanie uciechy, jakiej im dostarczy, przedstawiając dziewczynę, o której — otwarcie dzieląc z nią mieszkanie — nie wie nic, nawet jak się nazywa.

Jednakże urodziny trzeba było jakoś uczcić. Kolacja i teatr nie wchodziły w rachubę, nie miała bowiem, nie z jego winy, ani jednej sukienki. Dał jej czterdzieści kilka dolarów, żeby sobie kupiła coś do ubrania, ale oto co za nie nabyła: skórzaną wiatrówkę, wojskowy neseser z kompletem szczotek, płaszcz od deszczu i zapalniczkę. Również walizka, którą przyniosła, nie zawierała nic oprócz mydła zabranego z jakiegoś hotelu, pary nożyczek, których używała do podstrzygania włosów, dwu Biblii oraz żalostnej kolorowanej fotografii, która przedstawiała mizdrzącą się, niemłodą już kobietę o grubych rysach. Na odwrocie widniał napis: „Wszystkiego dobrego życzy — Martha Lovejoy Hall”.

Ponieważ nie umiała gotować, stołowali się na mieście, przy czym jego skromna pensja oraz jej ograniczona garderoba skazywały ich z góry na bary samoobsługowe — jakże zajadała się ulubionym makaronem! — bądź też grille przy Trzeciej Alei. Obiad urodzinowy zjedli także w barze. Wyszorowała na tę uroczystość twarz do czerwoności, podcięła i wymyła włosy i z nieporadnością sześćioletniej dziewczynki, która udaje dorosłą, polakierowała paznokcie. Włożyła skórzaną wiatrówkę i przypięła do niej bukietek fiołków, który jej dał w prezencie; musiało to wyglądać komicznie, bo dwie hałaśliwe dziewczyny, z którymi do spółki zajmowali stolik, chichotały jak szalone. Vincent oświadczył w końcu, że jak nie przestaną...

— Patrzcie go! Co pan sobie wyobraża?

— Bubek jeden. Ważniaka będzie odstawiał.

Tego było już za wiele i Vincent stracił panowanie. Zerwał się od stolika, przewracając słoik ketchupu.

— Chodź, wynosimy się stąd — powiedział.

Ale D.J., nie zwracając najmniejszej uwagi na awanturę, zajadała dalej kisiel z jeżyn. Był wściekły, zaczekał jednak spokojnie, dopóki nie skończy; jej oderwanie od świata napa-

wało go respektem, choć nie pojmował, w jakiej rzeczywistości żyje. Bezcelowe było, jak stwierdził, rozpytywanie jej o przeszłość; jednakże wyglądało, że z terażniejszości tylko od czasu do czasu zdaje sobie sprawę, a przyszłość prawdopodobnie niewiele dla niej znaczy. Jej umysł przypominał zwierciadło odbijające błękitną pustkę nagiej przestrzeni.

— No, co chcesz teraz robić? — zapytał, kiedy wyszli na ulicę. — Może przejechalibyśmy się dorożką po parku?

Otarła rękawem wiatrówki resztki kisielu z kącików ust i powiedziała:

— Chcę iść do kina.

Kino. Znowu. W ostatnim miesiącu obejrzał tyle filmów, że urywki hollywoodzkich dialogów dźwięczały mu w snach. Którejś soboty na jej życzenie kupili bilety na trzy różne obrazy w tanich kinach, gdzie wyziewy środków dezynfekcyjnych z toalety zatruwały powietrze. A codziennie rano, wychodząc do pracy, zostawiał na kominku pięćdziesiąt centów — słońce czy pogoda, szła do kina. Ale Vincent miał dość wycucia, żeby to zrozumieć: w jego własnym życiu był taki okres zagubienia, kiedy codziennie chodził do kina i nieraz siedział przez parę seansów na jednym i tym samym filmie; pełniło to rolę podobną do religii, patrząc bowiem na przesuwające się czarno-białe obrazy, zaznawał takiej ulgi, jakiej musi doświadczać chłopiec, który otworzył duszę przed ojcem.

— Kajdany — powiedziała, komentując scenę z *Trzydziestu dziewięciu stopni*, które tego dnia obejrzeli w „Beverly” w programie wznowień Hitchcocka. — Ta blondyna skuta kajdanami z tym mężczyzną, to mi dało wiele do myślenia. — Wsadziła najpierw jedną, potem drugą nogę w spodnie od pizamy Vincenta, przypięła bukietek fiołków do brzegu poduszki i skuliła się na łóżku. — Ludzie tak się splątują jak skuci ze sobą.

Vincent ziewnął.

— Yhm — powiedział i zgasił światło. — Jeszcze raz, wiele szczęścia w dniu urodzin, kochanie. Przyjemny był dzień, prawda?

— Byłam kiedyś w lokalu i widziałam, jak tańczyły dwie dziewczyny; zachowywały się tak swobodnie, jakby były same jedne i nikogo więcej. To było piękne jak zachód słońca. — Milczała przez dłuższą chwilę, potem jej południowy głos odezwał się znowu, przeciągając słowa: — To bardzo ładnie z twojej strony, że mi kupiłeś fiołki.

— Cieszę się, że ci się podobały — odpowiedział sennie.

— Szkoda, że muszą zwiędnąć.

— Yhm. No, dobranoc.

— Dobranoc.

Zbliżenie. „Och, John, nie chodzi o mnie, musimy pamiętać o dzieciach, rozwód odbije się przede wszystkim na ich życiu”. Obraz znika, ekran wiruje; grzechot werbli, fanfara trąbek: RKO* przedstawia...

Oto korytarz bez wyjścia, tunel bez końca. Nad głową iskrzą się żyrandole, gięte wiatrem świece unoszą się na falach powietrza. Przed nim stary człowiek kołysze się w fotelu na biegunach, starzec o farbowanych blond włosach, upudrowanych policzkach i grubych wargach karnawałowej maski: Vincent poznaje Vincenta. „Idź precz!” — krzyczy Vincent, ten przystojny i młody, ale Vincent, ten stary i odrażający, pełźnie na czworakach, włazi mu jak pajak na plecy. Groźby, prośby, ciosy, nic nie jest w stanie go spędzić. Więc Vincent gna ze swoim cieniem, z jeźdźcem podskakującym na plecach. Wąż świetlnych błysków i nagle, ni z tego, ni z owego, w tunelu roi się od mężczyzn we frakach, kobiet wystrojonych w brokatowe

* RKO — Radio-Keith-Orpheum, jedna z największych hollywoodzkich wytwórni filmowych.

suknie. Vincent czuje się upokorzony; za jakże nieobytego muszą go uważać, skoro w tak eleganckim towarzystwie pojawia się jak Sindbad z niechlujnym starcem na plecach. Goście stoją zastygli, parami, nikt nie rozmawia. I Vincent spostrzega, że wielu z nich jest tak jak on obarczonych niepochlebnymi wcieleniami samych siebie, zewnętrznymi odbiciami wewnętrznego rozkładu. Tuż koło niego człowiek-jaszczurka dosiada Murzyna o tęczęwkach pozbawionych pigmentu. Podchodzi jakiś mężczyzna, gospodarz, niski, rumiany, łysy, stąpa lekko, starannie, na nogach ma lakierki, na ręce, którą trzyma sztywno zgiętą przed sobą, niesie masywnego jastrzębia bez głowy, o szponach przywartych do przegubu, z którego sączy się krew. Jastrząb rozpościera skrzydła, kiedy jego pan przechodzi obok Vincenta. Na postumencie stoi staroświecki gramofon. Gospodarz nakręca go, nakłada płytę: tuba podobna do kwiatu powoju wibruje blaszanym zdartym walcem. Podnosi dłoń i obwieszcza sopranem: „Uwaga, uwaga! Zaczynamy tańce”.

Wszyscy przyginają się i kręcą w koło i w koło, a gospodarz z jastrzębiem na ręku przemyka pomiędzy nimi. Ściany się rozsuwają, sufit podnosi wysoko. W ramiona Vincenta sphywa dziewczyna i skrzekliwa, okrutna parodia jego głosu powiada: „Lucille, to bosko; jakież wspaniały zapach, czy to fiołki?”. Tak, to kuzynka Lucille; ale niedługo, nim zdążyli okrążyć salę, jej twarz się zmienia. Teraz tańczy z inną. „Ależ to Connie, Connie Silver! Cudownie, że cię widzę!” — wykrzykuje głos, bo Connie jest całkiem głucha. Nagle wpada na niego mężczyzna z głową roztrzaskaną kulą. „Przebacz mi, Gordon, wcale nie chciałem...”. Ale oni już odpłynęli, Gordon i Connie, i tańczą razem. Znowu inna partnerka. Tym razem jest to D.J., na grzbiecie niesie także przywartą postać, czarującą dziewczuszkę o kasztanowatych włosach; dziecko tuli do piersi, jak symbol

niewinności, bielutkiego kotka. „Jestem cięższa, niż się wydaje” — mówi dziewczynka, a straszny głos ripostuje: „Ale najcięższy ze wszystkich jestem ja”. Ich dłonie splatają się i momentalnie Vincent czuje, że ciężar na plecach maleje; starzec się rozplywa, a stopy Vincenta odrywają się od podłogi, odpływa z jej objęć w powietrze. Gramofon zgrzyta głośno jak przedtem, lecz on wznosi się coraz wyżej, białe oddalające się twarze połyskują jak grzyby na ciemnej polanie.

Gospodarz zwalnia z uwięzi jastrzębia, wyrzuca go w górę. Vincent myśli, to nic, to tylko ślepe narzędzie, a grzeszni bezpieczni są pośród ślepych. Ale jastrząb krąży nad nim, spada z wysuniętymi szponami; teraz Vincent już wie, że nie zazna wolności...

Napełnił mu oczy mrok pokoju. Jedno ramię zwisało z łóżka, poduszka spadła na podłogę. Instynktownie wyciągnął rękę, szukając matczynej pociechy u leżącej obok dziewczyny. Pościel gładka i chłodna; pustka i tani zapach fiołków. Rzucił z miejsca:

— Hej, gdzie jesteś?

Drzwi od ogródka stały otworem, na progu balansował popielaty ślad księżycowej poświaty, gdyż dzień jeszcze nie wstał. Lodówka mruczała w kuchni jak gigantyczny kot, na biurku szeleściły papiery. Vincent zawołał powtórnie, tym razem cicho, jakby wolał pozostać niesłyszany. Wstał i podszedłszy na chwiejnych nogach, wyjrzał do ogródka. Była tam, na pół klęczała oparta o boże drzewko.

— Co? — I obróciła się na pięcie.

Nie widział jej dobrze, tylko ciemny, materialny cień. Podeszła bliżej, z palcem przyciśniętym do ust.

— Co się stało? — szepnął.

Wspięła się na palce, załaskotała go oddechem w ucho.

— Wracaj, ostrzegam cię.

— Przestań się wygłupiać — powiedział normalnym głosem. — Latasz boszo po dworze, jeszcze dostaniesz... — ale zatkąła mu usta dłonią.

— Widziałam go — szepnęła. — Jest tutaj.

Odrzucił jej rękę. Mało brakowało, a byłby ją uderzył.

— On! Jego! Jemu! Co się z tobą dzieje? Czyś ty zupełnie — chciał powstrzymać to słowo, ale było już za późno — oszalała?

Tak, to potwierdzenie tego, co od dawna wie; nie pozwalał tylko, aby się ta wiedza skryzalizowała w świadomości. Cóż z tego — pomyślał. — Człowiek nie może być pociągnięty do odpowiedzialności za tych, których kocha. Nieprawda! Głupawa Lucille tkająca mozaiki w jedwabiu, wyszywająca jego imię na szalikach; Connie pogrążona w swoim milczącym, głuchym świecie, nasłuchująca jego kroków, jedynego dźwięku, który na pewno usłyszy; Allen T. Baker obracający w palcach jego zdjęcie, wciąż jeszcze spragniony miłości, ale stary już i zagubiony... Zdradził wszystkich. I zdradził samego siebie — niewyzyskanymi talentami, niepodjętymi podróżami, niedotrzymanymi przyrzeczeniami. Zdawało się, że już nic nie pozostało, aż... Och, dlaczego w swoich kochankach musi zawsze odnajdywać popękane odbicie samego siebie? Patrzył na nią teraz w rosnącym brzasku, a serce miał zimne umierającą miłością.

Oddaliła się z powrotem pod drzewko.

— Zostaw mnie na chwilę — powiedziała, przebiegając oczami okna kamienicy. — Na jedną chwilę.

Vincent czekał i czekał. Okna spoglądały ze wszystkich stron jak bramy snów, nad głową, dwie kondygnacje wyżej, trzepotało na sznurze czyjeś pranie. Zachodzący księżyc wyglądał jak młody miesiąc o zmierzchu, zasnutę oparem koło, a niebo, wymyte z mroku, podchodziło szarością. Przedranny wietrzyk przebierał listkami bożego drzewka, w bielejącym

świetle zaostrzały się kontury ogródka, przedmioty zajmowały swoje miejsca; z dachu dobiegło pierwsze gardłowe gruchanie gołębi. Gdzieś zapaliło się światło. Potem drugie.

Dziewczyna pod drzewkiem opuściła wreszcie głowę; cokolwiek to było, nie znalazła, czego szukała. A może — zastanawiał się Vincent, kiedy podeszła do niego — może znalazła?

* * *

— No, no, coś wcześniej pan dziś wraca, panie Waters? — To pani Brennan, krzywonoga żona dozorczy. — Co, panie Waters, ładną mamy pogodę? Jak raz będziemy mogli sobie pogadać.

— Och, pani Brennan... — Jak ciężko oddychać, mówić; słowa obcierają bolące gardło, dudnią głośno jak grzmoty. — Nie bardzo dobrze się czuję, więc jeśli pani nie ma nic przeciwko temu...

I spróbował przesunąć się koło niej.

— No, no, to ci historia. Zatrucie, nie tylko zatrucie. Tak, tak, mówię panu, ostrożności nigdy za wiele. Wie pan, to te Żydy. To one prowadzą te wszystkie garmażerie. O, ja bym nie tknęła takiego ichniego specjału. — Wyszła przed furtkę i zagrządzając przejście, wycelowwała w niego karcący palec: — A z panem bieda, panie Waters. Bo pan to nie prowadzi normalnego życia.

Węzeł bólu tkwił jak agresywny klejnot w centrum mózgu, błyskał barwnymi szpileczkami za każdym poruszeniem. Dozorczyńni paplała dalej, lecz on miał momenty pustki, kiedy szczęśliwie nic nie słyszał; zupełnie jakby słuchał radia, które ktoś przycisza, a potem znów nastawia na pełny regulator.

— Wiem, wiem, na pewno jest chrześcijanką jak się patrzy, bo czy to taki człowiek jak pan, panie Waters, zadawałby się

z nią, jakby nie była, he? Ale co fakt, to fakt, pan Cooper by nie zmyślał. To spokojny człowiek, pan Cooper, był inkasentem gazowni w naszej dzielnicy, nie wiem ile lat.

Nadjechała polewaczka, spryskując ulicę wodą, i głos pani Brennan zatonął na chwilę w szumie, po czym wynurzył się znowu jak rekin.

— Pan Cooper ma wszelkie podstawy do przypuszczania, że go chciała zabić... Tak, tak, niech pan sobie tylko wyobrazi, stała z tymi nożycami i wykrzykiwała na niego. Jakieś italiańskie nazwisko. No, co jak co, ale na pana Coopera wystarczy raz spojrzeć i wiadomo, że nie jest Italiańcem. Sam pan rozumie, panie Waters, takie historie, to wyrabia domowi złą...

Kruchy blask słońca przenika do dna źrenic, wyciska łyzy; dozorczyńni, grożąca palcem, rozpada się na oddzielne cząstki: nos, brodę, czerwone, czerwone oko.

„Panie Destronelli”, powiedziała pewnie.

— O, przepraszam, pani Brennan, bardzo panią przepraszam. — Myśli, że jestem pijany, a ja jestem chory; czyż ona nie widzi, że jestem chory? — Ta pani przyjechała do mnie w gości, ale już wyjeżdża. Dzisiaj wyjeżdża i więcej nie wróci.

— No, no, co pan powie! — Pani Brennan klasnęła językiem. — Zdaje się, że ona to naprawdę potrzebuje odpoczynku, biedne maleństwo. Taka jakaś bledziutka. Ma się rozumieć, ja tam wolę nie mieć nic wspólnego z tymi Italiańcami, tak jak każdy jeden. Ale pomyśleć, że ona mogła wziąć pana Coopera za Italiańca. Przecież on taki sam biały człowiek jak pan albo ja. — Zatrokana stuknęła Vincenta w ramię. — Bieda, że pan się tak źle czuje, panie Waters. Nic tylko zatrucie, mówię panu. Ostrożności nigdy za wiele...

Na klatce schodowej pachniało gotowaniem i spalanymi śmieciami. Na prawo były schody, których nigdy nie używał,

bo jego mieszkanie mieściło się w dole, na wprost wejścia. Trzasnęła zapałka i idący po omacku Vincent ujrzał siedzącego w kucki pod schodami chłopca. Malec nie mógł mieć więcej niż trzy, cztery lata; bawił się wielkim kuchennym pudełkiem zapałek i obecność Vincenta zupełnie go nie interesowała. Jak gdyby nigdy nic, potarł następną zapałkę. Vincent nie mógł skupić myśli, żeby znaleźć słowa reprimendy, i kiedy tak stał, zapomniawszy języka w ustach, na wprost otwarły się drzwi, jego drzwi.

Schować się. Bo jeśli go zobaczy, domyśli się od razu, że coś jest nie w porządku, zacznie coś podejrzewać. A jeśli powie słowo, jeśli spojrzy mu w oczy, on nigdy nie będzie w stanie z tym skończyć. Więc wcisnął się w najciemniejszy kącik, za malca, który zaprotestował:

— Cio pan, panie?

Zbliżała się; słyszał kłapanie sandałów, zielony szelest płaszcza.

— Cio pan, panie?

Szybko, z sercem tłukącym się w piersi, Vincent pochylił się i przycisnąwszy malca do siebie, zatkał mu dłonią usta, tak że chłopiec nie mógł wydobyć głosu. Nie widział, kiedy przechodziła; dopiero kiedy trzasnęły frontowe drzwi, pojął, że poszła sobie. Malec osunął się z powrotem na ziemię.

— Cio pan, panie?

* * *

Łyknął cztery aspiryny, jedną po drugiej, po czym wrócił do pokoju. Łóżko nie było ślane od tygodnia, rozsypana popielniczka wałała się po podłodze, różne części garderoby przystrajały lampy i inne nieprawdopodobne miejsca. Jutro, jeśli będzie się lepiej czuł, zrobi generalne porządki; może nawet każe odnowić mieszkanie i doprowadzić ogródek do stanu

używalności. Jutro pomyśli również o przyjaciółach, zacznie przyjmować zaproszenia, może sam kogoś zaprosi. Jakoś jednak te perspektywy, choć próbował się w nich rozsmakować, pozbawione były uroku: wszystko, czym żył przedtem, wydawało mu się teraz jałowe i sztuczne.

Kroki na korytarzu; czy możliwe, żeby już wracała, by film się skończył, minęło popołudnie? W gorączce czas tak dziwnie mija. Przez moment miał wrażenie, jakby kości oderwały mu się od mięśni i pływały luzem w ciele. Klap-klap, chwiejny tupot dziecka, kroki wchodzące po schodach. Vincent wstał i pozegłował do szafy z lustrem. Chciał się śpieszyć, wiedział, że musi się śpieszyć, ale powietrze wydawało się gęste od lepkiej cieczy. Wyjął jej walizkę, postawił na łóżku, smutną, taną walizkę o zardzewiałych zamkach i wypaczonych ściankach. Zlustrował walizkę w poczuciu winy. Gdzież ona się podzieje? Z czego będzie żyła? Kiedy zrywał z Connie, z Gordonem, ze wszystkimi, odbywało się to przynajmniej z godnością. Ale naprawdę — przemyślał to do końca — nie ma innego wyjścia. Więc zebrał jej rzeczy. Spod skórzanej wiatrówki wyrzała panna Martha Lovejoy Hall — uśmiechnięta w tajonym wyrzucie twarz nauczycielki muzyki. Vincent odwrócił zdjęcie twarzą w dół i w ramkę wetknął kopertę z dwudziestoma dolarami. Wystarczy na bilet do Glass Hill czy skąd tam przyjechała. Spróbował zamknąć walizkę, ale osłabiony gorączką osunął się na łóżko.

Przez okno wślizgnęły się ruchliwe żółte skrzydła. Motyl. Nigdy nie widział motyla w Nowym Jorku i wydało mu się, że to jakiś tajemniczy szybujący kwiat, jakiś niezrozumiały znak. Przyglądał się ze zgrozą, jak motyl podryguje w powietrzu. Gdzieś na dworze rozległo się tirlitirli katarynki grającej *Marsylianke*; przypominało to dźwięki rozklekotanej pianoli. Motyl usiadł na jej obrazie, przesunął się po kryształowych

ślepkach, po czym rozpostarł skrzydła jak kokardę na odciętej głowie. Vincent zanurzył rękę w walizce i wyłowił nożyczki. Miał zamiar poobcinać motylowi skrzydła, ale motyl wzniósł się spiralą i zawisł jak gwiazdka na suficie. Nożyce przeszyły serce jastrzębia, pożerały płótno jak oszalałe z wściekłości stalowe kły, a strzepy obrazu sypały się jak sztywne kłaki na podłogę. Vincent opadł na kolana, pozbierał strzepy na jedną kupkę i wrzuciwszy je do walizki, zatrzaskał wieko. Płakał. Motyl, widziany przez łyzy, rósł na suficie, zrobił się wielki jak ptak, zwielokrotniał w rój śpiewnej, mieniającej się żółtości, szemrzającej odludnie jak fale omywające brzeg. Powiew skrzydeł unosił pokój w przestworza.

Dźwignął walizkę objającą się po nogach, szarpnął drzwi. Błysnęła zapalka.

— Cio pan, panie — powiedział malec.

Uśmiechając się obłudnie, Vincent wystawił walizkę na korytarz. Jak złodziej zamknął drzwi, spuścił zatrzask i przywłókszy krzesło, wcisnął je pod klamkę. W pokoju cisza, tylko delikatne przesuwanie się plam słonecznych, wędrówka motyla po suficie; opadł teraz w dół jak figlarny kawałek kolorowego papieru i wylądował na lichtarzu.

— Czasami nie jest w ogóle człowiekiem — wyznała mu kiedyś, skulona na łóżku, wyrzucając śpiesznie słowa w ostatnich minutach przed świtem. — Czasami jest zupełnie czymś innym: jastrzębiem, dzieckiem, motylem.

Potem powiedziała:

— W tym miejscu, do którego mnie zawieźli, były setki starych kobiet i młodych mężczyzn. Jeden z mężczyzn mówił, że jest piratem, a jedna ze staruch, miała blisko dziewięćdziesiąt lat, kazała mi się macać po brzuchu. „Czujesz — mówiła — czujesz, jak kopie?”. Chodziła razem ze mną na lekcje malarstwa, a jej obrazy wyglądały jak kołdry z różnokolorowych

łatek. On oczywiście też tam był, pan Destronelli. Tylko że się nazywał Gum. Doktor Gum. Ale mnie nie zwiódł. Nosił siwą perukę i ucharakteryzował się tak, że wyglądał na faktycznego, dobrodusznego staruszka, ale ja się i tak poznałam. A potem któregoś dnia zabrałam się stamtąd, po prostu uciekłam i schowałam się pod krzakiem bzu. I przejeżdżał czerwonym autem taki pan; miał szpakowate wąsiki i złośliwe oczki. Ale to był on. Jak mu powiedziałam, kim jest, wyrzucił mnie z auta. A potem, to było w Filadelfii, inny mężczyzna zabrał mnie z kawiarni i zaprowadził na jakąś uliczkę. Mówił po włosku i całe ciało miał pokryte tatuażem. Ale to był on. A następny, to był ten, co sobie malował paznokcie u nóg, przysiadł się do mnie w kinie, bo myślał, że jestem chłopcem. Ale jak się przekonał, że nie jestem, nie był wcale zły i pozwolił mi mieszkać w swoim pokoju, i gotował mi różne dobre rzeczy. Nosił taki srebrny medalion i któregoś dnia zajrzałam do środka, a w środku była fotografia panny Hall. Więc już wiedziałam, że to on, i czułam, że ona nie żyje. I od razu wiedziałam, że on mnie zabije. I zabije mnie. Zabije.

Zmierzch i wieczór, włókna dźwięku zwane ciszą uprzedły połyskliwą granatową maskę. Wyrwany ze snu, spojrzawszy przez szparki oczu, usłyszał gorączkowe pulsowanie zegarka, chrobot klucza w zamku. Gdzieś w mroku morderca wynurza się z cienia nocy i ze sznurem w ręku wspina za błyskami jedwabnych pończoch po schodach przeznaczenia. A śniący tu, usiłując przebić wzrokiem maskę, roi o zdradzie. Nie sprawdzając, wie, że walizki nie ma przed drzwiami, że ona była i że poszła; czemu więc tak nikła jest radość bezpieczeństwa, dlaczego czuje się tylko oszukany i mały, jak tego wieczoru, kiedy przez lunetę starego naciągacza wypatrywał na niebie księżyc?

Jak strzępy starego listu, rozsypana kukurydza leżała zdeptana na ziemi, a ona, oparta w pozie nocnego stróża, bładziła oczami od ziarnka do ziarnka, jakby starała się odcyfrować słowo, odpowiedź. Podniosła dyskretnie wzrok na mężczyznę wchodzącego po schodkach, Vincenta. Odświeżony prysznicem, dokładnie ogolony, pachnący wodą kolońską, pod oczami miał posępne sine kręgi i widać było, że lekki garnitur z szorstkiego materiału, w który się przebrał, szyty był na tęższego mężczyznę: w ciągu miesiąca, kiedy leżał z zapaleniem płuc, w te długie, bezsenne, gorączkowe noce stracił na wadze dobrze ponad sześć kilogramów. Codziennie rano i wieczorem, kiedy ją spotykał przed furtką czy koło galerii, czy przed restauracją, gdzie jadł lunch, popadał w niezrozumiałą panikę, paraliż poczucia czasu i tożsamości. Ta milcząca pantomima, uporczywe chodzenie za nim ścisnęło mu serce i miał dni, kiedy jak we śnie wydawała się nie jedną osobą, lecz całym tłumem i każdy cień na ulicy był jej cieniem, ścigającym i ściganym. Pewnego razu, gdy znaleźli się sami we dwoje w windzie, krzyknął:

— Nie jestem nim! Jestem sobą, wyłącznie sobą!

Ale ona tylko się uśmiechnęła, tak jak uśmiechała się, opowiadając o tym mężczyźnie, który malował sobie paznokcie u nóg, bo ona przecież wiedziała.

Była pora kolacji, ale Vincent, niezdecydowany, dokąd iść, zatrzymał się pod latarnią, która nagle rozkwitła, omiatając wachlarzem światła płyty chodnika; stał jeszcze, kiedy rozległ się pomruk grzmotu i jak ulica długa i szeroka wszystkie twarze oprócz dwóch, jego i dziewczyny, unosiły się do góry. Raptowny podmuch od rzeki porwał śmiech dzieci, które splótłszy ręce, kręciły się jak konie na karuzeli, i przyniósł głos matki, która wychylona z okna wykrzykiwała:

— Deszcz, Rachelo, deszcz... Deszcz będzie, deszcz!

Kwiaciarz złapał wózek pełen gladiolusów i pelargonii i łypiąc jednym okiem w niebo, popędził jak szalony szukać schronienia. Na ziemię poleciała doniczka geranium i dziewczynki zaraz pozrywały kwiatki i powtykały je za uszy. Zlewające się plaskanie biegnących nóg i pierwszych kropeł zadzwoniło na ksylofonie chodników, potem trzaskanie drzwi, spuszczenie okien, potem już nic, tylko cisza i deszcz. Wówczas, wolno, szurając nogami, podeszła pod latarnię i stanęła koło niego. Niebo było jak potłuczone przez pioruny lustro, a deszcz zawisł między nimi jak zasłona ze szklanych igiełek.

Moja strona medalu

Wiem, co ludzie o mnie opowiadają, i to już wasza sprawa, czy weźmiecie moją stronę, czy ich. Macie do wyboru moje słowo albo słowo Eunice i Olivii-Ann, a chyba dla każdego, kto ma oczy otwarte, musi być jasne, kto z nas ma po kolei w głowie. Ja chcę tylko jednego: żeby obywatele Stanów Zjednoczonych zapoznali się z faktami. Wystarczy.

Oto one: w niedzielę dwunastego sierpnia bieżącego roku Pańskiego Eunice chciała mnie zakatrupić szablą swojego ojca z wojny domowej, a Olivia-Ann ganiała, wymachując czternastocalowym nożem rzeźnickim. Nie wspominam już o innych rzeczach.

A zaczęło się wszystko, kiedy przed pół rokiem ożeniłem się z Marge. To był mój pierwszy błąd. Pobraliśmy się w Mobile po wszystkiego czterech dniach znajomości. Mieliśmy oboje po szesnaście lat, a Marge przyjechała w odwiedziny do mojej kuzynki Georgii. Teraz, kiedy miałem trochę czasu do zastanowienia, nie potrafiłbym wytłumaczyć, jak mogłem polecieć na taką jak ona. Bo ani twarzy nie ma ładnej, ani zgrabnej figury, a w głowie to już całkiem fiu-bździu. Tyle że jest naturalną blondynką, więc może dlatego. Dość, że byliśmy trzy

miesiące po ślubie, aż tu patrzeć, Marge zachodzi w ciążę; i to był mój drugi błąd. Bo zaczęła zaraz jęczeć, że musi teraz wracać do domu, do mamy — chociaż nie ma żadnej mamy, tylko te dwie ciotki, Eunice i Oliwię-Ann. Rzuciłem przez nią taką posadę — byłem ekspedientem w firmie Płać i Bierz — no, i przeniosłem się tutaj, do tej zakazanej dziury. Bo z którejkolwiek strony spojrzeć, nie są te całe Admiralskie Młyny niczym innym jak zakazaną dziurą.

Lało jak z cebra, kiedy wysiedliśmy na peronie Towarzystwa Kolei Louisville-Nashville, i myślicie, że ktoś po nas wyszedł? A wybuliłem czterdzieści jeden centów na telegram! Moja żona w ciąży i mamy drałować siedem mil na piechotę, w taką ulewę! Najgorzej to się odbiło na Marge, bo ja mam okropne bóle w krzyżu i nie mogę nic nosić. Kiedy wreszcie z daleka zobaczyłem ten dom, muszę przyznać, że zrobił na mnie wrażenie. Bo jest duży, żółty, z prawdziwą kolumnadą i ogródkiem obsadzonym pigwowcami, i tymi kwitnącymi czerwono, i tymi kwitnącymi biało.

Eunice i Olivia-Ann wypatrzyły nas z daleka i czekały w holu. Diabło szkoda, że nie możecie zobaczyć tej pary. Jak Boga kocham, umarlibyście ze śmiechu! Eunice to ta wielka, stara, gruba, z tyłkiem, który waży chyba z ćwierć tony. Deszcz czy pogoda, łązi po domu w tej swojej przedpotopowej szmacie, którą nazywa kimonem, chociaż to nic innego pod słońcem jak brudna flanelowa koszula nocna. Na dodatek żuje tytoń i wyobraża sobie, że jest damą, bo spluwa tak, żeby nikt nie widział. Opowiada przy tym w kółko, jaka to ona jest wykształcona; robi to oczywiście, żeby mi zaleźć za skórę, ale mnie to wzrusza tyle co zeszłoroczne słońce, bo dobrze wiem, że nawet jak czyta komiks, to sylabizuje każdziuteńkie słówko po kolei. Ale jedno jej trzeba przyznać: pieniądze to umie dodawać i odejmować tak szybko, że nie ma najmniejszej wątpliwości,

mogłaby pracować w Waszyngtonie, tam gdzie je drukują. Nie dlatego, żeby nie miała kupy forsy! Sama oczywiście twierdzi, że nie ma, ale ja wiem, że ma, bo któregoś dnia znalazłem przypadkiem blisko tysiąc dolarów schowanych w doniczce na bocznej werandzie. Nie wziąłem złamanego centa, to tylko Eunice opowiada, że ukradłem sto dolarów, co jest od początku do końca wierutnym kłamstwem. Ale ma się rozumieć, co mówi Eunice, to słowo naczelnego wodza, bo w całych Admiralskich Młynach nie ma żywej duszy, która nie byłaby jej winna pieniędzy; jakby Eunice powiedziała, że Charlie Carson (ślepy, pięćdziesięcioletni inwalida, który od 1896 roku nie ruszył się krokiem z miejsca) obalił ją na ziemię i zgwałcił, to każdy, jak hrabstwo długie i szerokie, byłby gotów przysiąc na całą piramidę Biblii, że tak właśnie było.

Ale Olivia-Ann jest jeszcze gorsza, jak Boga kocham! Tyle że nie działa tak człowiekowi na nerwy, bo jest głupkowata od urodzenia i na dobrą sprawę powinno ją się trzymać pod kluczem. Jest blada, koścista i ma wąsy. Przeważnie przesiaduje w kucki i struga jakiś kijek tym swoim czternastocalowym rzeźnickim nożem, a jak już wstanie, to na pewno po to, żeby komuś zrobić jakąś diabelską sztuczkę. Na przykład co zrobiła z panią Harriet Steller Smith? Przysiągłem, że nikomu o tym nie pisnę, ale jak ktoś podstępnie dybie na moje życie, to już przepraszam, do licha z przysięgami.

Pani Harriet Steller Smith to był kanarek Eunice, nazwany tak na cześć pewnej kobiety z Pensacoli, która robi domowe lekarstwo na wszystkie choroby; Eunice używa go na podagrę. Otóż pewnego dnia usłyszałem, że ktoś się tłucze po salonie, więc idę na zwiady i co widzę? Drzwi od klatki otwarte i Oliwię-Ann, która miotłą stara się wypłoszyć panią Harriet Steller Smith przez otwarte okno. Gdybym nie wszedł jak raz w tym momencie, nikt by jej pewnie nie złapał na gorącym

uczynku. A tak Olivia-Ann się spietrała, że poskarżę Eunice, i nuż paplać, że to się nie godzi trzymać stworzenia boskiego w klatce i że w ogóle ciarki ją przechodzą, jak pani Harriet Steller Smith zaczyna śpiewać. Żal mi się jej zrobiło, no, i dała mi dwa dolary, więc jej pomogłem upitrasić bajeczkę dla Eunice. Ma się rozumieć, nigdy bym nie wziął tych pieniędzy, ale sobie pomyślałem, że będzie jej może przez to lżej na sumieniu.

Pierwsze słowa, jakie Eunice powiedziała, ledwo zdążyłem wejść do tego domu, były takie:

— Więc to dla niego straciłaś głowę, Marge, i wydałaś się za męża za naszymi plecami?

— A co, nie przystojny chłopiec, ciociu Eunice? — pyta Marge.

Eunice zmierzyła mnie od stóp do głów i powiada:

— Każ mu się odwrócić.

Stoję odwrócony plecami, a ta Eunice mówi:

— Wybrałaś chyba najgorszego kurdupła z całego miotu. Toż to w ogóle nie mężczyzna!

Jak żyję, nikt mi tak nie ubliżył! Prawda, jestem może trochę krępy, ale przecież nie wyrosłem jeszcze ze wszystkim.

— Mężczyzna, mężczyzna — powiada Marge.

Na to Olivia-Ann, która stała z gębą rozdziawioną tak, że muchy mogły wlatywać i wylatywać, jak im się żywnie podobało:

— Słyszałaś, co siostra mówi? To w ogóle nie mężczyzna. Pomyśleć tylko, taki kurdupel ma czelność przyjść i podawać się za mężczyznę! Toż on w ogóle nie należy do płci męskiej!

— Ciociu Olivio-Ann — powiada Marge — ciocia, zdaje się, zapomina, że to mój mąż i ojciec mojego nienarodzonego dziecka.

Eunice wydała paskudny dźwięk, jak to tylko ona potrafi, i powiada:

— Jedno tylko mogę powiedzieć: ja bym się z tym za bardzo nie obnosiła.

Przyjemne powitanie, nie ma co! A ja rzuciłem taką posadę jako ekspedient w firmie Płać i Bierz.

Ale to kropla w morzu w porównaniu z tym, do czego doszło jeszcze tego samego wieczoru. Kiedy Bluebell sprzątnęła po kolacji ze stołu, Marge pyta najuprzejmiej w świecie, czy nie moglibyśmy pożyczyć wozu, żeby pojechać do kina do Phoenix City.

— Tyś chyba zupełnie zwariowała — powiada Eunice; jak Boga kocham, myślałby kto, żeśmy ją poprosili o to kimono z grzbietu.

— Tyś chyba zupełnie zwariowała — powtarza Olivia-Ann.

— Jest szósta — mówi Eunice — i jeśli sobie wyobrażasz, że ja pozwolę temu kurdupłowi pojechać moim prawie nowym chevroletem tysiąc dziewięćset trzydzieści cztery do wygódki i z powrotem, toś chyba zupełnie zwariowała.

Naturalnie taki język doprowadza Marge do płaczu.

— Nic sobie z tego nie rób, kochanie — powiedziałem. — Dosyć się już w życiu najeździłem cadillacami.

— Aha! — powiada Eunice.

— Tak, tak — mówię.

— Jeśli on kiedy w życiu jechał na traktorze — powiada Eunice — to gotowa jestem zjeść tuzin szczurów gotowanych w terpentynie.

— Nie życzę sobie, żebyście się w ten sposób wyrażały o moim mężu — mówi Marge. — Zachowujecie się wprost niesłychanie. Myślałby kto, że złapałam jakiegoś nieznanego mężczyznę w jakimś obcym mieście.

— Nawarzyłaś piwa, to je teraz pij! — powiada Eunice.

— I nie wyobrażaj sobie, że nam oczy zamydłisz — powiada

Olivia-Ann tym swoim bekliwym głosem, że człowiek w głowę zachodzi, czy to przypadkiem nie ryk miłosny osła.

— Nie urodziłyśmy się dzisiaj, rozumiesz? — powiada Eunice.

Więc Marge mówi jeszcze raz:

— Chciałabym, żebyście zrozumiały, że trzy i pół miesiąca temu zostaliśmy przez uprawnionego sędziego pokoju połączeni na śmierć i życie prawomocnym związkiem małżeńskim. Zapytajcie, kogo chcecie. Ponadto, ciotko Eunice, mój mąż jest wolny, biały i ma skończone szesnaście lat. A George Far Sylvester nie życzyłby sobie, żeby ktoś wyrażał się w ten sposób o jego ojcu.

George Far Sylvester to imiona, jakie wybraliśmy dla naszego dziecka. To dobrze brzmi, nie uważacie? Tylko że tak jak sprawy stoją w tej chwili, nic a nic mnie to już nie obchodzi.

— Jak taka baba może mieć dziecko z drugą babą? — powiada Olivia-Ann, co było przemyślanym atakiem na moją męskość. — No, no, codziennie człowiek się dowiaduje czegoś nowego.

— Och, cicho bądź — powiada Eunice. — I nie mówmy już więcej o tym kinie.

Ale Marge szlocha:

— Kiedy to film z Judy Garland.

— Nic sobie z tego nie rób, kochanie — wtrąciłem się. — Ja pewnie widziałem ten film z dziesięć lat temu w Mobile.

— To wierutne kłamstwo — drze się Olivia-Ann. — Łobuz jesteś, łobuz! Dziesięć lat temu Judy nie grała jeszcze w filmach.

Olivia-Ann nie była ani razu w kinie przez całe pięćdziesiąt dwa lata swego życia (nikomu nie mówi, ile ma lat, ale zapytałem w urzędzie stanowym w Montgomery i bardzo grzecznie mi odpowiedzieli), ale prenumeruje osiem czasopism filmowych. Jak mówi kierowniczka poczty, pani Delancey, są

to jedyne przesyłki, jakie kiedykolwiek dostaje, nie licząc oczywiście katalogów Searsa & Roebucka. Pała chorobliwą miłością do Gary'ego Coopera; ma kufer i dwie walizy pełne jego fotosów.

Wstajemy od stołu i Eunice człapie do okna, spogląda na najbliższy pigwowiec i mówi:

— Ptaszki układają się w gnieździe, czas, żebyśmy i my zbierali się do snu. Ty masz swój dawny pokój, Marge, a temu panu rozstawiłam łóżko polowe na werandzie z tyłu.

Trzeba było dobrej minuty, żebym to przełknął. Powiedziałem:

— A co, jeśli wolno spytać, stoi na przeszkodzie, żebym spał ze swoją prawowitą małżonką?

No, to dopiero wsiadły na mnie obie z buzią.

A Marge czym prędzej odstawiła atak hysterii.

— Przestań, przestań, przestań! Nie zniosę tego dłużej. Idź, złotko... Idź, połóż się, gdzie ci mówią. Jutro zobaczymy...

— No, no — powiada Eunice — okazuje się, że to dziecko ma jednak resztki oleju w głowie.

— Biedne maleństwo — powiada Olivia-Ann, obejmując Marge i popychając ją przed sobą. — Biedne maleństwo, takie młodziutkie, takie niewinniutkie. Chodź, chodź, wypłaczesz się porządnie na ramieniu starej Olivii-Ann.

Przez cały maj, czerwiec, lipiec i kawał sierpnia dusiłem się i pociłem na tym cholernym tylnym ganku bez cienia jakiegokolwiek osłony. A Marge, Marge nie raczyła otworzyć ust w mojej obronie ani razu! Ta część Alabamy jest bagnista, pełna komarów, które zdolne byłyby zagryźć bawołu, gdyby tylko miały okazję, nie mówiąc już o różnych latających karaluchach i tabunie domowych szcurów, tak wielkich, że mogłyby z powodzeniem zaciągnąć pociąg towarowy stąd do Timbaktu. Och, gdyby nie ten mały George, który się ma urodzić, już

dawno wzięłbym nogi za pas. Bo muszę wam powiedzieć, że od tego pierwszego wieczoru nie spędziłem pięciu sekund sam na sam z Marge. Jedna albo druga sterczy nad nami bez przerwy, a w zeszłym tygodniu o mało nie powyskakiwały ze skóry, kiedy Marge zamknęła się w swoim pokoju, a mnie nie mogły nigdzie znaleźć. Prawdę mówiąc, przyglądałem się po prostu, jak Negry belują bawełnę, ale na złość Eunice nie pokazywałem się, jakbyśmy z Marge Bóg wie co robili. Zresztą nic dobrego z tego nie wyszło, bo odtąd wystawiły Bluebell na trzecią zmianę.

A przez cały ten czas nie miałem nawet drobniaków na papierosy. Eunice chodziła za mną i od rana do wieczora ujadła, żebym wziął się do jakiejś pracy.

— Czemu ten bezbożnik nie pójdzie i nie znajdzie sobie uczciwego zajęcia? — nudziła. Jak pewnie zauważyliście, nigdy nie zwraca się do mnie wprost, choć najczęściej jestem jedyną osobą, jaka znajduje się przed jej królewskim obliczem. — Gdyby był choć trochę mężczyzną, takim, co to go naprawdę można nazwać mężczyzną, już dawno by spróbował zarobić na kawałek chleba dla tej dziewczyny, nie tylko sam się opychał moimi prowiantami.

Powinniście chyba wiedzieć, że przez trzy miesiące i trzydzieści dni żyłem prawie wyłącznie zimnymi patatami i resztkami krup kukurydzianych. Dwa razy chodziłem na badanie do doktora A.N. Cartera, ale nie był zupełnie pewien, czy już mam szkorbut, czy jeszcze nie.

A co do pracy, to chciałbym się dowiedzieć, co człowiek o moich kwalifikacjach, który pełnił funkcję ekspedienta w firmie Płać i Bierz, co taki człowiek może znaleźć za robotę w zapchlonej dziurze w rodzaju Admiralskich Młynów? Jest tutaj jeden jedyny sklep, którego właściciel, pan Tubberville, odznacza się takim lenistwem, że cierpi, kiedy musi cokolwiek

sprzedać. Następnie jest kościół baptystów pod wezwaniem Gwiazdy Zarannej, ale mają tam już kaznodzieję, wrednego starego piernika nazwiskiem Shell, którego Eunice przywlokła któregoś dnia, żeby zajął się zbawieniem mojej duszy. Na własne uszy słyszałem, jak mówił, że za daleko już zabrnąłem.

Ale ukoronowaniem wszystkiego jest to, co Eunice zrobiła z Marge. Zbuntowała dziewczynę przeciwko mnie w najbardziej łajdacki sposób, którego żadne słowa nie są w stanie wyrazić. Doszło do tego, że Marge ośmieliła mi się odszczekiwać. Ale wlepiłem jej kilka porządnych klapsów i położyłem sprawie kres. Nigdy nie pozwolę, żeby moja własna żona była wobec mnie niegrzeczna, co to, to nie!

Oto jak linie nieprzyjacielskie zacisnęły się dokoła mnie: Bluebell, Olivia-Ann, Eunice, Marge i cała reszta Admiralskich Młynów (342 dusze). Sprzymierzeńców: brak. Taka była sytuacja w niedzielę dwunastego sierpnia, kiedy to dokonano zamachu na moje życie.

Dzień wczorajszy był spokojny i taki upalny, że skała by się roztopiła. Rozróbka zaczęła się punkt o drugiej. Wiem, bo Eunice ma jeden z tych idiotycznych zegarów z kukułką, które mi zawsze napędzają stracha. Siedziałem w salonie, pochłonięty własnymi sprawami, bo akurat układałem piosenkę, akompaniując sobie na pianinie, które Eunice kupiła Olivii-Ann, zanim jej zaangażowała tego nauczyciela muzyki, żeby przyjeżdżał raz w tygodniu aż z Columbus, z Georgii. Kierowniczka poczty, pani Delancey, która była mi życzliwa, dopóki nie doszła do wniosku, że może jej to nie wyjść na zdrowie, opowiada, że ten nauczyciel, dystyngowany facet, wypadł któregoś popołudnia z domu, jakby mu sam Adolf Hitler deptał po piętach, wskoczył do swojego wozu, zamkniętego forda, i tyle go widzieli. Więc, jak powiadam, siedzę sobie w chłodku,

w salonie, nie przeszkadzam żywej duszy, aż tu kłusem wpada Olivia-Ann z głową całą w papilotach i piszczy:

— Przerwij mi w tej chwili to piekielne bębnienie! Nie ma człowieka minuty spokoju! I wynoś się od mojego pianina, ale już! To moje pianino, nie twoje, i jak się zaraz od niego nie wyniesiesz, ani się obejrzysz, jak cię podam do sądu, od razu w pierwszy poniedziałek września.

Nic, tylko wściekła się z zazdrości. Bo trzeba wam wiedzieć, że mam wrodzony talent muzyczny i piosenki, które układam, ot tak, z głowy, są wprost porywające.

— Popatrz, coś ty zrobił z moimi klawiszami! To prawdziwa kość słoniowa, panie Sylvester — powiada, podbiegając tym swoim truchcikiem do pianina. — Powyrywałeś je z mięsem, byleby mi tylko na złość zrobić, tak, powyrywałeś wszystkie!

A dobrze wiedziała, że to jej całe pianino nadawało się na śmietnik, zanim jeszcze moja noga stała w tym domu.

Więc powiedziałem:

— Taka pani dociekliwa, panno Olivio-Ann, to może zainteresuje panią wiadomość, że i ja jestem w posiadaniu paru interesujących historyjek. Paru takich fakcików, z którymi pewne postronne osoby też może by się chętnie zapoznały. Na przykład co się stało z panią Harriet Steller Smith.

Pamiętacie panią Harriet Steller Smith?

Urwała i popatrzyła na pustą klatkę.

— Przysięgałeś — powiada, oblewając się purpurą o przerażającym odcieniu.

— Może przysięgałem, a może i nie przysięgałem — mówię. — Brzydko pani postąpiła, zawiodła pani zaufanie Eunice. Ale gdyby pewna osoba zostawiła w spokoju pewną osobę, to może mógłbym to przemilczeć.

No to zakręciła się i wyszła. Grzeczniutka, spokojniutka, jak marzenie. A ja wstałem i wyciągnąłem się na sofce. Ta sofka to

chyba najokropniejszy mebel, jaki w życiu widziałem; należy do kompletu, który Eunice kupiła w tysiąc dziewięćset dwunastym roku w Atlancie i za który zapłaciła dwa tysiące dolarów gotówką — tak przynajmniej twierdzi. Komplet jest czarny, kryty oliwkowym pluszem i śmierdzi jak zmokłe kurczaki w dżdżysty dzień. Róg salonu zawala wielki stół od tego kompletu, a na nim stoją oparte dwa portrety przedstawiające mamę i tatę panien E. i O. A. Tata jest nawet niczego sobie, ale tak między nami mówiąc, przekonany jestem, że miał skądś te kilka kropel czarnej krwi. Był kapitanem w wojnie domowej, o czym do końca życia będę pamiętał, a to ze względu na tę jego szablę, która wisiała nad kominkiem i odegrała taką pierwszorzędną rolę w nadchodzących wypadkach. Mama ma ten sam głupkowaty, hycłowski wygląd co Olivia-Ann, chociaż muszę przyznać, że mamie jest z nim mimo wszystko bardziej do twarzy.

Zdrzemnąłem się więc odrobinę, aż tu słyszę ryk Eunice: „Gdzie on jest? Gdzie on jest?”. I nim się obejrzałem, widzę, stoi w drzwiach, z rękami wbitymi w te swoje biodra hipopotama, a za nią pcha się cała banda: Bluebell, Olivia-Ann i Marge.

Minęło kilka sekund, a ona nic, tylko tupie wielgachną bosą nogą, jak może najszybciej i najwścieklej, i wachluje tłustą gębę tekturowym obrazkiem wodospadu Niagara.

— Gdzie jest? — powiada. — Gdzie moje sto dolarów, które świsnął, jak się tylko odwróciłam na chwilę plecami?

— To jest ta słomka, pod którą złamał się grzbiet wielbłąda — mówię, za bardzo zgrzany i zmęczony, żeby wstać.

— Nie ten jeden grzbiet się tutaj dzisiaj złamie — powiada, a te wyłupiaste oczy mało jej nie wyskoczą z orbit. — To są pieniądze, które zbierałam na pogrzeb, i chcę je mieć z powrotem. Mogłam się spodziewać, że on to i umarłego okradnie.

— Może on wcale nie wziął tych pieniędzy — odzywa się Marge.

— Ty tu nosa nie wtykaj, moja panno — powiada Olivia-Ann.

— Ukradł jak amen w pacierzu — powiada Eunice. — Popatrzcie tylko na jego oczy: błyszczą się ze strachu.

Ziewnąłem na to i powiadam:

— Jak to mówią w sądzie? Jeśli jedna strona fałszywie oskarża drugą stronę, to ta pierwsza strona może zostać wtrącona do więzienia, nawet jeżeli ze względu na bezpieczeństwo wszystkich zainteresowanych właściwym miejscem jest dla niej szpital wariatów.

— Bóg go skarże — powiada Eunice.

— Och, siostro — powiada Olivia-Ann — nie czekajmy na Boga.

I wtedy Eunice rusza w moim kierunku z błędnym wzrokiem, wlokąc po ziemi tę swoją brudną flanelową koszulę, Olivia-Ann pełźnie za nią, Bluebell wydaje ten jęk, który musiał chyba dolecieć do Eufali i z powrotem, a Marge stoi tymczasem, załamując ręce i zawodząc.

— Oh! — lamentuje. — Oddaj jej, złotko, te pieniądze.

— *Et tu, Brute?* — mówię. To z Williama Szekspira.

— Patrzcie go — powiada Eunice. — Wyleguje się po całych dniach, nawet palcem o palec nie stuknie.

— Żałosne — gdacze Olivia-Ann.

— Myślałby kto, że to on się spodziewa dziecka, nie to biedne maleństwo. — To słowa Eunice.

Teraz Bluebell uważa za stosowne wtrącić swoje trzy grosze.

— Święta prawda — powiada.

— Przyganiał kocioł garnkowi — mówię.

— Przez trzy miesiące zbijał bąki w moim domu, kurdupel jeden, a teraz ma czelność rzucać na mnie oszczerstwa — powiada Eunice.

Strzepnąłem tylko odrobinę popiołu z rękawa i ani trochę niezbity z tropu mówię:

— Doktor A.N. Carter ostrzegł mnie, że grozi mi szkorbut i nie powinienem się narażać na najmniejsze zdenerwowanie, bo w przeciwnym wypadku może mi wystąpić piana na usta i jeszcze kogo pogryzę.

Na to odzywa się Bluebell:

— Czemu on nie wróci do tej swojej hołoty, do Mobile, panno Eunice? Chyba dosyć się już po nim nawynosiłam kubłów?

Ma się rozumieć, czarna Negrzyca doprowadziła mnie do takiej pasji, że na oczy zaniewidziałem. Ale wstałem, godnie jak lord angielski, zdjąłem parasolkę z wieszaka i jak jej nie grzotną przez łeb! Aż parasolka trzasnęła na dwie równiutkie połówki.

— Moja parasolka z japońskiego jedwabiu! — piszczy Olivia-Ann.

A Marge drze się:

— Zabiłeś Bluebell, zabiłeś biedną starą Bluebell!

Eunice popycha Olivię-Ann i powiada:

— Pokiełbaś mu się do reszty w głowie! Biegnij, sestro! Biegnij i przyprowadź pana Tubberville!

— Nie cierpię pana Tubberville — powiada Olivia-Ann zdecydowanie. — Polecę, przyniosę nóż rzeźnicki.

I daje nura w drzwi. Ale do śmierci jeszcze mi nieśpieszno, więc ją capnąłem i przewróciłem na ziemię. Naderwałem sobie krzyż, coś okropnego!

— Zabije ją! — wrzeszczy Eunice tak głośno, że mała dom się nie rozwali. — Wszystkich nas zamorduje! A mówiłam, mówiłam, Marge. Szybko, dziecko, zdejmuj szablę dziadziusia!

Więc Marge zdejmuje szablę znad kominka i podaje Eunice! Małżeńska solidarność, co? A jakby tego było jeszcze mało, Olivia-Ann daje mi okropnego kopa kolanem, tak że musiałem ja puścić. Aniśmy się obejrzeni, a ona już jest na dworze i na całe gardło wyśpiewuje hymn.

*Widziałam przyjście Pana: płaszcz chwały go odziewał,
A z takiej szedł winnicy, co rodzi grona gniewu...*

Tymczasem Eunice gania po całym salonie i wymachuje jak wariatka szablą ojca. Sam nie wiem, jak mi się udało wdrapać na pianino, a tu patrzeć, Eunice już się gramoli na stołek. Jak taki rachityczny stołek od pianina nie zawalił się pod taką kolubryną, tego nigdy nie zrozumiem.

— Złaż stąd, tchórze śmierdzący, bo cię na tę szablę nadzieję — powiada i jak się nie zamachnie; mam ranę na pół cala, możecie zobaczyć.

Tymczasem Bluebell przysłała do siebie i czmychnęła na dwór odprawiać z Olivia-Ann godzinki. Już były pewne, że lada chwila dostaną moje martwe ciało. I Bóg jeden wie, że by dostały, gdyby jak raz Marge nie runęła nieprzytomna na ziemię.

To jest jedyna dobra rzecz, jaką mogę powiedzieć o Marge.

Co się działo potem, nie bardzo mogę sobie przypomnieć. Wiem tylko, że Olivia-Ann zjawiała się z powrotem z tym swoim czternastocalowym nożem rzeźnickim, a za nią cała zgraja sąsiadów. Ale raptem Marge zrobiła się czołową atrakcją; zdaje się, że ją wynieśli do jej pokoju. W każdym razie jak tylko wyszli, zabarykadowałem się czym prędzej w salonie.

Zwaliłem pod drzwi te wszystkie czarne, kryte oliwkowym pluszem krzesła i ten wielki czarny mahoniowy stół, który waży ładne parę ton, i wieszak, i kupę innych gratów. Zamknąłem okna i opuściłem żaluzje. Znalazłem także pięcioletnią bombonierkę z napisem „Słodczyce miłości” i właśnie w tej chwili mam w ustach wyśmienitą, soczystą wiśnię w czekoladzie. Od czasu do czasu ktoś podchodzi do drzwi i puka, i woła, i tłumaczy. Tak, tak, teraz inaczej zaczęli śpiewać. A co do mnie — to zagram im co jakiś czas na pianinie, żeby wiedzieli, że jestem dobrej myśli.

Drzewo nocy

Była zima. Sznur nagich żarówek, które sprawiały wrażenie, jakby wypromieniowało z nich całe ciepło, oświetlał zimny, wietrzny peron małej stacyjki. Wcześniej wieczorem padał deszcz i z okapu budynku stacyjnego zwisały sople jak wyszczerzone kły kryształowego smoka. Oprócz młodej, dość wysokiej dziewczyny na peronie nie było nikogo. Dziewczyna miała na sobie szary flanelowy kostium, płaszcz nieprzemakalny i kraciasty szalik. Jej włosy, bujne, ciemnoblond, przedzielone były pośrodku i zaczesane zgrabnie po bokach. Twarz miała jakby za szczupłą i za wąską, była jednak — choć może nie wybitnie — niewątpliwie przystojna. Poza plikiem pism i szarą zamszową torebką, na której ozdobnymi mosiężnymi literami wypisane było imię Kay, ścisnęła pod pachą zaskakującą zieloną gitarę.

Kiedy buchając parą i błyskając światłami, wynurzył się z ciemności pociąg i zatrzymał z łoskotem, Kay wzięła swoje rzeczy i wsiadła do ostatniego wagonu.

Wagon był zabytkowy, o wysłużonym wnętrzu, z siedzeniami obitymi staroświeckim czerwonym pluszem, miejscami wyłysiałym, z odpadającymi częściami drewnianymi koloru jodyny.

Archaiczna miedziana lampa u sufitu wyglądała romantycznie i nie na swoim miejscu. W powietrzu wisiał przykry, zastały dym, a upalna duchota uwydatniała zgniły odór niedojedzonych kanapek, ogryzków od jabłek i skórek od pomarańczy, które wespół z papierowymi kubkami, butelkami po wodzie sodowej i pomiętymi gazetami zaśmiecały przejście. Z urządzenia do chłodzenia wody, osadzonego w ścianie, ciekł na podłogę nieprzerwany strumyczek. Pasażerowie, którzy zmierzali wchodzącą Kay zmęczonym wzrokiem, sprawiali wrażenie niepomyślnych niewygód.

Kay oparła się pokusie, żeby zatkać nos, i ostrożnie ruszyła wzdłuż przejścia, raz tylko, niegroźnie, potykając się o wyciągniętą nogę grubasa pogrążonego w śnie. Dwóch mężczyzn o nijakim wyglądzie odprowadziło ją ciekawym spojrzeniem, a jakiś malec stanął na ławce piszcząc: „Popatrz, mamo, banjo! Pszepani, pani da zagrać na banjo!” — i dopiero klaps wymierzony przez matkę zamknął mu buzię.

W całym wagonie było tylko jedno wolne miejsce. Kay odkryła je na samym końcu, w przedziale zajęтым już przez parę, mężczyznę i kobietę, którzy siedzieli z nogami wyciągniętymi leniwie na pustej ławce przed sobą. Kay zawahała się chwilę, nim zapytała:

— Nie mieliby państwo nic przeciwko temu, żebym tu usiadła?

Kobieta poderwała głowę, jakby nie tylko zadano jej proste pytanie, ale przy okazji dźgnięto szpilką. Zdobyła się jednak na uśmiech.

— Nic nie stoi na przeszkodzie, kochana — powiedziała, zdejmując nogi z ławki, równocześnie z dziwną bezosobowością zsuwając nogi mężczyzny, który wyglądał przez okno, nie zwracając na nic uwagi.

Podziękowawszy kobiecie, Kay zdjęła płaszcz i usadowiła się z torbą i gitarą obok siebie, a pismami na kolanach; było względnie wygodnie, choć żałowała, że nie ma jaśka pod plecy.

Pociąg drgnął, para zasyczała widmowo za oknem; mętne światła samotnej stacyjki niknęły powoli w tyle.

— Ale zakazana dziura — odezwała się kobieta. — Żadnych domów, nic.

— Miasto jest o parę mil stąd — powiedziała Kay.

— Tak? Panienska tutejsza?

Nie. Kay wyjaśniła, że przyjechała tylko na pogrzeb wujka, który — o czym już oczywiście nie wspomniała — nic nie zostawił jej w spadku prócz tej zielonej gitary. Dokąd jedzie? No, wraca na uczelnię.

Przeżuwszy tę wiadomość, kobieta zawyrokowała:

— Bo to się panienska co naumie w takim miejscu? Ja też jestem edukowana jak się patrzy, a na oczy nie widziałam nijakiej uczelni. Tak, kochana.

— Ta-ak? — mruknęła Kay uprzejmie i uznając sprawę za zakończoną, otworzyła jedno z pism.

Było za ciemno na czytanie, zresztą żaden artykuł nie wyglądał w najmniejszej mierze zachęcająco. Nie chcąc się jednak wplątać w tasiemcową rozmowę, Kay wpatrywała się tępo w pismo, dopóki nie poczuła ukradkowego stuknięcia w kolano.

— Panienska nie czyta! — powiedziała kobieta. — Człowiek potrzebuje do kogoś gębę otworzyć. A do niego gadać nijaka przyjemność. — Machnęła wielkim palcem w stronę milczącego mężczyzny. — On jest upośledzony, głuchoniemy, znaczy się. Rozumie panienska?

Kay złożyła pismo i przyjrzała się kobiecie właściwie po raz pierwszy. Była ona mała, nogami ledwo dotykała podłogi. I jak

często bywa z ludźmi mizernego wzrostu, natura pozwoliła sobie wobec niej na kaprys — w jej przypadku na olbrzymią, monstrualnych rozmiarów głowę. Na obwisłej, nalanej twarzy błyszczał róż, tak że trudno było się domyślić, ile ma lat: może pięćdziesiąt, pięćdziesiąt pięć. Wielkie cielece oczy patrzyły z ukosa, jakby nie dowierzając temu, co widzą. Rude włosy, niewątpliwie farbowane, zwinięte były w tłuste, zaskorupiałe grajcaraki. Niegdyś elegancki lawendowy kapelusz klapnął idiotycznie na bok, tak że kobieta zajęta była bez przerwy odgarnianiem zwisającej kiści celuloidowych wiśni naszytych na rondzie. Miała na sobie prostą, lekko wyszmelcowaną granatową sukienkę. Jej oddech był wyraźnie przesiąknięty słodkawym zapachem ginu.

— Porozmawiasz ze mną, co, kochana?

— Porozmawiam — obiecała Kay, niezbyt zachwycona tą perspektywą.

— Jasne, że porozmawiasz. Ma się rozumieć. Dlatego lubię jeździć pociągiem. Bo w autobusie to same mruki, gęby do człowieka nie otworzą. A w pociągu każdy musi wyłożyć karty na stół. Zawsze to powtarzam. — Jej głos był wesoły i tubalny, chrapliwy jak u mężczyzny. — To przez niego trzeba zawsze łapać te miejsca. Oddzielone jak się patrzy, całkiem jak osobny przedział. No nie?

— Tak, bardzo przyjemne — zgodziła się Kay. — Dziękuję, że pozwoliła mi się pani dosiąść.

— Z wielką chęcią, kochana. Nie mamy za często towarzystwa. Bo niektórych to denerwuje, jak siedzą koło niego.

Jakby chcąc temu zaprzeczyć, mężczyzna wydał dziwny, kosmaty dźwięk z głębi krtani i pociągnął kobietę za rękaw.

— Daj spokój, serdeńko — powiedziała jak do niesfornego

dziecka. — Co ja takiego robię? Tak sobie tylko gawędzimy. No, zachowuj się przyzwoicie, bo ta śliczna panienska zabierze się i pójdzie. Ona jest bardzo bogata, na uczelnię chodzi. — I mrugając, dorzuciła: — Myśli, że jestem pijana.

Mężczyzna opadł na siedzenie, przekrzywił głowę i kąci-kiem oka ją uważnie lustrować Kay. Jego oczy, jak dwie zamglone mlecznoniebieskie kuleczki, ukryte były za grubymi rzęsami i dziwnie piękne. Natomiast, pominąwszy wyraz jakiejś nieobecności, szeroka twarz bez śladu zarostu właściwie pozbawiona była ekspresji; tak jakby mężczyzna nie potrafił przeżywać i objawiać najlżejszej emocji. Siwe włosy miał króciutko ostrzyżone i zaczesane do przodu, tworzyły nierówną grzywkę. Wyglądał jak dziecko raptownie przemienione przez nieczystą siłę w starszego pana. Ubrany był w wytarte ubranie z granatowej serży i zlany podłymi, tanimi perfumami. Na ręce nosił zegarek z rysunkiem Mickey Mouse.

— Myśli, że jestem pijana — powtórzyła kobieta. — A najśmieszniejsze, że jestem. Niech tam... Człowiek musi coś robić, no nie? — Pochyliła się bliżej. — No nie?

Kay patrzyła wciąż na mężczyznę; sposób, w jaki jej się przyglądał, był denerwujący, ale nie mogła od niego oderwać oczu.

— Pewnie tak — powiedziała.

— A może byśmy się tak napiły? — zaproponowała kobieta.

Zanurzyła rękę w ceratowej torbie i wydobyła napoczętą butelkę ginu. Zaczęła odkręcać kapsel, ale się rozmyśliła i podała butelkę Kay.

— Jak nic, zapomniałabym, że panienska też należy do kompanii — powiedziała. — Pójdę, przyniosę tych paradnych papierowych kubków.

I nim Kay zdążyła zaprotestować, kobieta się poderwała i niezbyt pewnym kroczkiem ruszyła wzdłuż wagonu w stronę urządzenia do chłodzenia wody.

Kay ziewnęła i oparła czoło o szybę, palcami leniwie przebiegając po strunach; z gitary popłynęła głucha, usypiająca melodia, równie kojąca swoją jednostajnością jak południowy krajobraz, który się przesuwał za oknami, rozmyty w ciemności. Nad pociągiem mroźny zimowy księżyc toczył się po łuku nocnego nieba jak cienkie białe koło.

I wówczas, bez żadnego ostrzeżenia, wydarzyło się coś dziwnego: mężczyzna wyciągnął rękę i ostrożnie pogłaskał Kay po policzku. Mimo zaskakującej delikatności gest był tak śmiały, że w pierwszej chwili nie wiedziała, co o tym sądzić — jej myśl pomknęła w trzech czy czterech fantastycznych kierunkach. Mężczyzna pochylił się tak, że jego dziwne oczy znalazły się tuż koło niej; woń perfum przyprawiła ją o mdłości. Gitara milczała, kiedy wymieniali badawcze spojrzenie. I nagle, z nieznanego źródła współczucia, ogarnęła ją przejmująca fala litości dla tego człowieka, ale jednocześnie czuła obezwładniający wstręt, bezgraniczną odrazę, której nie mogła przezwyciężyć; było w nim coś, jakaś nieuchwytna cecha, której nie potrafiła umiejscowić, a która jej przypominała... Właśnie, co przypominała?

Po chwili mężczyzna uroczystym gestem opuścił rękę i osunął się z powrotem na miejsce; twarz wykrzywił mu ośli grymas, jakby zaprezentował zręczną sztuczkę, za którą oczekuje poklasku.

— No, to wio, panie kowboj! — wykrzyknęła kobieta. I siadając, głośno oznajmiła: — W głowie mi się kręci, jakbym miała kołowrotek. A zmachałam się jak pies! Tfu! — Z piramidki papierowych kubków oddzieliła dwa, a resztę od niechcenia

wsunęła za bluzkę. — Będzie im bezpiecznie. I sucho, cha, cha, cha! — Chwycił ją atak kaszlu, lecz kiedy minął, wydawała się spokojniejsza. — Bawił panienkę mój chłoptaş? — zapytała, klepiąc się z nabożeństwem po piersiach. — Słodki z niego kawaler.

Wyglądała, jakby miała lada chwila zemdleć. Prawdę mówiąc, Kay nie wzięłaby jej tego za złe.

— Ja nie będę piła — oświadczyła, zwracając butelkę. — Nigdy nie piję. Nie znoszę alkoholu.

— Ja ci dam psuć zabawę — powiedziała kobieta stanowczym tonem. — No, bierz kubek, bądź grzeczna.

— Ależ, proszę pani...

— Jak Boga kocham, bierz, jak ci dają. Patrzcie ją, taka młoda i nerwy będzie pokazywać. Co do mnie, to nie dziwota, żebym dygotała jak listek. Mam swoje powody, Bóg jeden wie, że mam.

— Ale...

Niebezpieczny uśmieszek wykrzywił paskudnie twarz kobiety.

— Co to? Za ordynarna dla panienki kompania do picia?

— Ależ proszę mnie źle nie rozumieć — powiedziała Kay z drżeniem w głosie. — Nie lubię tylko, żeby mnie kto zmuszał, jak nie mam ochoty. O! Może odstąpię temu panu?

— Jemu? Nie, panienko. I tak mu zbywa oleju w głowie. No, lu, kochana, do dna.

Widząc, że opór jest bezcelowy, Kay skapitulowała, żeby uniknąć ewentualnej awantury. Umoczyła wargi i przeszedł ją dreszcz. Gin był podły; piekł w gardło, aż łzy jej napłynęły do oczu. Szybko, kiedy kobieta nie patrzyła, wylała zawartość kubka do pudła rezonansowego gitary. Zauważył to jednak mężczyzna, więc Kay posłała mu błagalne spojrzenie, żeby jej

nie zdradził. Ale z bezmyślnego wyrazu jego twarzy nie mogła wyczytać, czy cokolwiek rozumie.

— Skąd jesteś, dziecko? — podjęła tymczasem kobieta.

Oszołomiona, Kay nie umiała przez chwilę znaleźć odpowiedzi. Jedna przez drugą cisnęły jej się do głowy nazwy miast. W końcu wybrała Nowy Orlean.

— Z Nowego Orleanu — powiedziała.

Kobieta się rozpromieniła.

— Z Nowego Orleanu? Tam bym chciała leżeć, jak wyciągnę nogi. Kiedyś, no, w jakimś dwudziestym trzecim roku, prowadziłam w Nowym Orleanie taki elegancki salonik. Przyszłość przepowiadałam. Poczekaj no, tak, to było na St. Peter Street. — Przerwała i schyliła się, żeby postawić na ziemi butelkę. Ale butelka upadła, potoczyła się; z sennym chrzęstem jąła się turlać tam i z powrotem w przejściu. — Bo wychowałam się w Teksasie, na ranczo. Mój tatuś był bogaty i dzieciaki miały zawsze wszystko, co najlepsze. Ubrania to aż z Paryża, z Francji, znaczy się. Panienka też ma pewnie dom jak się patrzy? Ogród? Kwiaty przed domem?

— Tylko krzak bzu.

Do wagonu wszedł konduktor poprzedzony chłodnym podmuchem wiatru, który zaszeleścił w śmieciach zaścielających przejście i na krótko ożywił zatechłe powietrze. Słysząc było, jak stąpa, zatrzymując się tu i tam, żeby przeciąć bilet czy zamienić parę słów z pasażerami. Było po północy. Ktoś wprawnie grał na organkach. Ktoś roztrząsał przymioty pewnego polityka. Jakieś dziecko krzyknęło przez sen.

— Nie zadzierałaby tak panienka nosa, jakby wiedziała, kim jesteśmy — powiedziała kobieta, podrzucając olbrzymią głową. — Nie jesteśmy pierwszymi lepszymi, co to, to nie.

Zakłopotana Kay otworzyła nerwowo paczkę papierosów i zapaliła. Zastanawiała się, czy nie ma przypadkiem miejsca w następnym wagonie. Nie była w stanie ani minuty dłużej znieść towarzystwa kobiety, zresztą mężczyzny także. Nigdy nie znajdowała się w sytuacji, która by się dała porównać do obecnej.

— Niech pani się nie gniewa — powiedziała — będę musiała iść. Było bardzo przyjemnie, ale umówiłam się z przyjaciółką. Mamy się spotkać w pociągu.

Z prawie niedostrzegalną szybkością kobieta złapała ją za przegub.

— Nie uczyła cię mamusia, że to grzech kłamać? — zapytała scenicznym szeptem. Lawendowy kapelusz spadł jej z głowy, ale go nie podniosła. Szybkim ruchem wysunęła język i oblizwała wargi. A kiedy Kay wstała, jeszcze silniej zacisnęła dłoń na jej przegubie. — Siadaj, kochana. Nie masz tu żadnej przyjaciółki. My jesteśmy twoimi jedynymi przyjaciółmi i za nic w świecie nie pozwolimy ci odejść.

— Prawdę mówię, nie kłamię.

— Siadaj, kochana.

Kay upuściła papierosa, którego zaraz podniósł mężczyzna. Rozparł się w kącie, cały pochłonięty wydmuchiowaniem soczystych kólek, które się wspinały do góry jak puste źrenice i rozpływały w nicość.

— Nie chciałybyś chyba urazić jego uczuć, co, kochana? — zaciągnęła kobieta miękko. — Siadaj, no, siadaj. Tak, grzeczna dziewczynka. O, co za śliczna gitara. Co za śliczna, prześliczna gitara.

Jej głos utonął w nagłym łoskocie mijanego pociągu. Na moment w wagonie zgasły światła i złote okna przejeżdżającego pociągu zamrugały w ciemności czarno-żółto, czarno-żółto,

czarno-żółto. Papieros w ustach mężczyzny pulsował jak robaczek świętojański, kółka dymu wciąż cierpliwie wspinały się do góry. Z zewnątrz dobiegło nagłące bicie dzwonu.

Kiedy z powrotem zapaliły się światła, Kay masowała przegub, na którym silne palce kobiety zostawiły bolesną czerwoną pręgę. Była bardziej zdziwiona niż zła. Postanowiła poprosić konduktora, żeby jej znalazł inne miejsce. Ale kiedy przyszedł i sprawdził jej bilet, prośba rozplynęła się w niezrozumiałym bełkocie.

— Co, proszę pani?

— Nic — powiedziała.

Konduktor poszedł. Trio w przedziale obserwowało się nawzajem w napiętym milczeniu. Wreszcie kobieta powiedziała:

— Muszę ci pokazać, co tam mam, kochana. — Zaczęła znów gmerać w ceratowej torbie. — Nie będziesz tak zadzierała nosa, jak to zobaczysz.

Ulotka, którą podała Kay, wydrukowana była na tak pożółkłym papierze, jakby liczyła parę stuleci. Ozdobnymi, nazbyt pokrętnymi literami głosiła:

ŁAZARZ
CZŁOWIEK ŻYWCEM POGRZEBANY
CUD
PRZEKONAJ SIĘ NA WŁASNE OCZY

Dorośli 25 c. Dzieci 10 c.

— Najprzód to zawsze śpiewam hymn i wygłaszam kazanie — powiedziała kobieta. — Smutne to jak nie wiem co, ludziska co starsi łzami się zalewają. Strój mam na sobie taki

elegancki, czarny welon, czarną suknię. Jak mi w tym do twarzy! A on ma ślubny garnitur, mówię panience, pierwsza klasa, obstalunkowy, i turban na głowie, a twarz calutką w talku. Chcemy, żeby wszystko było rzetelne, jak na prawdziwym pogrzebie. Ale gdzie tam, czasy dzisiaj takie, że zawsze przyłią jakieś mądrale, żeby się z człowieka podśmiewać. Nieraz to aż Bogu dziękuję, że on jest upośledzony i nie słyszy, bo pewnie by się czuł paskudnie.

— Jeżdżą państwo z jakimś cyrkiem czy trupą wędrowną?

— Też coś! Sami jeździmy — powiedziała kobieta, podnosząc z ziemi kapelusz. — Lata już tak jeździmy, całe lata. W każdej zakazanej dziurze już przedstawialiśmy, jak Południe długie i szerokie. W Singasong, w Missisipi. W Spunky, w Luizjanie. W Eurece, w Alabamie. — Nazwy płynęły dźwięcznie z jej ust, goniąc jedna drugą jak krople deszczu. — A po hymnie, po kazaniu, to go grzebiemy.

— W trumnie?

— Ano w trumnie. Śliczną mamy trumnę. Z wiekiem calutkim w srebrne gwiazdki.

— I on się nie udusi? — zapytała Kay w zdumieniu. — Jak długo jest pogrzebany?

— Wszystko razem trwa jaką godzinę. Rozumie się, nie licząc tego, co siedzi na wabia.

— Na wabia?

— Yhm. To się robi zawsze wieczorem, przed przedstawieniem. Szukamy jakiegoś sklepu, może być wszystko jedno jaki sklep, żeby tylko miał jak się patrzy wystawę, i prosimy właściciela, żeby mu pozwolił usiąść za szybą. No i wprowadza się w trans. Siedzi tak calutką noc sztywny jak kij, a ludziska się zbiegają i gapią. Napędza im nieliczego stracha. — Mówiąc, dłużyła w uchu palcem, od czasu do czasu wyjmując go, żeby

się przekonać, co wydlubała. — Raz w Missisipi jeden taki bęcwał, szeryf, chciał...

Historia, która nastąpiła, była zagmatwana i bezsensowna; Kay nie starała się nawet słuchać. Ale to, co usłyszała, przywołało wspomnienie, mglistą rekapitulację pogrzebu wujka, ceremonii, która — prawdę mówiąc — nie zrobiła na niej szczególnego wrażenia, gdyż wujka ledwo znała. Teraz jednak, patrząc roztargnionym wzrokiem na mężczyznę, oczyma duszy ujrzała twarz zmarłego, białą na pastelowej jedwabnej poduszce trumny. Porównując te dwie twarze, twarz mężczyzny i twarz wujka, odkryła między nimi dziwne podobieństwo: na twarzy mężczyzny malował się ten sam przeraźliwy, zagadkowy spokój mumii, tak jakby był to naprawdę eksponat w szklanej gablocie, przeznaczony do oglądania, niezainteresowany tym, co sam widzi.

— Przepraszam, co pani mówiła?

— Mówiłam: żeby to nam kiedy pozwolili przedstawiać jak się patrzy, na prawdziwym cmentarzu. Ale gdzie tam, przeważnie się musi człowiek obchodzić byle czym. Dziewięć razy na dziesięć przedstawiamy na pustych parcelach, akuratnie koło jakiejś śmierdzącej stacji benzynowej. Bogiem a prawdą, to nie bardzo pomaga. Ale jak powiadam, numer mamy pierwsza klasa, lepszego nie znajdzie. Powinna panienka przyjść, obejrzeć, jak się nadarzy okazja.

— Z największą przyjemnością — powiedziała Kay automatycznie.

— Z największą przyjemnością, z największą przyjemnością — przedrzeźniła kobieta. — Kto cię o to prosi? Prosi cię kto? — Zadarła spódnicę i energicznie wytarła nos w brzeg postrzępionej halki. — Wierz mi, dobrze się człowiek musi napracować, żeby zarobić dolara. Zgadnij, jakąśmy mieli kasę

w ostatnim miesiącu? Pięćdziesiąt trzy dolary! Kochana, spróbuj wyżyć miesiąc za pięćdziesiąt trzy dolary. — Siąknęła nosem i skromnie obciągnęła z powrotem spódnice. — Tak, aż pewnego pięknego dnia mój słodki chłoptaş kipnie pod ziemią. I jeszcze znajdą się tacy, co powiedzą, żeśmy cyganili.

W tym momencie mężczyzna wyciągnął z kieszeni coś, co wyglądało na pestkę od śliwki powleczoną równiutką warstwą szelaku. Ułożył ją na otwartej dłoni i spojrzał na Kay. Upewniwszy się, że go obserwuje, rozwarł szeroko powieki i jął ścisnąć i pieścić pestkę w niewytłumaczalnie lubieżny sposób. Kay zmarszczyła brwi.

— Czego on chce?

— Żeby panienka kupiła.

— A co to jest?

— Amulet — powiedziała kobieta. — Amulet na miłość.

Grający na organkach urwał i od razu uwydatniły się inne dźwięki: czyjeś chrapanie, taniec jeżdżącej tam i z powrotem butelki, dyskutujące sennie głosy, odległy łoskot kół.

— Nigdzie taniej nie kupisz miłości, kochana.

— Tak, to bardzo ładne. Oryginalne — powiedziała niepewnie Kay.

Mężczyzna tarł i polerował pestkę o nogawkę spodni. Głowę trzymał przekrzywioną pod żalonym, błagalnym kątem. Potem wsadził pestkę między zęby i spróbował nagryźć, jakby to była srebrna moneta podejrzanego jakości.

— Tylko że amulety przynoszą mi zawsze pecha. Zresztą... Och, nie może mu pani powiedzieć, żeby przestał?

— Co panienka taka przewrażliwiona? — zapytała kobieta głosem matowym jak nigdy dotąd. — On krzywdy nie zrobi.

— Niech mu pani każe przestać, u licha!

— A co ja mogę poradzić? — powiedziała kobieta, wzruszając ramionami. — Panienska ma pieniądze, nie ja. Panienska jest bogata. On chce wszystkiego dolara, jednego dolara.

Kay wsadziła torebkę pod pachę.

— Mam tylko tyle co na podróż — skłamała, wstając szybko i wysuwając się spomiędzy ławek.

Stała w przejściu, spodziewając się awantury. Ale nic nie nastąpiło. Kobieta westchnęła z nienaturalną obojętnością i zamknęła oczy. Po chwili mężczyzna dał także za wygraną i wsadził amulet do kieszeni. Jego dłoń popęzła po siedzeniu i splotła się luźnym uściskiem z dłonią kobiety.

Zamknawszy za sobą drzwi, Kay weszła na pomost. Na dworze panował przejmujący chłód, a płaszcz zostawiła w przedziale. Rozluźniła szalik i zawiązała go na głowie.

Nigdy nie jechała tą trasą, lecz okolica, którą przemierzał pociąg, wydała jej się dziwnie znajoma. Po obu stronach pięły się wysokopienne drzewa, widmowe, malowane blado przez niesamowity blask księżyca, nigdzie nie było polany ani przesieki. Nad głową rozciągał się surowy, niezbadany granat nieba, usiany gwiazdami, które tu i ówdzie płowiały. Pióropusze dymu wlokły się za parowozem jak długie pasma ektoplazmy. W rogu pomostu czerwona latarnia naftowa rzucała barwny cień.

Znalazła papierosa i spróbowała zapalić, ale wiatr zdmuchiwał zapałkę po zapałce, aż w końcu została tylko jedna. Podeszła w kąt, gdzie się paliła latarnia, i sklepiła dłonie, żeby osłonić ostatnią zapałkę; płomień chwycił, podskoczył i zgasł. Wściekła, cisnęła papierosa i pustą tekturkę po zapałkach. Jej napięcie rosło z rozpaczliwą siłą, aż w końcu ją walić pięścią w ścianę i kwilić cicho jak rozkapryszone dziecko.

Od przenikliwego zimna bolała ją głowa. Pragnęła wrócić do ciepłego wagonu i usiąść. Ale wiedziała, że nie może, jeszcze nie może; nie musiała się nawet zastanawiać dlaczego, bo знаła odpowiedź aż nazbyt dobrze. Na głos — po części, żeby powstrzymać szcęknięcie zębów, po części, żeby znaleźć otuchę we własnych słowach — powiedziała:

— Jesteśmy pewnie w Alabamie, jutro będziemy w Atlancie. Mam dziewiętnaście lat, w sierpniu skończę dwadzieścia i jestem na drugim roku. — Rozejrzała się w ciemności, pełna nadziei, że dostrzeże zapowiedź świtu, ale zobaczyła wciąż tę samą niekończącą się ścianę drzew, ten sam mroźny księżyc. — Nienawidzę go, jest okropny, nienawidzę go!

Urwała, zawstydzona własną głupotą i zbyt wyczerpana, by dłużej unikać prawdy: boi się. I raptem poczuła zabobonny impuls, żeby uklęknąć i dotknąć latarni. Zgrabny szklany klosz był ciepły, czerwony żar przenikał dłonie, czyniąc je przejrzystymi. Ciepło roztopiało sztywność palców, rozchodziło się mrowiem po rękach.

Zaabsorbowana, nie słyszała, kiedy się otworzyły drzwi. Koła pociągu dudniły łup-łupu-łup, łup-łupu-łup, głuszac kroki mężczyzny.

Ostrzegł ją w końcu nieuchwytny szósty zmysł; ale minęło kilka sekund, nim się odważyła obrócić.

Stał z niemą obojętnością, z głową lekko przekrzywioną, z rękami zwieszonymi po bokach. Patrząc w jego niewinną, pustą twarz, rozjaśnioną czerwonym blaskiem latarni, Kay uświadomiła sobie, czego się boi: to wspomnienia, wspomnienia dziecinnych strachów, które kiedyś, dawno temu, unosiły się nad jej głową jak nawiedzane konary drzewa nocy. Ciotki, kucharki, nieznajomi, wszyscy skorzy snuć opowieści, nauczyć

wiersza o duchach i śmierci, o złowróżbnych znakach, upiorach, demonach. A nade wszystko wszechobecna, niezawodna groźba: nie oddalaj się, dziecko, od domu, bo cię porwie Baba-Jaga i pożre żywcem! Była wszędzie, ta Baba-Jaga, i zewsząd czyhało niebezpieczeństwo. W nocy, w łóżku, słyszysz, jak się dobija do okna? Posłuchaj tylko!

Trzymając się poręczy, Kay podciągnęła się cał po calu, aż stanęła wyprostowana. Mężczyzna skinął głową i wskazał dłonią drzwi. Zaczerpnęła głęboko powietrza i ruszyła przed siebie. Razem weszli do wagonu.

W środku powietrze było drętwe od snu. Paliła się tylko jedna lampa, tworząc rodzaj sztucznego półmroku. Nie słychać było żadnego poruszenia prócz leniwego kołysania pociągu i ukradkowych szelestów porzuconych gazet.

Kobieta siedziała z szeroko otwartymi oczami. Znać było po niej wielkie podniecenie: kręciła nerwowo loki, bawiła się celuloidowymi wiśniami, a jej pulchne nóżki, skrzyżowane w kostkach, kołysały się gwałtownie w przód i w tył. Nie zwracała najmniejszej uwagi na Kay. Mężczyzna usadowił się w swoim kącie, z jedną nogą podwiniętą pod siebie, z rękami splecionymi na piersi.

Starając się zachowywać jak najobojętniej, Kay sięgnęła po pismo. Zdawała sobie sprawę, że mężczyzna się w nią wpatruje, nie odrywa od niej na sekundę wzroku; wiedziała o tym, ale bała się przyznać przed samą sobą, że wie; miała ochotę krzyknąć na głos, pobudzić wszystkich w wagonie. Lecz co, jeśli nie usłyszą? Co, jeśli nie są rzeczywiście pogrążeni we śnie? Łzy napłynęły jej do oczu, wyolbrzymiając i zniekształcając litery, aż strona rozpląnęła się w mglistą magmę. Złożyła pismo z nagłą wściekłością, popatrzyła na kobietę.

— Zdecydowałam się, kupię — powiedziała. — Kupię ten amulet. Kupię, jeżeli to jest wszystko, czego państwo ode mnie... chcą.

Kobieta nie odpowiedziała. Z apatycznym uśmiechem obróciła się do mężczyzny.

Patrząc na niego, Kay doznała wrażenia, że twarz mężczyzny zmienia kształt i odpływa w dal jak kamień o kształcie półksiężyca osuwający się pod powierzchnię wody. Ogarniało ją ciepłe lenistwo. Jak przez mgłę zdawała sobie sprawę, że kobieta wyjmuje jej spod pachy torebkę i delikatnie naciąga jej na głowę płaszcz jak całun.